

**KERSTIN GIER**

Trylogia czasu

**BŁĘKIT SZAFIRU**

Przekład  
Agata Janiszewska

**Literacki  
EGMONT**

*Frank bez Ciebie bym sobie nie poradziła*

## Prolog

*Londyn, 14 maja 1602*

W zaułkach Southwark było ciemno i pusto. W powietrzu unosił się fetor gnijących glonów, kloaki i zdechłych ryb. Paul odruchowo ścisnął mocniej rękę Lucy i pociągnął za sobą.

- Trzeba było pójść brzegiem rzeki. W tej plątaninie uliczek można się tylko zgubić - szepnął.

- Tak, tak, a za każdym rogiem czai się złodziej i morderca - powiedziała rozbawiona. - Cudownie, prawda? To tysiąc razy lepsze niż przesiadywanie w stęchłych murach i odrabianie lekcji. - Podkasala ciężką suknię i pospieszyła dalej.

Uśmiechnął się mimowolnie. Lucy miała niepowtarzalny talent do wynajdywania dobrych stron w każdej sytuacji i w każdym czasie. Nawet tak zwane złote lata Anglii, które w tym momencie zadawały kłam swojej nazwie, okazując się dość mrocznymi, nie zdołały jej wystraszyć, ale wręcz wprawiły ją w dobry humor.

- Szkoda, że nigdy nie mamy więcej niż trzy godziny - powiedziała, gdy do niej dołączył. - *Hamlet* podobałby mi się jeszcze bardziej, gdybym nie musiała go oglądać w odcinkach. - Zrećźnie ominęła wielką błotnistą kałużę, a przynajmniej miała nadzieję, że to było bioto. Potem zrobiła kilka frywolnych tanecznych kroków i okręciła się wokół własnej osi. - „Tak, to świadomość czyni nas tchórzami”... Czyż to nie było cudowne?

Skinął głową, siłą powstrzymując się od uśmiechu. Zbyt często musiał to robić w obecności Lucy. Jeśli nie będzie uważał, wyjdzie na ostatniego idiotę!

Znajdowali się w drodze do London Bridge - most South-wark, który właściwie byłby dogodniejszy, w tamtym czasie jeszcze nie istniał. Ale musieli się pospieszyć, jeśli nie chcieli, by ktoś zauważył ich potajemną wyprawę w siedemnasty wiek.

Boże, ileż by dał za to, by móc w końcu zdjąć ten sztywny biały gors. W dotyku był niczym plastikowy kołnierz, taki, jaki zakłada się psom po operacji.

Lucy skrzyła w stronę rzeki. Jej myśli najwyraźniej wciąż jeszcze krążyły wokół Szekspira.

- A ile dałeś temu człowiekowi, żeby nas wpuścił do teatru Globe, Paul?

- Takie cztery ciężkie monety, nie mam pojęcia, ile są warte. - Roześmiał się. - Może to była jego roczna pensja albo coś w tym stylu.

- W każdym razie poskutkowały. Miejsca były super.

Biegiem dotarli do London Bridge. Tak samo jak wtedy, kiedy szli w przeciwną stronę, Lucy przystanąła i chciała powiedzieć coś na temat domów, które zbudowano na moście. Ale on pociągnął ją dalej.

- Wiesz przecież, co powiedział pan George: jeśli stoisz za długo pod oknem, ktoś opróżni ci nocnik na głowę - przypomniał jej. - A poza tym rzucasz się w oczy!

- Wcale nie widać, że to most, wygląda jak zwykła ulica. Patrz, korek! Już czas, żeby powstało parę innych mostów.

Most, w przeciwieństwie do bocznych zaułków, był zatłoczony, ale powozy, lektyki i dorożki nie posuwały się do przodu ani o centymetr.

Z dala dochodziły przekleństwa woźniców i rzenie koni, lecz przyczyny zamieszania nie było widać. Z okna powozu tuż obok nich wychylił się mężczyzna w czarnym kapeluszu. Sztywny biały kołnierz sięga! mu aż do uszu.

- Nie ma jakiejś innej drogi przez tę śmierdzącą rzekę? - zawołał po francusku do swego woźnicy.

Ten zaprzeczył.

- Nawet gdyby była, nie moglibyśmy zawrócić, utknęliśmy. Pójdę do przodu zobaczyć, co się stało. Na pewno zaraz pojedziemy dalej, panie.

Mrucząc coś pod nosem, mężczyzna schował głowę razem z kapeluszem i kołnierzkiem z powrotem do powozu, podczas gdy woźnica torował sobie drogę przez tłum.

- Słyszałeś to, Paul? Francuzi! - szepnęła z zachwytem Lucy. - Turyści!

- Tak. Świetnie. Ale my musimy ruszać dalej, nie mamy zbyt wiele czasu.

Przypominał sobie jak przez mgłę, że czytał o tym moście - kiedyś został zniszczony, a potem odbudowany piętnaście metrów dalej. A więc to nie jest dobre miejsce na przeskok w czasie.

Poszli za francuskim woźnicą, ale kawałek dalej ujrzeli taką masę ludzi i pojazdów, że nie dało się przejść.

- Słyszałam, że zapalił się wóz wiozący beczki z olejem. - Stojąca przed nimi kobieta nie mówiła do nikogo konkretnego.

- Jak nie będą uważać, to kiedyś spalą cały ten most.

- Tylko nie dziś — mruknął Paul i chwycił Lucy za ramię. — Chodź, wracamy. Lepiej poczekajmy na przeskok po tamtej stronie.

- Pamiętasz jeszcze hasło? Na wypadek, gdybyśmy nie zdążyli.

- Coś z kawą i kupidynem?

- *Gutta cavat lapidem*, głuptasie. - Podniosła na niego wzrok, chichocząc.

Jej niebieskie oczy błyszczały z rozbawienia i nagle przyszło mu do głowy to, co odpowiedział jego brat Falk, zapytany o idealny moment: „Nie bawiłbym się w długie rozmowy. Po prostu bym to zrobił. Najwyżej cię spoliczkuje, ale przynajmniej będziesz wiedział”.

Falk oczywiście wypytywał go, o kim mowa, ale Paul nie miał ochoty na dyskusje, które zwykle zaczynały się od słów: „Przecież wiesz, że związki między rodzinami de Villiers i Montrose mają być natury ściśle biznesowej”, a kończyły podsumowaniem: „Poza tym wszystkie dziewczyny z rodziny Montrose to kozy, a kiedyś wyrosną z nich takie smoki jak lady Arista”.

Kozy! Akurat! Może w odniesieniu do innych dziewczyn z rodziny Montrose była to prawda - ale na pewno nie dotyczyło Lucy.

Lucy, która każdego dnia zadziwiała go na nowo, której zwierzał się tak jak nikomu dotąd, Lucy, z którą dosłownie... Zaczerpnął głęboko powietrza.

- Czemu stajesz? - spytała Lucy.

W tym momencie pochylił się ku niej i przycisnął wargi do jej ust. Przez trzy sekundy bał się, że go odepchnie, ale po chwili najwyraźniej przezwyciężyła zaskoczenie i oddała mu pocałunek, najpierw bardzo ostrożnie, potem mocniej.

Właściwie był to najbardziej nieodpowiedni moment i właściwie okropnie się spieszyli, bo przecież w każdej sekundzie mogli przeskoczyć w czasie, i właściwie...

Paul zapomniał, o co chodziło z tym trzecim „właściwie”. Teraz liczyła się tylko ona.

Nagle jego wzrok padł na postać w ciemnym kapturze i odskoczył przerażony.

Lucy spojrzała na niego z irytacją, po czym zarumieniła się i spuściła oczy.

- Przepraszam - mruknęła speszona. - Lany Coleman też mówił, że jak się całuje, to ma wrażenie, jakby mu ktoś wciskał do ust garść niedojrzałego agrestu.

- Agrestu? - Potrząsnął głową. - A kim, do diabła, jest ten Larry Coleman?

Teraz zdawała się kompletnie zdezorientowana, ale on musiał sam jakoś uporządkować chaos, który zapanował w jego głowie. Odciągnął Lucy spod świateł pochodni, chwycił ją za ramiona i popatrzył jej głęboko w oczy.

- Okej, Lucy. Po pierwsze: całujesz mniej więcej tak... jak smakują truskawki. Po drugie: jak spotkam tego Larry'ego Colemana, dam mu w pysk. Po trzecie: koniecznie zapamiętaj, na czym skończyliśmy. Ale teraz mamy mały problem.

Wskazał na wysokiego mężczyznę, który wynurzył się z cienia i podszedł do powozu Francuza.

Oczy Lucy rozszerzyły się z przerażenia.

- Dobry wieczór, baronie - odezwał się po francusku mężczyzna. Na dźwięk jego głosu Lucy mocno wpiła palce w ramię Paula. - Jak dobrze pana widzieć. Z Flandrii to daleka droga. - Zsunął z głowy kaptur.

Z wnętrza powozu dobiegi ich okrzyk zaskoczenia.

- Falszywy markiz! Cóż ty tutaj robisz, panie? Co to ma znaczyć?

- Też bym chciała wiedzieć - szepnęła Lucy.

- Czy tak wita się własnego potomka? - rzekł mężczyzna, najwyraźniej zadowolony z efektu, jaki wywołał. - W końcu jestem wnukiem wnuka twojego wnuka i nawet jeśli nazywają mnie człowiekiem bez imienia, mogę cię zapewnić, że mam imię. I to nawet nie jedno, ściśle rzecz biorąc. Czy mogę wsiąść do twego powozu? Niewygodnie się tutaj stoi, a most jeszcze przez pewien czas będzie nieprzejezdny. - Nie czekając na odpowiedź i nawet się nie rozglądając, otworzył drzwi i wsiadł do powozu.

Lucy pociągnęła Paula dwa kroki w bok, jeszcze dalej od świetlistego kręgu pochodni.

- To naprawdę on! Tylko znacznie młodszy! Co mamy teraz zrobić?

- Nic - odszepnął Paul. - Raczej nie możemy podejść i powiedzieć „dzień dobry”. W ogóle nie powinno nas tu być.

- Ale dlaczego on tutaj jest?

- Głupi przypadek. W żadnym razie nie może nas zobaczyć. Chodź, musimy dostać się na brzeg.

Jednak żadne z nich nie ruszyło się z miejsca. Oboje stali jak wmurowani, wpatrując się w ciemne okienko powozu z większą fascynacją, niż przedtem patrzyli na scenę teatru Globe.

- W czasie naszego ostatniego spotkania datem ci przecież wyraźnie do zrozumienia, co o tobie myślę - dobiegł ich teraz z powozu głos francuskiego barona.

- Och tak, dałeś.

Cichy śmiech gościa wywołał u Paula gęsią skórę na rękach, choć nie potrafił powiedzieć dlaczego.

- Podjąłem już decyzję! - Głos barona nieco drżał. - Przekażę to szatańskie urządzenie sojuszowi, nieważne, jakich perfidnych metod użyjesz, by mnie od tego odwieść. Wiem, że zawarłeś pakt z diabłem.

- O co mu chodzi? - wyszeptała Lucy. Paul tylko pokręcił głową.

Znowu usłyszeli cichy śmiech.

- Mój ograniczony, zaślepiony przodku! O ileż łatwiejsze mogłoby być twoje życie, i moje też, gdybyś posłuchał mnie, a nie tego twojego biskupa czy żalosnych fanatycznych zwolenników sojuszu. Gdybyś tylko użył rozumu zamiast różańca. Gdybyś dostrzegł, że jesteś częścią czegoś większego niż to, o czym prawi kazania twój ksiądz.

Odpowiedź barona zabrzmiała jak *Ojciec nasz*.

- A więc to jest twoje ostatnie słowo w tej sprawie?

- Jesteś diabłem wcielonym - powiedział baron. - Wyjdź z mego powozu i nigdy więcej nie pokazuj mi się na oczy.

- Jak sobie życzysz. Tylko jeszcze jeden drobiazg. Nie mówiłem ci o tym wcześniej, żeby cię niepotrzebnie nie denerwować, ale na twoim nagrobku, który widziałem na własne oczy, wypisano czternasty maja 1602 roku jako dzień twojej śmierci.

- Ale to przecież jest... - zaczął baron.

- Otóż to, dzisiaj. A do północy nie pozostało już wiele czasu.

Dał się słyszeć ciężki oddech barona.

- Co on tam robi? - wyszeptała Lucy.

- Łamie swoje zasady. - Gęsia skórka pokryła Paulowi kark. - Mówi o... - Przerwał, bo poczuł w żołądku dobrze znane, nieprzyjemne skurcze.

- Mój woźnica zaraz wróci - powiedział baron, a jego głos był teraz mocno załęczony.

- Tak, oczywiście - odrzekł intruz niemal znudzonym tonem. - Dlatego będę się spieszył.

- Paul! - Lucy przyłożyła dłoń w okolice żołądka.

- Wiem, też to czuję. Niech to szlag trafi... Musimy biec, jeśli nie chcemy spać w odmęty rzeki.

Chwycił ją za ramię i pociągnął naprzód, starannie się pilnując, by nie patrzeć w stronę okna powozu.

- Właściwie chyba zmarłeś w swojej ojczyźnie na paskudną grypę - usłyszeli, przemykając obok. - Ale ponieważ moje odwiedziny u ciebie ostatecznie doprowadziły do tego, że dziś jesteś tu, w Londynie, i cieszysz się znakomitym zdrowiem, równowaga została w pewien sposób zakłócona. Moje umiłowanie ładu każe mi zatem odrobinę dopomóc śmierci.

Mimo że uwagę Paula pochłaniały teraz skurcze własnego żołądka i obliczanie, ile metrów jest jeszcze do brzegu, znaczenie tych słów przeniknęło do jego świadomości. Zatrzymał się.

Lucy szturchnęła go w bok.

- Biegnij! - syknęła, sama podrywając się do biegu. - Mamy tylko kilka sekund!

Na miękkich nogach ruszył za nią i gdy pobliski brzeg zaczął mu się rozmywać przed oczami, usłyszał z wnętrza powozu straszny, choć stłumiony krzyk, po którym padło wykrztuszone rżącym głosem: „Szatanie!” - a potem zapanowała martwa cisza.

*Kroniki Strażników 18 grudnia 1992 roku*

*Lucy i Paul dziś o godzinie 15.00 poddali się elapsji do 1948 roku. O godzinie 19.00 wylądowali na grzędce z różami za oknem Smoczej Sali, w całkowicie przemoczonych kostiumach z XVII wieku. Zrobili na mnie wrażenie mocno roztrzęsionych i pletli trzy po trzy, dlatego wbrew ich woli porozumiałem się z lordem Montrose i Falkiem de Villiers. Ale historię dało się bardzo prosto wyjaśnić. Lord Montrose dokładnie pamięta bał kostiumowy, jaki odbył się w 1948 roku w ogrodzie, kiedy to kilkoro gości, między innymi także Lucy i Paul, po spożyciu zbyt dużej ilości alkoholu wylądowało w stawie ze złotymi rybkami. Lord Lucas wziął odpowiedzialność za to wydarzenie i obiecał posadzić na nowo obie kompletnie zniszczone róże Ferdinand Pichard i Mrs. lohn Laing. Lucy i Paul zostali jak najsurowiej napomnieni, by w przyszłości, niezależnie od epoki, trzymać się z dala od alkoholu.*

Raport: J. Mountjoy, adept II stopnia

**Proszę państwa, to jest kościół! Tu nie wolno się całować!**

Przestraszona otworzyłam oczy i cofnęłam się gwałtownie, oczekując widoku staromodnego księdza w rozwianej sutannie, który z oburzoną miną spieszy w naszą stronę, by wlepić nam surową pokutę. Ale to wcale nie był człowiek. To był mały gar-gulec, który przysiadł na kościelnej ławce tuż obok konfesjonau i patrzył na mnie tak samo zaskoczony jak ja na niego.

Choć w zasadzie to było raczej niemożliwe, bo mojego stanu nie dałoby się już nazwać zaskoczeniem. Mówiąc szczerze, miałam coś w rodzaju gigantycznej awarii procesu myślowego.

Wszystko zaczęło się od tego pocałunku.

Oczywiście powinnam była zadać sobie pytanie, skąd nagle wpadł na ten pomysł - w konfesjonale, gdzieś w Belgra-vii w 1912 roku - tuż po naszej rozpaczliwej, zapierającej dech w piersiach ucieczce, w której przeszkadzała mi nie tylko sięgająca do kostek, wąska suknia z żalonym marynarskim kołnierzem.

Mogłam dokonać analitycznego porównania tego pocałunku z innymi, które przeżyłam wcześniej, oraz określić, dlaczego Gideon całował o niebo lepiej.

Mogło mi dać do myślenia, że między nami była ściana konfesjonau z okienkiem, przez które Gideon przepchnął głowę i ręce, i że to nie były idealne warunki do pocałunku, pomijając już zupełnie fakt, że nie potrzebowałam w swoim życiu większego chaosu, skoro zaledwie trzy dni temu dowiedziałam się, że odziedziczyłam po swej rodzinie gen podróży w czasie.

Faktem jednak było, że nie pomyślałam absolutnie o niczym, może poza „och!”, „mmm!” i „jeszcze!”.

Dlatego dopiero teraz, kiedy ten mały gargulec skrzyżował ręce, patrząc na mnie gniewnie z kościelnej ławki, dopiero teraz, gdy mój wzrok padł na brudnożółtą zasłonkę w konfesjonale, która zaledwie przed chwilą była jasnozielona, zorientowałam się, że tymczasem przeskoczyliśmy z powrotem do teraźniejszości.

- Psiakrew! - Gideon cofnął się na swoją stronę konfesjonau i podrapał się w głowę.

Psiakrew? Mało delikatnie spadłam z obłoków, zapominając o gargulcu.

- Jak dla mnie, nie było aż tak źle - powiedziałam, starając się zdobyć na możliwie obojętny ton.

Niestety trochę brakowało mi tchu, co wpłynęło negatywnie na ogólne wrażenie. Nie potrafiłam spojrzeć Gideonowi w oczy, więc wciąż gapiłam się na brunatną poliestrową zasłonkę w konfesjonale.

Boże! Przeżyłam w czasie prawie sto lat, w ogóle tego nie zauważając, ponieważ ten pocałunek tak kompletnie i zupełnie mnie... zaskoczył. Chodzi mi o to, że w jednej minucie facet się mnie czepia, w następnej znajduję się w samym środku pościgu i muszę bronić się przed uzbrojonymi w pistolety mężczyznami, a potem nagle - ni stąd, ni zowąd - on twierdzi, że jestem kimś wyjątkowym, i mnie całuje. A jak on całował! Od razu zrobiłam się zazdrosna o te wszystkie dziewczyny, od których się tego nauczył.

- Nie ma nikogo. - Gideon wyjrzał, lustrując wnętrze kościoła, po czym wyszedł z konfesjonau.

- Dobrze. Wrócimy do Tempie autobusem. Chodź, na pewno już na nas czekają.

Wytracona z równowagi wpatrywałam się w niego przez zasłonkę w konfesjonale. Czyżby to miało znaczyć, że chce nad tym wszystkim przejść do porządku dziennego? Po pocałunku (właściwie lepiej przed, ale na to było już za późno) należałoby jeszcze może wyjaśnić parę podstawowych kwestii, prawda? Czy ten pocałunek był swego rodzaju wyznaniem miłości? Może Gideon i ja byliśmy teraz nawet parą? Czy tylko trochę się pomizialiśmy, bo akurat nie mieliśmy nic lepszego do roboty?

- Nie pojedę autobusem w tej sukni - oświadczyłam kategorycznie, podnosząc się z największą godnością, na jaką było mnie stać.

Wolałabym odgryźć sobie język, niż zadać jedno z tych pytań, które właśnie przemknęły mi przez głowę.

Moja suknia była biała, z błękitnymi satynowymi wstążkami w talii i przy kołnierzyku, zapewne ostatni krzyk mody w 1912 roku, ale raczej niezbyt odpowiednia w środkach komunikacji publicznej w dwudziestym pierwszym wieku.

- Weźmiemy taksówkę - dodałam.

Gideon spojrział na mnie, ale nie zaprotestował. W surducie i spodniach zaprasowanych w kancik też niespecjalnie nadawał się do autobusu. A przy tym wyglądał naprawdę dobrze, tym bardziej że jego włosy nie były już tak gładziutko zaczesane za uszy jak jeszcze dwie godziny temu, lecz opadały na czoło niesfornymi lokami. Podeszłam do niego w kościelnej nawie i przeszył mnie dreszcz. Było tutaj potwornie zimno. A może to dlatego, że od trzech dni prawie nie spałam? A może przez to, co się właśnie wydarzyło?

Ostatnio mój organizm wytworzył prawdopodobnie więcej adrenaliny niż przez całe szesnaście lat mojego dotychczasowego życia. Tak wiele się zdarzyło, a ja miałam tak mało czasu, żeby się

nad tym zastanowić, że głowa wprost pękała mi od natłoku informacji i wrażeń. Gdybym była postacią z kreskówki, unosiłby się nade mną dymek z gigantycznym znakiem zapytania. I może jeszcze parę trupich czaszek.

Spróbowałam zebrać się w sobie. Jeśli Gideon chce nad tym przejść do porządku dziennego - proszę bardzo, jak też mogę.

- Okej, więc chodźmy stąd jak najszybciej - powiedziałam opryskliwie. - Zimno mi.

Chciałam się obok niego precyzyjnie, ale przytrzymał mnie za ramię.

- Posłuchaj, tamto... - Przerwał, zapewne w nadziei, że wpadnę mu słowo.

Czego oczywiście nie zrobiłam. Bardzo chciałam usłyszeć, co ma do powiedzenia. Poza tym miałam trudności z oddychaniem, kiedy stał tak blisko mnie.

- Ten pocałunek... Mnie... -I znowu zamilkł.

Ale ja natychmiast dokończyłam w myślach: „Mnie nie o to chodziło”.

Och, jasne, więc nie powinien był tego robić, prawda? To tak jakby podpalić zasłony, a potem się dziwić, że cały dom się pali (no dobra, głupie porównanie). Nie zamierzałam mu niczego ułatwiać i tylko patrzyłam na niego chłodno i wyczekująco. To znaczy próbowałam patrzeć chłodno i wyczekująco, a w rzeczywistości prawdopodobnie przybrałam minę w stylu „jestem mały Bambi, proszę cię, nie strzelaj do mnie!” - i nic nie mogłam na to poradzić. Jeszcze tego brakowało, żeby zaczęła mi drżeć dolna warga.

Mnie nie o to chodziło. No, dalej, powiedz to!

Ale Gideon nic nie powiedział. Wyciągnął mi szpilkę ze splecionych włosów (moja skomplikowana fryzura z zawiniętych warkoczy zapewne wyglądała teraz tak, jakby para ptaków uwiła w niej sobie gniazdo), ujął kosmyk moich włosów i owinał go sobie wokół palca. Drugą dłonią zaczął gładzić mnie po twarzy, a potem pochylił się i pocałował mnie ponownie, tym razem bardzo delikatnie. Zamknęłam oczy i nastąpiło to samo co przedtem - mój mózg znów miał tę błogą przerwę w komunikacji (nadawał wyłącznie „och”, „mmm” i „jeszcze”).

Ale tylko przez jakieś dziesięć sekund, bo zaraz tuż obok rozległ się zirytowany głos.

- Znowu się zaczyna?

Przestraszona pchnęłam Gideona lekko w pierś i spojrzałam prosto w pysk małego gargulca, który tymczasem zwiesił się głową w dół z empory, pod którą staliśmy. Ścisłe rzecz biorąc, to był duch gargulca.

Gideon puścił moje włosy i przybrał obojętny wyraz twarzy. O Boże! Co on musiał sobie teraz o mnie pomyśleć! W jego zielonych oczach nie dostrzegłam jednak żadnych emocji, może poza lekkim zdziwieniem.

- Wiesz... zdawało mi się, że coś słyszałam - mruknęłam.

- Okej - powiedział nieco przeciągle, ale bardzo uprzejmie.

- To mnie słyszałaś! - odezwał się gargulec. - Słyszałaś mnie!

Był mniej więcej wielkości kota, jego twarz też przypominała pyszczek kota; miał szpiczaste duże uszy rysia, a między nimi parę zaokrąglonych rogów, poza tym skrzydełka na plecach i długi, pokryty łuskami, jaszczurczy ogon o trójkątnym zakończeniu, nerwowo bijący na wszystkie strony.

- A w dodatku mnie widzisz! Milczałam.

- Lepiej już chodźmy - rzekł Gideon.

- Widzisz mnie i słyszysz! - zawołał z zachwytem mały gargulec, zeskoczył z empory na jedną z kościelnych ławek i zaczął na niej podskakiwać. Miał głos jak zakatarzone, schrypnięte dziecko.

- Wiem to na pewno!

Teraz tylko nie mogę popełnić żadnego błędu, bo inaczej nigdy się go nie pozbędę. Obojętnym wzrokiem omiotłam ławki, idąc w stronę wyjścia. Gideon przytrzymał mi drzwi.

- Dziękuję, to bardzo uprzejme - rzucił gargulec, w podskokach wybiegając z kościoła.

Gdy znalazłam się na zewnątrz, zmrużyłam oczy. Niebo pokrywały chmury i słońca nie było widać, ale według mojej oceny musiał być wczesny wieczór.

- Poczekażże! - zawołał gargulec i chwycił mnie za suknię. - Koniecznie musimy porozmawiać. Hej, depczesz mi po nogach... Nie udawaj, że mnie nie widzisz. Wiem, że widzisz. -Z jego ust wystrzeliła odrobina wody, tworząc przed moimi trzewikami małą kałużę. - Ups, przepraszam. To mi się zdarza tylko wtedy, gdy jestem zdenerwowany.

Spojrzałam w górę na fasadę kościoła: był w stylu wiktoriańskim, z kolorowymi witrażami i dwiema ładnymi, fantastycznymi wieżami. Cegły występowały na przemian z kremowym lynkiem, co tworzyło wesoły pasiasty wzór. Na całej budowli nie było jednak żadnej figurki, żadnego gargulca. To dziwne, że pojawił się tutaj ten duch.

- Tu jestem! - zawołał gargulec i wczepił się pazurami w mur tuż przed moim nosem.

Potrafił się wspinać jak jaszczurka, one wszystkie to umieją. Gapiłam się przez sekundę na cegłę obok jego głowy, a potem się odwróciłam.

Gargulec nie był już teraz taki pewien, czy naprawdę go widzę.



- Proszę cię - powiedział. - Tak przyjemnie byłoby porozmawiać z kimś innym niż duch sir Artura Conan Doyle'a.

Sprytne stworzenie. Ale nie dałam się na to nabrać. Było mi go wprawdzie żal, ale wiedziałam, jak uciążliwe potrafią być te małe potworki, a poza tym przeszkodził mi w pocałunku i przez niego Gideon prawdopodobnie myśli teraz, że jestem rozkapryszoną kozą.

- Proszę, proszę, prrrroszę! - powtarzał błagalnie gargulec. Nadal całkowicie go ignorowałam.

O rany, Bóg jeden wie, ile

problemów miałam na głowie.

Gideon podszedł do krawężnika i zaczął machać na taksówkę. Oczywiście zaraz jakaś się zatrzymała. Niektórzy ludzie zawsze mają szczęście w takich sprawach. Albo coś w rodzaju naturalnego autorytetu. Na przykład moja babka, lady Arista. Wystarczy, że stanie na skraju chodnika i rzuci surowe spojrzenie, a już taksówkarz hamuje tuż obok niej.

- Idziesz, Gwendolyn?

- Nie możesz mnie tak teraz po prostu zostawić! - Schrypnięty głosik gargulca brzmiał płaczliwie i rozdzierająco. - Przecież dopiero się spotkaliśmy.

Gdybyśmy byli sami, pewnie dałabym się sprowokować do rozmowy. Mimo ostrych, szpiczastych zębów i szponiastych stóp był na swój sposób sympatyczny i chyba niespecjalnie mógł liczyć na czyjeś towarzystwo (duch sir Arthura Conan Doyle'a miał z pewnością coś lepszego do roboty. Czegóż on w ogóle szukał w Londynie?). Ale jeśli rozmawiasz z duchem w obecności innych ludzi, to uważają cię - jeśli masz szczęście - za oszusta lub aktora albo - w większości przypadków - za wariata. Nie chciałam ryzykować tego, by Gideon wziął mnie za wariatkę. Poza tym ostatni gargulcowy demon, z którym rozmawiałam, tak się do mnie przywiązał, że niemal nie mogłam sama pójść do łazienki.

Z kamienną twarzą wsiadłam więc do taksówki i kiedy samochód ruszał, patrzyłam niewzruszenie przed siebie. Gideon wyglądał obok mnie przez okno. Taksówkarz, podnosząc brwi, otaksował we wstecznym lusterku nasze kostiumy, ale nie skomentował ich ani słowem. To mu trzeba zapisać na plus.

- Dochodzi wpół do siódmej - odezwał się Gideon, najwyraźniej usiłując prowadzić neutralną konwersację. - Nic dziwnego, że umieram z głodu.

Teraz, kiedy to powiedział, zauważyłam, że ze mną jest całkiem podobnie. Przy rodzinnym śniadaniu miałam okropny nastrój i przełknęłam najwyżej pół grzanki, a posiłek w szkole był jak zwykle niejadalny. Z pewną nostalgią pomyślałam o apetycznie wyglądających kanapkach i ciasteczkach na stoliku u lady Tilney, które nas niestety ominęły.

Lady Tilney! Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że ja i Gideon powinniśmy dokładniej omówić to, co wiąże się z naszą przygodą w 1912 roku. W końcu rzecz mocno wymknęła się spod kontroli i nie miałam pojęcia, co powiedzą na to Strażnicy, którzy w kwestii podróży w czasie zupełnie nie znali się na żartach. Gideon i ja udaliśmy się w tę podróż z zadaniem wczytania lady Tilney do chronografu (tak na marginesie, nadal nie zrozumiałam do końca powodów, ale wydawało się to niesłychanie ważne: chodziło chyba co najmniej o uratowanie świata). Zanim jednak zdołaliśmy to załatwić, do akcji wkroczyli moja kuzynka Lucy i Paul - największe zło w całej tej historii. Przynajmniej rodzina Gideona była o tym przekonana, a on wraz z nią. Podobno Lucy i Paul ukradli drugi chronograf i wraz z nim ukryli się gdzieś w czasie. Od lat nikt o nich nie słyszał - aż pojawili się u lady Tilney, wprowadzając lekki chaos w spotkanie przy popołudniowej herbatce.

Ten moment, kiedy w grze pojawiły się pistolety, z czystego strachu wyparłam z myśli, ale w pewnej chwili Gideon przyłożył do głowy Lucy broń - pistolet, którego, nawiasem mówiąc, w ogóle nie wolno mu było ze sobą wziąć (tak jak mnie mojej komórki, ale z komórki nie można przynajmniej nikogo zastrzelić!). Potem uciekliśmy do kościoła. Przez cały czas nie mogłam się jednak uwolnić od myśli, że ta historia z Lucy i Paulem wcale nie jest taka czarno-biała, jak utrzymywali to członkowie rodziny de Villiers.

- A co powiemy w związku z lady Tilney? - spytałam.

- No tak. - Gideon zmęczonym gestem potarł czoło. - Nie żebyśmy mieli kłamać, ale w tym przypadku może lepiej byłoby pominąć to i owo. Najlepiej mówienie zostaw mnie.

I znowu ten jego rozkazujący ton.

- Tak, oczywiście - powiedziałam. - Będę przytakiwać i trzymać gębę na kłódkę, jak na dziewczynę przystało.

Skrzyżowałam ręce na piersi. Dlaczego Gideon nie mógł się choć raz normalnie zachować? Dopiero co mnie pocałował (i to więcej niż raz!), a teraz zgrywa Wielkiego Mistrza Łoży Strażników!

Każde z nas wyglądało w skupieniu przez okno po swojej stronie.

W końcu Gideon pierwszy przerwał milczenie i to nappełniło mnie pewną satysfakcją.

- Co się stało, kot ci ukradł język? - Zabrzmiało to prawie tak, jakby był zmieszany.

- Co proszę?

- Moja matka zawsze mnie tak pytała, gdy byłem mały. Kiedy gapilem się tak uparcie przed siebie jak ty przed chwilą.

- Ty masz matkę?

Ledwie zadałam to pytanie, zorientowałam się, jakie było idiotyczne. O Boże!

Gideon podniósł do góry jedną brew.

- A co myślałaś? - rzucił rozbawiony. - Ze jestem androidem zmontowanym przez wuja Falka i pana George'a?

- To wcale nie jest takie absurdalne. Masz jakieś zdjęcia z dzieciństwa? - Próbując wyobrazić sobie Gideona jako niemowlaka, z okrągłą, miękką, pucolowatą buzią i niemowlęcą łysiną, musiałam się uśmiechnąć. - A gdzie jest twój tata i twoja mama? Też mieszkają tu, w Londynie?

Gideon potrząsnął głową.

- Mój ojciec nie żyje, a matka mieszka w Antibes, w południowej Francji. - Przez chwilę zaciskał wargi i myślałam już, że znowu zamilknie na dłużej, ale zaraz dodał: - Z moim młodszym bratem i swoim nowym mężem, panem „mów-mi-tato” Bertelinem. Ma firmę produkującą mikroelementy z platyny i miedzi łącznie z sprzętem elektronicznym i najwidoczniej interesy idą świetnie. W każdym razie jego szpanerski jacht nazywa się Krezus.

Byłam naprawdę zaskoczona. Tyle osobistych informacji naraz - to było do Gideona zupełnie niepodobne.

- Och, ale na pewno fajnie tam pojechać na wakacje, co?

- Tak, oczywiście - powiedział kpiąco. - Jest basen wielkości trzech kortów tenisowych, a krany na tym kretyńskim jachcie są ze złota.

- W każdym razie wyobrażam sobie, że lepsze to niż nie-ogrzewana wiejska chata w Peebles - odrzekłam. W mojej rodzinie wakacje spędzało się zasadniczo w Szkocji. - Gdybym miała krewnych na południu Francji, jeździłabym do nich na każdy weekend. Nawet gdyby nie mieli basenu ani jachtu.

Gideon przyglądał mi się, kręcąc głową.

- Ach, tak? A jak byś sobie poradziła z tym, że co parę godzin musisz przeskoczyć w przeszłość? To chyba niezbyt ekscytujące przeżycie, jeśli pędzisz akurat po autostradzie z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Ta historia z podróżami w czasie była dla mnie chyba jeszcze zbyt nowa, bym zdążyła się zastanowić nad jej wszystkimi konsekwencjami. Istniało tylko dwanaścioro nosicieli genu, rozrzuconych po różnych stuleciach, i wciąż nie mogłam do końca pojąć, że jestem jedną z nich. Przewidziana była właściwie moja kuzynka Charlotta, która z wielką pasją przygotowywała się do swej roli. Ale moja matka z niewyjaśnionych powodów zamieszała coś z datą moich urodzin i teraz mieliśmy pasztet. Tak samo jak Gideon miałam więc do wyboru: albo w sposób kontrolowany przeskakiwać w czasie za pomocą chronografu, albo skok w czasie mógł mnie zastać zawsze i wszędzie, a z własnego doświadczenia wiedziałam już, że to nie jest zbyt przyjemne.

- Musiałbyś oczywiście zabierać ze sobą chronograf, aby co jakiś czas poddać się elapsji w bezpieczną epokę - powiedziałam.

Gideon parsknął smutno.

- Tak, oczywiście w ten sposób można byłoby spokojnie podróżować, a po drodze jeszcze zwiedzić tak wiele historycznych miejsc. Ale pomijając to, że nigdy nie pozwolono by mi włączyć się z chronografem w plecak, co ty byś wtedy bez niego zrobiła? - Spojrzał obok mnie przez okno. - Przez Lucy i Paula został już tylko jeden, czyżbyś o tym zapomniała? - powiedział nerwowo, jak zawsze, kiedy mówił o Lucy i Paulu.

Wzruszyłam ramionami i też zaczęłam wyglądać przez okno. Taksówka w spacerowym tempie zmierzała w kierunku Piccadilly. No, super. Popołudnie w centrum miasta. Na piechotę pewnie bylibyśmy szybciej.

- Ty chyba jeszcze nie do końca rozumiesz, Gwendolyn, że odtąd nie będziesz miała zbyt wielu okazji, by opuszczać tę wyspę! - W głosie Gideona pobrzmiwała gorycz. - I to miasto. Zamiast wywozić cię na wakacje do Szkocji, twoja rodzina powinna była raczej pokazać ci wielki świat. A teraz już za późno. Nastaw się na to, że wszystko, o czym marzysz, będziesz sobie mogła zobaczyć najwyżej na Google Earth.

Taksówkarz wygrzebał poszarpaną książkę w miękkiej okładce, oparł się na swoim fotelu i spokojnie zaczął czytać.

- Ale... przecież ty byłeś w Belgii i w Paryżu - powiedziałam. - Aby stamtąd udać się w przeszłość i zdobyć krew tego tam, jak on się nazywał... i tamtych...

- No jasne - wpadł mi w słowo. - Razem z moim wujem, dwoma Strażnikami i kostiumolożką. Świetna wyprawa. Pomijając fakt, że Belgia jest takim niesłychanie egzotycznym krajem. Czyż wszyscy nie marzą o tym, żeby pojechać na trzy dni do Belgii?

- A dokąd byś pojechał, gdybyś mógł sobie wybrać? - spytałam cicho, onieśmielona jego nagłym wybuchem.

- Chcesz powiedzieć, gdybym nie był obciążony tą klątwą podróży w czasie? O, Boże, nie wiedziałbym, od czego zacząć. Chile, Brazylia, Peru, Kostaryka, Nikaragua, Kanada, Alaska, Wietnam, Nepal, Australia, Nowa Zelandia... - Uśmiechnął się lekko. - Mniej więcej wszędzie prócz Księżyca. Ale tak naprawdę nie ma co myśleć o czymś, czego nigdy w życiu nie zrobisz. Musimy się pogodzić z tym, że jeśli chodzi o podróże, nasze życie będzie raczej monotonne.

- Pomijając podróże w czasie. - Poczzerwieniałam, ponieważ powiedział „nasze życie” i zabrzmiało to jakoś tak... intymnie.

- To jest przynajmniej coś w rodzaju rekompensaty za tę wieczną kontrolę i zamknięcie - odrzekł Gideon. - Gdyby nie było podróży w czasie, dawno już bym umarł z nudów. To paradoksalne, ale prawdziwe.

- Mnie na pewno wystarczyłby dreszczyk emocji przy oglądaniu od czasu do czasu jakiegoś emocjonującego filmu.

Tęsknym wzrokiem popatrzyłam za rowerzystą torującym sobie drogę w korku. Chciałam już być w domu! Samochody przed nami nie ruszyły się z miejsca nawet o milimetr, co zdawało się bardzo odpowiadać naszemu pogrążonemu w lekturze kierowcy.

- Skoro twoja rodzina mieszka na południu Francji, to gdzie ty mieszkasz? - zapytałam Gideona.

- Od niedawna mam mieszkanie w Chelsea. Ale przychodzę tam właściwie tylko się wykapać i przespać. Jeśli w ogóle. - Westchnął. W ciągu trzech ostatnich dni spał równie mało jak ja. Albo nawet jeszcze mniej. - Przedtem mieszkalem u mojego wuja Falka w Greenwich, od jedenastego roku życia. Gdy moja matka poznała pana Zakazaną Gębę i chciała wyjechać z Anglii, zabierając mnie i brata ze sobą, Strażnicy się oczywiście sprzeciwili. Zostało przecież zaledwie parę lat do mojego pierwszego przeskoku w czasie i musiałem się jeszcze wiele nauczyć.

- I matka zostawiła cię samego?

Byłam przekonana, że moja mama nigdy by czegoś takiego nie zrobiła.

Gideon wzruszył ramionami.

- Lubię wuja, jest w porządku, o ile nie zgrywa akurat Wielkiego Mistrza Łoży. W każdym razie na pewno jest mi tysiąc razy bliższy niż mój tak zwany ojczym.

- Ale... - Niemal nie miałam śmiałości zapytać. - Tęsknisz za nimi? - wyszeptałam.

Znowu wzruszenie ramion.

- Dopóki nie skończyłem piętnastu lat i mogłem jeszcze bezpiecznie podróżować, zawsze jeździłem do nich na wakacje. Poza tym moja matka co najmniej dwa razy do roku przyjeżdża do Londynu, oficjalnie po to, żeby mnie odwiedzić, ale tak naprawdę raczej po to, żeby wydawać pieniądze monsieur Bertelina. Ma słabość do ciuchów, butów i starej biżuterii. I eleganckich restauracji makrobio tycznych.

Ta kobieta chyba faktycznie była mamunią jak z bajki.

- A twój brat?

- Raphael? Zrobił się już z niego prawdziwy Francuz. Nazywa pana Zakazaną Gębę papą i kiedyś przejmie to platynowe imperium. Chociaż na razie nie zanoszą się na to, żeby skończył szkołę, leń patentowany. Bardziej go zajmują dziewczyny niż książki. - Gideon położył rękę za mną na oparciu siedzenia i mój oddech natychmiast przyspieszył. - Dlaczego patrzysz na mnie taka zszokowana? Może jest ci mnie teraz żal?

- Trochę - przyznałam szczerze i pomyślałam o jedenastoletnim chłopcu, który musiał zostać w Anglii całkiem sam. Wśród chroniących tajemnicę mężczyzn, którzy zmuszali go do pobierania lekcji fechtunku i gry na skrzypcach. I do polo! - Falk nie jest nawet twoim prawdziwym wujem. Tylko dalekim krewnym.

Ktoś za nami zatrzął wściekle. Taksówkarz na chwilę podniósł wzrok, po czym zaraz wrócił do lektury.

Gideon zdawał się w ogóle nie zwracać na niego uwagi.

- Falk był dla mnie zawsze jak ojciec - powiedział. Uśmiechnął się do mnie krzywo. - Doprawdy, nie musisz mi się przyglądać tak, jakbym był Davidem Copperfieldem.

Co proszę? Dlaczego miałabym myśleć, że jest Davidem Copperfieldem? Gideon westchnął.

- Mam na myśli postać z powieści Karola Dickensa, a nie tego magika. Czy ty czasem czytasz książki?

I to był znowu dawny, zarozumiały Gideon. Już mi się mieszało w głowie od tych wszystkich uprzejmości i zwierzeń. I dziwna rzecz, prawie mi ulżyło, że wrócił ten poprzedni, okropny typek. Zrobiłam najbardziej wyniosłą minę, na jaką tylko potrafiłam się zdobyć, i lekko odsunęłam się od niego.

- Szczerze mówiąc, preferuję literaturę współczesną.

- Ach, tak? - W oczach Gideona błysnęło rozbawienie. - Co takiego na przykład?

Nie mógł wiedzieć, że moja kuzynka Charlotta też przez całe lata systematycznie zadawała mi to pytanie, i to tak samo arogancko. Właściwie czytałam niemało i dlatego chętnie jej odpowiadałam, ale ponieważ Charlotta zwykle kwitowała moje lektury słowami „mało ambitne” i

„dziewczyńskie głupoty”, w pewnym momencie miarka się przebrała i zepsuła jej zabawę raz na zawsze. Czasem trzeba pokonać ludzi ich własną bronią. Sztuka polega na tym, by mówić bez śladu wahania, a trzeba też wpleść co najmniej jedno nazwisko autora bestsellerów, najlepiej kogoś, czyją książkę rzeczywiście się przeczytało. Poza tym zasada brzmi: im bardziej egzotycznie i obco brzmi nazwisko, tym lepiej.

Uniosłam brodę i hardo spojrzałam Gideonowi w oczy.

- No, na przykład chętnie czytam takich pisarzy jak George Matussek, Wally Lamb, Peter Selwenicki, Liisa Tikaanenen. Nawiasem mówiąc, uważam, że fińscy autorzy są świetni, mają takie specyficzne poczucie humoru... Lubię też Jacka Augusta Merrywethera, choć jego ostatnia książka troszkę mnie rozczarowała. Helen Marundi oczywiście, Tahuro Yashamoto, Lawrence Delaney i rzecz jasna Grimphook, Czerkowski, Ma-land, Pitt.

Gideon wyglądał na zdezorientowanego. Przewróciłam oczami.

- Rudolf Pitt, nie Brad.

Kąciki ust lekko mu drgnęły.

- Chociaż muszę powiedzieć, że *Ametystowy śnieg* w ogóle mi się nie podobał - mówiłam dalej.

- Za dużo pompatycznych metafor, nie sądzisz? Czytając, przez cały czas miałam wrażenie, że napisał to za niego ktoś inny.

- *Ametystowy śnieg*? - powtórzył Gideon i teraz uśmiechał się już naprawdę. - Tak, mnie też wydał się strasznie pompatyczny. Natomiast *Bursztynowa lawina* bardzo mi się podobała.

Nie mogłam inaczej, też musiałam się uśmiechnąć.

- Tak, *Bursztynową lawiną* naprawdę zasłużył sobie na austriacką nagrodę literacką. A co sądzisz o Takoshi Mahuro?

- Wczesne utwory są ciekawe, ale uważam, że trochę męczące jest to jego ciągle przerabianie traum z dzieciństwa - rzeki Gideon. - Z japońskich pisarzy wolę takich jak Yamamoto Ka-wasaki albo Haruki Murakami.

Teraz już chichotałam na całego.

- Ale Murakami istnieje naprawdę.

- Wiem - powiedział Gideon. - Charlotta podarowała mi jego książkę. Kiedy następnym razem będziemy rozmawiać o książkach, zarekomenduję *Ametystowy śnieg*. Czyje to było?

- Rudolfa Pitta.

Charlotta podarowała mu książkę. Ach, jak to... hmmm... miło z jej strony. Trzeba najpierw wpaść na taki pomysł. I cóż oni jeszcze razem robili poza gadaniem o książkach? Moje rozbawienie ulotniło się w jednej chwili. Jak mogę tak po prostu siedzieć i paplać z Gideonem, jakby nic się między nami nie zdarzyło? Najpierw powinniśmy sobie wyjaśnić parę podstawowych spraw. Wbiłam w niego wzrok i zaczerpnęłam głęboko powietrza, nie wiedząc dokładnie, o co w ogóle chcę spytać.

„Dlaczego mnie pocałowałaś?”

- Zaraz będziemy na miejscu - powiedział Gideon.

Zbita z tropu wyjrzałam przez okno. Faktycznie - gdzieś w środku naszej słownej potyczki taksówkarz odłożył książkę na bok i kontynuował jazdę, a teraz miał zaraz skrócić w Crown Office Rowe w dzielnicy Tempie, gdzie mieściła się kwatery główna tajnego stowarzyszenia Strażników. Chwilę później zatrzymał samochód na jednym z zarezerwowanych miejsc parkingowych obok lśniącego bentleya.

- Jest pan zupełnie pewien, że możemy tutaj stać?

- Wszystko w porządku - odrzekł Gideon i wysiadł. - Nie, Gwendolyn, ty zostaniesz w taksówce, a ja pójdę po pieniądze - powiedział, kiedy chciałam wysiąść za nim. - I pamiętaj: obojętnie, o co nas będą pytać, tylko ja mówię, a ty milczysz. Zaraz wracam.

- Licznik bije - rzucił mruklawie taksówkarz.

I on, i ja patrzyliśmy za Gideonem znikającym między szacownymi budynkami Tempie i dopiero teraz dotarło do mnie, że pozostałam tu jako zastaw.

- Państwo z teatru? - zapytał taksówkarz.

- Co proszę?

Cóż to za trzepoczący cień nad nami?

- Mam na myśli te zabawne kostiumy.

- Nie, z muzeum. - Z dachu auta dobiegały dziwne odgłosy drapania. Zupełnie jakby usiadł na nim jakiś ptak. Duży ptak. - Co to jest?

- Co takiego? - spytał taksówkarz.

- Wydaje mi się, że na samochodzie jest wrona czy jakiś inny ptak - powiedziałam z nadzieją.

Ale to, co przechyliło głowę z dachu i spojrzało do środka, oczywiście nie było żadną wroną. To był ten maty gargulec z Belgravii. Kiedy zobaczył moje przerażenie, jego kocią iwarz wykrzywił triumfująco uśmiezek i struga śliny poleciała na przednią szybę.

*Nic nie zatrzyma miłości: ni rygle, ni bramy.*

*Przez wszystko przejdzie. Początku nie ma, od zawsze bije skrzydłami i na wieki biła będzie.*

Matthias Claudius (1740-1815)

Zdziwiona, co? - zawołał mały gargulec. Odkąd wysiadłam z taksówki, zagadywał mnie bezustannie. - Kogoś takiego jak ja nie da się tak po prostu splawić. No dobrze, w porządku. Posłuchaj... - Obejrzałam się nerwowo na taksówkę.

Kierowcy powiedziałam, że muszę szybko wysiąść i zaczerpnąć powietrza, bo jest mi niedobrze, i teraz spoglądał na mnie nieufnie, dziwiąc się, dlaczego rozmawiam ze ścianą. Gideona wciąż nie było.

- Poza tym umiem latać. - Na dowód tego mały gargulec rozpostarł skrzydła. - Jak nietoperz. Szybciej niż wszystkie taksówki.

- Posłuchaj mnie wreszcie: to, że cię widzę, wcale jeszcze nie znaczy...

- Widzisz i słyszysz! - wpadł mi gargulec w słowo. - Wiesz, jaka to rzadkość? Ostatnią osobą, która mnie widziała i słyszała, była madame Tussaud, a ona niespecjalnie sobie ceniła moje towarzystwo. Najczęściej skrapiała mnie wodą święconą i modliła się. Biedaczka była dość wrażliwa. - Gargulec wyrócił oczami. - Wiesz przecież: za dużo ściętych głów...

Znowu wypłynął z siebie potok wody, wprost pod moje stopy.

- Przestań już!

- Przepraszam! To tylko te nerwy. Drobne wspomnienie czasów, kiedy byłem rynną.

Miałam niewielką nadzieję, że się go pozbędę, ale chciałam przynajmniej spróbować. Po dobroci. Schyliłam się więc do niego, aż nasze oczy znalazły się na tej samej wysokości.

- Na pewno jesteś miłym facetem, ale nie możesz zostać ze mną. Moje życie jest już dostatecznie skomplikowane i szczerze mówiąc, zupełnie wystarczą mi te duchy, które znam. Proszę cię więc, żebyś po prostu zniknął.

- Nie jestem duchem - odparł z urazą gargulec. - Jestem demonem. A raczej tym, co z demona pozostało.

- A jaka to różnica? - krzyknęłam w desperacji. - Nie powinnam widzieć ani duchów, ani demonów, zrozum to. Musisz wrócić do swojego kościoła.

- Jaka to różnica? No rzeczywiście! Duchy są zaledwie odbiciami zmarłych ludzi, którzy z jakiegoś powodu nie chcą opuścić tego świata. A ja byłem demonem, kiedy jeszcze żyłem. Nie możesz mnie wrzucać do jednego wora ze zwykłymi duchami. Poza tym to nie jest mój kościół. Lubię się tam tylko trochę pobyczyć.

Taksówkarz gapił się na mnie z szeroko rozdziawionymi ustami. Przez otwarte okno samochodu słyszał zapewne każde słowo - każde moje słowo.

Potarłam ręką czoło.

- Nieważne. W każdym razie nie możesz ze mną zostać.

- Czego się boisz? - Gargulec ufnie podszedł bliżej i przekrzywił głowę. - Dziś już nie pali się kobiety na stosie jak czarownicy tylko dlatego, że widzi i wie coś więcej niż zwykli ludzie.

- Ale dzisiaj ktoś, kto gada z duchami... och, i z demonami, ląduje w psychiatryku - powiedziałam. - Czy ty nie rozumiesz, że... - Przerwałam. To nie miało sensu. Po dobroci dalej nie zajadę. Zmarszczyłam czoło. - To, że mam pecha widzieć cię i słyszeć - powiedziałam tak szorstko, jak tylko umiałam - nie daje ci jeszcze prawa do mojego towarzystwa.

Na gargulcu moje przemówienie najwyraźniej nie zrobiło żadnego wrażenia.

- Ale tobie do mojego, szczęściaro...

- Mówiąc wprost: przeszkadzasz mi. A więc idź sobie, proszę - prychnęłam.

- Nie, nie pójdę. Potem byś tylko tego żałowała. Nawiasem mówiąc, twój amant wraca. - Ułożył wargi w dzióbek i zaczął głośno cmokać.

- Och, zamknij się. - Patrzyłam, jak Gideon długim krokiem mija zakręt. -1 odwał się wreszcie - wysyczałam, nie poruszając wargami, niczym brzuchomówczyni.

Oczywiście gargulca kompletnie to nie ruszyło.

- Nie tym tonem, młoda damo - rzekł rozbawiony. - Pamiętaj zawsze: jaką miarką mierzysz, taką ci odmierzą.

Gideon nie był sam, za nim ujrzałam zasapanego pana Geor-ge'a, który musiał biec, aby dotrzeć Gideonowi kroku. Już z daleka uśmiechał się do mnie promiennie.

Wyprostowałam się i wygładziłam suknię.

- Gwendolyn, dzięki Bogu - powiedział pan George, wycierając chusteczką pot z czoła. - Wszystko w porządku, moja panno?

- Ależ się zadyszał ten tłuszciosek - wtrącił gargulec.

- Wszystko idealnie, panie George. Mieliśmy tylko parę... eee... problemów...

Gideon, który dał taksówkarzowi kitka jednofuntowych banknotów, rzucił mi nad dachem samochodu ostrzegawcze spojrzenie.

- .. żeby zgrać się w czasie - dokończyłam, patrząc na taksówkarza, który kręcąc głową, wyprowadził auto z parkingu i odjechał.

- Tak, Gideon mówił już, że wystąpiły komplikacje. To niepojęte, gdzieś w systemie jest luka, musimy to gruntownie przeanalizować. I zapewne przemyśleć na nowo. Najważniejsze jednak, że

wam nic się nie stało. - Pan George podsunął mi ramię, co wyglądało trochę dziwnie, ponieważ był niemal o pół głowy niższy ode mnie. - Chodź, moja panno, jest jeszcze parę rzeczy do zrobienia.

- Właściwie chciałabym jak najszybciej pojechać do domu - powiedziałam.

Gargulec wspiał się na pion kanalizacyjny i powoli przesunął się po rynnie, śpiewając przy tym na całe gardło *Friends will be friends*.

- Och tak, z pewnością - rzekł pan George. - Ale dziś spędziłaś w przeszłości zaledwie trzy godziny. Aby mieć pewność do jutrzejszego popołudnia, musisz teraz jeszcze na parę godzin poddać się elapsji. Nie martw się, nic męczącego. Przytulna piwnica, gdzie będziesz mogła odrobić lekcje.

- Ale... mama na pewno już czeka i się niepokoi.

Poza tym dziś była środa, a to jest u nas w domu dzień kurczaka z różną z frytkami. Nie mówiąc o tym, że czekała tam wanna i moje łóżko! Żeby w takiej sytuacji obarczać mnie jeszcze odrabianiem lekcji, to byta właściwie bezczelność. Ktoś powinien mi po prostu napisać usprawiedliwienie. *Ponieważ Gwentlolyn ostatnio odbywa codziennie ważne misje w czasie, należy ją w przeszłości zwolnić z wszelkich zadań domowych.*

Gargulec wciąż głośno śpiewał i musiałam się dość mocno powstrzymać, żeby go nie poprawiać. Dzięki SingStar i popołudniowym karaoke u mojej przyjaciółki Leslie świetnie znałam różne teksty, także zespołu Queen, i dobrze wiedziałam, że w tej piosence nie występuje żaden ogórek.

- Dwie godziny wystarczą - odezwał się Gideon, który znowu stawiał tak długie kroki, że ledwie nadążaliśmy za nim z panem George'em. - Potem może jechać do domu i się wyspać.

Nie znosiłam, kiedy w mojej obecności mówiono o mnie w trzeciej osobie.

- Tak, i już się nie może tego doczekać - parsknęłam. - Bo rzeczywiście jest bardzo zmęczona.

- Zadzwonimy do twojej mamy i wytłumaczymy jej, że zostaniesz odwieziona do domu najpóźniej o dziesiątej - powiedział pan George.

O dziesiątej? Zegnaj, kurczaku z różną. Założę się, że moja porcja dużo wcześniej padnie ofiarą mojego żarłocznego młodszego brata.

- *When you're through with life and all hope is lost* - śpiewał gargulec.

Zsuwał się po ceglanej ścianie, na wpeł fruńąc, na wpeł schodząc, by na koniec wdzięcznie wylądować obok mnie na chodniku.

- Powiemy, że masz jeszcze lekcje - rzekł pan George, bardziej do siebie niż do mnie. - O swojej wycieczce do roku 1912 może nie powinnaś nic mówić, bo ona myślała, że poddasz się elapsji do 1956 roku.

Dotarliśmy przed kwaterę główną Strażników. Stąd od wieków kontrolowano podróże w czasie. Rodzina de Villiers wywodziła się podobno wprost od hrabiego de Saint Germain, jednego z najświetniejszych podróżników w czasie w linii męskiej. Natomiast my, ród Montrose, tworzyliśmy linię żeńską, co dla rodu de Villiers zdawało się znaczyć tyle, że tak naprawdę się nie liczymy.

To hrabia de Saint Germain był tym, który wynalazł kontrolowane podróże w czasie za pomocą chronografu, i on wydał ten bezsensowny rozkaz, by wszyscy podróżnicy w czasie zostali koniecznie wczytani do chronografu.

Obecnie brakowało już tylko Lucy, Paula, lady Tilney i jeszcze jednej niuni, jakiejś damy dworu, której imienia nigdy nie mogłam zapamiętać. Musieliśmy więc zdobyć po parę mililitrów ich krwi.

Podstawowe pytanie brzmiało teraz: co się stanie, kiedy cała dwunastka podróżników w czasie zostanie już wczytana do chronografu i krąg się zamknie? Najwyraźniej nikt tego dokładnie nie wiedział. W ogóle, gdy rozmowa schodziła na hrabiego, Strażnicy zachowywali się jak najbardziej bezwolne lemingi. Ślepe uwielbienie to przy tym pikuś!

Mnie natomiast na myśl o tym całym de Saint Germainie dosłownie ścisnęło w gardle, ponieważ moje jedyne spotkanie z nim w przeszłości było bardzo, ale to bardzo nieprzyjemne.

Pan George, sapiąc, wdrapywał się przede mną na schody. Jego okrągła postać miała w sobie, jak zawsze, coś pocieszającego. W każdym razie był wśród tej zgrai chyba jedyną osobą, której odrobinę ufałam. Pomijając Gideona... chociaż nie, zaufaniem tego nazwać nie można.

Budynek kwatery głównej pozornie nie różnił się od innych domów w wąskich zaułkach wokół kościoła w Tempie, gdzie znajdowały się przeważnie kancelarie adwokackie i gabinety wykładowców z Instytutu Nauk Prawnych. Ja jednak wiedziałam, że kwatera jest dużo większa i znacznie mniej skromna, niż wydawała się z zewnątrz, i że rozciąga się przede wszystkim pod ziemią, na ogromnej powierzchni.

Tuż przed drzwiami Gideon przytrzymał mnie.

- Powiedziałem, że jesteś okropnie przerażona - syknął - więc jeśli chcesz dziś wcześniej wrócić do domu, gap się trochę głupkowato.

- Myślałam, że cały czas to robię - mruknęłam.

- Czekają na was w Smoczej Sali - sapnął pan George. - Idźcie przodem, ja jeszcze każę pani Jenkins przynieść coś do jedzenia. Pewnie jesteście głodni. Jakies szczególne życzenia?

Zanim zdążyłam wyrazić swoje życzenia, Gideon złapał mnie za rękę i szarpnął, bym szła dalej.

- Jak najwięcej wszystkiego - zdążyłam zawołać, odwracając się przez ramię w kierunku pana George'a, nim Gideon wciągnął mnie do kolejnego korytarza.

Co chwilę potykałam się o moją długą suknię. A gargulec leciutko podskakiwał obok nas.

- Uważam, że twój kochaś nie ma zbyt dobrych manier - odezwał się. - Zwykle w ten sposób ciągnie się kozę na targ.

- Nie pędź tak - powiedziałam do Gideona.

- Im szybciej będziemy to mieli za sobą, tym szybciej będziesz mogła wrócić do domu.

Czy w jego głosie zabrzmiała troska, czy też chciał się mnie po prostu pozbyć?

- Tak, ale... może też bym chciała uczestniczyć w rozmowie, nie pomyślałeś o tym? Mam całe mnóstwo pytań i po dziurki w nosie tego, że nikt nie udziela mi na nie odpowiedzi.

Gideon odrobinę zwolnił kroku.

- Dzisiaj tak czy owak nikt ci już nie udzieli żadnej odpowiedzi. Dziś będą tylko chcieli się dowiedzieć, jak mogło dojść do tego, że Lucy i Paul się na nas zaczaili. I niestety wciąż jesteś naszą główną podejrzaną.

To „naszą” boleśnie mnie zakłuło.

- Jestem jedyną osobą, która w ogóle nic o tym wszystkim nie wie!

Gideon westchnął.

- Przecież już próbowałam ci to wytłumaczyć. Teraz pewnie jesteś całkowicie nieświadoma i... niewinna, ale nikt nie wie, co zrobisz w przyszłości. Nie zapominaj, że także później będziesz mogła udać się w przeszłość i opowiedzieć Lucy i Paulowi o naszej wizycie. - Przerwał. - To znaczy... mogłabyś opowiedzieć.

Wywróciłam oczami.

- I ty też to samo! A w ogóle dlaczego musi to być ktoś z nas? Czy Margaret Tilney sama nie mogła pozostawić wiadomości? Albo Strażnicy? Każdemu z podróżników w czasie mogli dać list, z dowolnej epoki do jakiegokolwiek innej.

- He? - odezwał się gargulec, który teraz leciał nad nami. - Czy ktoś mi tu może wytłumaczyć, o czym mowa? Nic nie kumam.

- Z pewnością jest kilka możliwych wyjaśnień - powiedział Gideon i zwolnił jeszcze bardziej.

- Ale wydawało mi się, że Lucy i Paul dzisiaj... jak by to powiedzieć... zrobili na tobie wrażenie.

Zatrzymał się, puścił moje ramię i spojrzał na mnie z powagą.

- Gdyby mnie przy tym nie było, porozmawiałabyś z nimi, wysłuchałabyś ich kłamliwych historii, a może nawet dobrowolnie dałabyś swoją krew do skradzionego chronografu.

- Nie, nie dałabym - zaprzeczyłam. - Ale naprawdę chętnie bym posłuchała, co mają nam do powiedzenia. Nie zrobili na mnie wrażenia złych.

Gideon skinął głową.

- Widzisz, o to mi właśnie chodzi, Gwendolyn. Ci ludzie zamierzają zniszczyć tajemnicę, którą chroniono przez setki lat. Chcą zabrać coś, co im się nie należy. A do tego potrzebują jeszcze tylko naszej krwi. Nie sądzę, by cofnęli się przed czymkolwiek, żeby ją dostać. - Odgarnął sobie z twarzy kosmyk ciemnych kręconych włosów, a ja aż wstrzymałam oddech.

O, Boże, jaki on jest śliczny! Te zielone oczy, ta pięknie wygięta linia ust, ta blada cera - wszystko w nim było po prostu doskonałe. Poza tym pachniał tak ładnie, że przez sekundę miałam ochotę położyć mu głowę na piersi. Ale oczywiście tego nie zrobiłam.

- Może już zapomniałeś, że my też chcieliśmy ich krwi? I to ty przyłożyłeś Lucy pistolet do głowy, a nie na odwrót - powiedziałam. - Ona nie miała broni.

Między brwiami Gideona pojawiła się zmarszczka gniewu.

- Gwendolyn, proszę, nie bądź taka naiwna. Tak czy owak zostaliśmy zwabieni w pułapkę. Lucy i Paul mieli uzbrojone posiłki, było co najmniej czworo na jednego.

- Na dwoje! - zawołałam. - Jeszcze ja tam byłam!

- Pięcioro, wliczając lady Tilney. Gdyby nie mój pistolet, pewnie byśmy już nie żyli. A w każdym razie mogliby nam pobrać krew przemocą, bo właśnie po to przyszli. I ty chciałaś z nimi rozmawiać? Zagryzłam wargę.

- Halo! - odezwał się gargulec. - A może pomyślicie też o mnie? Bo ja się już całkiem pogubiłem.

- Rozumiem, że jesteś oszołomiona - powiedział Gideon znacznie łagodniej, ale z wyraźną wyższością w głosie. - W ciągu ostatnich dni po prostu zbyt wiele zobaczyłaś i usłyszałaś. Byłaś kompletnie nieprzygotowana. Jak miałabyś zrozumieć, o co tu chodzi? Powinnaś iść do domu się przespać. Pozwól mi więc teraz szybko to załatwić. - Znowu złapał mnie za ramię i pociągnął do przodu. - Ja będę mówił, a ty potwierdzisz moje słowa, dobrze?



- Dobrze. Powtarzasz to już co najmniej dwudziesty raz - odrzekłam zirytowana i zaryłam nogami w podłogę przed mosiężną tabliczką z napisem *Ladys*. - Możecie na razie zacząć beze mnie, ponieważ od czerwca 1912 roku chce mi się do toalety.

Gideon puścił mnie.

- Trafisz sama na górę?

- Oczywiście - potwierdziłam, choć nie byłam całkiem pewna, czy mogę się zdać na mój zmysł orientacji, bo ten dom miał zbyt wiele korytarzy, schodów, załomów i drzwi.

- Bardzo dobrze. Tego fajtlapę mamy na razie z głowy - powiedział gargulec. - Teraz w spokoju możesz mi wyjaśnić, o co tu właściwie chodzi!

Poczekalam, aż Gideon zniknie za najbliższym rogiem, potem otworzyłam drzwi do toalety i wyszczerzyłam zęby do gargulca.

- No chodź, włącz tutaj!

Co proszę? - Gargulec spojrział na mnie obrażony. - Do kibelka? No nie, to już jest dla mnie...

- Mam w nosie, co to dla ciebie jest. Nie ma zbyt wielu miejsc, w których można spokojnie porozmawiać z demonami, ;i ja nie chcę ryzykować, że nas ktoś usłyszy. Chodź!

Gargulec zatkał sobie nos i niechętnie wszedł za mną do toalety. Unosił się w niej tylko słaby zapach środków dezynfekcyjnych i cytryny. Rzuciłam okiem na kabinę. Nikogo nie było.

- A teraz posłuchaj. Wiem, że prawdopodobnie nie pozbędę się ciebie tak szybko, ale jeśli chcesz zostać ze mną, musisz przestrzegać paru zasad, czy to jest jasne?

- Nie dłubać w nosie, nie używać nieprzyzwoitych wyrazów, nie straszyć psów... - wyrecytował gargulec.

- Co? Nie, ja chcę, żebyś uszanował moją prywatność. Chcę być sama nocą i w łazience, i gdyby ktoś się ze mną jeszcze kiedyś całował - w tym miejscu musiałam przełknąć ślinę - nie życzę sobie mieć żadnych widzów, czy to jasne?

- Tsss - syknął gargulec. - I to padło z ust kogoś, kto mnie wciągnął do kibelka?

- Czyli co, rozumiemy się? Uszanujesz moją prywatność?

- W żadnym wypadku nie chcę ci się przyglądać, jak bierzesz prysznic albo... fuj, nigdy w życiu... jak się całujesz - odparł z naciskiem gargulec. - Tego naprawdę nie musisz się bać. A przyglądanie się ludziom w czasie snu też wydaje mi się w zasadzie raczej nudne. To pochrapywanie i ślinienie się... o innych rzeczach wolę nawet nie wspominać.

- Poza tym masz się nie wtrącać, kiedy jestem w szkole albo z kimś rozmawiam. I proszę cię: jeśli już musisz śpiewać, to wtedy, kiedy mnie przy tym nie ma.

- Umiem nieźle naśladować trąbkę - powiedział gargulec. - Albo róg pocztowy. Masz psa?

- Nie!

Odetchnęłam głęboko. Do tego typka będę potrzebowała nerwów mocnych jak stalowe liny.

- A nie mogłabyś sobie kupić? Od biedy mógłby być i kot, ale one są zawsze takie aroganckie i nie da się ich tak fajnie drażnić. Niektóre ptaki też mnie widzą. Masz ptaka?

- Moja babka nie znosi zwierząt domowych - oznajmiłam, tłumiąc w sobie chęć dodania, że pewnie miałyby też coś przeciw niewidzialnym zwierzętom domowym. - No dobra, zacznijmy jeszcze raz od samego początku: nazywam się Gwendolyn Shepherd. Miło mi cię poznać.

- Xemerius - przedstawił się gargulec i uśmiechnął się od ucha do ucha. - Bardzo mi miło. - Wdrapał się na umywalkę i spojrział mi głęboko w oczy. - Naprawdę! Bardzo, bardzo miło! Kupisz mi kota?

- Nie. A teraz idź stąd, mnie się naprawdę chce siku.

- Błee!

Potykając się, Xemerius pospiesznie wypadł przez drzwi, nie otwierając ich, i usłyszałam go na zewnątrz w korytarzu, jak znowu zaczyna śpiewać *Friends will befriends*.

Zostałam w toalecie znacznie dłużej, niż to było konieczne. Dokładnie umyłam ręce i obficie spryskałam twarz zimną wodą w nadziei, że odzyskam jasność myślenia. Ale nie udało mi się w ten sposób zatrzymać pędzącej karuzeli myśli. Moje włosy wyglądały tak, jakby wrony urządziły sobie w nich gniazdo, spróbowałam je więc trochę wygładzić palcami i dodać sobie otuchy. Tak jak zrobiłaby to moja przyjaciółka Leslie.

- Jeszcze tylko parę godzin i będziesz to miała za sobą, (iwendolyn. Hej, a jak na to, że jesteś potwornie zmęczona i głodna, wcale tak źle nie wyglądasz.

Moje lustrzane odbicie patrzyło na mnie z wyrzutem dużymi, ciemnymi, podkrążonymi oczami.

- No dobra, to było kłamstwo - przyznałam. - Wyglądasz okropnie. Ale w sumie zdarzało ci się już wyglądać gorzej. Na przykład wtedy, kiedy miałaś wietrzną ospę. Głowa do góry! Dasz radę!

Na korytarzu Xemerius zwiesił się z żyrandola głową w dół, jak nietoperz.

- Trochę tu upiornie - oznajmił. - Właśnie przechodził tędy jednoreki templariusz. Znasz go?

- Nie - odpowiedziałam. - Dzięki Bogu nie. Chodź, musimy pójść tędy.

- Wyjaśnisz mi, o co chodzi z tymi podróżami w czasie?

- Sama tego nie rozumiem.

- Kupisz mi kota?

- Nie.

- Ale ja wiem, gdzie można je dostać za darmo. Och, hej, w tej rycerskiej zbroi jest człowiek.

Zerknęłam na zbroję. Rzeczywiście odniosłam wrażenie, że za zamkniętą przyłbicą jarzy się para oczu. To była ta sama figura rycerza, którą jeszcze wczoraj beztrąsko poklepałam po ramieniu, oczywiście wierząc, że to tylko ozdoba.

Wczoraj... wydawało mi się, że to było całe lata temu.

Przed drzwiami do Smoczej Sali natknęłam się na panią Jen-kins, sekretarkę. Niosła przed sobą tacę i była wdzięczna, że przytrzymałam jej drzwi. Na razie tylko herbata i ciasteczka, skarbieńku - powiedziała z przeproszającym uśmiechem. - Pani Mallory już dawno poszła do domu, a ja muszę zobaczyć w kuchni, co mogę wam zrobić do jedzenia, moje głodne dzieciaczki.

Kiwnęłam uprzejmie głową, ale byłam pewna, że gdyby się ktoś postarał, mógłby usłyszeć, jak mój żołądek burczy: „Po prostu zadzwoń do Chińczyka!”.

W środku czekali już na nas: wuj Gideona, Falk, który ze swymi bursztynowymi oczami i grzywą siwych włosów zawsze przypominał mi wilka, sztywny, łypiący ponuro doktor White w swoim nieodłącznym czarnym garniturze i - ku mojemu zaskoczeniu - także mój nauczyciel angielskiego i historii, pan Whitman, zwany Wiewiórką. Od razu poczułam się w dwójnasób nieswojo i zaczęłam nerwowo skubać jasnoniebieską wstążkę przy sukni. Jeszcze dziś rano pan Whitman nakrył mnie i moją przyjaciółkę Leslie na wagarach i palnął nam kazanie. Poza tym skonfiskował wszystkie efekty śledztwa Leslie. Do tej pory podejrzewałyśmy tylko, że należy do Strażników z Kręgu Wewnętrznego, ale niniejszym zostało to chyba oficjalnie potwierdzone.

- Jesteś, Gwendolyn - powiedział Falk de Villiers przyjaźnie, lecz bez uśmiechu.

Wyglądał, jakby przydało mu się golenie, ale być może należał do tych mężczyzn, którzy goli się rano, a wieczorem mają już trzydniowy zarost. Możliwe, że była to wina ciemnych plam zarostu wokół ust, w każdym razie sprawiał wrażenie znacznie bardziej spiętego i poważnego niż wczoraj albo nawet jeszcze dziś w południe. Zdenerwowany wilk przewodnik.

Pan Whitman mrugnął do mnie, a doktor White burknął coś pod nosem, ale wyłowiłam słowa „kobiety” i „punktualność”.

()bok doktora White'a stał wciąż ten mały jasnowłosy duch młody Robert, który jako jedyny najwyraźniej ucieszył się na mój widok, bo uśmiechnął się do mnie promiennie. Robert był synem doktora White'a. W wieku siedmiu lat utopił się w basenie i od tej pory towarzyszył swojemu ojcu krok w krok jako duch. Poza mną naturalnie nikt go nie widział, a ponieważ doktor White był przez cały czas obecny, nie mogłam dotąd przeprowadzić z Robertem sensownej rozmowy, na przykład po to, by się dowiedzieć, dlaczego wciąż jeszcze straszy na ziemi jako duch.

Gideon stał ze skrzyżowanymi rękami, oparty o jedną ze ścian pokrytych kunsztownie rzeźbionym drewnem. Jego wzrok omiół mnie pobieżnie, a potem zatrzymał się na tacy z ciasteczkami, którą wniosła pani Jenkins. Miałam nadzieję, że burczy mu w żołądku równie głośno jak mnie.

Xemerius wśliznął się do pomieszczenia jeszcze przede mną i rozejrzał się z uznaniem.

- Jasna cholera - powiedział. - Niezła miejscówka.

Przespacerował się raz dookoła, podziwiając kunsztowne rzeźbienia, na które ja też nie mogłam się wprost napatrzeć. Szczególnie zachwyciła mnie syrena pływająca nad sofą. Każda łuska była starannie wycyzelowana, a płetwy lśniły wszystkimi odcieniami błękitu i turkus. Swoją nazwę sala zawdzięczała jednak ogromnemu smokowi, który wił się pomiędzy żyrandolami pod wysoko zawieszonym sufitem i wyglądał tak naturalnie, jakby w każdej chwili mógł rozłożyć skrzydła i po prostu sobie odlecieć.

Na widok Xemeriusa chłopiec duch otworzył szeroko oczy ze zdziwienia i schował się za nogą doktora White'a.

Miałam ochotę mu powiedzieć: „On ci nic nie robi, chce się tylko pobawić” (w nadziei, że to prawda), ale rozmowa z duchem o demonie, gdy w pomieszczeniu jest pełno ludzi, którzy nie widzą ani jednego, ani drugiego, nie byłaby zbyt rozsądna.

- Zobaczą, czy w kuchni znajdzie się coś jeszcze do jedzenia - powiedziała pani Jenkins.

- Przecież już dawno powinna była pani skończyć pracę - rzekł Falk de Villiers. - Ostatnio za dużo pracuje pani po godzinach.

- Tak, niech pani idzie do domu - rozkazał jej opryskliwie doktor White. - Nikt tu nie umrze z głodu.

Ależ tak, ja! I byłam pewna, że Gideon myśli dokładnie tak samo. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, uśmiechnął się.

- Ale ciasteczka to nie jest coś, co uchodzi za zdrową kolację dla dzieci - zauważyła pani Jenkins, choć zrobiła to bardzo cicho.

Oczywiście Gideon i ja nie byliśmy już dziećmi, ale mimo to porządny posiłek chyba nam się należał. Szkoda, że jedyną osobą, która podzielała moje zdanie, była pani Jenkins, bo ona niestety nie miała tu zbyt wiele do powiedzenia. W drzwiach zderzyła się z panem George'em, który wciąż jeszcze nie mógł złapać tchu, a poza tym taszczył dwa duże, oprawione w skórę foliały.

- Ach, pani Jenkins, wielkie dzięki za herbatę - odezwał się.

- Proszę już skończyć pracę i zamknąć biuro.

Pani Jenkins skrzywiła się wprawdzie z dezaprobatą, ale odpowiedziała uprzejmie:

- A zatem do widzenia. Będę jutro rano.

Pan George z głośnym sapnięciem zamknął za nią drzwi i położył na stole grube księgi.

- No to jestem. Możemy zaczynać. W gronie czterech członków Kręgu Wewnętrznego nie wolno nam podejmować uchwał, ale jutro będziemy niemal w komplecie. Sinclair i Hawkins, tak jak się spodziewaliśmy, są zajęci, ale obaj przekazali mi swoje prawo głosu. Dzisiaj chodzi tylko o to, aby z grubsza określić kierunek marszu.

- Najlepiej usiądźmy. - Falk wskazał na krzesła, które stały wokół stołu pod rzeźbionym smokiem, i każdy wybrał sobie miejsce.

Gideon przewiesił swój surdut przez oparcie krzesła po przekątnej naprzeciwko mnie i podwinął rękawy koszuli.

- Powiem to raz jeszcze: Gwendolyn nie powinno być przy tej rozmowie. Jest zmęczona i mocno wystraszona. Najlepiej, by poddała się elapsji, a potem ktoś odwiózł ją do domu.

A przedtem, proszę, niech mi ktoś zamówi pizzę z dodatkowym serem.

- Bez obaw, Gwendolyn opowie nam tylko krótko o swoich wrażeniach - powiedział pan George. - A potem sam zaprowadzę ją na dół do chronografu. Właściwie nie sprawia na mnie wrażenia szczególnie wystraszonej - mruknął ubrany na czarno doktor White.

Robert, chłopiec-duch, stał za oparciem jego krzesła i spoglądał z ciekawym wzrokiem na sofę, na której rozwalił się Xemerius.

- A co to za dynks? - spytał mnie. Oczywiście nic nie odpowiedziałam.

- Nie jestem żaden dynks. Jestem bliskim przyjacielem Gwendolyn - odrzekł zamiast mnie Xemerius i wystawił do niego język. - O ile nie najbliższym. Kupi mi psa.

Obrzuciłam sofę surowym spojrzeniem.

- Stała się rzecz niewiarygodna - mówił tymczasem Falk. - Kiedy Gideon i Gwendolyn odnaleźli lady Tilney, już na nich czekali. Wszyscy tu obecni mogą zaświadczyć, że datę i godzinę wizyty ustaliliśmy zupełnie przypadkowo. A jednak Lucy i Paul już na nich czekali. To nie mógł być zbieg okoliczności.

- To znaczy, że ktoś musiał im opowiedzieć o tym spotkaniu - rzeki pan George, wertując jedną z ksiąg. - Pytanie tylko kto.

- Raczej kiedy - wtrącił doktor White, patrząc na mnie.

- I w jakim celu - dodałam. Gideon natychmiast zmarszczył czoło.

- Cel widać jak na dłoni. Potrzebują naszej krwi, żeby móc ją wczytać do skradzionego chronografu. Dlatego przyprowadzili ze sobą posiłki.

- W *Kronikach* nie ma ani słowa o waszej wizycie - powiedział pan George. - Mieliście kontakt co najmniej z trzema Strażnikami, nie mówiąc o tych strażach, które są rozmieszczone przy schodach. Pamiętacie ich imiona?

- Przyjął nas osobiście pierwszy sekretarz. - Gideon odgarnął sobie lok z czoła. - Burghes albo coś w tym stylu. Powiedział, że bracia Jonathan i Timothy de Villiers są oczekiwani wczesnym wieczorem na elapsji, natomiast lady Tilney poddała się już elapsji z samego rana. Mężczyzna o nazwisku Winsley zawiózł nas dorożką do Belgravii. Miał tam na nas czekać przed drzwiami, ale kiedy wyszliśmy z budynku, dorożki nie było. Musieliśmy uciekać pieszo i w ukryciu czekać na przeskok w czasie.

Czułam, jak się rumienię, przywołując w pamięci nasz pobyt w ukryciu. Pospiesznie sięgnęłam po ciasteczko, pozwalając, by włosy opadły mi na twarz.

- Raport tego dnia został sporządzony przez jednego ze Strażników z Kręgu Wewnętrznego, niejakiego Franka Mine'a. Składa się zaledwie z kilku linijek, trochę o pogodzie, potem o marszu protestacyjnym sufrażystek w City i o tym, że lady Tilney pojawiła się punktualnie, by poddać się elapsji. Żadnych szczególnych wydarzeń. O bliźniakach de Villiers nie wspomniano, ale w tamtych latach oni również byli członkami Kręgu Wewnętrznego. - Pan George westchnął i zamknął księgę. - Bardzo dziwne. To wszystko przemawia raczej za spiskiem we własnych szeregach.

- I pozostaje najważniejsze pytanie: skąd Lucy i Paul mogli wiedzieć, że wy oboje tego dnia, o tej godzinie pojawicie się u lady Tilney? - powiedział pan Whitman.

- Uff - odezwał się z sofy Xemerius - trochę dużo nazwisk, w głowie się może zakręcić.

- Wytlumaczenie widać jak na dłoni - rzekł doktor White, a jego spojrzenie znowu spoczęło na mnie.

Wszyscy w zamyśleniu, posępnie, gapili się przed siebie, łącznie ze mną. Nic nie zrobiłam, ale najwyraźniej oni wychodzili z założenia, że kiedyś w przyszłości - nie wiadomo dlaczego - odczuję potrzebę wyjawienia Lucy i Paulowi, kiedy zamierzamy odwiedzić lady Tilney.

To wszystko było okropnie pogmatwane i im dłużej nad tym rozmyślałam, tym bardziej wydawało mi się to nielogiczne.

I nagle poczułam się bardzo samotna.

- A cóż to za wariaci? - parsknął Xemerius i zeskoczył z sofy, aby zwiesić się głową w dół z jednego z potężnych żyrandoli. - Podróże w czasie, co? Tacy jak ja trochę już przeżyli, ale nawet dla mnie to jest kompletna nowość.

- Jednego nie rozumiem - odezwała się. - Dlaczego pan się spodziewał, że w *Kronikach* będzie napisane coś o naszej wizycie, panie George? To znaczy gdyby tam było coś napisane, przecież zobaczyłby pan to już wcześniej i wiedziałby pan, że tego dnia się tam udamy oraz co nas spotka. Jak to było w tym filmie z Ashtonem Kutcherem? Za każdym razem gdy jeden z nas wraca z przeszłości, zmienia się cała przyszłość?

- To ciekawe i bardzo filozoficzne pytanie, Gwendolyn - powiedział pan Whitman, jakbyśmy byli na lekcji. - Nie znam wprawdzie filmu, o którym mówisz, ale rzeczywiście, zgodnie z zasadami logiki, nawet najmniejsza zmiana w przeszłości ma gigantyczny wpływ na przyszłość. Jest takie krótkie opowiadanie Raya Bradbury'ego, w którym...

- Może przełożymy tę filozoficzną dyskusję na jakąś inną okazję - wpadł mu w słowo Falk. - Teraz chętnie usłyszałbym o szczegółach zasadzki w domu lady Tilney i o tym, jak wam udało się uciec.

Spojrzałam na Gideona. No, niech teraz zaserwuje swoją wersję bez pistoletu. Wzięłam jeszcze jedno ciasteczko.

- Mieliśmy szczęście - rzekł Gideon, wypowiadając słowa równie spokojnie jak przedtem. - Natychmiast spostrzegłem, że coś jest nie tak. Lady Tilney na nasz widok wcale nie wydawała się zaskoczona. Kiedy pojawili się Paul i Lucy, a lokaj ustawił się w drzwiach, ja i Gwendolyn uciekliśmy przez sąsiedni pokój i schody dla służby. Dorożka znikła, więc pobiegliśmy przed siebie.

Kłamstwa najwidoczniej nie przychodziły mu ze szczególnym trudem. Zero zdradzieckiego rumieńca, zero trzepotania powiek i uciekania wzrokiem, ani śladu niepewności w głosie.

Mimo to stwierdziłam, że w jego wersji brakuje tego czegoś, co uczyniłoby ją prawdopodobną.

- To dziwne - zauważył doktor White. - Gdyby zasadzka została porządnie zaplanowana, byłiby uzbrojeni i zadbaliby o to, żebyście nie mogli uciec.

- W głowie zaczyna mi się kręcić - odezwał się z sofy Xemerius. - Nienawidzę tych skomplikowanych form czasownikowych i tego całego trybu warunkowego.

Spojrzałam wyczekująco na Gideona. Jeśli zamierza! upierać się przy swojej wersji bez pistoletu, musiał teraz coś wymyślić.

- Sądzę, że ich po prostu zaskoczyliśmy - wyjaśnił Gideon.

- Hm - mruknął Falk.

Także miny pozostałych świadczyły o tym, że nie są do końca przekonani. Nic dziwnego! Gideon to schrzanił! Jak się już kłamie, to trzeba to podbudować zagmatwanymi detalami, które nikogo nie interesują.

- Strasznie szybko biegliliśmy - wtrąciłam pospiesznie. - Schody dla służby najwyraźniej były świeżo wywoskowane, o mało się nie wywaliłam, właściwie bardziej zjechałam po tych schodach, niż po nich zesłam. Gdybym się nie przytrzymała poręczy, leżałabym teraz ze skrzywionym karkiem w 1912 roku. A co się właściwie dzieje, jak człowiek umrze w trakcie podróży w czasie? Czy martwe ciało samo z siebie wraca do swoich czasów? No, ale mieliśmy szczęście, że drzwi na dole były otwarte, bo akurat weszła służąca z koszykiem. Taka gruba blondynka. Myślałam już, że Gideon na nią wpadnie, miała w koszyku jaja, zrobiłby się straszliwy bałagan. Ale minęliśmy ją i ile sił w nogach pognaliśmy ulicą. Mam pęcherz na palcu.

Gideon odchylił się do tyłu na krześle i skrzyżował ręce na piersi. Nie potrafiłam zinterpretować jego spojrzenia, ale nie zauważyłam w nim uznania, nie mówiąc o wdzięczności.

- Następnym razem włożę adidasy - rzuciłam pośród ogólnego milczenia.

Potem wzięłam jeszcze jedno ciasteczko. Poza mną najwyraźniej nikomu nie chciało się jeść.

- Mam pewną teorię - zaczął powoli pan Whitman, bawiąc się sygnetem na prawej dłoni. - I im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że się nie mylę. Jeśli...

- Mam wrażenie, że powoli wychodzę na głupka - przerwał mu Gideon - bo już tyle razy to powtarzałem. Ale jej nie powinno być przy tej rozmowie.

Poczułam, jak ukłucie w moim sercu przeistacza się w coś gorszego. Już nie byłam zraniona - byłam wściekła.

- On ma rację - zgodził się doktor White. - To czysta lekkomyślność pozwolić jej uczestniczyć w naszych rozważaniach.

- Ale przecież jesteśmy też zdani na to, co zapamiętała - zauważył pan George. - Jej każda, choćby najdrobniejsza uwaga na temat ubioru, słowa i wyglądu może dostarczyć nam wskazówek co do czasu, w jakim przebywają Paul i Lucy.

- Jutro i pojutrze też będzie to pamiętała - powiedział Falk de Villiers. - Myślę, że faktycznie najlepiej będzie, jeśli zejdiesz z nią teraz na dół, Thomasie, by poddała się elapsji.

Pan George w milczeniu skrzyżował ręce na swoim wydatnym brzuchu.

- Pójdę z Gwendolyn do... do chronografu i będę czuwał nad jej przeskokiem w czasie. - Pan Whitman wstał, odsuwając krzesło.

- Dobrze - rzekł Falk. - Dwie godziny to więcej niż dość. Na jej powrót może poczekać jeden z adeptów, ciebie potrzebujemy tu na górze.

Spojrzałam pytająco na pana George'a. Zrezygnowany wzruszył tylko ramionami.

- Chodź, Gwendolyn. - Pan Whitman już na mnie czekał. -I m szybciej będziesz to miała za sobą, tym wcześniej pójdziesz do łóżka, a wtedy jutro w szkole przynajmniej będziesz mogła uważać. Nawiasem mówiąc, bardzo jestem ciekaw twojego wypracowania o Szekspirze.

Mój Boże. Ten to ma nerwy. Teraz gadać o Szekspirze to już naprawdę szczyt.

Zastanawiałam się przez chwilę, czy może powinnam zaprotestować, ale potem zdecydowałam, że nie. W gruncie rzeczy nie miałam ochoty dalej śledzić tej idiotycznej gadaniny. Chciałam wrócić do domu i po prostu zapomnieć o tej całej historii z podróżowaniem w czasie, z Gideonem włącznie. Niech oni sobie tutaj, w tej kretyńskiej sali, wałkują te swoje tajemnice, aż padną z wyczerpania. Szczególnie życzyłam tego Gideonowi. A także późniejszych koszmarów sennych, które powinny mu naprawdę dopieć!

Xemerius miał rację: oni wszyscy byli wariatami.

Głupie było tylko to, że mimo wszystko musiałam zerkać na Gideona i myślałam sobie przy tym coś bezdennie głupiego: „Jeśli się teraz do mnie uśmiechnie, wybaczę mu wszystko”.

Oczywiście tego nie zrobił. Zamiast tego patrzył na mnie bez wyrazu i nie dało się odgadnąć, co chodzi mu po głowie. Na moment wizja tego, jak się całowaliśmy, stała się bardzo odległa i z jakiegoś powodu przypominał mi się dumny wierszyk, który zawsze serwowała nam Cynthia Dale, nasza wyrocznia w sprawach miłości: „Oczy zielone, natura żaby, miłości nie ma nawet aby, aby”.

- Dobranoc - powiedziałam z godnością.

- Dobranoc - mruknęli wszyscy. To znaczy wszyscy prócz Gideona.

- Niech pan nie zapomni zawiązać jej oczu, panie Whitman - rzekł.

Pan George sapnął ze złością. W czasie gdy pan Whitman otwierał drzwi i wypychał mnie na korytarz, usłyszałam, jak pan George mówi: „A czy choć raz pomyśleliście o tym, że takie wyłączenie jej może być przyczyną tego, że sprawy, które mają się zdarzyć, w ogóle się zdarzają?”.

Nie usłyszałam już, czy ktoś na to odpowiedział. Ciężkie drzwi zatrzęsły się, odcinając wszystkie glosy.

Xemerius drapał się po głowie koniuszkiem własnego ogona.

- To najbardziej rąbnięta ekipa, z jaką kiedykolwiek miałem do czynienia! - prychnął.

- Tylko nie bierz sobie tego do serca, Gwendolyn - odezwał się pan Whitman. Wyjął z marynarki czarną chustkę. - Jesteś po prostu nowa w tej grze. Wielka niewiadoma w tym równaniu.

I co miałam na to powiedzieć? Dla mnie to wszystko też było nowością. Trzy dni temu nie miałam pojęcia o istnieniu Strażników. Trzy dni temu moje życie było jeszcze zupełnie normalne. No, przynajmniej z grubsza.

- Panie Whitman, zanim zawiąże mi pan oczy... czy moglibyśmy wstąpić do pracowni madame Rossini i zabrać moje rzeczy? Zostawiłam tu już dwa szkolne mundurki, a potrzebuję na jutro czegoś do ubrania. I jest tu także moja szkolna torba.

- Oczywiście. - Idąc, pan Whitman wesoło wymachiwał chustką. - Możesz się też spokojnie przebrać w swój zwykły strój, bo w tej podróży w czasie na pewno nikogo nie spotkasz. Do którego roku mamy cię wysłać?

- Przecież to nie ma żadnego znaczenia, skoro i tak jestem zamknięta w piwnicy - zauważyłam.

- No tak, to musi być rok, w którym bez problemu wylądujesz... eee... w rzeczonyj piwnicy, najlepiej nie spotykając nikogo. W czasie wojny używano tego pomieszczenia jako schronu przeciwlotniczego, ale po 1945 roku nie powinno być już problemu. Może 1974? To jest rok, w którym się urodziłem, dobry rok. - Zaśmiał się. - Albo weźmy trzydziesty lipca 1966. Anglia pokonała wtedy Niemcy w finale Mistrzostw Świata. Ale piłka nożna niezbyt cię interesuje, prawda?

- Na pewno nie wtedy, kiedy jestem zamknięta w piwnicy bez okien, dwadzieścia metrów pod ziemią - powiedziałam znużona.

- Przecież wszystko po to, by cię chronić - zauważył.

- Chwila, chwila - zawołał Xemerius, latając wokół mnie. -Niestety, nie do końca chwytam. Czy to ma znaczyć, że ty teraz wsiądziesz do wehikułu czasu i udasz się w przeszłość?

- Właśnie - potwierdziłam.

- No to weźmy jednak rok 1948 - oznajmił pan Whitman. -Igrzyska Olimpijskie w Londynie.

Ponieważ poszedł przodem, nie mógł zobaczyć, jak wywracam oczami.

- Podróże w czasie! Ba! Ale sobie dziewczynę przygadałem - powiedział Xemerius i po raz pierwszy zdawało mi się, że w jego głosie słyszę coś w rodzaju szacunku.

\*

Pomieszczenie, w którym stał chronograf, znajdowało się głęboko pod ziemią i chociaż dotąd przyprowadzano mnie tutaj i odprowadzano z powrotem tylko z zawiązanymi oczami, uroiłam

sobie, że mniej więcej wiem, gdzie się znajduje. Choćby dlatego, że zarówno w 1912, jak i w 1782 roku udało mi się szczęśliwie wyjść z tego pomieszczenia bez opaski na oczach. Kiedy pan Whitman prowadził mnie ze szwalni madame Rossini przez korytarze i schody, droga wydawała mi się już znajoma, tylko na ostatnim odcinku miałam wrażenie, że pan Whitman specjalnie zrobił jeszcze jedną dodatkową pętlę, żeby mnie zmylić.

- Ten to potrafi trzymać w napięciu - rzekł Xemerius. - Dlaczego schowali wehikuł czasu w najciemniejszym kącie piwnicy?

Usłyszałam, jak pan Whitman z kimś rozmawia, potem ciężkie drzwi otworzyły się i znowu zatrzasnęły, a pan Whitman zdjął mi z oczu chustkę.

Zamrugałam, osłepiona światłem. Obok pana Whitmana stał młody rudowłosy mężczyzna w czarnym garniturze, zerkający odrobinę nerwowo i spocony ze strachu. Rozejrzałam się w poszukiwaniu Xemeriusa, który dla żartu wystawił głowę przez zamknięte drzwi, podczas gdy reszta jego ciała tkwiła w pomieszczeniu.

- To najgrubsze ściany, jakie kiedykolwiek widziałem - powiedział, cofając głowę do piwnicy. - Są tak grube, że mogliby w nich zamurować słonia, i to w poprzek, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Gwendolyn, to jest pan Marley, adept pierwszego stopnia - odezwał się pan Whitman. - Będzie tu czekał, aż wrócisz, i zaprowadzi cię z powrotem na górę. Panie Marley, to jest Gwendolyn Shepherd, rubin.

- To dla mnie zaszczyt, panienko. - Rudzielec skłonił się lekko.

Uśmiechnęłam się do niego zmieszana.

- Ehm... no... też mi miło.

Pan Whitman zaczął się dobierać do supernowoczesnego sejfu z migającym wyświetlaczem, którego nie zauważyłam w czasie obu ostatnich wizyt w tym pomieszczeniu. Był ukryty za ścienną makatą z wyhaftowanymi scenami baśniowymi, które wyglądały na średniowieczne. Rycerze na koniach, z piórami na hełmach, i dworki w szpiczastych czepcach i welonach najwyraźniej podziwiali półnagiętego młodzieńca, który właśnie pokonał smoka. Kiedy pan Whitman wprowadzał ciąg cyfr, rudzielec dyskretnie patrzył w podłogę, ale i tak nic nie można było zobaczyć, ponieważ pan Whitman swoimi szerokimi ramionami zasłonił wyświetlacz przed naszym wzrokiem. Kiedy drzwiczki sejfu otwarły się z lekkim świstem, pan Whitman wyjął chronograf, owinięty w czerwony aksamit, i postawił go na stole.

Zaskoczony pan Marley wstrzymał oddech.

- Pan Marley widzi dziś użycie chronografu po raz pierwszy - wyjaśnił pan Whitman i mrugnął do mnie. Ruchem brody wskazał leżącą na stole latarkę. - Weź ją na wypadek, gdyby był problem ze światłem elektrycznym. Żebyś nie musiała bać się w ciemnościach.

- Dziękuję. - Zastanowiłam się, czy nie powinnam czasem poprosić też o spray na owady, bo w takiej starej piwnicy na pewno było pełno pajaków... i szcurów? - Czy mogłabym też dostać pałkę?

- Pałkę? Gwendolyn, nie spotkasz tam nikogo.

- Ale może będą szczury...

- Szczury bardziej się ciebie boją niż na odwrót, wierz mi. - Pan Whitman odwinął chronograf. - Robi wrażenie, nieprawdaż, panie Marley?

- Tak, proszę pana, ogromne wrażenie. - Pan Marley z nabożnym lękiem patrzył na chronograf.

- Lizus! - parsknął Xemerius. - Każdy rudy to lizus, nie uważasz?

- Wyobrażałam sobie, że jest większy - powiedziałam. - I nie sądziłam, że wehikuł czasu aż tak bardzo przypomina zegar stojący.

Xemerius gwizdnął przez zęby.

- Ale kamyczki są całkiem tłuste. Jeśli są prawdziwe, też bym trzymał to coś w sejfie.

Rzeczywiście, chronograf był wysadzany imponująco dużymi kamieniami szlachetnymi, które połyskiwały między zamalowanymi i zapisanymi powierzchniami dziwnego aparatu niczym klejnoty koronne.

- Gwendolyn wybrała sobie rok 1948 - powiedział pan Whitman, otwierając klapki i uruchamiając maleńkie kółka zębate. - Co się wtedy działo w Londynie, wie pan, panie Marley?

- Letnie Igrzyska Olimpijskie - odrzekł pan Marley.

- Kujon - parsknął Xemerius. - Każdy rudy to kujon.

- Bardzo dobrze. - Pan Whitman się wyprostował. - Gwendolyn wylądowała dwunastego sierpnia o dwunastej w południe i pozostanie tam dokładnie sto dwadzieścia minut. Jesteś gotowa, Gwendolyn?

Przełknęłam ślinę.

- Chciałabym się jeszcze dowiedzieć... jest pan pewien, że nikogo tam nie spotkam? - Pomijając tym razem pajaki i szczury. - Pan George dał mi swój pierścień, żeby ktoś mi nie zrobił czegoś złego...

- Ostatnim razem wylądowałaś w archiwum, które we wszystkich epokach było pomieszczeniem dość często używanym. Ale len pokój jest pusty. Jeśli będziesz się zachowywać

cicho i z niego nie wyjdiesz, zresztą i tak będzie zamknięty na klucz, to z całą pewnością nie spotkasz nikogo. W latach powojennych tę część podziemi rzadko odwiedzano, w całym Londynie ludzie zajmowali się pracą na powierzchni. - Pan Whitman westchnął. - Ciekawe czasy...

- Ale jeśli ktoś przypadkowo akurat w tym momencie wejdzie tutaj i mnie zobaczy? Powinam przynajmniej znać hasło dnia.

Pan Whitman uniósł brwi, lekko poirytowany.

- Nikt tu nie wejdzie, Gwendolyn. Jeszcze raz: wylądujesz w zamkniętym pomieszczeniu, wytrzymasz sto dwadzieścia minut, wrócisz i nikt w roku 1948 tego nie zauważy. Gdyby miało być inaczej, twoja wizyta zostałaby odnotowana w *Kronikach*. Poza tym nie mamy teraz czasu sprawdzać, jak brzmiało hasło tamtego dnia.

- Liczy się udział - wtrącił nieśmiało pan Marley.

- Co takiego?

- Hasło w czasie olimpiady brzmiało: „Liczy się udział”. -Pan Marley spojrzał zmieszany w podłogę. - Zapamiętałem to, bo poza tym hasła są zawsze po łacinie.

Xemerius przewrócił oczami, a pan Whitman wyglądał, jakby miał ochotę zrobić to samo.

- Aha? No dobrze, Gwendolyn, słyszałaś. Nie żebyś tego potrzebowała, ale jeśli lepiej się z tym czujesz... Mogłabyś tutaj podejść?

Podeszłam do chronografu i podałam rękę panu Whitmano-wi. Xemerius z łopotem opadł obok mnie na podłogę.

- Co teraz? - spytał podekscytowany.

Teraz nastąpiła ta mniej przyjemna część. Pan Whitman otworzył jedną z kłapek chronografu i włożył do otworu mój palec wskazujący.

- Myślę, że po prostu się ciebie przytrzymam - oznajmił Xe-merius i jak małpka uczeplił się mojego karku.

Nie powinnam była tego czuć, ale miałam wrażenie, jakby ktoś owinął mi szyję mokrym szalem.

Pan Marley w napięciu otworzył szeroko oczy.

- Dziękuję za hasło - powiedziałam do niego i skrzywiłam się, kiedy ostra igła wbiła mi się głęboko w palec, a pomieszczenie wypełniła czerwona poświata.

Mocno ścisnęłam latarkę, kolory zawirowały mi przed oczami, kształty zaczęły się rozmazywać i poczułam szarpnięcie.

Z protokołów inkwizycyjnych ojca dominikanina Giana Pietra Baribiego Archiwa  
Biblioteki Uniwersyteckiej w Padwie

(rozszyfrowane, przełożone i opracowane przez doktora M. Giordana)

23 czerwca 1542, Florencja. Zaznajomiony przez przewodniczącego kongregacji z przypadkiem wymagającym najwyższej dyskrecji i delikatności, niezrównanym w swej kuriozalności.

Elisabetta,

najmłodsza córka M.<sup>\*</sup>, która od dziesięciu lat mieszka w całkowitym odosobnieniu za murami klasztoru, nosi w sobie prawdopodobnie sukkuba<sup>\*\*</sup>, świadczącego o miłosnym związku z szatanem. Rzeczywiście, podczas wizyty mogłem się przekonać o prawdopodobnej ciąży dziewczyny, jak i o dość pogmatwanym

stanie jej ducha. Podczas gdy przeorysza, która cieszy się moim pełnym zaufaniem i wydaje się kobietą zdrowego rozsądku, nie wyklucza naturalnego wyjaśnienia, podejrzenie o czary padło akurat ze strony ojca dziewczyny. Ponoć widział na własne oczy, jak szatan w ciele młodego mężczyzny obejmuje dziewczynę

w ogrodzie, a potem dematerializuje się w postaci obłoku dymu<sup>\*\*\*</sup>, pozostawiając lekki swąd siarki. Dwie inne uczennice klasztoru miały zaświadczyć, że wielokrotnie widziały szatana w towarzystwie Elisabetty i że ów dawał jej prezenty w postaci

drogocennych kamieni. I choć historia ta brzmi zupełnie nieprawdopodobnie, to z uwagi na bliski związek M. z R.M.<sup>\*\*\*\*</sup> i rozmaitymi przyjaciółmi w Watykanie z trudem przychodzi mi oficjalnie wątpić w jego zdrowy rozsądek i oskarżać jego córkę jedynie o nieczystość. Dlatego od jutra będę przesłuchiwać wszystkich, których to dotyczy.

<sup>\*</sup> Z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością można założyć, że chodzi tutaj o Giovanniego Alessandro, księcia Madrone (1502-1572), zob. także LAMORY, *Rody szlacheckie Włoch XVI wieku*, Bolonia 1997, s. 112 i n.

<sup>\*\*</sup> Tu: potomka o demonicznym pochodzeniu.

<sup>\*\*\*</sup> Obłok dymu i swąd siarki hrabia mógł wymyślić w celu uprawdopodobnienia swojej historii.

<sup>\*\*\*\*</sup> W przypadku R.M. może chodzić o jednego z potomków rodu Medyce-uszy, Rudolfa, który zasłynął spektakularnym samobójstwem w 1559 roku, zob. PAVANI, *Legendy zapomnianych Medyceuszy*, Florencja, s. 212 i n.



3.

### **Xemerius?**

Wrażenie, że mam coś mokrego na szyi, znikło. Szybko włączyłam latarkę. Ale pomieszczenie, w którym wylądowałam, było już oświetlone słabą żarówką dyndającą pod sufitem.

- Dzień dobry - usłyszałam.

Odwróciłam się wystraszona. Pomieszczenie wypełniały przeróżne skrzynie i meble, a o ścianę przy drzwiach opierał się młody mężczyzna.

- Lllllliczy się udział - wyjąkałam.

- Gwendolyn Shepherd? - wyjąkał w odpowiedzi. Skinęłam głową.

- Skąd pan wie?

Młody człowiek wyjął z kieszeni spodni pogniecioną kartkę i mi ją podsunął. Był bardzo blady i wyglądało na to, że jest równie zdenerwowany jak ja.

Miał spodnie na szelkach, na nosie małe okrągłe okulary, a jego jasne włosy były zaczesane do tyłu, z przedziałką, i lśniły od dużej ilości pomady. Spokojnie mógłby zagrać w starym filmie gangsterskim jako przemądrzały, ale niegroźny asystent pozbawionego skrupułów, palącego bez przerwy papierosy komisarza. Zakochuje się w okrytej puchowym boa narzeczony gangstera i na końcu zostaje zastrzelony.

Uspokoiliłam się trochę i szybko się rozejrzałam. Poza tym młodym mężczyzną w pomieszczeniu nie było nikogo, nie widziałam też nigdzie Xemeriusa. Wprawdzie potrafił przenikać przez ściany, ale najwyraźniej nie mógł podróżować w czasie.

Ociągając się, wzięłam kartkę. Była to pozółkła kartka w kratkę, wyrwana z kołnotatnika, z niedbale oderwaną perforacją. Ktoś napisał na niej zaskakująco dobrze znanym mi charakterem pisma:

*Do lorda Lucasa Montrose - ważne!*

*13 sierpnia 1948, godzina 12.00. Pracownia alchemiczna.*

*Proszę przyjdź sam.*

*Gwendolyn Shepherd*

Serce natychmiast zaczęło mi szybciej bić. Lord Lucas Montrose był moim dziadkiem! Zmarł, kiedy miałam dziesięć lat. Uważnie przyjrzałam się łukowatej linii litery L. Niestety, nie było żadnych wątpliwości: te bązgroły do złudzenia przypominały moje pismo. Ale jak to możliwe?

Podniosłam głowę i spojrzałam na młodego człowieka.

- Skąd pan to ma? I kim pan jest?

- Ty to napisałaś?

- Być może - powiedziałam, a myśli zaczęły gorączkowo tłuc mi się po głowie.

Jeśli ja to napisałam, to dlaczego tego nie pamiętam?

- Skąd pan to ma?

- Mam tę kartkę od pięciu lat. Ktoś włożył ją razem z listem do kieszeni mojego płaszcza. Tego dnia, kiedy odbyła się ceremonia na drugi stopień. W liście było napisane: „Kto doli/ymuje tajemnicy, winien także znać tajemnicę kryjącą się za lajcmnicą. Pokaż, że potrafisz nie tylko milczeć, lecz także myśleć”. Bez podpisu. To było inne odręczne pismo niż na tej kartce, raczej... eee... eleganckie, nieco staromodne. Przygryzłam dolną wargę.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie. Przez te wszystkie lata wierzyłem, że to swego rodzaju sprawdzian. Można powiedzieć, kolejny test. Nikomu o tym nie mówiłem, przez cały czas czekając, że ktoś mnie i) to zapyta albo że nadejdą kolejne instrukcje. Ale nigdy nic się nie wydarzyło. A dziś wymknąłem się tu na dół i właściwie już nie liczyłem na to, że coś się wydarzy. I nagle ty zmaterializowałaś się przede mną. Punktualnie o dwunastej. Dlaczego napisałaś do mnie ten list? Dlaczego spotykamy się w tej piwnicy? Z którego roku przybywasz?

- Z roku 2011 - odrzekłam. - Przykro mi, ale na resztę pytań leż nie znam odpowiedzi. - Odchrząknęłam. - A kim pan jest?

- Och, wybac mi, proszę. Nazywam się Lucas Montrose. Bez lorda. Jestem adeptem drugiego stopnia.

Nagle kompletnie zaschło mi w ustach.

- Lucas Montrose. Bourdon Place numer 81. Młody człowiek skinął głową.

- Tam mieszkają moi rodzice, tak.

- No to... - Wlepiłam w niego wzrok i zaczerpnęłam głęboko powietrza. - No to jest pan moim dziadkiem.

- Och, znowu to samo - powiedział młodzieniec i bardzo głęboko westchnął. Potem przemógł się, otrząpął z kurzu jedno z krzeseł, których stos piętrzył się pod ścianą, i postawił je przede mną.

- Może lepiej usiądźmy? Mam nogi jak z waty.

- Ja też - przyznałam, opadając na krzesło. Lucas wziął drugie krzesło i usiadł naprzeciw mnie.

- A więc jesteś moją wnuczką. - Uśmiechnął się słabo. - Wiesz, to dla mnie zabawna wiadomość. Nawet nie jestem żonaty. Co więcej, nawet nie jestem zaręczony.

- Ile masz lat? Och, wybacz, powinnam to wiedzieć, urodziłeś się w 1924 roku, a więc w roku 1948 masz dwadzieścia cztery lata.

- Tak. Za trzy miesiące skończę dwadzieścia cztery lata. A ty ile masz lat?

- Szesnaście.

- Tyle samo co Lucy.

Lucy. Przypomniało mi się to, co zawołała za mną, gdy uciekaliśmy z domu lady Tilney.

Wciąż jeszcze nie mogłam uwierzyć, że siedzi przede mną mój dziadek. Szukałam podobieństwa do mężczyzny, na którego kolanach słuchałam tak wielu fascynujących opowieści. Który brał mnie w obronę przed Charlotta, gdy twierdziła, że te moje historie z duchami to tylko przechwałki. Lecz gładka twarz młodzieńca siedzącego naprzeciw mnie w niczym nie przypominała poranej zmarszczkami twarzy starego człowieka, którego znałam. Widziałam natomiast podobieństwo do mamy: te niebieskie oczy, energiczna łukowata linia podbródka, sposób, w jaki się teraz śmiał. Oszołomiona zamknęłam na moment oczy. To wszystko, co się tutaj działo... tego było zwyczajnie za dużo.

- No to ładnie - odezwał się cicho Lucas. - Czy ja... hmm... czy ja jestem miłym dziadkiem?

Łzy połaskotały mnie w nos, nie mogłam ich powstrzymać.

Skinęłam tylko głową.

- Inni podróżnicy w czasie lądują zawsze zupełnie oficjalnie i wygodnie na górze, w Smoczej Sali, koło chronografu, al-ho w gabinecie z dokumentami - powiedział Lucas. - Dlaczego wybrałaś sobie to mroczne stare laboratorium?

- Ja go sobie nie wybierałam. - Wytarłam nos wierzchem dłoni. - Nawet nie wiedziałam, że to laboratorium. W moich czasach to jest zupełnie normalne piwniczne pomieszczenie z sejfem, w którym przechowuje się chronograf.

- Naprawdę? No tak, obecnie to już od dawna nie jest laboratorium - powiedział Lucas. - Ale pierwotnie używano tego pokoju jako tajemnej pracowni alchemicznej. To jedno z najstarszych pomieszczeń w tych murach. Już setki lat przed założeniem loży hrabiego de Saint Germaina słynni londyńscy alchemicy i czarnoksiężnicy prowadzili tu doświadczenia, poszukując kamienia filozoficznego. Na ścianach widać jeszcze fragmenty przerażających rysunków i tajemniczych wzorów i mówi się, że te ściany są takie grube, ponieważ zamurowano w nich kości i czaszki. - Zamilkł i teraz on przygryzł dolną wargę. - A więc jesteś moją wnuczką. Czy mogę cię zapytać, od którego... ehm... mojego dziecka?

- Moja mama ma na imię Grace - odrzekłam. - Jest do ciebie podobna.

Lucas skinął głową.

- Lucy opowiadała mi o Grace. Mówiła, że jest najmilsza spośród moich dzieci, a reszta to idioci. - Skrzywił się. - Nie mogę sobie wyobrazić, że będę miał kiedyś głupie dzieci... że w ogóle będę miał dzieci.

- Pewnie to nie twoja wina, tylko twojej żony - mruknęłam.

Lucas westchnął.

- Od kiedy dwa miesiące temu po raz pierwszy pojawiła się tu Lucy, wszyscy mi dokuczają, bo ma rude włosy, tak jak dziewczyna, która mnie... ehm... interesuje. Ale Lucy nie chciała mi wyjawić, z kim się ożenię, ponieważ uważa, że mógłbym się rozmyślić. A wtedy wy byście się nie urodzili.

- Bardziej decydujący od koloru włosów jest chyba gen podróży w czasie, który musi wnieść twoją przyszłą żona - zauważyłam. - Po tym chyba mogłeś ją rozpoznać.

- I to jest właśnie zabawne. - Lucas nachylił się lekko. - Z linii jadeitu... ehm... bardzo pociągają mnie dwie dziewczyny naraz... obiekt obserwacyjny numer cztery i obiekt obserwacyjny numer osiem.

- Aha - powiedziałam.

- Wiesz, to jest tak, jakbym nie potrafił się zdecydować w tym momencie. Może jakaś mała wskazówka z twojej strony mogłaby rozwiązać te wątpliwości?

Wzruszyłam ramionami.

- Jak chcesz. Moja babka, a więc twoja żona, to lady...

- Nie! - zawołał Lucas, gwałtownie podnosząc ręce. - Rozmyśliłem się, lepiej mi tego nie mów.

- Zmieszany, podrapał się po głowie. - To jest mundurek z Saint Lennox, nieprawdaż? Poznają godło na guzikach.

- Tak - potwierdziłam i spojrzałam w dół na mój granatowy zakiet.

Madame Rossini najwyraźniej wyprała i wyprasowała moje rzeczy, w każdym razie wyglądały jak nowe i leciutko pachniały lawendą. Poza tym coś zrobiła z zakietem, teraz pasował znacznie lepiej.

- Moja siostra Madeleine też chodzi do Saint Lennox. Ze względu na wojnę kończy szkołę dopiero w tym roku.

- Ciocia Maddy? Nie wiedziałam.

- Wszystkie dziewczynki z rodu Montrose chodzą do Saint I .cnnox. Lucy też. Ma taki sam mundurek jak ty. Mundurek Maddy jest ciemnozielony z białym. A spódniczka w kratkę...

Lucas odchrząknął. - Ehm, na wypadek, gdyby cię to interesowało... ale lepiej skoncentrujmy się teraz na nas i pomyślmy, dlaczego się tu dziś spotykamy. A więc, zakładając, że napisałaś tę kartkę...

- Napiszesz!

- .. i dostarczysz mi ją w jednej ze swoich przyszłych podróży w czasie... Jak myślisz, dlaczego to zrobiłaś?

- Chciałaś powiedzieć, dlaczego to zrobię? - Westchnęłam. - To ma jakiś sens. Prawdopodobnie możesz mi wyjaśnić całą masę rzeczy. Ale nie wiem... - Spojrzałam bezradnie na mojego młodego dziadka. - Dobrze znasz Lucy i Paula?

- Paul de Villiers przybywa tu w ramach elapsji od stycznia. W tym czasie postarzał się o dwa lata, to trochę straszne. A Lucy pierwszy raz była tutaj w czerwcu. To ja najczęściej zajmuję się nimi w czasie ich wizyt. Z reguły jest bardzo... wesoło. Pomagam im odrabiać lekcje. I muszę powiedzieć, że Paul to pierwszy de Villiers, który wydaje mi się sympatyczny. - Znowu odchrząknął. - Jeśli przybywasz z roku 2011, musisz dobrze znać ich oboje. Zabawne jest pomyśleć, że tymczasem zbliżają się mniej więcej do czterdziestki... musisz ich ode mnie pozdrowić.

- Nie, tego nie mogę zrobić.

Rany, jakie to wszystko było skomplikowane. I prawdopodobnie powinnam bardzo uważać na to, co mówię, dopóki sama nie zrozumieję, co się tu właściwie dzieje. W uszach brzmiały mi wciąż słowa mojej matki: „Nie ufaj nikomu i niczemu. Nawet swoim uczuciom”. Ale komuś musiałam się po prostu zwierzyć, a któż nadawałby się do tego lepiej niż mój własny dziadek? No cóż, postawię wszystko na jedną kartę.

- Nie mogę pozdrowić od ciebie Lucy i Paula. Ukradli chronograf i uciekli z nim w przeszłość.

- Co? - Oczy Lucasa za szklami okularów szeroko się otworzyły. - A dlaczegoż mieliby to zrobić? Nie mogę w to uwierzyć. Oni by nigdy... Kiedy to było?

- W 1994 roku - powiedziałam. - Tym, w którym się urodziłam.

- W 1994 roku Paul będzie miał dwadzieścia, a Lucy osiemnaście lat - powiedział Lucas raczej do siebie niż do mnie. -A więc za dwa lata. Bo teraz ona ma szesnaście, a on osiemnaście. - Uśmiechną! się przepraszająco. - To znaczy oczywiście nie teraz, tylko wtedy, gdy pojawiają się tu w trakcie elapsji.

- Przez ostatnie noce nie spałam zbyt wiele i mam wrażenie, że mój mózg składa się wyłącznie z waty cukrowej - powiedziałam. - A z rachunków i tak jestem noga.

- Lucy i Paul są... To, co mi mówisz, w ogóle nie ma sensu. Oni nigdy nie zrobiliby czegoś tak... szalonego.

- A jednak. Myślałam, że może będziesz mi mógł wyjaśnić dlaczego. W moich czasach wszyscy próbują mi wmówić, że oni są... źli. Albo szaleni. Albo jedno i drugie. W każdym razie niebezpieczni. Kiedy spotkałam się z Lucy, powiedziała, że mam cię spytać o zielonego jeźdźca. A więc: kim jest zielony jeździec?

Lucas wpatrywał się we mnie osłupiały.

- Spotkałaś się z Lucy? Przecież właśnie mówiłaś, że ona i Paul zniknęli w roku twoich narodzin. - A potem jeszcze coś najwidoczniej przyszło mu do głowy. - Skoro zabrali chronograf, to jak możesz podróżować w czasie?

- Spotkałam ich w 1912 roku. U lady Tilney. Istnieje jeszcze drugi chronograf, którego Strażnicy używają dla nas.

- Lady Tilney? Umarła cztery lata temu. A ten drugi chronograf w ogóle nie działa.

Westchnęłam.

- Teraz działa. Posłuchaj, dziadku. - Lucas wzdrygnął się na dźwięk tego słowa. - Dla mnie to wszystko jest jeszcze bardziej zagmatwane niż dla ciebie, bo kilka dni temu nie miałam o tej całej sprawie najmniejszego pojęcia. Nie potrafię ci niczego wytłumaczyć. Wysłano mnie tutaj w ramach elapsji, mój Boże, nawet nie jestem pewna, jak się pisze to słowo, wczoraj usłyszałam je po raz pierwszy. W ogóle dopiero trzeci raz podróżuję w czasie z chronografem. Przedtem trzy razy miałam niekontrolowany przeskok. I nie było to specjalnie zabawne. Właściwie wszyscy myśleli, że to moja kuzynka Charlotta jest nosicielką genu, ponieważ urodziła się we właściwym dniu, natomiast moja matka skłamała co do mojej daty urodzenia. Dlatego to Charlotta pobierała lekcje tańca, wie wszystko o epidemii dżumy i o królu Jerzym, umie fechtować i jeździć konno w

damskim siodle, i grać na fortepianie... i Bóg jeden wie, czego się jeszcze nauczyła podczas tych swoich tajemnych lekcji. -Im dłużej mówiłam, tym szybciej wypływały ze mnie słowa. - Ja w każdym razie nie wiem nic, poza tymi drobiazgami, które mi do tej pory ujawniono, a prawdę mówiąc, nie było ich zbyt wiele ani niczego specjalnie nie wyjaśniły. I co gorsza: do tej pory nie miałam nawet czasu zastanowić się nad tymi wydarzeniami. Leslie, moja przyjaciółka, wyszukała wszystko w Google'u, ale pan Whitman zabrał nam segregator, a poza tym zrozumiałam z tego ledwie połowę. Wszyscy najwyraźniej oczekiwali ode mnie czegoś szczególnego, a teraz są rozczarowani.

- „Rubin czerwony magią kruka obdarzony, G-dur zamyka krąg, przez dwunastu utworzony” - wymamrotał Lucas.

- No tak, sam widzisz. Magia kruka, bla, bla, bla. Niestety w moim przypadku pudło. Hrabia de Saint Germain dusił mnie, chociaż stał parę metrów ode mnie, i słyszałam w myślach jego głos, a potem byli ci ludzie w Hyde Parku, z pistoletami i szpadami, i musiałam jednego z nich zabić, bo inaczej on zamordowałby Gideona, który... który jest takim... - Zaczepnęłam głęboko powietrza i po chwili paplałam dalej. - Gideon właściwie jest obrzydliwy, nie powinnam była się z nim w żadnym wypadku całować, bo w końcu znam go dopiero dzień albo dwa, ale nagle stał się taki... miły, a potem... to wszystko potoczyło się tak szybko... i wszyscy myślą, że wyjawiałam Paulowi i Lucy, kiedy odwiedzimy lady Tilney, bo przecież potrzebujemy jej krwi, tak jak krwi Paula i Lucy, ale oni także potrzebują mojej krwi i Gideona, bo jej im jeszcze brakuje w ich chronografie. Nikt mi nie mówi, co się stanie, kiedy krew wszystkich zostanie wczytana do chronografu, i czasami sobie myślę, że oni sami tego dobrze nie wiedzą. I mam cię zapytać o zielonego jeźdźcę, tak mi powiedziała Lucy.

Lucas zacisnął powieki za szklami okularów, najwyraźniej usiłując z potoku moich słów wydobyć jakiś sens.

- Nie mam pojęcia, o co może chodzić z tym zielonym jeźdźcą - odparł. - Przykro mi, ale słyszę to dziś po raz pierwszy.

Dlaczego nie zapytasz mnie... przecież mogłabyś po prostu zapytać mnie o to w 2011 roku.

Spojrzałam na niego wystraszona.

- Och, rozumiem - rzucił szybko Lucas. - Nie możesz mnie zapytać, ponieważ już od dawna nie żyję albo stary, głuchy i ślepy wegetuję w domu starców... Nie, nie, proszę, wcale nie chcę tego wiedzieć.

Tym razem nie zdołałam powstrzymać łez. Chlipałam przez co najmniej przez pół minuty, ponieważ - choć brzmi to bardzo dziwnie - nagle strasznie zatęskniłam za swoim dziadkiem.

- Bardzo cię kochałam - powiedziałam wreszcie.

Lucas podał mi chusteczkę i spojrzał na mnie ze współczuciem.

- Naprawdę? Ja wcale nie lubię dzieci. Są takie męczące... Ale może ty byłaś jakimś szczególnie miłym egzemplarzem. Nawet na pewno.

- Tak, byłam. Ale ty byłeś miły dla wszystkich dzieci. - Głośno wytarłam nos. - Nawet dla Charlotty.

Milczeliśmy przez chwilę, a potem Lucas wyjął z kieszeni zegarek.

- Ile jeszcze mamy czasu? - spytał.

- Wysłali mnie tu dokładnie na dwie godziny.

- To niespecjalnie długo. Zmarnowaliśmy już o wiele za dużo czasu. - Wstał. - Przyniosę coś do pisania i papier i spróbujemy zaprowadzić jakiś porządek w tym chaosie. Ty najlepiej zostań tutaj i nie ruszaj się z miejsca.

Skinęłam tylko głową. Lucas zniknął, a ja siedziałam, gapiąc się tępo przed siebie. Miał rację, to ważne, by właśnie teraz zachować jasność umysłu.

Kto wie, kiedy znowu spotkam swojego dziadka. O jakich rzeczach, które dopiero miały się wydarzyć, powinnam mu powiedzieć, a o jakich nie? Jednocześnie gorączkowo zastanawiałam się nad tym, jakich on mógłby udzielić mi informacji, które mogłyby mi się przydać. W gruncie rzeczy był moim jedynym sojusznikiem, tyle że, niestety, w niewłaściwym czasie. I którą z wielu mrocznych zagadek mógłby mi nieco rozświetlić?

Lucasa długo nie było i z każdą minutą ogarniały mnie coraz większe wątpliwości. Możliwe przecież, że skłamał i że zaraz pojawi się z Lucy, Paulem i wielkim nożem, żeby pobrać ode mnie krew. Zerwałam się z miejsca i zaczęłam szukać czegoś, czego mogłabym użyć jako broni. W kącie leżała deska z zardzewiałym gwoździem, ale kiedy ją podniosłam, rozsypała mi się w rękach. I w tej samej chwili drzwi się otworzyły i mój młody dziadek pojawił się z notesem pod pachą i bananem w ręku.

Odetchnęłam z ulgą.

- Pewnie zgłodniałaś. - Lucas rzucił mi banana, zdjął ze sterty trzecie krzesło, postawił je między nami i położył na nim notes. - Przepraszam, że to tak długo trwało. Ten durny Kenneth de Villiers stanął mi tam na drodze. Nie znoszę tych de Villier-sów, wszędzie wtykają swoje

ciekawskie długie nosy, wszystko chcą kontrolować, o wszystkim decydować i wszystko zawsze wiedzą najlepiej.

- Właśnie - mruknęłam.

- No to zaczynajmy, wnuczko - powiedział Lucas. - Ty jesteś rubinem, dwunastym z kręgu. Diament z rodziny de Villiers urodził się dwa lata przed tobą. A więc w twoich czasach musi mieć około dziewiętnastu lat. Jak on ma na imię?

- Gideon - odrzekłam i na sam dźwięk tego imienia zrobiło mi się ciepło. - Gideon de Villiers.

Pisak Lucasa przemykał po papierze.

- I jest obrzydliwym, jak wszyscy w rodzinie de Villiers, a mimo to całowałaś się z nim, o ile dobrze cię zrozumiałem. Nie jesteś troszkę za młoda na te rzeczy?

- Raczej nie - odparłam. - Wręcz przeciwnie, zaczęłam strasznie późno. Wszystkie dziewczyny w klasie biorą już pigułki.

No dobra, wszystkie poza Aishani, Peggy i Cassie Ciarke, ale rodzice Aishani są konserwatywnymi Hindusami i zabiliby ją, gdyby choć spojrziała na jakiegoś chłopaka, Peggy podobały się chyba raczej dziewczyny, a co się tyczy Cassie, to na pewno pryszcze same jej kiedyś znikną i wtedy znowu będzie miła dla ludzi i przestanie syczeć: „Co się tak głupio gapisz?” do każdego, kto tylko spojrzy w jej stronę.

Och, no i Charlotta oczywiście nie ma nic wspólnego z seksem. Dlatego Gordon Gelderman nazywa ją Królową Śniegu. Chociaż wcale nie wiem, czy to naprawdę do niej pasuje...

Aż zazgrzytałam zębami, myśląc o tym, jak Gideon patrzy! na Charlotte - i ona na niego. Jeśli wziąć pod uwagę, jak szybko Gideon wpadł na pomysł, żeby mnie pocałować, to znaczy dokładnie drugiego dnia naszej znajomości, lepiej się nie zastanawiać, co mogło się zdarzyć między nim a Charlotta przez te wszystkie lata, kiedy się znali.

- Jakie znowu pigułki?

- Co takiego? - O, mój Boże, w 1948 roku oni jeszcze używali prezerwatyw z wolowego jelita albo czegoś w tym stylu, jeśli w ogóle. Ale wolałam tego nie wiedzieć. - Nie chcę rozmawiać z tobą o seksie, dziadku, naprawdę.

Lucas spojrzał na mnie, z dezaprobatą kręcąc głową.

-A ja nawet nie chcę słyszeć tego słowa z twoich ust. I nie chodzi mi o słowo „dziadek”.

-Okej. - Obralam banana, a Lucas tymczasem robił notatki. - A jak wy na to mówicie?

-Na co?

-Na seks.

- Nie rozmawiamy o tym - mruknął Lucas, pochylony nad notesem. - A już na pewno nie z szesnastoletnimi dziewczętami. A więc dalej: chronograf został skradziony przez Lucy i Paula, nim zdążono wjechać do niego krew ostatnich dwojga podróżników w czasie. Dlatego uruchomiono ponownie drugi chronograf, ale oczywiście brakuje w nim krwi wszystkich innych podróżników w czasie.

- Nie, już nie. Gideon zdołał odnaleźć niemal wszystkich podróżników w czasie i pobrać od nich krew. Brakuje jedynie lady Tilney i opala, Elise Jakość.

- Elaine Burghley - powiedział Lucas. - Damy dworu Elżbiety I, dziewczyny, która zmarła w połogu w wieku osiemnastu lat.

- No właśnie. I oczywiście krwi Lucy i Paula. A więc my się staramy o ich krew, a oni o naszą. Tak to w każdym razie rozumiałam.

- Teraz istnieją dwa chronografy, które mogą zamknąć krąg? To doprawdy niewiarygodne!

- A co się stanie, gdy krąg się zamknie?

- Wtedy objawi się tajemnica - rzekł uroczyście Lucas.

- O rany! Ty też? - Ze złością potrząsnęłam głową. - Czy nie można by choć raz odrobinę konkretniej?

Proroctwa mówią o wzlocie orła, o zwycięstwie ludzkości nad chorobą i śmiercią, o początku nowej ery.

Aha - powiedziałam, równie mądra jak przedtem. - A więc I<> coś dobrego, tak?

- Nawet coś bardzo dobrego. Coś, co sprawi, że ludzkość /robi duży krok naprzód. Dlatego hrabia de Saint Germain założył Stowarzyszenie Strażników, dlatego w naszych szeregach znaleźli się najmądrzejsi i najpotężniejsi ludzie na świecie. I wszyscy pragniemy strzec tajemnicy, by mogła w odpowiednim momencie osiągnąć swoją pełnię i ocalić świat.

Okej. To przynajmniej była jasna wypowiedź. A już na pewno najbardziej jasna spośród tych, jakich udzielono mi do tej pory w związku z tajemnicą.

- Ale dlaczego Lucy i Paul nie chcą, by krąg się zamknął? Lucas westchnął.

- Nie mam pojęcia. Mówiłaś, że kiedy spotkałaś tych dwoje?

- W 1912 roku, dwudziestego drugiego czerwca. Albo dwudziestego czwartego, nie pamiętam dokładnie. - Im usilniej starałam się sobie przypomnieć, tym mniej byłam pewna. - A może to był jednak dwunasty? To była liczba parzysta, tego jestem całkowicie pewna. Osiemnasty? W każdym

razie po południu. Lady Tilney przygotowała wszystko do popołudniowej herbatki... - Nagle zorientowałam się, co mówię, i zasłoniłam dłonią usta. - Och!

- Co jest?

- Teraz wszystko ci wyjawiam, a ty przekazesz to Lucy i Paulowi, i dlatego będą się tam mogli na nas zacząć. A więc w gruncie rzeczy to ty jesteś zdrajcą, a nie ja. Chociaż pewnie na to samo wychodzi.

- Co? O, nie. - Lucas energicznie pokręcił głową. - Nie zrobię tego. W ogóle nic im o tobie nie powiem, to by przecież było szaleństwo. Gdybym im powiedział, że kiedyś w przyszłości ukradną chronograf i użyją go, by uciec w przeszłość, padliby trupem na miejscu. Trzeba się dobrze zastanawiać, co się komuś mówi o przyszłości, rozumiesz?

- No tak, może nie powiesz im tego jutro, masz jeszcze wiele lat. - W zamyśleniu przeżuwałam banana. - Z drugiej strony: do jakich czasów przenieśli się z chronografem? Dlaczego nie do tych? Przecież tu mieli przynajmniej przyjaciela, to znaczy ciebie. Może mnie okłamujesz, a oni już od dawna czekają pod drzwiami, żeby utoczyć mi krwi.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, do jakich czasów mogli się udać. - Lucas westchnął. - Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, że zrobią coś tak szalonego. Ani dlaczego! W ogóle nie mam o niczym pojęcia - dodał zniechęcony.

- Najwyraźniej w tej chwili oboje nic nie wiemy - dorzuciłam równie zniechęcona.

Lucas napisał na kartce „zielony jeździec”, „drugi chronograf” i „lady Tilney”, stawiając duży znak zapytania.

- Potrzebujemy kolejnego spotkania, później. Do tej pory mógłbym się dowiedzieć całej masy rzeczy...

Nagle mnie olśniło.

- Najpierw miałam się poddać elapsji do 1956 roku, więc może moglibyśmy się zobaczyć już jutro wieczorem.

- Cha, cha, cha - zaśmiał się Lucas. - Dla ciebie rok 1956 będzie może już jutro wieczorem, ale dla mnie to jest... Ale dobrze, zastanówmy się. Jeśli poddasz się elapsji do czasów późniejszych niż obecne, to też do tego pomieszczenia?

Skinęłam głową.

- Myślę, że tak. Ale przecież nie możesz tu na mnie czekać dniem i nocą. Poza tym w każdej chwili może się tu pojawić Gideon, bo on też musi poddawać się elapsji.

- Wiem, jak zrobimy - powiedział Lucas z rosnącym zapałem. - Kiedy następnym razem wylądujesz w tym pomieszczeniu, po prostu do mnie przyjdiesz. Mam biuro na drugim piętrze. Musisz tylko dwa razy przejść przez strażę. Ale to żaden problem, powiesz, że się zgubiłaś. Jesteś moją kuzynką. Hazel. Ze wsi. Już dzisiaj zacznę wszystkim o tobie opowiadać.

- Ale pan Whitman mówi, że tu zawsze jest zamknięte, a poza tym nie wiem nawet, gdzie my w ogóle jesteśmy.

- Oczywiście potrzebujesz klucza. I hasła dnia. - Lucas rozejrzał się wokół. - Dorobię ci klucz i gdzieś go tutaj dla ciebie schowam. To samo odnosi się do hasła. Napiszę je na kartce i schowam w naszej skrytce. Najlepiej gdzieś w ścianie. Z tyłu cegły są trochę obluźowane, widzisz? Może uda się nam zrobić tam trochę pustego miejsca. - Wstał, utorował sobie drogę przez graty i ukląkł przy ścianie. - Spójrz tutaj. Wrócę z narzędziami i urządzę idealną skrytkę. Kiedy następnym razem tu przeskoczysz, będziesz musiała tylko wyciągnąć tę cegłę, a wtedy znajdziesz klucz i hasło.

- Ale tu jest cholernie dużo cegieł - powiedziałam.

- Zapamiętaj sobie po prostu tę tutaj, piąty rząd od dołu, mniej więcej pośrodku. O, cholera, mój paznokcie! Nieważne, w każdym razie taki jest plan i uważam, że jest świetny.

- Ale musiałbyś schodzić tu codziennie, aby odnowić hasło - zauważyłam. - Jak chcesz to zrobić? Czy nie studiujesz w Oksfordzie?

- Hasła nie odnawia się codziennie - wyjaśnił Lucas. - Czasem całymi tygodniami mamy to samo. Poza tym to jedyna możliwość, żeby zaaranżować kolejne spotkanie. Zapamiętaj sobie tę cegłę. Włożę też tutaj plan, żebyś znalazła drogę na górę. Stąd tajemne drogi prowadzą przez pół Londynu. - Spojrzał na zegarek. - A teraz usiądźmy i zrobmy dalsze notatki. Bardzo systematycznie. Zobaczysz, na koniec oboje będziemy mądrzejsi.

- Albo pozostaniemy dwojgiem nieświadomych ludzi w zatęchłej piwnicy.

Lucas przekrzywił głowę i uśmiechnął się do mnie.

- Może tak zupełnie na marginesie zdradzisz mi, czy imię twojej babki zaczyna się na A? Czy może na C?

Musiałam również się uśmiechnąć.

- A jak byś wolał?

## KRAĞ DWANAŚCIORGA

Nazwisko	Kamień szlachetny	Odpowiednik alchemiczny	Zwierzę	Drzewo
Lancelot de Villiers 1560-1607	bursztyn	calcinatio	żaba	buk
Elaine Burghley 1562-1580	opal	putrefactio et mortificatio	sowa	orzech wioski
William de Villiers 1636-1689	agat	sublimatio	niedźwiedź	sosna
Cecilia Woodville 1628-1684	akwamaryn	solutio	koń	klon
Robert Leopold hrabia de Saint Germain 1703-1784	szmaragd	disillatio	orzeł	dąb
Jeanne de Pontcarree d'Urfe 1705-1775	cytryn	coagulatio	wąż	miłorząb
Jonathan i Timothy de Villiers 1875-1944 1875-1930	karneol	extractio	sokół	jabłoń
Margarete Tilney 1877-1944	jadeit	digestio	lis	lipa
Paul de Villiers *1974	czarny turmalin	ceratio	wilk	jarząb
Lucy Montrose *1976	szafir	fermentatio	ryś	wierzba
Gideon de Villiers *1992	diamant	multiplicatio	lew	cis
Gwendolyn Shepherd *1994	rubin	projectio	kruk	brzoza

*Z Kronik Strażników, tom IV, Krag Dwanaściorga*

**Gweny! Gweny! Obudź się!**

Z trudem wychyłam z gębiny snu - we śnie byłam bardzo starą, garbatą kobietą, która siedziała naprzeciw pięknego Gideona i utrzymywała, że nazywa się Gwendolyn Shepherd i przybywa z roku 2080 - i ujrzałam dobrze znaną buzię z perkatym noskiem, buzię mojej młodszej siostry Caroline.

- No wreszcie! - powiedziała. - Już myślałam, że nigdy cię nie obudzę. Kiedy wróciłaś wczoraj wieczorem do domu, już spałam, chociaż tak bardzo próbowałam nie zasnąć. Przywiozłaś znowu jakąś obłądną sukienkę?

- Nie, tym razem nie. - Usiadłam. - Tym razem pozwolono mi się tam przebrać.

- Czy teraz już zawsze tak będzie? Będziesz wracała do domu dopiero wtedy, gdy pójde spać? Mama jest taka dziwna, od kiedy się to z tobą wydarzyło. A Nick i ja tęsknimy za tobą. Bez ciebie kolacje są okropne.

- Przedtem też takie były - zapewniłam ją i opadłam z powrotem na poduszkę.

Wczoraj wieczorem zostałam przywieziona do domu limuzyną, szofera nie znałam, ale towarzyszył mi rudowłosy pan Marley, aż pod same drzwi.

Gideon już się nie pokazał i bardzo mi to odpowiadało.

A potem i tak mi się śnił przez całą noc.

W drzwiach przyjął mnie pan Bernhard, lokaj mojej babki, jak zwykle uprzejmy i całkowicie niewzruszony. Mama powitała mnie na schodach i przytuliła tak, jakbym właśnie wróciła z wyprawy na biegun południowy. Też się ucieszyłam, że ją widzę, ale wciąż byłam na nią trochę zła. To nic miłego dowiedzieć się, że okłamała cię własna matka. I niczego nie chciała mi wyjaśnić. Prócz kilku zawołanych zdań - „nie ufaj nikomu”, „to jest niebezpieczne”, „wielka tajemnica”, bla, bla, bla - nie powiedziała niczego, co choć trochę tłumaczyłoby jej zachowanie.

Z tego powodu i dlatego, że prawie umierałam ze zmęczenia, niemal w milczeniu przełknęłam niewielki kawałek kurczaka na zimno, a potem poszłam do łóżka, nie informując mamy o wydarzeniach dnia. Co właściwie miałyby zrobić z tymi informacjami? I tak za bardzo się martwiła. Zdawało mi się, że jest równie zmęczona jak ja.

Caroline znowu potrząsnęła mnie za ramię.

- Hej, nie zasypiaj!

- Już dobrze.

Energicznym ruchem spuściłam nogi z łóżka i stwierdziłam, że mimo długiej rozmowy telefonicznej, którą przeprowadziłam z Leslie przed zaśnięciem, jestem względnie wyspana. Ale gdzie się podział Xemerius? Zniknął, kiedy wczoraj wieczorem poszłam do łazienki, i od tamtej pory już się nie pojawił.

Pod prysznicem obudziłam się już do reszty. Umyłam włosy drogim szamponem mamy i użyłam jej odżywki - co było zakazane - mimo ryzyka, że zdradzi mnie cudowny zapach róż i pomarańczy. Wycierając ręcznikiem głowę, odruchowo zadałam sobie pytanie, czy Gideon też lubi róże i pomarańcze, i zaraz surowo przywołałam się do porządku.

Ledwie przespałam się godzinę czy dwie i już znowu myślałam o tym porąbanym typie? A cóż się takiego wielkiego stało? No dobra, trochę się pomizialiśmy w konfesjonale, ale on szybko znów wskoczył w swoją skórę obrzydliwca, a mój upadek z obłoków nie był tym, o czym chciałabym pamiętać, wyspana czy nie. Co zresztą powiedziałam Leslie, która wczoraj wieczorem zupełnie nie chciała odpuścić tego tematu.

Wysuszyłam włosy, ubrałam się i zbiegłam do jadalni. Zajęło mi to dobrą chwilę. Caroline, Nick, ja i mama mieszkaliśmy na trzecim piętrze naszego domu. W przeciwieństwie do reszty budynku, który od zarania dziejów (co najmniej!) znajdował się w posiadaniu mojej rodziny, było tam względnie przytulnie.

Reszta domu natomiast była zapchana starociami i wizerunkami rozmaitych praprzodków, wśród których tylko bardzo nieliczni budzili sympatię. I mieliśmy salę balową, gdzie Nick z moją pomocą nauczył się jeździć na rowerze, oczywiście po kryjomu, ale dziś, jak wiadomo, drogi w dużym mieście są strasznie niebezpieczne.

Jakże często żałowałam, że nie możemy jeść u siebie na górze, ale moja babka, lady Arista, upierała się przy tym, byśmy pojawiali się w mrocznej jadalni, gdzie boazeria miała barwę mlecznej czekolady; to było przynajmniej jedyne ładne porównanie, jakie kiedykolwiek przyszło mi do głowy. To drugie było... hmm... raczej nieapetyczne.

Nastrój był dziś wyraźnie lepszy niż poprzedniego dnia, co uderzyło mnie od razu, kiedy weszłam do pokoju.

Lady Arista, która zawsze miała w sobie coś z nauczycielki baletu, gotowej w każdej chwili człowieka ochrzanić, powiedziała przyjaźnie: „Dzień dobry, moje dziecko”, a Charlotta i jej matka uśmiechnęły się do mnie, jakby wiedziały coś, o czym ja nie miałam pojęcia.



Ponieważ ciotka Glenda nigdy się do mnie nie uśmiechała (w ogóle rzadko uśmiechała się do kogokolwiek, pomijając skwaszone uniesienie kącików ust), a Charlotta nie dalej jak wczoraj obrzuciła mnie błotem, natychmiast zrobiłam się nieufna.

- Coś się stało? - spytałam.

Mój dwunastoletni brat Nick wyszczerzył do mnie zęby, kiedy usiadłam na swoim miejscu obok Caroline, a mama podsunęła mi wielki talerz z tostami i jajecznicą. Prawie zemdlałam z głodu, gdy poczułam ten cudowny zapach.

- Boże kochany - odezwała się ciotka Glenda. - Chyba chcesz, żeby twoja córka dzisiaj pokryła całe miesięczne zapotrzebowanie na tłuszcz i cholesterol, nieprawdaż, Grace?

- Owszem - rzuciła obojętnie mama.

- Później znienawidzi cię za to, że nie zwracałaś baczniejszej uwagi na jej figurę. - Ciotka Glenda znowu się uśmiechnęła.

- Figura Gwendolyn jest bez zarzutu - rzekła moja mama.

- Może na razie - powiedziała ciotka Glenda, wciąż się uśmiechając.

- Wsypaliście coś ciotce do herbaty? - spytałam szeptem Caroline.

- Wcześniej ktoś zadzwonił i od tego czasu ciotka Glenda i Charlotta są bardzo zadowolone - odszepnęła Caroline. - Jak nigdy!

W tym momencie na zewnętrznym parapecie wylądował Xemerius, złożył skrzydła i przecisnął się przez szybę w oknie.

- Dzień dobry! - zawołałam z radością.

- Dzień dobry! - Xemerius zeskoczył z parapetu na puste krzesło.

Podczas gdy reszta przyglądała mi się z jakimś zdziwieniem, Xemerius podrapał się po brzuchu.

- Masz całkiem dużą rodzinę. Na razie nie zdążyłem się jeszcze dokładnie zorientować, ale rzuciło mi się w oczy, że w tym gospodarstwie domowym jest uderzająco dużo kobiet. Powiedziałbym, że za dużo. A połowa z nich zwykle wygląda tak, jakby pilnie potrzebowała łaskotek. - Otrząsnął skrzydła. - Gdzie są ojcowie tych wszystkich dzieciątek? I gdzie są zwierzęta domowe? Taki ogromny dom i nawet ani jednego kanarka? Jestem rozczarowany.

Uśmiechnęłam się.

- Gdzie jest ciocia Maddy? - spytałam, spokojnie zabierając się do jedzenia.

- Obawiam się, że potrzeba snu mojej kochanej szwagierki jest silniejsza niż jej ciekawość - odrzekła z godnością lady Arista.

Siedziała przy stole wyprostowana jak świeca i odginając dwa palce, trzymała połówkę tosta z masłem (nawiasem mówiąc, jeszcze nigdy nie widziałam mojej babki, żeby nie była wyprostowana jak świeca).

- Przez tę wczesną pobudkę wczoraj rano miała okropny humor. Nie sądzę, byśmy dziś ujrzeli ją przed dziesiątą.

- I bardzo dobrze - powiedziała ciotka Glenda ostrym tonem. - Ta jej paplanina o szafirowych jajach i zegarach na wieży może naprawdę wykończyć człowieka nerwowo. A ty jak się czujesz, Gwendolyn? Wyobrażam sobie, że to wszystko musi cię wprawiać w ogromne oszołomienie.

- Hm - mruknęłam.

- To musi być straszne dowiedzieć się nagle, że jest się przeznaczonym do wyższych celów, i nie móc sprostać oczekiwaniom. - Ciotka Glenda energicznie nabiła na widelec ćwiartkę pomidora.

- Pan George mówił, że Gwendolyn bardzo dobrze sobie radzi - wtrąciła lady Arista i zanim zdążyłam się ucieszyć, że stanęła po mojej stronie, dodała: - W każdym razie jak na te okoliczności. Gwendolyn, zostaniesz dziś odebrana ze szkoły i zawieziona do Tempie. Tym razem pojedzie z tobą Charlotta. - Upiła łyk herbaty.

Nie mogłam otworzyć ust, bo wypadłaby mi z nich jajecznica, więc tylko gapiłam się przerażona.

- A dlaczego tak? - zapytali zamiast mnie Nick i Caroline.

- Ponieważ... - zaczęła ciotka Glenda, kręcąc dziwacznie głową - ponieważ Charlotta potrafi to wszystko, co Gwendolyn powinna umieć, aby jako tako poradzić sobie ze swoim zadaniem. Teraz zaś, co jest dla nas zrozumiałe, z powodu chaotycznych wydarzeń dwóch ostatnich dni życzą sobie w Tempie, by Charlotta pomogła swojej kuzynce przygotować się do następnych podróży w czasie. - Wyglądała tak, jakby jej córka właśnie wygrała olimpiadę... co najmniej.

Do następnych podróży w czasie? Co takiego?

- A kim jest ta sucha rudowłosa złośliwa miotła? - spytał Xemerius. - Ze względu na ciebie mam nadzieję, że chodzi tu tylko o dalekie pokrewieństwo.

- Nie żeby ta prośba nas zaskoczyła, ale mimo to zastanawialiśmy się, czy powinniśmy ją spełnić. W końcu Charlotta nie ma już żadnych zobowiązań. Ale... - w tym miejscu sucha rudowłosa złośliwa mio... ehm... ciotka Glenda westchnęła teatralnie - Charlotta ma oczywiście pełną świadomość wagi tej misji i jest gotowa bezinteresownie przyczynić się do jej powodzenia.

Moja matka również westchnęła i obrzuciła mnie współczującym spojrzeniem. Charlotta odgarnęła kosmyk lśniących rudych włosów za ucho i patrząc na mnie, zatrzepotała rękami.

- He? - odezwał się Nick. - A czego Charlotta miałaby nauczyć Gwenny?

- Och! - rzekła ciotka Glenda, a jej policzki zaróżowiły się z zapału. - Jest tego pewnie cała masa, ale absurdem byłoby myśleć, że Gwendolyn zdoła w ciągu krótkiego czasu nadrobić to, czego Charlotta uczyła się przez wiele lat, nie mówiąc już o... cóż... raczej niesprawiedliwym rozdziale talentów w tym przypadku. Można tylko spróbować przekazać jej to, co najbardziej konieczne. Przede wszystkim, jak słyszałam, wręcz tragicznie brakuje jej wiedzy ogólnej i manier dostosowanych do danej epoki.

Bezczelność! Ciekawe, od kogo to usłyszała.

- Tak, a maniery są absolutnie niezbędne, kiedy siedzi się w zamkniętej piwnicy - wtrąciłam. - Taka stonoga piwniczna mogłaby zobaczyć, jak ktoś dłubie w nosie.

Caroline parsknęła śmiechem.

- Och, nie, Gwenny, przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale w najbliższym czasie czekają cię nieco trudniejsze zadania. - Charlotta obdarzyła mnie spojrzeniem, które pewnie miało być współczujące, ale wyglądało raczej na złośliwe i szydercze.

- Twoja kuzynka ma rację - odezwała się lady Arista, patrząc na mnie. Zawsze trochę się bałam jej przenikliwego wzroku, lecz teraz przeszył mnie autentyczny dreszcz. - Na najwyższy rozkaz spędzisz sporo czasu w osiemnastym wieku.

- I to wśród ludzi - uzupełniła Charlotta. - Ludzi, którzy bardzo by się zdziwili, gdyby się okazało, że nie wiesz nawet, jak ma na imię król, który rządzi krajem. Albo nie masz pojęcia, co to jest rydykiul.

Co proszę?

- Co to jest rydykiul? - spytała Caroline. Charlotta uśmiechnęła się lekko.

- Niech ci siostra wytłumaczy.

Spojrzałam na nią gniewnie. Dlaczego czerpała zawsze tak wielką przyjemność z udowadniania, jaka jestem głupia i niedoinformowana? Ciotka Glenda zaśmiała się cicho.

- To taki rodzaj torebki, taki durny woreczek, w którym najczęściej kobiety nosiły niepotrzebne przybory do haftowania - powiedział Xemerius. - I chusteczki. I buteleczki z solami trzeźwiącymi.

- Rydykiul to przestarzała nazwa torebki, Caroline - oznajmiłam, nie spuszczać wzroku z Charlotty.

Z zaskoczenia aż drgnęła, ale zachowała ten swój złośliwy uśmiezek.

- Na najwyższy rozkaz? A cóż to ma znaczyć? - Moja matka odwróciła się w stronę lady Aristy. - Myślałam, że uzgodniliśmy, że Gwendolyn będzie w miarę możliwości trzymana jak najdalej od całej tej sprawy. Ze będzie się poddawała elapsji wyłącznie do bezpiecznych czasów. Jak mogą teraz wystawiać ją na takie niebezpieczeństwo?

- To nie twoja sprawa, Grace - odparła zimno moja babka. - Doprawdy, już dosyć przysporzyłaś nam kłopotów.

Mama zagryzła wargi. Jej gniewne spojrzenie wędrowało ode mnie do lady Aristy i z powrotem, aż w końcu gwałtownym ruchem odsunęła krzesło i wstała.

- Muszę iść do pracy - rzuciła. Wycisnęła Nickowi całusa na włosach i spojrzała na mnie i na Caroline. - Miłego dnia w szkole. Caroline, nie zapomnij o szaliku na zajęcia praktyczne. Zobaczymy się dziś wieczorem.

- Biedna mama - wyszeptała Caroline po jej wyjściu. - Płakała wczoraj wieczorem. Myślę, że bardzo ją martwi, że to ty masz ten gen podróży w czasie.

- Tak - przyznałam. - Też mi się tak zdaje.

- Ale nie jest w tym osamotniona - wtrącił Nick, spoglądając wymownie na Charlotte i ciotkę Glendę, która nadal się uśmiechała.

Jeszcze nigdy nie witano mnie w klasie z takim zainteresowaniem jak dziś. Wzięło się to stąd, że połowa mojej klasy widziała, jak poprzedniego popołudnia podjeżdża po mnie czarna limuzyna.

- Przyjmujemy zakłady - oznajmił Gordon Gelderman. - Gorący typ numer jeden: ten nonszalancki, lalkowaty facet jest producentem telewizyjnym, Gwendolyn i Charlotta wzięły udział w castingu, ale to Gwendolyn wygrała. Możliwość numer dwa: ten gość jest kuzynem gejem i ma wypożyczalnię limuzyn. Możliwość numer trzy...

- Och, zamknij się, Gordon - prychnęła Charlotta, odrzuciła do tyłu włosy i usiadła na swoim miejscu. Uważam, że mogłabyś nam wyjaśnić, dlaczego bujałaś się z tym typem, a potem to jednak Gwendolyn wsiadła z nim do limuzyny - odezwała się Cynthia Dale słodkim głosem. - Leslie chciała nam wmówić, że to był korepetytor Gwendolyn.

- Jasne, przecież korepetytor przyjeżdża limuzyną i trzyma się za rączki z naszą Królową Śniegu - powiedział Gordon i obrzucił Leslie złym spojrzeniem. - Mamy tu do czynienia z oczywistymi próbami mataczenia.

Leslie wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do mnie.

- Tak na gorąco nic lepszego nie przyszło mi do głowy. - Opadła na swoje krzesło.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu Xemeriusa. Ostatni raz widziałam go, jak siedział w kucki na dachu szkoły, skąd radośnie do mnie machał. Miał wprawdzie przykazane, by w czasie lekcji trzymać się ode mnie z daleka, ale nie wierzyłam, że będzie tego przestrzegał.

- Zdaje mi się, że zielony jeździec to ślepy zaułek - szepnęła do mnie Leslie. Prawie w ogóle nie spała tej nocy, szukając jakichś wskazówek w Internecie. - Tak się nazywa słynna niewielka

jadeitowa figurka z dynastii Ming, ale znajduje się w muzeum w Pekinie. I jest jeszcze posąg na rynku w niemieckim mieście Cloppenburg i są dwie książki o tym tytule, powieść z 1926 roku i książka dla dzieci, ale ukazała się dopiero po śmierci twojego dziadka. To wszystko jak dotąd.

- Myślałam, że to może być obraz - powiedziałam.

W filmach tajemnice kryły się zawsze za obrazami albo w obrazach.

- Pudło - odrzekła Leslie. - Gdyby to był błękitny rycerz, to sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej. Przepuściłam słowa

ZIELONY RYCERZ parę razy przez generator anagramów. Ale... no cóż, jeśli ENY ROZRYCZELI miałyby coś znaczyć, to ja niestety nie wiem co. Parę z nich wydrukowałam, może coś znajdziesz. - Podała mi kartkę.

- CENZORZY E-LIRY - przeczytałam. - Z RYCYNIE LORZE... Hmm, hmm, niech się zastanowię.

Leslie parsknęła śmiechem.

- Mój faworyt to RYCZY ZIELONE R. Och, nadciąga pan Wiewiórka!

Miała na myśli pana Whitmana, który jak zwykle wszedł do klasy energicznym krokiem. Nadałyśmy mu to przezwisko z powodu jego wielkich brązowych oczu. Wtedy jednak nie miałyśmy pojęcia, kim naprawdę jest.

- Cały czas się spodziewam, że wyrzucą nas dyscyplinarnie za wczorajsze - powiedziałam, ale Leslie potrząsnęła głową.

- Nie da rady - odparła. - A może dyrektor ma się dowiedzieć, że jego nauczyciel angielskiego jest ważnym członkiem niezwykle tajemnego stowarzyszenia? Bo właśnie to bym powiedziała, gdyby na nas naskarżył. O rany, idzie tutaj. I znowu patrzy tak... z wyższością.

Pan Whitman faktycznie do nas podszedł. Położył na stole przed Leslie gruby segregator, który skonfiskował nam wczoraj w toalecie dla dziewcząt.

- Pomyślałem, że chciałabyś dostać z powrotem ten... niezwykle interesujący zbiór kartek - rzucił kpiąco.

- Tak, dziękuję. - Leslie zaczerwieniła się lekko.

Zbiorem kartek był jej wielki segregator badań nad zjawiskiem podróży w czasie, zawierający po prostu wszystko, czego obie (oczywiście przede wszystkim Leslie) dowiedziałyśmy się do tej pory o Strażnikach i hrabim de Saint Germain. Na stronie trzydziestej czwartej, tuż pod wpisami na temat telekine-zy, znalazła się także notatka, która dotyczyła pana Whitmana. „Wiewiórka też należy do loży? Sygnet. Znaczenie?”. Mogłyśmy tylko mieć nadzieję, że pan Whitman nie wziął tej szczególnej notatki do siebie.

- Leslie, przykro mi to mówić, ale myślę, że lepiej by było, gdybyś spożytkowała swoją energię na pilniejszą naukę w szkole. - Pan Whitman przyoblekł twarz w uśmiech, ale w jego głosie pobrzmiwało jeszcze coś poza czystą drwiną. Zniżył głos. - Nie wszystko, co wydaje się komuś ciekawe, jest dla niego dobre.

Czyżby to była groźba? Leslie w milczeniu wzięła segregator i schowała go do torby.

Pozostali zerkali na nas z zaciekawieniem. Najwyraźniej zadawali sobie pytanie, o czym mówi pan Whitman. Charlotta siedziała dostatecznie blisko, aby go zrozumieć, i patrzyła teraz w niewątpliwie szyderczy sposób.

- A ty, Gwendolyn, powinnaś wreszcie pojąć, że dyskrecja jest jednym z tych przymiotów, których się od ciebie nie tylko oczekuje, ale wręcz żąda - dorzucił pan Whitman, a Charlotta skinęła głową. - Naprawdę szkoda, że okazujesz się taka nieodpowiedzialna.

Jakie to niesprawiedliwie! Postanowiłam pójść za przykładem Leslie i przez kilka sekund pan Whitman i ja patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Potem jego uśmiech stał się szerszy i nieoczekiwanie pogłodził mnie po policzku.

- No, ale głowa do góry. Jestem przekonany, że możesz się wiele nauczyć - dodał i ruszył dalej.

- Gordon, a jak tam u ciebie wygląda sprawa? Czy twoje wypracowanie zostało znowu w całości przepisane z Internetu?

- Przecież zawsze pan mówi, że możemy korzystać ze wszystkich źródeł, jakie znajdziemy - bronił się Gordon, a wypowiadając to zdanie, zmienił wysokość głosu w obrębie dwóch oktaw.

- Czego chciał od was Whitman? - Cynthia Dale pochyliła się ku nam. - Co to był za segregator? I dlaczego on cię pogłaskał, Gwendolyn?

- Nie ma powodu do zazdrości, Cyn - powiedziała Leslie. - Naprawdę nie lubi nas bardziej niż ciebie.

- Ach, wcale nie jestem zazdrosna - odrzekła Cynthia. - To znaczy... Dlaczego wszyscy myślą, że jestem zakochana w tym facecie?

- Może dlatego, że jesteś przewodniczącą fanklubu Williama Whitmana? - podsunęłam.

- Albo może dlatego, że dwadzieścia razy napisałaś na kartce Cynthia Whitman, mówiąc, że chciałaś zobaczyć, jak to wygląda? - dodała Leslie.

- Albo dlatego, że...

- Już dobrze - syknęła Cynthia. - To było kiedyś. Dawno minęło.

- To było przedwczoraj - uściśliła Leslie.

- Od tego czasu dojrzałam i dorosłam. - Cynthia westchnęła i rozejrzała się po sali. - To wina tych wszystkich dzieciaków. Gdybyśmy miały choć kilku fajniejszych chłopaków w klasie, nie musiałabym się gapić na nauczyciela. A propos, co to właściwie za gość, który wczoraj przyjechał po ciebie limuzyną, Gwenny? Jest coś między wami?

Charlotta parsknęła z rozbawieniem, od razu ściągając na siebie uwagę Cynthii.

- Nie trzymaj mnie teraz w napięciu, Charlotta. Czy któraś z was coś z nim łączy?

Pan Whitman stanął tymczasem przy swoim stole i kazał nam zająć się sonetami Szekspira.

Wyjątkowo byłam mu za to bardzo wdzięczna. Lepszy Szekspir niż Gideon. Rozmowy wokół ucichły, ustępując miejsca westchnieniom i szelestowi kartek. Ale zdążyłam jeszcze usłyszeć to, co powiedziała Charlotta.

- No, Gwenny na pewno nie.

Leslie spojrzała na mnie ze zrozumieniem.

- Ona nie ma pojęcia - wyszeptała. - Właściwie można jej chyba tylko współczuć.

- Tak - odszepnęłam, ale w rzeczywistości współczułam jedynie samej sobie.

Popołudnie w towarzystwie Charlotty na pewno nie będzie największą przyjemnością.

Tym razem limuzyna czekała po lekcjach nie przed samą bramą, lecz dyskretnie stała nieco dalej.

Rudowłosy pan Marley chodził koło niej nerwowo tam i z powrotem i zrobił się jeszcze bardziej nerwowy, widząc, że idziemy w jego stronę.

- Ach, to pan - powiedziała Charlotta wyraźnie niezadowolona, a pan Marley oblał się rumieńcem.

Charlotta przez otwarte drzwi rzuciła okiem do wnętrza limuzyny. Był tam tylko kierowca i... Xemerius. Charlotta wyglądała na rozczarowaną, co z kolei mnie dodało rozpędu.

- Pewnie za mną tęskniłaś? - Xemerius z zadowoleniem uśmiechnął się na siedzeniu. Pan Marley zajął miejsce z przodu, a Charlotta usiadła obok mnie, w milczeniu patrząc przez okno. - To dobrze - rzekł Xemerius, nie czekając na moją odpowiedź. - Ale z pewnością rozumiesz, że mam jeszcze inne obowiązki niż pilnowanie ciebie.

Wywróciłam oczami, a Xemerius parsknął śmiechem.

Naprawdę za nim tęskniłam. Lekcje ciągnęły się jak guma do żucia i kiedy pani Counter bez końca rozprawiała o bogactwach naturalnych krajów nadbałtyckich, zatęskniłam za Xemeriusem i jego uwagami. Poza tym chciałam przedstawić go Leslie, jeśli to w ogóle możliwe. Leslie zachwyciła się bowiem moimi opisami, choć moje próby rysownicze wypadły dla tego małego demona-gargulca raczej mało pochlebnie.

„A cóż to za spinacze do bielizny? - spytała Leslie, pokazując namalowane przeze mnie rogi. - Wreszcie jakiś niewidzialny przyjaciel, który może ci się przydać - powiedziała z entuzjazmem. - No bo zastanów się: w przeciwieństwie do Jamesa, który tylko wystawał bez sensu w tej swojej niszy i narzekał na twoje złe maniery, gargulec może dla ciebie szpiegować i sprawdzać, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami”.

Ta myśl nie przyszła mi w ogóle do głowy. Ale faktycznie -dziś rano przy tej historii z tym rady... redy... z tym przestarzałym określeniem torebki Xemerius naprawdę okazał się bardzo użyteczny.

„Xemerius może być twoim asem w rękawie - uznała Leslie. - A nie tylko takim obraźliwym nierobem jak James”.

Niestety, jeśli chodzi o Jamesa, miała rację. James był... no właśnie, kim on w istocie był? Gdyby choć umiał brzęczeć łańcuchami albo spowodować, by żyrandol zaczął się huśtać, można byłoby go zapewne oficjalnie nazwać naszym szkolnym upiorem. James August Peregrin Pimplebottom był ładnym, mniej więcej dwudziestoletnim chłopcem w upudrowanej na biało peruce i surducie w kwiatki, i nie żył od dwustu dziewięćdziesięciu lat. Szkoła była niegdyś jego rodzinnym domem i jak większość duchów, nie chciał przyjąć do wiadomości tego, że umarł. Całe wieki naszego pozornego życia były dla niego jednym wielkim dziwnym snem, z którego wciąż miał nadzieję się obudzić. Leslie przypuszczała, że pewnie zwyczajnie przespał ten najważniejszy moment z tunelem, na którego końcu kusi mieniące się światło.

„Ale James wcale nie jest zupełnie bezużyteczny” - sprzeciwiłam się. W końcu dopiero dzień wcześniej postanowiłam, że James, jako dziecko osiemnastego wieku, mógłby mi być bardzo pomocny, na przykład jako nauczyciel fechtunku. Przez kilka godzin cieszyłam się wspaniałą wizją, że dzięki Jamesowi umiem obchodzić się ze szpadą tak zręcznie jak Gideon. Niestety, okazało się to wielką pomyłką.

Na naszej pierwszej (i pewnie ostatniej) lekcji fechtunku, w pustej klasie w czasie przerwy, Leslie zwijała się ze śmiechu. Oczywiście nie mogła zobaczyć Jamesa i jego ruchów, które wyglądały na bardzo profesjonalne, ani słyszeć jego komend: „Odparować, panno Gwendolyn, wystarczy odparować! Tercja! Prima! Tercja! Kwinta!”. Widziała tylko mnie, jak rozpaczliwie wymachuję w powietrzu wskaźnikiem pani Counter - walcząc z niewidzialną szpadą. Bezużyteczne. I śmieszne.

Naśmiawszy się do syta, Leslie uznała, że James powinien raczej nauczyć mnie czegoś innego, i wyjątkowo James był tego samego zdania. Fechtunek i w ogóle wszelkiego rodzaju umiejętności

walki to męska rzecz, powiedział, a najbardziej niebezpiecznym narzędziem, jakie dziewczynie wolno wziąć do ręki, jest igła do wyszywania.

„Bez wątpienia świat byłby lepszym miejscem, gdyby mężczyźni również przestrzegali tej zasady - powiedziała wtedy Leslie. - Ale póki tego nie robią, kobiety powinny być przygotowane. - I James o mało nie zemdłał, kiedy wyciągnęła z torby dwudziestocentymetrowej długości nóż. - Tym będziesz się mogła lepiej obronić, jeśli ten obrzydliwy facet z przeszłości jeszcze raz będzie się chciał do ciebie dobrać”.

„To wygląda jak...” - zaczęłam.

„...japoński nóż kuchenny - dokończyła. - Tnie warzywa i surowe ryby jak masło”.

Dreszcz przebiegł mi po plecach.

„Weź go tylko na wszelki wypadek - dorzuciła Leslie. - Tylko po to, żebyś czuła się odrobinę bezpieczniej. To jest najlepsza broń, jaką udało mi się w tak krótkim czasie zdobyć bez pozwolenia”.

Nóż wylądował tymczasem w mojej szkolnej torbie, w pokrowcu na okulary mamy Leslie przerobionym na pochwę, razem z taśmą klejącą, która, jeśli wierzyć mojej przyjaciółce, miała mi się jeszcze bardzo przydać.

Kierowca skręcił gwałtownie i Xemerius, który nie przytrzymał się w porę, poślizgnął się na gładkiej skórzanej tapicerce i uderzył w Charlotte. Szybko się pozbierał.

- Sztywna jak kolumna w kościele - skomentował i otrząsnął skrzydła. Spojrzał na nią z ukosa. - Będziemy ją teraz mieli na karku przez cały dzień.

-Niestety tak - odpowiedziałam.

-Co niestety tak? - spytała Charlotta.

-Niestety znowu jestem głodna, bo nie zdążyłam zjeść obiadu w szkole - wyjaśniłam.

- Sama jesteś sobie winna - odrzekła Charlotta. - Ale szczerze mówiąc, nie zaszkodzi ci zrzucić parę kilogramów. Przecież musisz zmieścić się w suknie, które madame Rossini przygotowała dla mnie.

Zacisnęła wargi i poczułam, że kiełkuje we mnie coś w rodzaju współczucia dla niej. Prawdopodobnie ogromnie się cieszyła, że będzie mogła nosić kostiumy od madame Rossini, a potem przysłała ja i wszystko popsułam. Oczywiście, nie celowo, ale zawsze.

- Suknię, w którą musiałam się wystroić na wizytę u hrabiego de Saint Germain, mam w domu w szafie - powiedziałam.

- Jeśli chcesz, to ci ją dam. Możesz ją włożyć na kolejną przebieraną imprezę u Cynthii. Założę się, że wszyscy padliby na twój widok.

- Ta suknia nie należy do ciebie - rzuciła oschle Charlotta.

- Jest własnością Strażników, nie możesz nią dysponować. Jej miejsce nie jest w twojej szafie. - Znowu spojrzała w okno.

- Bajuj, bajuj, bajuj - prychnął Xemerius.

Charlotta zachowywała się tak, że trudno ją było polubić, zawsze taka byta. Ale ta lodowata atmosfera działała na mnie przygnębiająco. Podjęłam kolejną próbę.

- Posłuchaj, Charlotta...

- Zaraz będziemy na miejscu - przerwała mi. - Taka jestem ciekawa, czy spotkamy kogoś z Kręgu Wewnętrznego. - Jej chmurna twarz nagle się rozjaśniła. - To znaczy oprócz tych, których już znamy. To ogromnie ekscytujące. W najbliższych dniach w Tempie będzie się wprost roiło od żyjących legend. W tych świętych salach znajdują się słynni politycy, laureaci Nagrody Nobla i odznaczeni naukowcy, a dla świata pozostanie to tajemnicą. Będzie tutaj Koppe Jótland, och, i Jonathan Reeves-Haviland... tak bardzo chciałabym uścisnąć mu dłoń. - Jak na siebie, Charlotta sprawiała wrażenie autentycznie zachwyconej.

Ja natomiast nie miałam pojęcia, o kim mówi. Pytając spojrzałam na Xemeriusa, ale on tylko wzruszył ramionami.

- Nigdy nie słyszałem o tych frajerach, *sorry* - rzucił.

- Nie można wiedzieć wszystkiego - odrzekłam z wyrozumiałym uśmiechem.

Charlotta westchnęła.

- Nie, ale nie zaszkodzi od czasu do czasu przeczytać poważną gazetę albo obejrzeć program informacyjny, żeby się dowiedzieć czegoś na temat aktualnej polityki światowej. Ale do tego trzeba jeszcze włączyć mózg... albo go w ogóle mieć.

Jak mówiłam, Charlotte trudno było polubić. Limuzyna zatrzymała się i pan Marley otworzył drzwi. Uderzyło mnie, że zrobił to od strony Charlotty.

- Pan Giordano oczekuje pań w Starym Refektorium -oznajmił pan Marley. - Mam tam panie zaprowadzić.

- Znam drogę. - Charlotta odwróciła się w moją stronę. - Chodź!

- Masz w sobie coś takiego, że ludzie chcą tobą rządzić -odezwał się Xemerius. - Iść z wami?

- Tak, proszę - powiedziałam, kiedy zanurzyliśmy się w wąskie uliczki Tempie. - Czuję się lepiej, kiedy jesteś koło mnie.

- Kupisz mi psa?

- Nie.
- Ale lubisz mnie, prawda? Myślę, że muszę się rzadziej pokazywać.
- Albo przydać się do czegoś - zauważyłam, myśląc o słowach Leslie.  
„Xemerius może być twoim asem w rękawie”. Miała rację. No bo dobrze mieć przyjaciela, który potrafi przenikać przez ściany.
- Nie wlecz się tak - powiedziała Charlotta.  
Szła razem z panem Marleyem kilka kroków przede mną i dopiero teraz rzuciło mi się w oczy, jak bardzo są do siebie podobni.
- Tak jest, panno Rottenmeier\* - odpowiedziałam.

---

\* Panna Rottenmeier - oschła guwernantka i ochmistrzyń z powieści szwajcarskiej pisarki Johanny Spyri *Heidi* z 1880 roku (przyp. tłum.).

*Meet the time as it seeks us. (Spotkajmy się z czasem, skoro nas szuka).*

William Szekspir, *Cymbelin*

**Powiem** to krótko: nauka z Charlotta i panem Giordanem była o wiele gorsza, niż mogłam to sobie wyobrazić. Głównie dlatego, że próbowano mnie nauczyć wszystkiego naraz: podczas gdy (ustrojona w krynolinę w białowisniewe paski, która wyglądała bardzo gustownie w połączeniu z bluzką z mojego mundurka w kolorze ziemniaczanego puree) zmagalam się z krokami menueta, miałam jednocześnie pojąć, czym poglądy polityczne wigów różniły się od poglądów torysów, jak należy trzymać wachlarz i na czym polega różnica między „waszą wysokością”, „waszą książęcą mością” i „wielmożnym panem”. Po godzinie

Ćwiczeniu siedemnastu rozmaitych sposobów otwierania wachlarza potwornie rozboleła mnie głowa i nie wiedziałam już, gdzie jest prawo, a gdzie lewo. Moja próba rozluźnienia tego wszystkiego za pomocą dowcipu - „Czy nie moglibyśmy zrobić małej przerwy, jestem zwieleniona do imentu” - też się nie spodobała.

- To nie jest śmieszne - powiedział przez nos Giordano. - To okropne. Stary Refektarz było to spore pomieszczenie na parterze, z wysokimi oknami wychodzącymi na wewnętrzny dziedziniec. Poza fortepianem i kilkoma krzesłami stojącymi pod ścianą nie było tu żadnych mebli.

Dlatego Xemerius, jak to często czynił, zwiesił się głową w dół z żyrandola i starannie złożył na plecach skrzydła. Pan Giordano przedstawił się.

- Giordano, tylko Giordano, proszę. Z wykształcenia historyk, słynny kreator mody, mistrz reiki, genialny projektant biżuterii, znany choreograf, adept trzeciego stopnia, ekspert od osiemnastego i dziewiętnastego wieku.

- Jasny gwint - powiedział Xemerius. - Chyba w dzieciństwie kapali go w zbyt gorącej wodzie.

Mogłam mu jedynie przyznać rację. Pan Giordano, przepraszam, tylko Giordano, do złudzenia przypominał jednego z tych kretyńskich sprzedawców na kanale zakupowym w telewizji, którzy zawsze mówili tak, jakby mieli na nosie spinacz do bielizny albo jakby pod stołem raterek wpijał im się właśnie w łydkę. Czekałam tylko, by wykrzywił swoje (powiększone?) usta w uśmiechu i powiedział: „A teraz, drodzy widzowie, przejdźmy do naszego modelu Brigitte. To domowa fontanna absolutnie pierwszej klasy, niewielka oaza szczęścia, i to jedynie za dwadzieścia siedem funtów, nieprawdopodobna okazja, po prostu musicie ją mieć, ja sam mam w domu dwie sztuki...”.

- Moja kochana Charlotte, helouuu, helouuuu, helouuu - powiedział, ale bez uśmiechu, i ucałował powietrze po prawej i lewej stronie jej głowy. - Słyszałem, co się stało, i uważam, że to jest nie-sły-cha-ne. Te wszystkie lata ćwiczeń i taki talent pójdą na marne. To wielka szkoda, skandal wołający o pomstę do nieba i ogromna niesprawiedliwość...! A to ona, tak? Twoja dublerka? - Mierzając mnie wzrokiem od stóp do głów złożył swoje wydatne wargi w dzióbek.

Nie mogłam się powstrzymać, gapiałam się na niego zafascynowana. Miał dziwną bojową fryzurę, która musiała zostać utrwalona niesłychaną ilością żelu i lakieru do włosów. Wąskie czarne wąsiki przecinały dolną część twarzy, jak rzeki przecinają mapę. Brwi były wyskubane i pociągnięte czymś w rodzaju czarnego markera i jeśli mnie wzrok nie mylił, miał upudrowany nos.

- I ja mam to na pojutrze wieczór wkomponować organicznie w *soiree* w 1782 roku? - powiedział.

Mówiąc „to”, najwyraźniej miał na myśli mnie. *Soiree* znaczyło coś innego. Pytanie tylko co.

- Hej, hej, coś mi się wydaje, że pan wydetousty cię obraża - odezwał się Xemerius. - Jeśli szukasz obelgi, którą mogłabyś mu rzucić w twarz, to jako sufler jestem do twojej dyspozycji.

„Wydetousty” wcale nie było takie złe.

- *Soiree* to wieczorna impreza, nudna jak flaki z olejem - ciągnął Xemerius. - Na wypadek, gdybyś nie wiedziała. Siedzi się razem po kolacji, pogrywa troszkę na pianoforte i próbuje nie zasnąć.

- Och, dziękuję - powiedziałam.

- Wciąż jeszcze nie mogę uwierzyć, że naprawdę chcą tak zaryzykować - rzekła Charlotta, przewieszając płaszcz przez oparcie krzesła. - To jest przecież sprzeczne z wszelkimi zasadami tajności puszczać Gwendolyn między ludzi. Wystarczy na nią spojrzeć, żeby zauważyć, że coś jest z nią nie tak.

- Och, święte słowa - zawołał Wydetousty. - Ale hrabia słynie ze swych ekscentrycznych humorów. Tam leży jej legenda. Włos się jeży! - Przeczytaj, proszę.

Moja, że co proszę? Legendy kojarzyłam do tej pory ze światem bajek. Albo z mapami.

Charlotta wertowała teczkę leżącą na fortepianie.

- Ona ma zagrać wychowanek barona Battena? A Gideon jego syna? Czy to jednak nie jest zbyt ryzykowne? Przecież tam może być ktoś, kto zna barona i jego rodzinę! Dlaczego nie zdecydowano się na francuskiego barona na wygnaniu?

Giordano westchnął.

- Nie dało się, ze względu na jej brak znajomości języków obcych. Zapewne hrabia chce nas wystawić na próbę. Będziemy musieli mu udowodnić, że uda nam się z tej dziewczyny zrobić osiemnastowieczną damę. Po prostu musimy! - Załamał ręce.

- Uważam, że skoro udało się to z Keirą Knightley, to uda się i ze mną - wtrąciłam z przekonaniem.

Przecież Keira Knightley, chyba najbardziej współczesna dziewczyna na świecie, okazała się wprost cudowna w filmach kostiumowych, nawet w tych durnowatych perukach.



- Keira Knightley? - Czarne brwi niemal dotknęły nasady nastroszonych włosów. - W filmie to może jeszcze ujdzie, ale gdyby Keira Knightley naprawdę znalazła się w osiemnastym wieku, nie minęłoby nawet dziesięć minut, a od razu by ją zdemaskowano. Samo to, jak śmiejąc się, pokazuje zawsze zęby, jak odrzuca głowę do tyłu i otwiera usta. W osiemnastym wieku nie zachowywałyby się tak żadna kobieta!

- A skąd pan to może tak dobrze wiedzieć? - zapytałam.

- Ze co proszę?

- Spytałam, skąd pan... Wydętousty spiorunował mnie wzrokiem.

- Powinniśmy od razu ustalić tutaj pierwszą zasadę. Oto ona: tego, co mówi mistrz, nie podaje się w wątpliwość.

- A kto jest mistrzem...? Och, rozumiem. To pan - powiedziałam i lekko poczerwieniałam, a Xemerius głośno zarechotał. - Okej. A więc śmiejąc się, nie pokazywać zębów. Na pewno to zapamiętam.

Z tym sobie chyba łatwo poradzę. Mało prawdopodobne, żebym na tym całym (tej całej?) *soiree* miała jakiś powód do śmiechu.

Mistrz Wydętousty, względnie uspokojony, opuścił brwi, a ponieważ nie mógł słyszeć Xemeriusa, który spod sufitu darł się na cały głos: „Jelop!”, rozpoczął ponury egzamin. Pytał mnie o politykę, literaturę i obyczaje około 1782 roku, a moje odpowiedzi (wiem, czego wtedy nie było - na przykład automatycznych splotek w toalecie i praw wyborczych dla kobiet) sprawiły, że ukrył twarz w dłoniach.

- Chyba się tu zaraz posikam ze śmiechu - zachichotał Xe-merius i niestety w końcu zaraził mnie swoją wesołością.

Musiałam naprawdę bardzo się starać, żeby nie parsknąć śmiechem.

- Myślałam, Giordano, że powiedziano ci, iż ona jest naprawdę absolutnie nieprzygotowana - odezwała się łagodnie Charlotta.

- Ale ja... przynajmniej podstawy... - Twarz mistrza wychynęła spod jego dłoni.

Nie odważyłam się spojrzeć, bo gdyby się okazało, że make-up mu się rozmazał, nie mogłabym za siebie ręczyć.

- A jak jest z twoimi umiejętnościami muzycznymi? - spytał. - Fortepian? Śpiew? Harfa? I jak wygląda sprawa z tańcem towarzyskim? Menuet *a dem* pewnie umiesz, ale co z innymi tańcami?

Harfa? Menuet *a dewc*? No jasne! Moje opanowanie diabli wzięli, zaczęłam chichotać bez opamiętania.

- Pięknie, że choć jedna osoba dobrze się tutaj bawi - powiedział Wydętousty wyraźnie zgorzony i to pewnie był ten moment, w którym postanowił mnie dręczyć tak długo, aż przejdzie mi ochota do śmiechu.

I wcale nie zabrało mu to zbyt wiele czasu. Już kwadrans później czułam się jak najgorszy głupek i nieudacznik. I nie pomogło nawet to, że Xemerius pod sufitem starał się podtrzymywać mnie na duchu.

- No, dawaj, Gwendolyn, pokaż tym sadystom, że masz głowę na karku!

Niczego bardziej nie pragnęłam. Ale niestety jej nie miałam.

- *Tour de main*, lewa ręka, okropnie, z prawej. Cornwallis skapitulował, a lord North wycofał się w 1782 roku, co doprowadziło do... z prawej... nie, z prawej! Wielkie nieba! Charlotte, proszę, pokaż jej to jeszcze raz!

Charlotta pokazała. Trzeba przyznać, że tańczyła cudownie, u niej sprawiało to wrażenie dziecięcej igraszki.

I w gruncie rzeczy przypominało dziecięcą zabawę. Szło się do przodu, potem do tyłu, a potem dookoła, wciąż uśmiechając się - bez pokazywania zębów. Muzyka płynęła z głośników ukrytych w boazerii, ale muszę powiedzieć, że to akurat nie był ten rodzaj muzyki, przy której nogi same podskakują.

Może zdołałabym lepiej zapamiętać kolejność kroków, gdyby Wydętousty nie paplał przy tym przez cały czas.

- A więc od 1779 roku także wojna z Hiszpanią... teraz *mouline*, proszę, czwartego tancerza musimy sobie po prostu wyobrazić, i rewerans, tak jest, trochę więcej wdzięku, proszę.

Jeszcze raz od początku, nie zapominać o uśmiechu, głowa prosto, broda do góry, właśnie dopiero co Wielka Brytania utraciła Amerykę Północną, mój Boże, w prawo, ręka na wysokości piersi i wytrzymać, to brutalny cios, opinia o Francuzach nie jest dobra, za brak patriotyzmu uważa się... nie patrzeć na nogi, w tym ubraniu i tak ich nie widać.

Charlotta ograniczała się do nagłych dziwacznych pytań (kto w 1782 roku był królem Burundi?) i permanentnego kręcenia głową, co pozbawiało mnie resztek pewności siebie.

Po godzinie Xemeriusowi się znudziło. Z łopotem sfrunął z żyrandola, pomachał do mnie i zniknął, przenikając przez ścianę. Chętnie poprosiłabym go, by rozejrzał się za Gideo-nem, ale nie było to wcale konieczne, bo po upływie kolejnego kwadransa męki z menuetem Gideon i pan George wkroczyli do Starego Refektarza. Zdążyli jeszcze zobaczyć, jak ja, Charlotta i Wydętousty razem z nieobecnym czwartym tancerzem wykonywaliśmy figurę, którą Wydętousty nazywał *le chain* i przy której musiałam podać niewidzialnemu partnerowi rękę. Niestety, podałam niewłaściwą.

- Prawa ręka, prawe ramię, lewa ręka, lewe ramię - zawołał gniewnie Wydętousty. - Czy to takie trudne? Popatrz tylko, jak robi to Charlotta, tak jest, doskonale!

Doskonała Charlotta nie przerwała tańca, już dawno zauważywszy, że mamy gości, podczas gdy ja, boleśnie dotknięta, stanęłam w miejscu i najchętniej zapadłabym się pod ziemię.

- Och - powiedziała w końcu Charlotta, zachowując się tak, jakby dopiero teraz dostrzegła pana George'a i Gideona.

Pochyliła się we wdzięcznym reweransie, który - tyle już wiedziałam - był rodzajem dygu, jaki wykonywało się w menuecie na początku i na końcu, a od czasu do czasu także w trakcie. Powinno to być wyglądać zupełnie idiotycznie, bo miała na sobie szkolny mundur, a jednak wyglądało jakoś tak... słodko.

Od razu poczułam się źle z dwóch powodów: po pierwsze, ze względu na ten krynolinowy koszmar w białoczerwone paski do bluzki od mundurka (przypominałam w tym jeden z plastikowych pacholków, które stawia się na jezdni, żeby odgrodzić miejsce robót drogowych), po drugie, ponieważ Wydętousty nie czekał ani chwili, żeby na mnie ponarzekać.

- Nie wie, gdzie prawo, a gdzie lewo... chodząca niezdar-ność... ociążałość umysłowa... zadanie nie do wykonania... okropne... z kaczki nie zrobisz łabędzia... w żadnym wypadku nie może uczestniczyć w tym *soiree*, nie wywołując poruszenia... proszę tylko spojrzeć!

Pan George popatrzył na mnie, Gideon także, a ja zaczerwieniłam się jak burak. Jednocześnie poczułam, jak wzbiera we mnie wściekłość. Dostyc tego dobrego! Pospiesznie odpięłam guziki spódnicy razem z wyściełanym rusztowaniem z drutu, które Wydętousty zapiął mi na biodrach.

- Nie wiem, dlaczego w osiemnastym wieku mam rozmawiać o polityce - zawołałam ze złością. - Przecież dziś też tego nie robię. Nie mam o tym najmniejszego pojęcia. I co z tego? Jak mnie ktoś zapyta o markiza Jakiegoś, po prostu powiem, że polityka mnie kompletnie nie interesuje. A jeśli ktoś będzie chciał koniecznie zatańczyć ze mną menueta, co zresztą uważam za wykluczone, bo nie znam nikogo z osiemnastego wieku, to wtedy powiem: nie, dziękuję, to bardzo miłe, ale skręciłam sobie nogę. Potrafię to zrobić z uśmiechem, nie pokazując zębów.

- Widzą panowie, co mam na myśli? - spytał Wydętousty i znowu załamał ręce. Najwyraźniej taki miał nawyk. - Nawet śladu dobrych chęci, a do tego przerażająca niewiedza i brak talentu we wszystkich dziedzinach. A potem wybucha śmiechem jak pięciolatka, tylko dlatego, że padło nazwisko lorda Sandwicha.

Och, tak, lord Sandwich. Nie do wiary, że on się tak naprawdę nazywał. Biedny gość.

- Ona na pewno... - zaczął pan George, ale Wydętousty wszedł mu w słowo.

- W odróżnieniu od Charlotty ta dziewczyna nie ma w ogóle... *espliegleriel*

Ach! Cokolwiek to było, skoro Charlotta to miała, ja wcale nie chciałam tego mieć.

Charlotta wyłączyła muzykę i usiadła do fortepianu, skąd słała Gideonowi konspiracyjne uśmieszki. On odpowiadał jej uśmiechem.

Mnie natomiast zaszczycił dokładnie jednym spojrzeniem, ale w tym spojrzeniu było wszystko. I to nie w pozytywnym znaczeniu. Przypuszczalnie wstydził się, że jest w jednym pokoju z taką nieudacznicą jak ja. A w dodatku najwyraźniej aż za dobrze wiedział, jak wspaniale wygląda, w spranych dżinsach i obcisłej czarnej koszulce. Z jakiegoś powodu wściekłam się jeszcze bardziej. O mało nie zaczęłam zgrzytać zębami.

Pan George patrzył zmartwiony to na mnie, to na Wydęto-ustego.

- Da pan radę, Giordano - powiedział, zmarszczywszy z troską czoło. - W osobie Charlotty ma pan przecież fachową asystentkę. Poza tym jest jeszcze kilka dni.

- Nawet gdyby to były tygodnie! W żadnym wypadku nie starczy nam czasu, żeby przygotować ją na wielki bal - odparł Wydętousty. - Może na *soiree*, w wąskim kręgu i przy dużym szczęściu, ale na bal, i to zapewne z udziałem pary książęcej... zupełnie wykluczone. Mogę tylko przypuszczać, że hrabia pozwolił sobie na żart.

Spojrzenie pana George'a stało się chłodne.

- Z całą pewnością nie - rzucił. - I z całą pewnością nie leży w pana kompetencjach podawać w wątpliwość decyzje hrabiego. Gwendolyn da sobie radę, prawda, Gwendolyn?

Nie odpowiedziałam. Moje poczucie własnej wartości w ciągu ostatnich dwóch godzin zostało zbyt mocno zmaltretowane. Gdyby chodziło tylko o to, by zanadto nie rzucać się w oczy - dałabym radę. Po prostu stanęłabym sobie w kącie, dyskretnie machając wachlarzem. Albo może lepiej nie machając, bo nie wiadomo, czy to czasem coś nie znaczy. Po prostu stałabym i uśmiechałabym się, nie pokazując zębów. Oczywiście nikt nie mógłby mi w tym przeszkadzać ani pytać mnie o markiza Staf-forda, a już na pewno nie prosić do tańca.

Charlotta zaczęła cicho brzdąkać na fortepianie. Grała bardzo miłą melodyjkę w stylu muzyki, do której tańczyliśmy. Gideon stanął obok niej, ona spojrzała na niego i szepnęła coś, czego nie dosłyszałam, bo Wydętousty głośno westchnął.

- Próbowaliśmy nauczyć ją podstawowych kroków menueta w konwencjonalny sposób, ale obawiam się, że musimy sięgnąć po inne metody.

Mimo woli musiałam podziwiać Charlotte za jej umiejętność jednoczesnej rozmowy, spoglądania Gideonowi w oczy, pokazywania zachwycających doleczków i gry na fortepianie.

Wydętousty w dalszym ciągu lamentował.

- Może pomogłyby wykresy albo znaki kredą na podłodze, do tego powinniśmy...

- Już jutro będziemy mogli kontynuować naukę - przerwał mu pan George. - Teraz Gwendolyn musi poddać się elapsji. Idziesz, Gwendolyn?

Z ulgą skinęłam głową i chwyciłam swoją szkolną torbę i płaszcz. Nareszcie wolna. Teraz ogarnęło mnie pełne napięcia oczekiwanie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zostanę dziś wysiana do czasów po moim spotkaniu z dziadkiem i znajdę w tajemnej skrytce klucz i hasło dnia.

- Daj, poniosę. - Pan George wziął ode mnie torbę i uśmiechnął się zachęcająco. - Jeszcze cztery godziny i będziesz mogła pojechać do domu. Wydajesz się dziś znacznie mniej zmęczona niż wczoraj. Znajdziemy ci

ładny, spokojny rok - na przykład 1953? Gideon mówi, że w pra... w pomieszczeniu z chronogra-fem było wtedy całkiem przytulnie. Ponoć stała tam nawet sofa.

- 1953 rok jest idealny - powiedziałam, starając się nie zdradzać swojego entuzjazmu.

Pięć lat po moim ostatnim spotkaniu z Lucasem! Można było oczekiwać, że przez ten czas się czegoś dowiedział.

- Aha, Charlotta, pani Jenkins zamówiła ci samochód, możesz już skończyć na dzisiaj.

Charlotta przestała grać.

- Tak, panie George - odrzekła uprzejmie, po czym przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się do Gideona. - Ty też już skończyłeś na dzisiaj?

Co takiego? Może go jeszcze zapyta, czy pójdzie z nią do kina? W napięciu wstrzymałam oddech.

Ale Gideon potrząsnął głową.

- Nie. Będę towarzyszył Gwendolyn.

Charlotta i ja spojrzaliśmy na siebie jednakowo zaskoczone.

- Nie będziesz - wtrącił pan George. - Już dawno wyczerpałeś swój kontyngent na dzisiaj.

- Wyglądasz na zmęczonego - zauważyła Charlotta. -1 trudno się dziwić. Powinieneś wykorzystać ten czas na sen.

Wyjątkowo byłam tego samego zdania co ona. Jeśli Gideon uda się ze mną, nie będę mogła ani wyciągnąć klucza, ani spotkać się z moim dziadkiem.

- Beze mnie Gwendolyn spędzi cztery zupełnie bezsensowne godziny w piwnicy - powiedział Gideon. - A jeśli z nią pójde, będzie mogła się w tym czasie czegoś nauczyć. - I dodał z lekkim uśmiechem: - Na przykład jak odróżnić lewą stronę od prawej. Menueta też przecież można się nauczyć.

Co proszę? Rany boskie - tylko nie znowu lekcje tańca!

- Próżny trud - rzekł Wydętousty.

- Muszę jeszcze odrobić lekcje - powiedziałam tak nieuprzejmie, jak to tylko było możliwe. - Poza tym na jutro mam napisać wypracowanie z Szekspira.

- W tym też ci mogę pomóc - zaoferował się Gideon i spojrzał na mnie.

Nie potrafiłam zinterpretować jego spojrzenia. Komuś, kto go nie znał, mogłoby się wydawać niewinne, ale nie mnie.

Charlotta wprawdzie dalej się uśmiechała, lecz już bez tych ślicznych dołączków.

Pan George wzruszył ramionami.

- Jak chcecie. Gwendolyn nie będzie przynajmniej sama i nie będzie się musiała bać.

- Ja właściwie czasami bardzo lubię być sama - powiedziałam z desperacją. - Przede wszystkim wtedy, kiedy cały dzień jestem wśród ludzi, tak jak dzisiaj.

Wśród ludzi głupich jak but.

- Ach, tak? - wtrąciła drwiąco Charlotta. - Ale i tak nigdy nie jesteś tak całkiem sama, przecież koło ciebie są zawsze twoi niewidzialni przyjaciele, nieprawdaż?

- No właśnie - potwierdziłam. - Tylko byś mi przeszkadzał, Gideonie.

Idź lepiej z Charlotta do kina. Jeśli o mnie chodzi, możecie nawet założyć razem klub książki!

Tak sobie pomyślałam. Ale czy faktycznie to miałam na myśli? Z jednej strony, niczego nie pragnęłam bardziej, niż porozmawiać z moim dziadkiem i wypytać go, czy dowiedział się czegoś na temat zielonego jeźdźca. Z drugiej strony, w moim mózgu pojawiły się wspomnienia tych „och” i „mmm”, i „jeszcze” z poprzedniego dnia.

Cholera! Musiałam się wziąć w garść i pomyśleć o tym wszystkim, co uważałam w Gideonie za godne pogardy.

Ale on nie dał mi na to czasu. Otworzył przede mną i panem George'em drzwi.

- Chodź, Gwendolyn! Ruszamy do 1953 roku!

Byłam niemal pewna, że Charlotta wypaliłaby mi wzrokiem dziury w plecach, gdyby tylko potrafiła.

W drodze do dawnej pracowni alchemicznej pan George zawiązał mi oczy - nie zapominając mnie za to przeprosić -a potem, wzdychając, ujął moją dłoń. Gideon musiał nieść moją torbę.

- Wiem, że pan Giordano nie jest łatwym człowiekiem - powiedział pan George, kiedy szliśmy w dół krętymi schodami. -Ale może mogłabyś się trochę postarać.

- To on mógłby się trochę postarać! - parsknęłam. - Mistrz reiki, genialny projektant biżuterii, kreator mody... czegoż on szuka u Strażników? Myślałam, że to są najwyższej próby naukowcy i politycy!

- Pan Giordano jest swego rodzaju barwnym ptakiem wśród Strażników - przyznał pan George. - Ale to znakomity umysł. Prócz jego egzotycznych... hmmm... profesji jest uznanym historykiem i...

- ...i kiedy pięć lat temu opublikował artykuł na temat nieznanych do tej pory źródeł dotyczących pewnego tajnego londyńskiego stowarzyszenia powiązanego z wolnomularzami i legendarnym hrabią de Saint Germain, Strażnicy niezwłocznie postanowili bliżej go poznać - uzupełnił idący z przodu Gideon. Jego głos odbijał się od kamiennych ścian.

Pan George chrząknął.

- Ekhm, tak, to też. Uwaga, stopień.

- Rozumiem - powiedziałam. - A więc Giordano został przyjęty do stowarzyszenia Strażników, aby nic nie rozgadał. A cóż to były za nieznanne źródła?

- Każdy członek daje stowarzyszeniu coś, co je wzmacnia - rzekł pan George, puszczając mimo uszu moje pytanie. - A umiejętności pana Giordana są szczególnie rozległe.

- Bez wątplenia - rzuciłam. - Który mężczyzna potrafi sam sobie przylepić na paznokciu kamyczek z ulicy?

Usłyszałam, że pan George kaszle, jakby się zakrztusił. Przez chwilę szliśmy obok siebie w milczeniu. Nie było nawet słycać kroków Gideona, więc przyjął, że poszedł przodem (przez moją opaskę na oczach posuwaliśmy się bowiem w ślimaczym tempie). W końcu zebrałam się na odwagę.

- Niech mi pan powie, po co konkretnie mam iść na to *soiree* i na ten bal? - zapytałam cicho.

- Och, nikt cię o tym nie poinformował? Gideon był wczoraj wieczorem, a raczej w nocy, u hrabiego, aby udzielić mu wyjaśnień w związku z waszymi ostatnimi... przygodami. I powrócił z listem, w którym hrabia wyraźnie sobie życzy, byście oboje, ty i Gideon, towarzyszyli mu na *soiree* u lady Brompton, a kilka dni później udali się z nim na wielki bal. Zapowiada się także popołudniowa wizyta w Tempie. A wszystko po to, by hrabia bliżej cię poznał.

Pomyślałam o swoim pierwszym spotkaniu z hrabią i przeszył mnie dreszcz.

- Rozumiem, że chciałby mnie lepiej poznać. Ale dlaczego chce, bym się pokazała wśród obcych ludzi? Czy to rodzaj jakiegoś testu?

- Raczej dowód na to, że nie ma sensu trzymać cię od wszystkiego z dala. Szczerze mówiąc, bardzo się ucieszyłem z tego listu. To znaczy, że hrabia wierzy w ciebie bardziej niż niejeden spośród panów Strażników, którzy uważają, że jesteś tylko swego rodzaju statystką w tej grze.

- I zdrajczynią - dodałam, myśląc o doktorze Whicie.

- Albo zdrajczynią - powiedział pan George bez namysłu. - Zdania są tu podzielone. No, jesteśmy na miejscu, moja panno. Możesz zdjąć opaskę z oczu.

Gideon już na nas czekał. Spróbowałam raz jeszcze się go pozbyć, oświadczając, że muszę się nauczyć na pamięć sonetu Szekspira, a mogę to zrobić jedynie na głos, ale on tylko wzruszył ramionami i oznajmił, że ma przy sobie iPod'a i że w ogóle nie będzie mnie słyszał. Pan George wyjął chronograf z sejfu i przypomniał nam, byśmy nic tam nie zostawili. - Nawet najmniejszego skrawka papieru, słyszysz, Gwendolyn? Całą zawartość swojej szkolnej torby przyniesiesz tu z powrotem. I samą torbę oczywiście też. Zrozumiano?

Skinęłam głową, wyjęłam Gideonowi torbę z ręki i przycisnęłam ją mocno do siebie. Potem podałam panu George'owi palec. Tym razem jednak mały palec - wskazujący był już za bardzo zmaltretowany ukłuciami igły.

- A jeśli ktoś wejdzie do pomieszczenia, kiedy tam będziemy?

- Nikt nie wejdzie - zapewnił Gideon. - Tam jest teraz środek nocy.

- No i co z tego? Przecież ktoś mógłby wpaść na pomysł, by zorganizować tam inspiracyjne spotkanie.

- Konspiracyjne - poprawił mnie Gideon. - Jeśli już.

- Co takiego?

- Nie martw się - rzekł pan George i wsunął mój palec przez otwartą klapkę do wnętrza chronografu.

Zagryzłam wargi, gdy w żołądku poczułam dobrze znane wrażenia rodem z kolejki górskiej, a igła wwierciła mi się w ciało. Pokój spowilo rubinowoczerwone światło, a potem wylądowałam w całkowitych ciemnościach.

- Halo? - spytałam cicho, ale nikt mi nie odpowiedział. Sekundę później wylądował obok mnie Gideon i natychmiast zaświecił latarkę.

- Widzisz, nawet całkiem tu przytulnie - powiedział. Podeszedł do drzwi i zapalił światło.

Z sufitu w dalszym ciągu zwisała goła żarówka, ale reszta wyraźnie zyskała od czasu mojej ostatniej wizyty. Najpierw spojrzałam na ścianę, w której Lucas zamierzał urządzić naszą tajemną skrytkę. Stały pod nią krzesła, ustawione jedno na drugim, ale znacznie porządniej niż poprzednio. Nie było gruzu, a w porównaniu z ostatnim razem pokój był wręcz czysty i przede wszystkim bardziej pusty. Poza krzesłami pod ścianą stały jeszcze stół i sofa obita wytartym zielonym aksamitem.

- Tak, rzeczywiście teraz o wiele tu przytulniej niż w czasie mojej ostatniej wizyty. Przez cały czas się bałam, że wyjdzie sznur i zacznie mnie podgryzać.

Gideon nacisnął klamkę i szarpnął nią. Drzwi byty zamknięte.

- Raz te drzwi były otwarte - powiedział, szczerząc zęby. - To był naprawdę piękny wieczór. Tajemny korytarz prowadzi stąd do Pałacu Sprawiedliwości. I schodzi jeszcze niżej, do katakumb z kośćmi i czaszkami... A całkiem niedaleko stąd znajduje się... w roku 1953... piwniczka z winem.

- Przydałby się klucz - westchnęłam, zerkając na ścianę. Gdzieś tam, za obluzowaną cegłą, leżał klucz. Jaka szkoda,

że na nic mi się teraz nie przyda. Ale przyjemnie było wiedzieć coś, o czym Gideon wyjątkowo nie miał pojęcia.

- Piłeś to wino?

- A jak myślisz? - Gideon wziął jedno z krzesel i postawił je przy stole. - To dla ciebie. Miłego odrabiania lekcji.

- Och, dziękuję.

Usiadłam, wyjęłam z torby książki i zachowywałam się tak, jakby lekcje pochłonęły mnie całkowicie. Tymczasem Gideon wyciągnął się na sofie, wyjął z kieszeni spodni iPod'a i wetknął sobie słuchawki do uszu.

Po dwóch minutach zaryzykowałam zerknięcie na niego i zobaczyłam, że ma zamknięte oczy. Czyżby zasnął? Właściwie trudno się dziwić, biorąc pod uwagę, że dziś w nocy znowu podróżował.

Na chwilę zatraciłam się w obserwowaniu jego prostego długiego nosa, bladej cery, miękkich ust i gęstych, długich rzęs. Gdy był taki zrelaksowany, sprawiał wrażenie znacznie młodszego i teraz mogłam całkiem łatwo sobie wyobrazić, jak wyglądał jako mały chłopiec. Z pewnością był prześliczny. Jego pierś unosiła się i opadała rytmicznie i wpadło mi do głowy, że może zaryzykuję... nie, to było zbyt niebezpieczne. Nie powinnam nawet patrzeć na tę ścianę, jeśli chciałam, by tajemnica moja i Lucasa nie wyszła na jaw.

Ponieważ nie miałam nic innego do roboty, bo nie mogłam przecież cztery godziny bez przerwy przyglądać się śpiącemu Gideonowi (choć miało to swój urok), zajęłam się wreszcie pracą domową: najpierw bogactwami naturalnymi Kaukazu, potem francuskimi czasownikami nieregularnymi. W wypracowaniu

Ożyciu i twórczości Szekspira brakowało już tylko zakończenia

I bez wahania zawarłam je w jednym zdaniu: „Ostatnie pięć lat swojego życia Szekspir spędził w Stratford-upon-Avon, gdzie zmarł w 1616 roku”. Koniec, kropka. Teraz musiałam się jeszcze nauczyć sonetu na pamięć. Ponieważ wszystkie były tak samo długie, wybrałam jeden na chybił trafił.

- *Mine eye and heart are at a mortal war, how to divide the conquest of thy sight\** - odczytałam na głos.

- Masz na myśli mnie? - spytał Gideon, usiadł i wyciągnął zatyczki z uszu.

Nie mogłam poradzić nic na to, że oblałam się rumieńcem.

- To Szekspir - odrzekłam. Gideon się uśmiechnął.

- *Mine eye my heart thy picture's sight would bar, my heart mine eye the freedom of that right\*\**... albo coś w tym stylu.

- Dość dokładnie tak - powiedziałam, zamykając książkę.

- Jeszcze się wcale nie nauczyłaś - zauważył Gideon.

- Do jutra i tak bym zapomniała. Najlepiej nauczę się jutro rano tuż przed szkołą, wtedy będę miała szansę pamiętać to aż do lekcji angielskiego z panem Whitmanem.

- Tym lepiej! A zatem możemy poćwiczyć menueta. - Gideon wstał. - W każdym razie miejsca mamy dość.

- Och, nie! Proszę, nie!

Ale Gideon już się przede mną skłonił.

- Czy mogę prosić panią do tańca, panno Shepherd?

- Zatańczyłabym z największą przyjemnością, mój panie - odrzekłam i powachlowałam się książką z sonetami Szekspira. - Lecz niestety skrzyłam nogę. Może zaprosi pan moją kuzynkę. Tę damę w zieleni. - Wskazałam na sofę. - Chętnie panu pokaże, jak pięknie umie tańczyć.

- Ale ja chciałbym zatańczyć z panią. Jak tańczy pani kuzynka, wiem od dawna.

- Mam na myśli moją kuzynkę sofę, a nie moją kuzynkę Charlotte - powiedziałam. - Zapewniam cię... znaczy... pana, że sofa dostarczy panu o wiele więcej radości niż Charlotta. Może nie jest aż tak urocza, ale jest bardziej miękka, ma znacznie więcej wdzięku i po prostu lepszy charakter. Gideon się roześmiał.

- Ja jednak jestem zainteresowany wyłącznie panią. Proszę okazać mi tę łaskę.

- Ale taki dżentelmen jak pan weźmie chyba pod uwagę moją skrzyconą nogę.

- Nie, żałuję, ale nie. - Gideon wyjął iPod'a z kieszeni spodni. - Trochę cierpliwości, orkiestra zaraz zacznie grać. - Wetknął mi słuchawki do uszu i podniósł mnie z krzesła.

- O, fajnie, Linkin Park - powiedziałam, a serce zaczęło mi mocniej bić, bo nagle Gideon znalazł się tak blisko mnie.

- Co? Przepraszam, jedna chwila. - Jego palce biegały po wyświetlaczu. - No. Mozart. Jest okej. - Podał mi iPod'a. - Włóż go do kieszeni spodni, musisz mieć wolne obie ręce.

- Ale ty w ogóle nie słyszysz muzyki - zawołałam, bo skrzypce szumiały mi w uszach.

- Słyszę dostatecznie dobrze, nie musisz tak krzyczeć. Okej, wyobraźmy sobie, że mamy ustawienie w ósemkę. Po mojej lewej stronie stoi jeszcze jeden pan, po prawej aż dwóch, równiutko, w jednym rzędzie. Po twojej stronie to samo, lecz są tam damy. Rewerans, proszę.

Dygnęłam i ociągając się, podałam mu rękę.

- Ale pamiętaj, że natychmiast przerwę, jak tylko powiesz do mnie „okropnie”!

- Nigdy bym tego nie zrobił - odparł Gideon i poprowadził mnie prosto obok sofy. - W tańcu chodzi przede wszystkim o elegancką konwersację. Czy wolno spytać, skąd wzięła się u pani ta niechęć do tańca? Większość młodych dam kocha taniec.

- Cśś, muszę się skoncentrować. - Do tej pory szło mi całkiem dobrze. Aż byłam zaskoczona. *Tour de main* wyszło bez zarzutu, raz od lewej, raz od prawej. - Możemy to powtórzyć?

- Nie opuszczaj brody, o tak, właśnie. I patrz na mnie. Nie możesz odwracać ode mnie oczu, niezależnie od tego, jak przystojny jest mój sąsiad.

Musiałam się uśmiechnąć. Co to teraz było? Domagał się komplementów? Nie, tej przysługi mu nie zrobię. Choć musiałam przyznać, że Gideon naprawdę dobrze tańczył. Z nim było zupełnie inaczej niż z Wydętoustym

\* „Śmiertelną wojnę serce z okiem toczy, jak mają łupy z twej istoty dzielić” - z sonetu XLVI Williama Szekspira, przeł. M. Słomczyński (przyp. red.).

\*\* „Twój widok pragną zabrać sercu oczy, a serce nie chce im tego udzielić”, przeł. M. Słomczyński (przyp. red.).

- wszystko działało się jakby samo. Stopniowo nawet zaczynałam czerpać z tego menueta trochę przyjemności. Gideon też to zauważył.

- No, proszę, jednak potrafisz. Prawa ręka, prawe ramię, lewa ręka, lewe ramię... bardzo dobrze.

Miał rację. Umiałam! Właściwie to było dziecinnie łatwe. Triumfująco zakręciłam kółko z jednym z niewidzialnych tancerzy, a następnie znowu podałam rękę Gideonowi.

- Ha! Wdzięk wiatraka! Dobrze sobie! - powiedziałam.

- Absolutnie trafne porównanie - zgodził się ze mną Gideon. - Tyle że z każdym wiatrakiem spokojnie wygrasz w przed-biegach.

Zachichotałam. A potem się wzdrygnęłam.

- Ups, znowu leci Linkin Park.

- Nieważne.

I podczas gdy w uszach dźwięczało mi *Papercut*, Gideon przeprowadził mnie bezbłędnie przez ostatnią figurę, po czym się skłonił. Nieomal zrobiło mi się smutno, że to już koniec.

Zrobiłam głęboki rewerans i wyjęłam słuchawki z uszu.

- Proszę. To bardzo miło z twojej strony, że mnie nauczyłeś.

- Czysty egoizm - powiedział Gideon. - Przecież w razie czego skompromitowałabyś również mnie, zapomniałaś już?

- Nie.

Mój dobry humor w sekundę się ulotnił. Odruchowo znów powędrowałam spojrzeniem ku ścianie z krzesłami.

- Hej, jeszcze nie skończyłem - rzekł Gideon. - To było wprawdzie bardzo ładne, ale jeszcze nie doskonałe. Skąd nagle ten ponury wzrok?

- Jak myślisz, dlaczego hrabia de Saint Germain koniecznie chce, żebym poszła na *soiree* i na bal? Przecież mógłby mnie po prostu wysłać tutaj, do Tempie, i wtedy nie byłoby niebezpieczeństwa, że się skompromituję. Nikt by się na mój widok nie zdziwił i mogłoby już tak trwać do przyszłych pokoleń.

Gideon przez chwilę patrzył na mnie.

- Hrabia bardzo niechętnie odkrywa swoje karty - odrzekł - ale za każdą z nich kryje się genialny plan. Ma konkretne podejrzenia co do mężczyzn, którzy napadli na nas w Hyde Parku, i myślę, że prezentując nas w szerszym towarzystwie, chce wywabić z kryjówek tego lub tych, którzy pociągają za sznurki.

- Och - westchnęłam. - Myślisz, że znowu zostaniemy napadnięci przez tych ze szpadami?

- Nie, dopóki będziemy wśród ludzi. - Usiadł na oparciu sofy i skrzyżował ręce na piersi. - A jednak uważam, że to zbyt niebezpieczne, przede wszystkim dla ciebie.

Oparłam się o krawędź stołu.

- Czy w związku z tą historią w Hyde Parku podejrzewałeś Lucy i Paula?

- Tak i nie - odrzekł Gideon. - Taki człowiek jak hrabia de Saint Germain w ciągu swojego życia przysporzył sobie wielu wrogów. W *Kronikach* można znaleźć kilka raportów na temat zamachów na jego życie. Podejrzewam, że Lucy i Paul, chcąc osiągnąć swój cel, sprzymierzyli się z jednym lub z kilkoma spośród tych wrogów.

- Hrabia też tak uważa?

- Mam nadzieję. - Gideon wzruszył ramionami. Zastanawiałam się przez chwilę.

- Jestem za tym, żebyś znowu złamała zasady i wziął ze sobą pistolet Bonda - oznajmiłam. - Te wszystkie typki ze szpadami będą się mogły schować. A właściwie skąd go masz? Też bym się lepiej czuła, mając coś takiego.

- Broń, z którą człowiek nie umie się obchodzić, zostaje z reguły użyta przeciw niemu - powiedział Gideon.

Pomyślałam o japońskim nożu do warzyw. Niemiła wizja, gdyby ktoś miał go użyć przeciw mnie.

- Czy Charlotta jest dobra w szermierce? Znowu wzruszenie ramion.

- Brała lekcje fechtunku od dwunastego roku życia. Oczywiście, że jest dobra.

Oczywiście. Charlotta we wszystkim była dobra. Prócz bycia miłą.

- Hrabiemu na pewno by się spodobała - rzuciłam. - Ja najwyraźniej nie jestem w jego typie.

Gideon się roześmiał.

- Jeszcze możesz zmienić jego opinię o tobie. Przede wszystkim właśnie dlatego chciałby cię poznać lepiej, żeby sprawdzić, czy dotyczące ciebie przepowiednie nie są jednak prawdziwe.

- Z tą magią kruka? - Jak zawsze, kiedy rozmowa schodziła na ten temat, poczułam się nieswojo. - Czy przepowiednie zdradzają też, o co w nich chodzi?

Gideon ociągał się przez chwilę, a potem powiedział cicho:

- „Kruk, na skrzydłach z rubinu niesiony, między światami brzmi umarłych muzyka, siły jeszcze nie poznał i nie zna też ceny, moc głowę podnosi i krąg się zamyka”. - Odchrząknął. - Masz gęsią skórę.

- Bo to tak niesamowicie brzmi. Przede wszystkim ta muzyka umarłych. - Roztarłam sobie ramiona. - Czy to ma dalszy ciąg?

- Nie. To mniej więcej wszystko. Musisz przyznać, że niespecjalnie do ciebie pasuje, prawda?

Tak, chyba miał rację.

- Czy w tej przepowiedni jest coś o tobie?

- Oczywiście. O każdym podróżniku w czasie. Jestem lwem z diamentową grzywą, na którego widok słońce... - Nagle jakby się zmieszał, a po chwili z uśmiechem rzucił: - Bla, bla, bla. Och, a twoja prapraprababka, ta uparta lady Tilney, jest lisem, jodeitowym lisem, kryjącym się pod lipą.

- Czy z tej przepowiedni można się w ogóle czegoś dowiedzieć?

- Jasne. Aż roi się w niej od symboli. Wszystko jest kwestią interpretacji. - Spojrzał na zegarek. - Mamy jeszcze czas. Proponuję, żebyśmy kontynuowali lekcję tańca.

- Czy na *soiree* też się tańczy?

- Raczej nie - odparł Gideon. - Tam się tylko je, pije, gada i... o, właśnie... gra. Ciebie na pewno też poproszą, żebyś coś zagrała.

- No, tak - westchnęłam. - Powinnam byta raczej chodzić na lekcje gry na pianinie zamiast z Leslie na kurs hip-hopu. Ale właściwie całkiem dobrze umiem śpiewać. W zeszłym roku na imprezie u Cynthii bezapelacyjne wygrałam konkurs karaoke. Moją bardzo oryginalną interpretacją *Somewhere over the rainbow*. Pomimo tego, że byłam bardzo niekorzystnie przebrana za przystanek autobusowy.

- Ach, tak. Jeśli zostaniesz poproszona, powiedz po prostu, że odbiera ci głos zawsze, kiedy musisz zaśpiewać przed publicznością.

- A więc to mogę powiedzieć, ale że mam skrzywą nogę, to już nie?

- Weź słuchawki. Powtórzmy to jeszcze raz. - Skłonił się przede mną.

- A co zrobię, jeśli poprosi mnie ktoś inny, nie ty? - Ukłoniłam się... nie, wykonałam rewerans.

- Zrobisz dokładnie to samo - powiedział Gideon i ujął moją dłoń. - Ale w osiemnastym wieku odbywało się to w sposób bardzo formalny. Nie prosiło się do tańca obcej dziewczyny, jeśli nie było jej się uprzednio przedstawionym.

- Chyba że wykonywała jakieś obsceniczne ruchy wachlarzem. - Stopniowo kroki taneczne wchodziły mi w krew. - Za każdym razem kiedy przekrzywiłam wachlarz choćby o centymetr, Giordano przechodził załamanie nerwowe, a Charlotta kręciła głową jak smutny piesek-zabawka z ruchomą szyją.

- Ona przecież chce ci tylko pomóc - powiedział Gideon.

- Tak, oczywiście. A Ziemia jest płaska - prychnęłam, choć z pewnością nie było to dozwolone w trakcie menueta.

- Można byłoby pomyśleć, że niespecjalnie się lubicie, co?

Kręciliśmy się akurat z kotką z wyimaginowanymi partnerami. Ach, można byłoby, tak?

- Oprócz ciotki Glendy, lady Aristy i naszych nauczycieli nie ma chyba nikogo, kto lubiłby Charlotte.

- Nie sądzę - rzucił Gideon.

- Och, oczywiście, zapomniałam jeszcze o Giordanie i o tobie. - Ups, teraz wywróciłam oczami, to na pewno jest zabronione w osiemnastym wieku.

- Czy to możliwe, że jesteś odrobinę zazdrosna o Charlotte? Musiałam się roześmiać.

- Uwierz mi, gdybyś znał ją tak dobrze jak ja, nigdy byś nie zadał tak głupiego pytania.

- Właściwie znam ją całkiem dobrze - rzekł cicho Gideon i ponownie ujął moją dłoń.

Tak, ale tylko z tej różowej strony, chciałam powiedzieć, gdy nagle pojęłam sens tego zdania i w jednej chwili faktycznie stałam się potwornie zazdrosna o Charlotte.

- Jak dobrze się znacie... tak w szczegółach? - Wysunęłam rękę z dłoni Gideona i podałam ją niewidzialnemu sąsiadowi.

- Hmm, powiedziałbym, że tak dobrze jak znają się ludzie, którzy spędzają ze sobą dużo czasu. - Uśmiechnął się złośliwie, przechodząc obok mnie. - I oboje nie mieliśmy zbyt dużo czasu na inne... hmm... znajomości.

- Rozumiem. Bierze się to, co dają. - Nie mogłam już wytrzymać ani sekundy dłużej. - A jak całuje się Charlotta?

Gideon chwycił mnie za rękę, która wisiała w powietrzu co najmniej dwadzieścia centymetrów za wysoko.

- Uważam, że robi pani wspaniałe postępy w dziedzinie konwersacji. Ale dżentelmen nie rozmawia o takich sprawach.

- Zgodziłabym się na tę wymówkę, gdybyś był dżentelmenem.

- Jeśli dałem choć jeden powód, by moje zachowanie oceniała pani jako niedżentelmeńskie, to...

- Och, zamknij się! Nieważne, co jest między tobą i Charlottą, to mnie w ogóle nie interesuje. Ale uważam za dość bezczelne, że jednocześnie masz ochotę mnie... obłapiać.

- Obłapiać? Cóż to za nieładne słowo! Byłbym pani bardzo wdzięczny, gdyby wyjawiała mi pani powód swej złości i mogła przy tym pamiętać o łokciach. Przy tej figurze powinny być skierowane w dół.

- To nie jest śmieszne - prychnęłam. - Nie dałabym ci się pocałować, gdybym wiedziała, że ty i Charlotta...

Ach, Mozart się skończył i znowu przyszła kolej na Linkin Park. Ale okej, to lepiej pasowało to mojego nastroju.

- Ja i Charlotta co?

- Jesteście czymś więcej niż przyjaciółmi.

- A kto tak powiedział? -Ty.

- Wcale tego nie powiedziałem.

- Aha. Czyli jeszcze nigdy się ze sobą nie całowaliście? - Zrezygnowałam z ukłonu, zamiast tego piorunując go wzrokiem.

- Tego też nie powiedziałem. - Skłonił się i wyciągnął mi z kieszeni iPoda. - Jeszcze raz, musisz poćwiczyć to z ramionami. Poza tym było super.

- Za to konwersacja z twojej strony pozostawia wiele do życzenia - odparowałam. - Łączy cię coś z Charlotta czy nie?

- Myślę, że to absolutnie nie twoja sprawa. Wciąż jeszcze płonęłam.

- Masz rację.

- No to dobrze. - Gideon oddał mi iPoda.

Ze słuchawek dobiegało teraz *Hallelujah*, w wersji Bon Jovi.

- To nie ten kawałek - rzuciłam.

- No, tak - rzekł Gideon, uśmiechając się. - Ale pomyślałem, że potrzebujesz teraz czegoś kojącego.

- Jesteś... jesteś... takim...

- Tak?

- Obrzydliwcem...

Podszedł jeszcze krok bliżej i teraz dzieliła nas odległość dokładnie jednego centymetra.

- Widzisz, to jest różnica między Charlotta a tobą: ona nigdy by czegoś takiego nie powiedziała.

Nagle zabrakło mi tchu.

- Może dlatego, że nie dajesz jej ku temu powodów.

- Nie, to nie to. Myślę, że ma po prostu lepsze maniery.

- Tak, i mocniejsze nerwy. - Z jakiegoś powodu musiałam się gapić na usta Gideona. - A na wypadek, gdybyś znowu chciał spróbować, kiedy będziemy tkwili w jakimś konfesjonale i się nudzili, to uprzedzam: drugi raz nie dam się tak nabrać.

- Chcesz przez to powiedzieć, że drugi raz nie dasz mi się pocałować?

- Tak - wyszeptałam, niezdolna się poruszyć.

- Szkoda - rzekł Gideon, a jego usta znalazły się tak blisko moich, że poczułam na wargach jego oddech.

Było dla mnie jasne, że niekoniecznie zachowuję się tak, jakbym traktowała serio własne słowa. Bo nie traktowałam. I tak muszę sobie pogratulować, że nie rzuciłam się Gideonowi na szyję. Natomiast kompletnie przegapiłam moment, w którym powinnam się była odwrócić i odepchnąć go od siebie.

Najwyraźniej Gideon widział to w ten sam sposób. Jego ręka zaczęła gładzić moje włosy, a potem poczułam wreszcie miękki dotyk jego ust.

*And every breath we took was hallelujah* - śpiewał mi do ucha Bon Jovi. Zawsze uwielbiałam tę przekłątą piosenkę, to była jedna z tych, których mogłam słuchać piętnaście razy z rzędu, ale teraz pewnie po wsze czasy będzie mi się kojarzyła z Gideonem.

Alleluja.



6

Tym razem nie przeszkodziło nam nic, ani przeskok w czasie, ani bezczelny demon-gargulec. Kiedy leciało Hallelujah, pocałunek był bardzo delikatny i ostrożny, ale potem Gideon zanurzył obie dłonie w moich włosach i przyciągnął mnie mocno do siebie. To już nie był delikatny pocałunek i moja reakcja samą mnie zdumiała. Moje ciało stało się naraz zupełnie miękkie i lekkie i sama z siebie objęłam Gideona za szyję. Nie mam pojęcia jak, ale w ciągu kolejnych minut, nie przestając się całować, wylądowaliśmy na zielonej sofie i tam całowaliśmy się dalej, tak długo, aż Gideon bardzo gwałtownie usiadł i spojrzał na zegarek.

- Tak jak powiedziałem, naprawdę szkoda, że nie będę się już mógł z tobą całować - rzekł nieco zadyszany.

Jego źrenice były ogromne, a policzki wyraźnie zaróżowione.

Ciekawe, jak ja wyglądałam. Ponieważ chwilowo przeistoczyłam się w coś w rodzaju ludzkiego budyniu, nie mogłam się podnieść z pólężącej pozycji. I z przerażeniem pomyślałam, że nie mam pojęcia, ile czasu minęło od Hallelujah. Dziesięć minut? Pół godziny? Wszystko było możliwe.

Gideon spojrzał na mnie i zdawało mi się, że w jego oczach dostrzegam konsternację.

- Zbierzmy nasze rzeczy - odezwał się w końcu. - A ty koniecznie powinnaś coś zrobić ze swoimi włosami: wyglądają

tak, jakby grzebał w nich obiema rękami jakiś idiota, który potem rzucił cię na sofę... Niezależnie od tego, kto tam będzie na nas czekał, na pewno będzie umiał dodać dwa do dwóch. Och, Boże, nie patrz tak na mnie.

- Jak znowu?

- Tak jakbyś nie mogła się poruszyć.

- Ale tak właśnie jest - odrzekłam poważnie. - Jestem budyniem. Przerobiłeś mnie na budyń.

Gideon lekko się uśmiechnął, po czym szybko zaczął pakować do torby moje rzeczy.

- No chodź, mój mały budyniu, wstawaj. Masz może grzebień albo szczotkę?

- Gdzieś tam jest - powiedziałam matowym głosem. Gideon podniósł etui od przeciwsłonecznych okularów mamy Leslie.

- Tu?

- Nie! - wrzasnęłam i z tego przerażenia moja egzystencja w charakterze budyniu dobiegła końca.

Skoczyłam na równe nogi, wyrwałam Gideonowi z ręki etui z japońskim nożem do warzyw w środku i wrzuciłam je z powrotem do torby. Gideon, nawet jeśli się zdziwił, nie dał tego po sobie poznać. Odstawił krzesło pod ścianę i znowu spojrzał na zegarek, podczas gdy ja wyjęłam szczotkę do włosów.

- Ile mamy jeszcze czasu?

- Dwie minuty - odrzekł Gideon i podniósł z ziemi iPoda. Nie mam pojęcia, jak tam trafił. I kiedy.

Pospiesznie rozczesywałam włosy. Gideon popatrzył na mnie z powagą.

- Gwendolyn?

- Hm? - Opuściłam szczotkę i odwzajemniłam jego spojrzenie tak spokojnie, jak tylko umiałam.

Wielkie nieba! Był tak niewiarygodnie przystojny, że część mnie chciała się z powrotem przekształcić w budyń.

- Czy ty...? Czekałam.

- Co?

- Och, nic.

Poczułam znajome skurcze w żołądku.

- Chyba zaraz się zaczniesz - powiedziałam.

- Złap mocno torbę, w żadnym razie nie wolno ci jej upuścić. I chodź tu bliżej, bo inaczej wylądujesz na stole.

Już w chwili gdy szłam, wszystko rozmyło mi się przed oczami. Zaledwie ułamki sekundy później wylądowałam miękko na nogach, dokładnie naprzeciw szeroko otwartych oczu pana Marleya. Zza jego ramienia wyzierał bezczelny ryjek Xemeriusa.

- No, nareszcie - odezwał Xemerius. - Już od kwadransa muszę wysłuchiwać, jak ten rudy gada sam ze sobą.

- Dobrze się panienka miewa? - wyjąkał pan Marley, cofając się o krok.  
- Tak, dobrze - powiedział szybko Gideon, który wylądował za mną i obrzucił mnie badawczym spojrzeniem, a kiedy się do niego uśmiechnęłam, szybko odwrócił wzrok.

Pan Marley chrząknął.

- Mam panu przekazać, że jest pan oczekiwany w Smocznej Sali. Przybył minis... numer siedem i życzy sobie z panem porozmawiać. Jeśli można, zaprowadzę panienkę do jej samochodu.

- Ta panienka nie ma żadnego samochodu - rzucił Xeme-rius. - Ona nawet nie ma prawa jazdy, ty głupku.

- To nie będzie konieczne, zabiorę ją na górę. - Gideon sięgnął po czarną przepaskę na oczy.

- Czy to naprawdę niezbędne?

- Tak, naprawdę niezbędne. - Gideon zawiązał mi chustkę z tyłu głowy. Złapał przy tym parę moich włosów i pociągnął, ale nie chciałam się skarżyć, więc tylko zagryzłam wargi. - Jeśli nie poznasz miejsca przechowywania chronografu, nie będziesz mogła go zdradzić i nikt nas nie zaskoczy, gdy wylądujemy w tym pomieszczeniu, obojętnie w jakim czasie.

- Ale ta piwnica należy do Strażników, a wejścia i wyjścia są przecież bezustannie strzeżone - powiedziałam.

- Po pierwsze, do tej izby prowadzi więcej dróg niż tylko przez budynek w Tempie, a po drugie, nie można wykluczyć, że ktoś z naszych własnych szeregów miałby ochotę na spotkanie z zaskoczenia.

- Nie ufaj nikomu i niczemu. Nawet własnym uczuciom - mruknęłam. - Wokół są sami nieufni ludzie.

Gideon objął mnie w pasie i popchnął do przodu.

- Otóż to.

Usłyszałam, jak pan Marley mówi „do widzenia”, a potem drzwi za nami się zatrzasnęły. W milczeniu szliśmy obok siebie. Było tyle spraw, o których chciałam porozmawiać, ale nie wiedziałam, od czego zacząć.

- Przeczucie mi mówi, że się znowu mizialiście - zauważył Xemerius. - Przeczucie i mój przenikliwy wzrok.

- Bzdura - odparłam i usłyszałam, jak Xemerius wybucha rubasznym śmiechem.

- Uwierz mi, żyję na tej ziemi od jedenastego wieku i wiem, jak wygląda dziewczyna, która wyszła ze stogu siana.

- Ze stogu siana?! - powtórzyłam oburzona.

- Do mnie mówisz? - spytał Gideon.

- A do kogóż by innego? Która właściwie jest godzina? A propos siana. Jestem głodna jak wilk.

- Dochodzi wpół do ósmej.

Gideon nagle mnie puścił. Usłyszałam sekwencję elektronicznych piknięć, a potem rąbnęłam ramieniem w ścianę. -Hej!

Xemerius znowu wybuchnął śmiechem.

- To się nazywa prawdziwy dżentelmen!

- Przepraszam. Ta cholerna komórka nie ma tu na dole zasięgu. Trzydzieści cztery nieodebrane połączenia, super. To może być tylko... o, Boże, moja matka. - Gideon westchnął ciężko. - Jedenaście razy nagrała mi się na pocztę głosową.

Obmacując ścianę, posuwałam się naprzód.

- Albo zdejmiesz mi tę idiotyczną opaskę, albo będziesz mnie prowadził!

- Już dobrze. - Znowu podał mi rękę.

- Nie wiem, co myśleć o facetach, którzy zawiązują swojej dziewczynie oczy, żeby móc w spokoju sprawdzić komórkę - rzucił Xemerius.

Ja też nie wiedziałam.

- Stało się coś złego? - zwróciłam się do Gideona. Znowu westchnienie.

- Obawiam się, że tak. Normalnie nie dzwoniemy do siebie zbyt często. Dalej nie ma zasięgu.

- Uwaga, stopień - ostrzegł Xemerius.

- Może ktoś zachorował - powiedziałam. - Albo zapomniałeś o czymś ważnym. Moja mama też mi się ostatnio iks razy nagrała, żeby mi przypomnieć, że mam złożyć życzenia urodzinowe wujkowi Harry'emu. Wrrr.

Gdyby Xemerius nie krzyknął ostrzegawczo, wpakowałabym się brzuchem w gałkę u poręczy schodów. Gideon nawet tego nie zauważył. Sama, na ile to było możliwe, wdrapałam się po kręconych schodach.

- Nie, to nie to. Nigdy nie zapominam o urodzinach. - W jego głosie brzmiał niepokój. - To musi być coś z Raphaelem.

- Twoim młodszym bratem?

- Bez przerwy robi różne niebezpieczne rzeczy. Jeździ samochodem bez prawa jazdy, skacze z klifów i wspina się w górach bez asekuracji. Nie mam pojęcia, co chce przez to udowodnić. W zeszłym roku miał wypadek na paralotni i przez trzy tygodnie ze wstrząsem mózgu leżał w szpitalu. Można by pomyśleć, że wyciągnął z tego jakąś naukę, ale nie, na urodziny zażyczył sobie od monsieur Bertelina szybką motorówkę. A ten idiota spełnia oczywiście wszystkie jego życzenia. - Doszedłszy na górę, Gideon przyspieszył kroku, ja zaś kilkakrotnie się potknęłam. - Och, nareszcie. Tu jest zasięg. - Idąc, najwyraźniej odsłuchiwał pocztę. Niestety, nic nie mogłam zrozumieć. -O, cholera - mruknął parę razy.

Znowu mnie puścił i musiałam iść po omacku.

- Jeśli nie chcesz wleźć na ścianę, skręć teraz w lewo - poinformował mnie Xemerius. - O, chyba w końcu zauważył, że nie masz wbudowanego radaru.

- Okej - rzucił Gideon. Jego dłonie dotknęły na chwilę mojej twarzy, potem tyłu mojej głowy. - Gwendolyn, przepraszam.

- W jego głosie brzmiała troska, ale podejrzewałam, że nie dotyczyła mnie. - Trafisz stąd sama? Rozplatał chustkę i zamrugałam, oślepiona światłem. Staliśmy przed pracownią madame Rossini. Gideon przelotnie pogładził mnie po policzku i uśmiechnął się krzywo.

- Znasz drogę, prawda? Twój samochód czeka. Zobaczymy się jutro. I zanim zdążyłam odpowiedzieć, już go nie było.

- No tak - odezwał się Xemerius. - To niezbyt elegancko z jego strony.

- A co się stało? - zawołałam za Gideonem.

- Mój brat uciekł z domu - krzyknął, nie odwracając się ani nie zwalnając. -1 możesz zgadywać do trzech, dokąd jedzie.

Ale nim zdążyłam zgadnąć choć raz, zniknął za najbliższym załomem korytarza.

- Na Fidzi bym raczej nie stawiała - mruknęłam.

- Myślę, że nie powinnaś była iść z nim na siano - powiedział Xemerius. - Teraz myśli, że jesteś łatwa, i już nie będzie się starał.

- Zamknij dziób, Xemeriusie. Ta gadanina o sianie strasznie mnie denerwuje. Tylko się trochę całowaliśmy.

- To jeszcze nie powód, by zamieniać się w pomidora, skarbie. Dotknęłam swoich płonących policzków i ogarnęła mnie złość.

- Chodź, idziemy, jestem okropnie głodna. Dziś przynajmniej mam szansę dostać coś na kolację. A może po drodze uda nam się rzucić okiem na tych tajemniczych członków Kręgu Wewnętrznego.

- Tylko nie to! Podsluchiwałem ich przez całe popołudnie.

- Och, dobrze! Opowiadaj!

- Nu-dy! Myślałem, że będą pili krew z czaszek i malowali sobie tajemnicze znaki runiczne na rękach. Ale nie, tylko gadali, w garniturach i krawatach.

- O czym dokładnie?

- Zobaczmy, czy jeszcze potrafię to ogarnąć. - Odchrząknął. - Chodziło głównie o pytanie, czy można złamać złote zasady, żeby przechytryć czarnego turmalina i szafira. Świetny pomysł, zdaniem jednych; nie, w żadnym wypadku, tak mówili inni, a potem znowu tamci: ależ tak, w przeciwnym razie nic nie będzie z ratowania świata, wy tchórze, a na to ci drudzy: nie, ale to jest złe, a poza tym niebezpieczne ze względu na ciągłość i moralność; na to tamci: mamy to gdzieś, skoro to może uratować świat; a potem napuszczona gadanina z obu stron... chyba wtedy zasnąłem. Na koniec jednak wszyscy zgodnie uznali, że diament ma tendencje do samowolnego działania, podczas gdy rubin wydaje się straszonym kretynem i dlatego nie wchodzi w rachubę w operacji opal i operacji jadeit. Kojarzysz, o czym mówię?

- Ach...

- Oczywiście, broniłem cię, ale oni mnie nie słuchali - ciągnął Xemerius. - Była mowa o tym, że należy cię trzymać jak najdalej od wszelkich informacji. Że w swojej naiwności spowodowanej brakami w wychowaniu i w swej niewiedzy zagrażasz bezpieczeństwu całej sprawy, a poza tym jesteś wcieleniem niedyskrecji. Twoją przyjaciółkę Leslie też chcą mieć na oku.

- A niech to szlag.

- Dobra wiadomość jest taka, że winą za twój brak umiejętności całkowicie obarczają twoją matkę. W ogóle baby są winne wszystkiemu, co do tego tajemniczy panowie byli zupełnie zgodni. A potem chodziło jeszcze o same dowody, rachunki za krawca, listy, zdrowy ludzki rozsądek i po pewnych przepychankach wszyscy zgodzili się co do tego, że Paul i Lucy udali się wraz z chronografem do 1912 roku, gdzie teraz żyją. Przy czym słowo „teraz” tak do końca w tym przypadku nie pasuje. - Xemerius podrapał się w głowę. - Nieważne, w każdym razie tam się ukrywają, tego wszyscy byli całkowicie pewni, i przy najbliższej okazji twój wspaniały, mocarny heros ma ich odnaleźć, utoczyć im krwi i zabrać chronograf. A potem wszystko zaczęło się od nowa, bla, bla, bla, złote zasady, napuszone gadki...

- To ciekawe - rzuciłam.

- Tak uważasz? Jeśli tak, jest to wyłącznie zasługa mojego wielce zabawnego sposobu podsumowywania nudnych wywodów.

Otworzyłam drzwi do następnego korytarza i chciałam właśnie odpowiedzieć Xemeriusowi, kiedy usłyszałam czyjś głos.

- Jesteś zupełnie tak samo arogancki jak dawniej!

To była moja mama! I faktycznie, kiedy wyszłam z za rogu, zobaczyłam ją. Stała naprzeciw Falka de Villiers z dłońmi zaciśniętymi w pięści.

- A ty zupełnie tak samo uparta i nierozsądna! - warknął Falk. - To, na co sobie pozwoliłaś, nieważne, z jakiego powodu, w związku z próbą ukrycia daty urodzenia Gwendolyn, mocno zaszkodziło sprawie.

- Sprawie! Ta wasza sprawa była dla was zawsze ważniejsza niż ludzie, którzy w niej uczestniczą - zawołała mama.

- Uch, wygląda na wściekłą! - zauważył Xemerius. Istotnie. Oczy mamy miały iskry, policzki miała zaczerwienione, a głos nienaturalnie wysoki.

- Umówiliśmy się, że Gwendolyn będzie od tego trzymana z daleka. Ze nie zostanie narażona na niebezpieczeństwo. A teraz chcecie ją podać hrabiemu na tacy. Przecież ona jest całkowicie... bezbronna.

- I tylko ty jesteś temu winna - odrzekł zimno Falk de Villiers.  
Mama zagryzła wargi.

- Jako Wielki Mistrz Łoży to ty ponosisz odpowiedzialność!

- Gdybyś od samego początku grała w otwarte karty, Gwendolyn nie byłaby teraz nieprzygotowana. A tą swoją opowieścią, że chciałaś zapewnić córce beztrudne dzieciństwo, możesz mydlić oczu panu George'owi, ale nie mnie. Ja nadal jestem bardzo ciekaw, co nam opowie ta położna.

- Jeszcze jej nie znaleźliście? - Głos mamy nie był już tak piskliwy.

- To tylko kwestia dni, Grace. Mamy swoich ludzi wszędzie. - Teraz zauważył moją obecność i zimny, gniewny wyraz zniknął z jego twarzy. - Dlaczego jesteś sama, Gwendolyn?

- Kochanie! - Mama podeszła i objęła mnie. - Pomyślałam, że przyjadę po ciebie, żebyś nie wróciła tak późno jak wczoraj.

- I skorzystasz z okazji, żeby mi nawrzucać - uzupełnił Falk, śmiejąc się lekko. - Dlaczego nie towarzyszy ci pan Marley, Gwendolyn?

- Ostatni kawałek mogłam przejść sama - powiedziałam wymijająco. - O co się kłóciliście?

- Mama uważa, że twoje wycieczki do osiemnastego wieku są zbyt niebezpieczne - rzekł Falk.

No, tego nie mogłam jej mieć za złe. A przy tym nie знаła nawet ułamka tych niebezpieczeństw. Nikt nie mówił jej o ludziach, którzy napadli na nas w Hyde Parku. W każdym razie ja wołałabym raczej odgryźć sobie język. O lady Tilney i pistoletach też nie mogła wiedzieć, a o tym, że hrabia groził mi w tak okropny sposób, powiedziałam dotąd tylko Leslie. Ach, oczywiście, i mojemu dziadkowi.

Spojrzałam na Falka badawczym wzrokiem.

- Z wachlowaniem i menuetem dam sobie jakoś radę -oznajmiłam bez wahania. - To nie jest wielkie ryzyko, mamu. Jedyne niebezpieczeństwo polega na tym, że roztrzaskam wachlarz na głowie Charlotty.

- Sama widzisz, Grace. - Falk mrugnął do mnie.

- Kogo chcesz nabrać, Falk! - Mama rzuciła mu ostatnie mroczne spojrzenie, po czym wzięła mnie za rękę i pociągnęła za sobą. - Chodź. Czekają na nas z posiłkiem.

- Do jutra, Gwendolyn - zawołał za nami Falk. -1... och... do kiedyś tam, Grace.

- Do widzenia - mruknęłam.

Mama też coś mruknęła, ale niezrozumiale.

- A więc jeśli chcesz znać moje zdanie: stóg siana - powiedział Xemerius. - Nie zmylą mnie tą swoją sprzeczką. Doskonale umiem rozpoznawać znajomości ze stogu siana.

Westchnęłam. Mama też westchnęła i przytuliła mnie mocniej, kiedy szliśmy do wyjścia. Najpierw się trochę usztywniłam, ale potem oparłam głowę na jej ramieniu.

- Nie powinnaś się z mojego powodu kłócić z Falkiem. Za bardzo się o mnie martwisz, mamu.

- Łatwo ci mówić... To nie jest miłe uczucie, kiedy myślisz, że wszystko zrobiłaś źle. Przecież widzę, że jesteś na mnie wściekła. - Znowu westchnęła. -I w sumie masz rację.

- Ale mimo to cię kocham - powiedziałam. Mama walczyła ze łzami.

- A ja kocham cię mocniej, niż potrafisz to sobie wyobrazić - mruknęła. Dotarliśmy do uliczki przed domem i mama rozejrzała się, jakby w obawie, że ktoś się może na nas czaić w ciemnościach. - Dałabym wszystko za to, żeby mieć całkiem normalną rodzinę i całkiem normalne życie.

- A jaka rodzina jest normalna? - rzuciłam.

- Nasza na pewno nie.

- Wszystko zależy od podejścia. No, jak ci minął dzień? -spytałam.

- Och, jak zwykle - odpowiedziała ze słabym uśmiechem.

- Najpierw mała kłótnia z moją matką, potem wielką kłótnia z moją siostrą, w pracy trochę kłótni z moim szefem i na koniec jeszcze kłótnia z moim... byłem facetem, który przypadkowo jest Wielkim Mistrzem wielce tajnej łoży.

- A nie mówiłem? - Xemerius niemal triumfował. - Stóg siana!

- Widzisz, całkiem normalnie, mamu! W każdym razie mama się uśmiechała.

- A jak tobie minął dzień, kochanie?

- Też bez szczególnych wydarzeń. W szkole stres z Wiewiórką, potem trochę nauki tańca i dobrych manier w tym mrocznym stowarzyszeniu, które zajmuje się podrózkami w czasie, potem, zanim zdążyłam udusić moją kochaną kuzynkę, mała wycieczka do 1953 roku, żeby w spokoju odrobić lekcje i jutro z kolei mieć mniej stresu ze wspomnianą Wiewiórką.

- Brzmi dość spokojnie.

Obcasy mamy stuknęły o bruk. Znowu się rozejrzała.

- Nie sądzę, żeby ktoś za nami szedł - uspokoiłam ją. - Oni wszyscy mają dość roboty.

- Spotkanie Kręgu Wewnętrznego nie zdarza się często. Ostatni raz zgromadzili się wtedy, gdy Lucy i Paul ukradli chro-nograf. Są rozsiani po całym świecie...

- Mamu? Nie sądzisz, że czas, abyś mi powiedziała to, co wiesz? Przecież nikomu nie służy to, że ciągle muszę błądzić po omacku.

- W dosłownym znaczeniu tego słowa - wtrącił Xemerius. Mama się zatrzymała.

- Przeceniasz mnie. Wiem bardzo niewiele i na nic by ci się to nie zdało. Prawdopodobnie jeszcze bardziej zamieszałoby ci w głowie. Lub jeszcze gorzej: naraziłoby cię na dodatkowe niebezpieczeństwo.

Potrząsnęłam głową. Nie zamierzałam tak szybko dać za wygraną.

- Kim albo czym jest zielony jeździec? I dlaczego Lucy i Paul nie chcą, żeby krąg się zamknął? A może jednak chcą, ponieważ zamierzają wykorzystać tajemnicę dla siebie?

Mama potarła skronie.

- O zielonym jeźdźcu słyszę po raz pierwszy. A co się tyczy Lucy i Paula: jestem pewna, że nie kierowali się egoizmem. Poznałaś hrabiego de Saint Germain. Dysponuje środkami... -Zamilkła. - Och, kochanie, nic z tego, co mogłabym ci powiedzieć, nie przyniesie ci pożytku, naprawdę.

- Proszę, mamó! Wystarczy, że ci ludzie robią z tego taką tajemnicę i nie ufają mi za grosz, ale ty jesteś moją matką.

- Tak. - Łzy trysnęły jej z oczu. - Jestem. - Ale ten argument najwyraźniej również nie podziałał. - Chodź, taksówka czeka już od pół godziny. Pewnie będzie mnie to kosztowało połowę pensji.

Wzdychając, ruszyłam za nią.

- Możemy pojechać metrem.

- O nie, musisz jak najszybciej zjeść coś ciepłego. Poza tym twoje rodzeństwo okropnie za tobą tęskni. Nie wytrzymają jeszcze jednej kolacji bez ciebie.

Ku mojemu zaskoczeniu zrobił się z tego spokojny, miły wieczór, bo moja babka i ciotka Glenda poszły do opery.

- Tosca - powiedziała ciocia Maddy z rozbawieniem i potrząsnęła jasnymi loczkami. - Mam nadzieję, że wrócą nieco szlachetniejsze. - Mrugnęła do mnie porozumiewawczo. - Dobrze, że Violetta miała na zbyciu bilety.

Spojrzałam pytająco. Okazało się, że przyjaciółka cioci Maddy (miła starsza pani, Violetta Purpleplum, która zawsze robiła nam na drutach szaliki i skarpety na Boże Narodzenie) miała iść do opery ze swym synem i przyszłą synową, ale wyglądało na to, że jej przyszła synowa będzie teraz przyszłą synową jakiejś innej pani.

Jak zawsze, gdy lady Aristy i ciotki Glendy nie było w domu, panowała swobodna atmosfera. To było trochę tak jak w podstawówce, kiedy nauczyciel wyjdzie z klasy. W trakcie kolacji musiałam wstać od stołu i pokazać mojemu rodzeństwu, cioci Maddy, mamie i panu Bernhardowi, jak Wydętousty z Char-lottą uczyli mnie tańczyć menueta i używać wachlarza, a Xe-merius służył mi za suflera, jeśli o czymś zapomniałam. Po fakcie wydawało mi się to wszystko raczej śmieszne niż straszne i potrafiłam zrozumieć, że innych to bawiło. Po chwili tańczyli wszyscy (prócz pana Bernharda, który jednak kiwał do taktu czubkiem stopy).

- „Okropnie! Popatrz, jak robi to Charlotta!” - zacytowałam. - „Prawa! Nie, prawa ręka to ta, gdzie kciuk jest po lewej stronie”. I: „Widzę twoje zęby! To jest niepatriotyczne!”.

Nick zaprezentował dwadzieścia trzy rozmaite sposoby wachlowania się serwetką tak, by przekazywać drugiej osobie informacje bez słów.

- To oznacza: ups, ma pan rozpięty rozporek, mój panie. A gdy się nieco opuści wachlarz i spojrzysz przez niego, to znaczy: och, chciałabym wyjść za pana za męża. Ale jak zrobisz odwrotnie, to będzie znaczyło: oj, od dzisiaj jesteśmy z Hiszpanią w stanie wojny.

Musiałam przyznać, że Nick ma naprawdę wielki talent aktorski. W czasie tańca (to był raczej kankan niż menuet) Ca-roline tak wysoko wyrzucała w górę nogi, że w końcu jeden z jej butów wylądował w misce z kremem bawarskim, który był na deser.

To wydarzenie nieco stłumiło naszą swawolę, a pan Bernhard wyłowił z miski but i położył go na talerzu Caroline.

- Cieszę się, że tak dużo zostało tego kremu - rzekł ze śmiertelną powagą. - Panna Charlotta i obie damy na pewno będą chciały coś zjeść, kiedy wrócą z opery.

Ciocia Maddy uśmiechnęła się do niego.

- Pan jest zawsze taki zapobiegliwy, mój drogi.

- To moje zadanie: troszczyć się o to, by wszystkim dobrze się wiodło - powiedział pan Bernhard. - Przynależę to pani bratu przed jego śmiercią.

Zamyślona przyjrzałam się im obojgu.

- Właśnie zadaję sobie pytanie, czy mój dziadek wspominał panu kiedyś o zielonym jeźdźcu. Albo tobie, ciociu Maddy.

Ciocia Maddy potrząsnęła głową.

- Zielony jeździec? A cóż to ma być?

- Nie mam pojęcia - odparłam. - Wiem tylko, że trzeba go znaleźć.

- Jeśli czegoś szukam, najczęściej idę do biblioteki pani dziadka - oznajmił pan Bernhard, a jego brązowe sówie oczy rozblęły za szklami okularów. - Zawsze znajdowałam tam wyjaśnienie. A jeśli potrzebuje pani pomocy, to dobrze się orientuję, bo ciągle ścieram kurz z książek.

- To dobry pomysł, mój drogi - odezwała się ciocia Maddy.

- Zawsze do usług, madame. - Pan Bernhard, nim powiedział nam dobranoc, dołożył jeszcze drew do kominka.

Xemerius udał się za nim.

- Muszę koniecznie zobaczyć, czy zdejmuję okulary, kiedy kładzie się spać - wyjaśnił. - I opowiem ci, jeśli wymyka się z domu, żeby potajemnie naśladować basistę z heavymetalowej kapeli.

Moje rodzeństwo w środku tygodnia musiało wcześniej chodzić spać, ale dziś mama zrobiła wyjątek. Najedzeni i naśmiani do syta rozłożyliśmy się wygodnie przed kominkiem. Caroline wtuliła się w ramiona mamy, Nick przytulił się do mnie, a ciocia Maddy usadowiła się w głębokim fotelu lady Aristy, zdmuchnęła sobie jasny loczek z twarzy i obserwowała nas z zadowoleniem.

- Mogłabyś opowiedzieć coś z dawnych czasów, ciociu Maddy? - poprosiła Caroline. - Kiedy byłaś małą dziewczynką i musiałaś jeździć w odwiedziny na wieś do swojej strasznej kuzynki Hazel?

- Och, już tyle razy to słyszeliście - odrzekła ciocia Maddy, opierając na podnóżku stopy w różowych filcowych kapciach.

Ale nie dała się długo prosić. Jak każdą swoją historię o strasznej kuzynce zaczęła od słów: „Hazel była chyba najbardziej zarozumiałą dziewczyną, jaką można sobie wyobrazić”, a my skomentowaliśmy chórem: „Zupełnie jak Charlotta!”, lecz ciocia Maddy pokręciła głową.

- Nie, Hazel była o wiele, wiele gorsza - powiedziała. - Chwytała koty za ogon i miotła nimi w kółko nad głową.

Kiedy oparłszy brodę na głowie Nicka, przysłuchiwałam się historii o tym, jak ciocia Maddy w wieku dziesięciu lat pomściła wszystkie męczone koty z Gloucestershire i załatwiła kuzynce Hazel kąpiel w szambie, moje myśli powędrowały do Gideona. Ciekawe, gdzie on teraz jest. Co robi? Kto z nim jest? A może akurat myśli o mnie - z tym dziwnym, ciepłym uczuciem w okolicach żołądka? Chyba nie. Z trudem powstrzymałam głębokie westchnienie, myśląc o naszym pożegnaniu przed pracownią madame Rossini. Gideon nawet na mnie nie spojrział, choć całowaliśmy się kilka minut wcześniej.

No i znowu. A przecież wczoraj wieczorem przysięgłam Les-lie przez telefon, że to już nigdy się nie powtórzy. „Nigdy, dopóki nie wyjaśnimy jednoznacznie, co jest między nami”.

Nawiasem mówiąc, Leslie się roześmiała. „Daj spokój, przed kim ty się zgrywasz? To zupełnie jasne, co do niego czujesz: jesteś po uszy zakochana w tym gościu!”.

Ale jak mogłam być zakochana w chłopaku, którego znałam zaledwie parę dni? W chłopaku, który przez większość czasu zachowywał się wobec mnie okropnie? Chociaż w momentach, gdy tego nie robił, był taki... taki cudowny...

- Jestem - zaskrzeczał Xemerius, lądując z impetem na stole obok świecy.

Caroline, przytulona do mamy, wzdrygnęła się i zaczęła patrzeć w jego stronę.

- Co jest, Caroline? - zapytałam cicho.

- Ach, nic - odpowiedziała. - Wydawało mi się, że widzę cień.

- Naprawdę? - Spojrzałam zaskoczona na Xemeriusa. On zaś podniósł jedno ramię i wyszczerzył zęby.

- Niedługo pełnia. Wrażliwi ludzie czasem nas wtedy widzą, przeważnie tylko kątem oka. Kiedy spojrzą uważniej, wcale nas tam nie ma... - Znowu zwiesił się z żyrandola. - Ta starsza pani z loczkami widzi i czuje więcej, niż się do tego przyznaje. Kiedy na próbę położyłem jej łapę na ramieniu, złapała się za to miejsce... W twojej rodzinie mnie to nie dziwi.

Obrzuciłam Caroline czułym spojrzeniem. Wrażliwe dziecko - tylko żeby się na koniec nie okazało, że odziedziczyła po cioci Maddy dar wizji.

- Teraz będzie mój ulubiony fragment - rzekła Caroline z błyskiem w oku.

A ciocia Maddy, delektując się opowieścią, opisała, jak wykazująca skłonności sadystyczne Hazel w swojej ślicznej niedzielnej sukience stała po szyję w ściekach i głośno skrzeczała: „Odplacę ci za to, Madeleine, odplacę ci za to!”.

- I zrobiła to - powiedziała ciocia Maddy. - I to niejednym razem.

- Ale tej historii posłuchamy kiedy indziej - wtrąciła energicznie mama. - Dzieci muszą iść spać. Jutro trzeba iść do szkoły.

Wtedy wszyscy westchnęliśmy, a ciocia Maddy westchnęła najgłośniej.

\*

Nazajutrz był dzień naleśnikowy, a wtedy nikt nie odpuściłby sobie obiadu w szkolnej stołówce, bo to była właściwie jedyna potrawa, która nadawała się tam do zjedzenia. Ponieważ wiedziałam, że Leslie dałaby się pokroić za naleśniki, nie pozwoliłam, by została ze mną w klasie, gdzie umówiłam się z Jamesem.

- Idź zjeść - powiedziałam. - Byłabym strasznie zła, gdybyś ze względu na mnie musiała zrezygnować z naleśników.

- Ale wtedy nie będzie nikogo, kto mógłby stanąć na czatach. Poza tym chciałabym ze szczegółami usłyszeć, jak to było wczoraj z tobą, Gideonem i zieloną sofą...

- Mimo najlepszych chęci nie mogę opowiedzieć ci tego ze szczegółami - odparłam.

- No to po prostu opowiedz jeszcze raz, to jest takie romantyczne!

- Idź jeść naleśniki!

- Musisz go dziś koniecznie zapytać o numer komórki - zaznaczyła Leslie. - Przypominam ci, że to podstawowa zasada: nie całujemy się z chłopakiem, do którego nie mamy nawet numeru komórki.

- Pyszne, chrupiące naleśniki z jabłkami - rzuciłam.

- Ale...

- Xemerius jest ze mną. - Wskazałam na ławkę, gdzie siedział Xemerius, z nudów obgryzając sobie koniec ogona.

Leslie skapitulowała.

- No dobrze. Ale niech cię dzisiaj nauczy czegoś sensownego. To machanie wskaźnikiem pani Counter w prawo i w lewo na nic się nie przyda. A jeśli ktoś ci się przy tym będzie przyglądał, wylądujesz w wariatkowie, pamiętaj o tym.

- No idź już wreszcie. - Wypchnęłam ją za drzwi dokładnie w chwili, gdy wszedł James.

James ucieszył się, że tym razem jesteśmy sami.

- Ta pieguska zawsze mnie denerwuje tym nieuprzejmym wtrącaniem się. I traktuje mnie jak powietrze.

- To się bierze stąd, że... ach, dajmy temu spokój.

- A więc? Jak ci mogę dzisiaj pomóc?

- Myślałam, że mógłbyś mnie być może nauczyć, jak powiedzieć „cześć” na soiree w osiemnastym wieku.

- Cześć?

- Tak. Cześć. Hej. Dobry wieczór. No wiesz, jak należy się przywitać, stojąc naprzeciw kogoś. Podać rękę, pocałować w rękę, skłonić się, dygnać, wasza księżęca mość, wielmożny panie, wasza wysokość... to wszystko jest takie skomplikowane i można popełnić tak wiele błędów.

James zrobił wyniosłą minę.

- Nie, jeśli będziesz postępowała według moich wskazówek. Najpierw nauczę cię, jak dama dyga przed mężczyzną, który zajmuje tę samą pozycję społeczną co ona.

- Super - wtrącił Xemerius. - Pytanie tylko, jak Gwendolyn ma się w ogóle zorientować, jaką pozycję społeczną zajmuje ten mężczyzna.

James gapił się na niego.

- A cóż to takiego? Psik, psik, kocie! Znikaj! Xemerius parsknął z niedowierzaniem.

- Co to było?

- Ach, James! - zawołałam. - Przyjrzyj się dobrze! To jest Xemerius, mój przyjaciel, hmm, demon-gargulec. Xemeriusie, to James, również przyjaciel.

James wytrząsnął z rękawa chusteczkę i poczułam woń konwalii.

- Cokolwiek to jest... niech sobie pójdzie. Przypomina mi o tym, że znajduję się właśnie w straszliwej malignie... malignie, w której muszę udzielać nieokrzesanej dziewczynie lekcji dobrego wychowania.

Westchnęłam.

- To nie jest żadna maligna, James, kiedy to wreszcie zrozumiesz? Ponad dwieście lat temu może i leżałeś w malignie, ale potem ty... to znaczy i ty, i Xemerius... potem wy obaj...

- ...umarliście - dokończył Xemerius. - Ściśle rzecz biorąc. - Przechylił głowę na bok. - Przecież to prawda. Czemu tak owijasz w bawełnę?

James machnął chusteczką.

- Nie chcę tego słuchać. Koty nie mówią.

- Czy ja wyglądam jak kot, ty głupi duchu? - zawołał Xe-merius.

- Trochę tak - powiedział James, nie patrząc na niego. -Może poza uszami. I rogami. I skrzydłami. I tym śmiesznym ogonem. Och, jakże ja nienawidzę tych majaków w gorączce!

Xemerius, ze złością bijąc ogonem o ziemię, w bojowym rozkroku stanął naprzeciw Jamesa.

- Nie jestem żadnym majakiem. Jestem demonem! - wykrzyknął i ze zdenerwowania wyrzucił z siebie wielką kaskadę wody. - Potężnym demonem. Przywoływanym przez czarnoksiężników i budowniczych w jedenastym stuleciu waszego czasu, by w postaci kamiennego gargulca strzec wieży kościoła, którego dziś dawno już nie ma. Kiedy moje ciało z piaskowca zostało zniszczone wiele setek lat temu, pozostało ze mnie tylko to... można powiedzieć: cień mojego dawnego ja, na zawsze skazany na wędrówkę po tej ziemi, do chwili gdy się ona rozpadnie. Co zapewne potrwa jeszcze parę milionów lat.

- La, la, la, nic nie słyszę - powiedział James.

- Ty biedaku - rzekł Xemerius. - W przeciwieństwie do ciebie nie mam innej możliwości, bo wskutek wyklęcia mnie przez czarnoksiężnika jestem przywiązany do tej egzystencji. Ty jednak mógłbyś w każdej chwili zrezygnować z żalosego bytu ducha i iść tam, gdzie udają się ludzie, gdy umierają.

- Ale ja nie umarłem, ty durny kocie! - zawołał James. - Jestem tylko chory i leżę w łóżku w straszliwej malignie. I jeśli w tej chwili nie zmienimy tematu, pójdę sobie!

- Już dobrze - powiedziałam, próbując zetrzeć gąbką od tablicy kałużę, którą pozostawił Xemerius. - Idźmy dalej. Ukłon przed mężczyzną o tej samej pozycji społecznej.

Xemerius potrząsnął głową i z łopotem pofrunął do drzwi.

- No to ja stanę na warcie. Głupio by było, gdyby ktoś przyłapał cię tu na dyganiu.

Przerwa obiadowa nie była dostatecznie długa, żebym mogła się nauczyć wszystkich sztuczek, które chciał mi pokazać James, ale na koniec umiałam dygać na trzy rozmaite sposoby i podawać dłoń do ucałowania (byłam szczęśliwa, że zwyczaj ten popadł dziś w zapomnienie). Kiedy wszyscy wrócili do klasy, James pożegnał się ukłonem, a ja wyszeptalam jeszcze szybko słowa podziękowania.

- I? - spytała Leslie.

- James uważa Xemeriusa za śmiesznego kota ze swojej maligny - poinformowałam ją. - Dlatego mogę mieć tylko nadzieję, że to, czego mnie nauczył, nie zostało zniekształcone przez jego malignę. Ale teraz wiedziałabym już, co robić, gdyby przedstawiono mnie księciu Devonshire.

- Och, to dobrze - powiedziała Leslie. - I co byś zrobiła?

- Dygałabym głęboko i wytrwale. Prawie tak wytrwale jak przed królem, ale znacznie bardziej wytrwale niż przed markizem czy hrabią. Poza tym trzeba zawsze grzecznie pozwolić ob-całować sobie dłoń i ładnie się przy tym uśmiechać.

- Patrzcie, państwo, nie pomyślałabym, że James może się jednak na coś przydać. - Leslie rozejrzała się z uznaniem. - Zdziwisz ich wszystkich w tym osiemnastym wieku.

- Miejmy nadzieję - powiedziałam.

Reszta lekcji nie była w stanie zmącić mojego dobrego nastroju. Charlotta i ten dumny Wydętousty zdziwią się, że umiem już nawet odróżnić waszą książęcą mość od waszej wysokości, choć w żaden sposób nie rozumiałam ich zawilego wyjaśnienia.

- Nawiasem mówiąc, stworzyłam pewną teorię na temat magii kruka - oznajmiła Leslie po lekcjach, gdy szłyśmy do naszych szafek. - Jest tak prosta, że nikt jeszcze na nią nie wpadł. Spotkamy się jutro przed południem u was i przyniosę wszystko, co udało mi się zebrać. O ile moja mama znowu nie zaplanuje rodzinnego sprzątanego i nie rozda nam gumowych rękawiczek.

- Gwenny? - Cynthia Dale uderzyła mnie od tyłu w plecy. - Pamiętasz jeszcze Reginę Curtiz, która do zeszłego roku chodziła z moją siostrą do jednej klasy? Jest teraz w szpitalu dla anorektyczek. Też chcesz tam wylądować?

- Nie - odparłam zaskoczona.

- A więc zjedz to! Natychmiast! - Cynthia rzuciła mi karmelowy cukierek.

Złapałam go i posłusznie odwinęłam papierek. Ale kiedy chciałam już wsunąć cukierek do ust, Cynthia złapała mnie za rękę.

- Stój! Naprawdę chcesz to zjeść? To znaczy, że w ogóle nie jesteś na diecie?

- Nie - powtórzyłam.

- No to Charlotta skłamała. Powiedziała, że nie przyjdiesz na obiad, bo chcesz być taka chuda jak ona... Oddaj ten cukierek. Wcale nie jesteś zagrożona anoreksją. - Cynthia sama wrzuciła go sobie do ust. - Masz tu zaproszenie na moje urodziny. Znowu przebierana impreza. Tegoroczne motto brzmi: zieleń się zieleni. Możesz przyprowadzić swojego chłopaka.

- Ehm...

- Wiesz, to samo powiedziałam Charlocie, mnie jest wszystko jedno, która z was dwóch przyprowadzi tego gościa. Najważniejsze, żeby przyszedł na moją imprezę.

- Ona zwariowała - szepnęła do mnie Leslie.

- Słyszałam to - powiedziała Cynthia. - Ty też możesz przyprowadzić Maksa.

- Cyn, rozstaliśmy się pół roku temu.

- Och, to fatalnie. - Cynthia westchnęła. - Tym razem jest jakoś za mało chłopaków. Albo jakichś przyprowadzicie, albo będę musiała odprosić parę dziewczyn. Na przykład Aishani, ale ona raczej i tak odmówi, bo jej rodzice nie pozwalają na imprezy z chłopcami. O, mój Boże, a cóż to takiego? Czy ktoś może mnie uszczypnąć?

„To” było wysokim chłopakiem z krótko ściętymi jasnymi włosami. Stał przed gabinetem naszego dyrektora, razem z panem Whitmanem. Wydał mi się dziwnie znajomy.

- Auu - syknęła Cynthia, bo Leslie uszczypnęła ją, zgodnie z życzeniem.

Pan Whitman i ten chłopak odwrócili się w naszą stronę. Kiedy spod gęstych ciemnych rzęs omiotło mnie spojrzenie zielonych oczu, od razu wiedziałam, kim jest ten obcy. O, niebios! Teraz Leslie powinna chyba uszczypnąć mnie.

- Bardzo dobrze się składa - powiedział pan Whitman. - Raphaelu, to są trzy uczennice z twojej klasy. Cynthia Dale, Leslie Hay i Gwendolyn Shepherd. Przywitajcie się z Raphael-em Bertelinem, który od poniedziałku będzie chodził do waszej klasy.

- Cześć - mruknięłyśmy z Leslie.

- Serio? - odezwała się Cynthia.

Raphael wyszczerzył do nas zęby, trzymając ręce wetknięte swobodnie w kieszenie spodni. Naprawdę był podobny do Gi-deona, choć trochę młodszy. Jego usta były pełniejsze, a skóra miała brązowy odcień, jakby właśnie wrócił z czterotygodniowych wakacji na Karaibach. Pewnie ci wszyscy fircykarze z południowej Francji tak wyglądają.

- Dlaczego zmieniasz szkołę w trakcie roku szkolnego? - spytała Leslie. - Narozrabiałeś?

Uśmiech Raphaela stał się jeszcze szerszy.

- To zależy, co przez to rozumiesz - powiedział. - Właściwie jestem tutaj, bo miałem po dziurki w nosie szkoły. Ale z jakichś powodów...

- Raphael przeprowadził się z Francji - wpadł mu w słowo pan Whitman. - Chodź, Raphaelu, dyrektor Gilles czeka.

- A więc do poniedziałku - rzucił Raphael i miałam wrażenie, że kieruje to wyłącznie do Leslie.



Cynthia odczekała, aż pan Whitman i Raphael znikną w biurze dyrektora Gillesa, a potem wyciągnęła do sufitu obie ręce.

- Dzięki! Dzięki, dobry Boże, że wysłuchałeś moich modlitw! - zawołała.

Leslie dała mi łokciem kuksańca w zębra.

- Wyglądasz, jakby właśnie przejechał ci po nodze autobus.

- Poczekaj, aż ci powiem, kto to jest - szepnęłam. - Wtedy też będziesz tak wyglądała.

*Każda epoka to Sfinks, który zapada się w otchłań, gdy tylko jego zagadka zostanie rozwiązana.*

(Heinrich Heine)

Przez to spotkanie z młodszym bratem Gideona i odbytą potem pospieszną rozmowę z Leslie (spytała dziesięć razy: „jesteś pewna?”, a ja odpowiedziałam dziesięć razy: „absolutnie pewna”, po czym obie powiedziałyśmy jeszcze ze sto razy „obłąd” i „nie mieści mi się to w głowie” oraz „widziałaś jego oczy?”) dotarłam do czekającej limuzyny kilka minut po Charlotte. Znowu wysłano pana Marleya, żeby nas przywiózł, i wydawał się bardziej zdenerwowany niż kiedykolwiek. Xemerius siedział w kucki na dachu, machając ogonem tam i z powrotem. Charlotta siedziała już z tyłu i patrzyła na mnie ze złością.

- Gdzie, do diabła, byłaś tak długo? Nie każe się czekać komuś takiemu jak Giordano. Chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, jaki to dla ciebie wielki zaszczyt, że cię uczy.

Pan Marley z zakłopotaną miną uprzejmie zaprosił mnie do samochodu i zamknął za mną drzwi.

- Co jest?

Miałam nieprzyjemne uczucie, że ominęło mnie coś ważnego. Mina Charlotty tylko mnie w tym upewniła.

Kiedy samochód ruszył, Xemerius zsunął się przez dach do wnętrza i klapnął na siedzenie naprzeciw mnie. Pan Marley, tak jak ostatnim razem, zajął miejsce obok kierowcy.

- Byłoby dobrze, gdybyś się dziś bardziej postarała - powiedziała Charlotta. - Dla mnie to strasznie przykre. W końcu jesteś moją kuzynką.

Musiałam się głośno roześmiać.

- Och, daj spokój, Charlotta! Przede mną nie musisz się tak zgrywać. Przecież to dla ciebie najczystsza przyjemność, kiedy robię z siebie taką idiotkę!

- Nieprawda! - Charlotta potrząsnęła głową. - To typowe dla ciebie, że tak myślisz, w tym swoim dziecięcym skupianiu się wyłącznie na sobie. Wszyscy chcą ci tylko pomóc, żebyś... nie zepsuła całej sprawy swoją ignorancją. Chociaż może nie będziesz już miała ku temu okazji. Możliwe, że wszystko odwołają...

- A niby dlaczego?

Charlotta przez chwilę przyglądała mi się w milczeniu.

- Dowiesz się w swoim czasie. Jeśli w ogóle - dodała takim tonem, jakby niemal ją to cieszyło.

- Coś się stało? - zapytałam, zwracając się jednak nie do Charlotty, lecz do Xemeriusa. Przecież nie byłam głupia. - Czy pan Marley mówił coś, zanim przyszedł?

- W bardzo zawoalowany sposób - odrzekł Xemerius, podczas gdy Charlotta zacisnęła usta i patrzyła w okno. - Najwyraźniej dziś rano wydarzył się jakiś incydent w trakcie podróży w czasie tego... no... błyszczącego kamyczka... - Podrapał się ogonem w brew.

- Nie daj się tak ciągnąć za język!

- Wiedziałybyś, gdybyś się nie spóźniła - rzuciła Charlotta, która oczywiście myślała, że zwracam się do niej.

- ...diamentu - dokończył Xemerius. - Ktoś go... taaa... jak to najlepiej wyrazić? Ktoś mu po prostu spuścił manto.

Żołądek skurczył mi się boleśnie.

- Co?

- Tylko się nie denerwuj - rzekł Xemerius. - Jeszcze żyje. Tak w każdym razie wywnioskowałem z nerwowego jękania się tego rudego. Och, mój Boże. Jesteś biała jak prześcieradło. Och, och, chyba nie zaczniesz teraz rzygać? Weź się trochę w karby.

- Nie mogę - wyszeptałam. Czułam się naprawdę potwornie.

- Czego nie możesz? - wysyczała Charlotta. - Pierwsze, czego uczy się posiadacz genu, to ograniczać własne potrzeby i dawać z siebie wszystko dla sprawy. Ty natomiast robisz na odwrót.

Przed oczami miałam Gideona, jak zalany krwią leży na ziemi. Z trudem łapałam oddech.

- Inni zrobiliby wszystko, by móc pobierać nauki u Giorda-na. A ty zachowujesz się tak, jakby ktoś cię tym dręczył.

- Och, Charlotta, zamknij się w końcu! - zawołałam. Charlotta odwróciła się z powrotem do okna. Zaczęłam się trząść.

Xemerius wysunął do przodu jedną łapę i uspokajającym gestem położył ją na moim kolanie.

- Spróbuję się czegoś dowiedzieć. Znajdę twojego kochasia, a potem zdam ci relację, okej? Tylko nie rycz teraz, dobrze? Bo jak nie, to się zdenerwuję i opluję wodą te piękne skórzane siedzenia, a twoja kuzynka pomyśli, że zsikałaś się w majtki.

Jednym ruchem przeniknął przez dach samochodu i odleciał. Minęło męczące półtorej godziny, nim znowu zjawił się u mojego boku.

Półtorej godziny, kiedy to wyobrażałam sobie najstraszniejsze rzeczy. Nie poprawiło sytuacji to, że tymczasem dotarliśmy do Tempie, gdzie czatował już na mnie nieprzejednany mistrz. Ale nie byłam w stanie ani przysłuchiwać się wywodom na temat polityki kolonialnej, ani naśladować tanecznych kroków Charlotty. A jeśli Gideon znowu został napadnięty przez ludzi ze szpadami i tym razem nie mógł się bronić? Kiedy nie

widziałam go akurat zalanego krwią, leżącego na ziemi, wyobrażałam go sobie, jak leży na oddziale intensywnej terapii, podłączony do tysiąca rurek, bielszy niż prześcieradło. Dlaczego nie ma nikogo, kto mógłby mi powiedzieć, jak on się czuje?

W końcu Xemerius wleciał wprost przez ścianę do Starego Refektarza.

- I? - spytałam, nie zwracając uwagi na Giordana i Charlotte. Właśnie uczyli mnie, jak bić brawo na soiree w osiemnastym wieku. Oczywiście zupełnie inaczej, niż ja to robiłam.

- Okropnie! To nie jest kosi, kosi, łapci! - zawołał Giordano. - Tak klaszczą dzieci w piaskownicy, kiedy się cieszą... Gdzie ona się znowu gapi? Zaraz dostanę szalu.

- Wszystko w najlepszym porządku, dziewczyno ze stogu siana - oznajmił Xemerius, uśmiechając się wesoło. - Chłopak dostał jakieś bęcki w głowę, ale wygląda na to, że ma twardą czaszkę i nawet nie doznał wstrząsu mózgu. A ta rana na czole sprawia, że jakoś tak... ehm... o nie, nie blednij znowu! Przecież powiedziałem, że wszystko jest w porządku.

Odetchnęłam głęboko. Aż mnie zemdlilo z tej ulgi.

- Tak jest dobrze - rzekł Xemerius. - Nie ma powodu do mdlenia. Kochaś ma nadal wszystkie swoje białe zębki. I bez przerwy klnie pod nosem, a zakładam, że to dobry znak.

Dzięki Bogu. Dzięki Bogu. Dzięki Bogu.

Bliski omdlenia był natomiast Giordano. A niech tam. Nagle te jego wrzaski przestały mnie obchodzić. Co więcej, było to nawet zabawne obserwować, jak kolor jego skóry między liniami wąsa zmienia się z ciemnoróżowego w fioletowy.

Pan George przyszedł w samą porę, by zapobiec spoliczko-waniu mnie przez doprowadzonego do wściekłości Giordana.

- Dziś, o ile to w ogóle możliwe, było jeszcze gorzej. - Giordano opadł na ażurowe krzesło i chusteczką w obecnym kolorze jego skóry wycierał pot. - Przez cały czas gapiła się przed siebie szklanym wzrokiem. Jeśli nie miałbym lepszego wytłumaczenia, postawiłbym na narkotyki.

- Giordano, proszę - powiedział pan George. - Nie mamy dziś szczególnie dobrego dnia.

- A jak... on się czuje? - zapytała cicho Charlotta, zerkając na mnie z boku.

- Stosownie do okoliczności - odrzekł z powagą pan George.

Charlotta znowu obrzuciła mnie szybkim, badawczym spojrzeniem. Odwzajemniłam je ponuro. Czyżby sprawiało jej to jakąś chorą satysfakcję, że wiedziała coś, o czym myślała, że gorąco się tym interesuję?

- Ach, gadki-szmatki - wtrącił Xemerius. - Czuje się świetnie, wierz mi, skarbie! Właśnie pochłonął gigantyczny sznycel cielecy z pieczonymi ziemniakami i surówką. Czy to wygląda na „stosownie do okoliczności?”.

Giordano zdenerwował się, ponieważ nikt nie zwracał na niego uwagi.

- Ja bym tylko nie chciał, żeby na koniec wszystko skupiło się na mnie - powiedział piskliwie i odstawił swoje krzeselko na bok. - Pracowałem z nieznanymi talentami i z wielkimi tego świata, ale jeszcze nigdy, przenigdy nie przytrafiło mi się coś takiego jak to tutaj.

- Mój drogi Giordano, wie pan, jak bardzo pana cenimy. Nikt lepiej od pana nie przygotowałby Gwendolyn do... - Pan George zamilkł, ponieważ nadąsany Giordano wysunął dolną wargę i odrzucił do tyłu głowę z zabetonowaną fryzurą.

- Proszę mi nie mówić, że pana nie uprzedzałem - warknął. - To jest wszystko, czego żądam.

- W porządku. - Pan George westchnął. - Ja... no dobrze. Tak to przekażę. Idziesz, Gwendolyn?

Zdażyłam już odpiąć krynolinę i położyłam ją starannie na taborecie przy fortepianie.

- Do widzenia - powiedziałam do Giordana. Ciągle jeszcze miał nadąsaną minę.

- Mam nadzieję, że zdołam tego uniknąć - burknął.

Kiedy szliśmy do starej pracowni alchemicznej - drogę rozpoznawałam już nawet z zasłoniętymi oczami - pan George opowiedział mi, co się stało rano. Był nieco zdziwiony, że pan Marley jeszcze mnie nie poinformował o tych wydarzeniach, a ja nie zadałam sobie trudu, żeby mu wyjaśnić, jak do tego doszło.

Za pomocą chronografu wysłano Gideona w przeszłość, aby wykonał jakieś mniejsze zadanie (jakie to było zadanie, tego pan George nie chciał mi zdradzić), i dwie godziny później znaleziono go nieprzytomnego w korytarzu niedaleko pomieszczenia z chronografem. Z raną na czole, zapewne od uderzenia przedmiotem przypominającym pałkę. Gideon niczego nie pamiętał, napastnik musiał się zacząć i zaatakować z ukrycia.

- Ale kto?

- Tego nie wiemy. To przygnębiająca sytuacja, szczególnie w naszym obecnym położeniu. Dokładnie go zbadaliśmy, nigdzie nie ma wklucia, które mogłoby wskazywać, że pobrano od niego krew.

- Czy nie wystarczyłaby krew z rany na czole? - spytałam i przeszły mnie ciarki.

- Być może - przyznał pan George. - Ale jeśli... jeśli ktoś chciałby mieć absolutną pewność, pobrałby krew w inny sposób. No tak, sporo w tym wszystkim zagadek. Nikt nie wiedział, że Gideon pojawi się tam właśnie tego wieczora, a więc raczej wykluczone, by ktoś specjalnie na niego czekał. Znacznie bardziej prawdopodobne, że było to przypadkowe spotkanie. W niektórych latach aż się roilo tutaj na dole od dywersantów, przemytników, przestępców, ludzi z półświatka w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa. Ja osobiście sędzę, że był to niemiły przypadek... - Odchrząknął. - No, w każdym razie Gideon nieźle zniósł tę przygodę, przynajmniej doktor White nie stwierdził żadnych poważnych obrażeń. A więc tak jak to było zaplanowane, w niedzielę po południu wyruszyście na soiree. - Roześmiał się. - Ależ to brzmi: soiree w niedzielę po południu.

Tak, cha, cha, cha, strasznie śmieszne.

- A gdzie teraz jest Gideon? - spytałam niecierpliwie. - W szpitalu?

- Nie. Odpoczywa, mam nadzieję. W szpitalu był tylko na tomografii komputerowej i ponieważ, dzięki Bogu, nic nie wykazała, wyszedł na własne żądanie. Wczoraj wieczorem niespodziewanie odwiedził go bowiem brat.

- Wiem - wtrąciłam. - Pan Whitman zapisał go dziś do Saint Lennox.

Usłyszałam, jak pan George wzdycha głęboko.

- Chłopak uciekł z domu po tym, jak z przyjaciółmi narobił jakichś głupot. To szalony pomysł Falka, żeby zatrzymać Raphaela w Anglii. W tych niespokojnych czasach my wszyscy, a głównie Gideon, mamy ważniejsze sprawy na głowie, niż zajmować się krnąbrną młodzieżą... Ale Falk nigdy nie umiał niczego odmówić Selinie i wygląda na to, że jest to ostatnia szansa Raphaela na skończenie szkoły średniej, z dala od przyjaciół, którzy mają na niego zły wpływ.

- Selina to matka Gideona i Raphaela?

- Tak - potwierdził pan George. - Kobieta, po której obaj odziedziczyli te piękne zielone oczy. No, jesteśmy na miejscu. Możesz zdjąć chustkę.

Tym razem byliśmy w pomieszczeniu z chronografem zupełnie sami.

- Charlotta twierdziła, że w tych okolicznościach planowane wizyty w osiemnastym wieku zostaną odwołane - powiedziałam pełna nadziei. - Albo przełożone? Żeby Gideon miał czas odpocząć i może żeby ja mogła jeszcze trochę więcej poćwiczyć.

Pan George pokręcił głową.

- Nie. Tego nie zrobimy. Podejmiemy wszelkie możliwe środki ostrożności, ale ten ścisły harmonogram był dla hrabiego bardzo ważny. Gideon i ty pójdziecie jutro na soiree, to już postanowione. Czy masz jakieś specjalne życzenia, jeśli chodzi o rok, do którego poddasz się dziś elapsji?

- Nie - odparłam z jak największą obojętnością. - To przecież nie ma znaczenia, gdy jest się zamkniętym w piwnicy, prawda?

Pan George ostrożnie zdjął z chronografu aksamitny materiał.

- Oczywiście. Gideona wysyłamy najczęściej do 1953 roku, to był spokojny rok, ale musimy uważać, żeby nie spotkał sam siebie. - Uśmiechnął się. - Moim zdaniem to musi być straszne zostać zamkniętym gdzieś ze swoim własnym ja. - Poglądził się po okrągłym brzuchu i w zamyśleniu spojrzął do góry. - A co powiesz na 1956 rok? Też był bardzo spokojny.

- Tak, brzmi doskonale - odrzekłam.

Pan George podał mi latarkę i zdjął sygnet z palca.

- Tylko na wszelki wypadek... nie bój się, na pewno nikt nie przyjdzie w nocy, o wpół do trzeciej.

- W nocy, o wpół do trzeciej? - powtórzyłam przerażona. Jak mam w środku nocy znaleźć mojego dziadka?

Nikt mi

nie uwierzy, że o tej porze zgubiłam się w piwnicy. Może nawet nikogo nie będzie w domu. Wtedy wszystko byłoby na próżno!

- Och, panie George, proszę, nie! Proszę nie posyłać mnie w nocy do tych strasznych katakumb, całkiem samej...!

- Ależ Gwendolyn, przecież to nie gra żadnej roli, głęboko pod ziemią, w zamkniętym pomieszczeniu...

- Ale... ale ja się w nocy boję! Proszę, nie może mnie pan wysyłać o takiej porze... - Byłam tak zdesperowana, że łzy napłynęły mi do oczu i nawet nie musiałam im specjalnie w tym pomagać.

- Już dobrze. - Pan George spojrział na mnie uspokajająco swoimi małymi oczkami. - Zapomniałem, że ty... No to po prostu weźmy inną godzinę. Powiedzmy trzecia po południu.

- To już lepiej. - Poczułam ulgę. - Dziękuję, panie George.

- Nie ma za co. - Pan George podniósł na chwilę wzrok znad chronografu i uśmiechnął się do mnie. - Myślę, że ja na twoim miejscu też bym się czuł nieswojo, tak zupełnie sam w piwnicy. Zwłaszcza że od czasu do czasu widzisz rzeczy, których inni nie widzą...

- Tak, dziękuję, że mi pan o tym przypomniał - powiedziałam. Na szczęście Xemeriusa tu nie było, bo na pewno znowu strasznie by się zdenerwował słowem „rzeczy”. - Jak to było z tymi grobami pełnymi kości i czaszek tuż za rogiem?

- Och - westchnął pan George. - Nie chciałem cię jeszcze dodatkowo straszyć.

- Bez obaw - pocieszyłam go. - Zmarłych się nie boję. W odróżnieniu od żywych ludzi, jak wiem z doświadczenia, nie mogą nic człowiekowi zrobić.

Spostrzegłam, że pan George uniósł jedną brew.

- Oczywiście mimo to budzą we mnie grozę i w żadnym wypadku nie chciałabym przesiadywać nocą koło katakumb - dorzuciłam szybko. Podałam mu rękę, drugą mocno przyciskając do siebie szkolną torbę. - Proszę tym razem wziąć czwarty palec, on jeszcze nie był kluty.

Serce biło mi jak szalone, kiedy wyjmowałam klucz ze skrytki za cegłami i rozwijałam kartkę, którą włożył tam Lucas. Widniały na niej jedynie łacińskie słowa, żadnej osobistej wiadomości. Hasło dnia wydało mi się nadzwyczaj długie i nawet nie próbowałam nauczyć się go na pamięć. Wyciągnęłam z piórnika długopis i napisałam je sobie na dłoni. Lucas narysował także plan pomieszczeń piwnicznych. Według niego powinnam za drzwiami trzymać się prawej strony, a potem skrócić trzy razy w lewo, aż dojdę do głównych schodów, przy których będzie stał pierwszy posterunek. Drzwi otworzyły się bez trudu, kiedy przekreśliłam klucz w zamku. Przez chwilę zastanawiałam się, ale uznałam, że ich nie zamknę, na wypadek, gdyby w powrotnej drodze bardzo mi się spieszyło. Tu na dole unosił się zapach stęchlizny i widać było, że piwnica jest bardzo stara. Strop był niski, a korytarze dość wąskie. Co kilka metrów odchodził w bok kolejny korytarz albo w ścianie były drzwi. Bez mojej latarki i planu Lucasa pewnie bym się zgubiła, choć czułam się tu dziwnie swojsko. Gdy idąc ostatnim korytarzem przed schodami, skręciłam w lewo, usłyszałam głosy i nabrałam głęboko powietrza.

Teraz chodziło o to, by przekonać wartowników, że istnieje naprawdę ważny powód, dla którego powinni mnie przepuścić. Inaczej niż w osiemnastym wieku ci dwaj wcale nie wyglądali groźnie. Siedzieli u podnóża schodów i grali w karty. Podeszłam do nich zdecydowanym krokiem. Kiedy mnie zobaczyli, jednemu wypadły karty z rąk, a drugi zerwał się na równe nogi i w pośpiechu dopadł szpady opartej o ścianę.

- Dzień dobry - odezwałam się odważnie. - Proszę sobie nie przeszkadzać.

- Jak... jak... jak? - wyjąkał pierwszy, podczas gdy drugi chwycił szpadę i niezdecydowanie gapił się na mnie.

- Czy szpada nie jest trochę zbyt egzotyczną bronią jak na dwudziesty wiek? - spytałam zaskoczona. - A co pan robi, jak ktoś tu przyjdzie z ręcznym granatem? Albo z pistoletem maszynowym?

- Tu nieczęsto ktoś przychodzi - powiedział ten ze szpadą, uśmiechając się niepewnie. - To raczej tradycyjna broń, która... - Potrząsnął głową, jakby sam siebie chciał przywołać do porządku, po czym wyprostował się służbiście. - Hasło?

Spojrzałam na swoją dłoń.

- *Nam quodin iuventus non discitur, in matura aetate nescitur*\*.

- W porządku - powiedział ten, który wciąż jeszcze siedział na schodach. - Ale skąd się pani tu wzięła, jeśli można spytać?

- Z Pałacu Sprawiedliwości - wyjaśniłam. - Świetny skrót. Pokażę panom przy okazji. Ale teraz mam bardzo ważne spotkanie z Lucasem Montrose.

- Montrose? Nawet nie wiem, czy jest dzisiaj w domu - rzekł ten ze szpadą.

- Zaprowadzimy panią na górę, ale najpierw musi nam pani podać swoje nazwisko. Do protokołu - dodał ten drugi.

Rzuciłam pierwsze lepsze nazwisko, jakie przyszło mi do głowy. Może trochę za szybko.

---

\* Nam quod... (łac.) - czego się człowiek nie nauczy za młodu, tego tym bardziej nie dowie się na starość (przyp. red.).

- Violetta Purpleplum? - powtórzył z niedowierzaniem ten ze szpadą, podczas gdy ten drugi gapił się na moje nogi.

Prawdopodobnie długość spódnic naszych mundurków nie do końca była zgodna z modą 1956 roku. Nieważne, musiałam się przedostać.

- Tak - potwierdziłam nieco agresywnie, ponieważ byłam zła sama na siebie. - Nie ma powodu, żeby się tak głupio uśmiechać. Nie każdy może się nazywać Smith albo Miller. Mogę już iść?

Mężczyźni wdali się w krótką sprzeczkę o to, który z nich ma mnie zaprowadzić na górę, a potem ten ze szpadą ustąpił i z powrotem ułożył się wygodnie na schodach. W drodze na górę ten drugi chciał wiedzieć, czy już tu kiedyś byłam. Ależ tak, powiedziałam, już kilka razy, i jakże piękna jest Smocza

Sala, a połowa mojej rodziny należy do Strażników, i nagle temu człowiekowi się przypomniało, że chyba widział mnie na ostatnim pikniku.

- To pani podawała lemoniadę, prawda? Razem z lady Gainslay.

- O, właśnie - przytaknęłam.

I zaraz wdaliśmy się w cudowną pogawędkę o pikniku, różach i tych wszystkich ludziach, których nie znałam (co mi nie przeszkadzało naigrawać się ze śmiesznego kapelusza pani Lamotte i z faktu, że to właśnie pan Mason miał romans z sekretarką, fuj!).

Gdy dotarliśmy do pierwszych okien, zaciekawiona wyjrzałam na zewnątrz - wszystko wyglądało bardzo znajomo. Ale trochę dziwnie było pomyśleć, że poza szacownymi murami Tempie miasto przedstawiało jednak zupełnie inny widok niż w moich czasach.

Na pierwszym piętrze wartownik zapukał do drzwi biura. Zobaczyłam nazwisko mojego dziadka na tabliczce i załapała mnie fala dumy. Naprawdę dałam radę!

- Pana Purpleplum do pana Montrose - oznajmił wartownik przez szczelinę w drzwiach.

- Dziękuję panu za odprowadzenie - powiedziałam, wsuwając się obok niego do środka. - Zobaczymy się zapewne na następnym pikniku.

- Tak. Już się na to cieszę - odrzekł, ale zdążyłam już zamknąć drzwi.

Obróciłam się z triumfem.

- No, i co powiesz?

- Panna... eee... Purpleplum?

Mężczyzna za biurkiem patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. Z całą pewnością nie był to mój dziadek. Spojrzałam na niego z przestachem. Był bardzo młody, właściwie jeszcze prawie chłopiec, i miał okrągłą gładką twarz z jasnymi przyjaznymi oczkami, które wydały mi się bardziej niż znajome.

- Pan George? - spytałam z niedowierzaniem.

- Przepraszam, czy my się znamy? - Młody pan George podniósł się z krzesła.

- Tak, oczywiście. Z ostatniego pikniku - wyjąkałam, a myśli kotłowały mi się w głowie. - To ja byłam tą, która podawała... a gdzie jest dzia... Lucas? Czy nie wspominał, że jest dziś ze mną umówiony?

- Jestem jego asystentem i pracuję tu od niedawna - wydusił z siebie zmieszany pan George. - Ale nie, nic na ten temat nie mówił. Powinien jednak lada chwila wrócić. Proszę usiąść i poczekać, panno... eee?

- Purpleplum!

- No właśnie. Może przynieść pani kawę? - Obszedł biurko i podsunął mi krzesło, które bardzo mi się przydało. Nogi strasznie mi się trzęsły. - Nie, dziękuję za kawę.

Patrzył na mnie ze zdziwieniem, a ja gapiłam się na niego w milczeniu.

- Czy pani jest... w harcerstwie?

- Co proszę?

- Chodzi mi tylko... to przez ten mundurek.

- Nie.

Nie mogłam inaczej, musiałam się po prostu dalej na niego gapić. To był on, bez wątpienia. Jego pięćdziesięcioletnie ja było do niego niesłychanie podobne, tylko nie miało włosów, za to nosiło okulary i było mniej więcej równie wysokie jak szerokie.

Młody pan George natomiast miał całą masę włosów, które poskromił za pomocą porządnego przedziałka i dużej ilości pomady, i był naprawdę szczupły. Najwyraźniej poczuł się nieswojo, że tak wlepiam w niego wzrok, ponieważ zaczerwienił się, usiadł z powrotem na swoim miejscu za biurkiem i zaczął przekładać jakieś papiery. Zastanawiałam się, co by powiedział, gdybym wyciągnęła z kieszeni jego rodowy sygnet i mu go pokazała.

Co najmniej przez kwadrans oboje milczeliśmy, a potem otworzyły się drzwi i wszedł mój dziadek. Kiedy mnie zobaczył, jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki, ale zaraz wziął się w garść.

- O, patrzcie państwo, moja kochana kuzyneczka - rzekł. Zerwałam się z krzesła. Od naszego ostatniego spotkania

Lucas Montrose zdecydowanie wydorostał. Miał na sobie elegancki garnitur i muszkę i nosił wąsy, które niespecjalnie do niego pasowały. Wąsy połaskotały mnie po twarzy, kiedy pocałował mnie w oba policzki.

- Cóż to za radość, Hazel! Jak długo pozostaniesz w mieście? Czy twoi drodzy rodzice przyjechali z tobą?

- Nie - wyjąkałam. Że też musiałam być akurat tą wstrętną Hazel. - Są w domu, z kotami.

- A propos, to jest Thomas George, mój nowy asystent. Thomasie, to jest Hazel Montrose z Gloucestershire. Mówiłem ci przecież, że wkrótce nas odwiedzi.

- Myślałem, że pani nazywa się Purpleplum - powiedział pan George.

- Tak - potwierdziłam. - Bo tak jest. To moje drugie nazwisko. Hazel Violet Montrose Purpleplum... ale ktoś by to spamiętał?

Lucas przyglądał mi się ze zmarszczonym czołem.

- Udaję się teraz z Hazel na mały spacer - zwrócił się do pana George'a. - Jeśli ktoś będzie o mnie pytał, powiesz, że jestem na spotkaniu z klientem.

- Tak, panie Montrose - odrzekł pan George, starając się przybrać obojętny wyraz twarzy.

- Do widzenia - pożegnałam się.

Lucas wziął mnie za rękę i wyciągnął z pokoju. Oboje uśmiechaliśmy się, spięci jedno bardziej od drugiego. Dopiero kiedy zamknęliśmy za sobą ciężkie drzwi i wyszliśmy na dwór, na skąpaną w słońcu uliczkę, zaczęliśmy znowu mówić.

- Nie chcę być tą wstrętną Hazel - powiedziałam z wyrzutem i rozejrzałam się ciekawie. Tempie najwyraźniej niewiele się zmieniło w ciągu tych pięćdziesięciu lat, pomijając samochody. - Czy ja może wyglądam jak ktoś, kto kręci kotami nad głową, trzymając je za ogon?

- Purpleplum - odezwał się Lucas z równym wyrzutem. - Nie dało się już bardziej ekstrawagancko, co? - Następnie złapał mnie za ramiona i przyjrzał mi się. - Pozwól na siebie popatrzeć, moja kochana wnuczko! Wyglądasz zupełnie tak samo jak przed ośmiu laty.

- Owszem, bo to było zaledwie przedwczoraj.

- Niewiarygodne. Przez te wszystkie lata myślałem, że może mi się to tylko przyśniło.

- Wczoraj wylądowałam w 1953 roku, ale nie byłam sama.

- Ile czasu mamy dzisiaj?

Przybyłam o trzeciej, a punktualnie o wpół do siódmej przeskoczę z powrotem.

- No to mamy przynajmniej trochę czasu, żeby porozmawiać. Chodź, tam za rogiem jest niewielka kawiarnia, możemy napić się herbaty. - Lucas wziął mnie pod rękę i poszliśmy w kierunku plaży. - Nie uwierzysz, ale od trzech miesięcy jestem ojcem - opowiadał mi, idąc dalej. - Muszę przyznać, że to przyjemne uczucie. I wydaje mi się, że Arista to był dobry wybór. Claudine Seymore trochę się rozkleiła, a poza tym mówią, że czasem zagląda do kieliszka. I to przed południem.

Wąski zaułek doprowadził nas do bramy, przez którą wyszliśmy na ulicę. Tam zatrzymałam się nagle, oszołomiona. Jak zawsze panował tu ogromny ruch, ale widziałam same stare auta. Czerwone piętrowe autobusy wyglądały jak z muzeum i potwornie hałasowały, a większość ludzi, którzy szli po chodnikach, miała na głowach kapelusze - mężczyźni, kobiety, nawet dzieci! Na ścianie domu naprzeciwko wisiał plakat filmowy reklamujący Wyższe sfery z nieziemsko piękną Grace Kelly i niewiarygodnie brzydkim Frankiem Sinatrą. Z otwartymi ustami gapiłam się na lewo i na prawo. Wszystko wyglądało jak na kartce pocztowej w stylu retro - tylko było znacznie bardziej kolorowe.

Lucas zaprowadził mnie do uroczej kawiarni na rogu, gdzie zamówił herbatę i ciastka.

- Ostatnim razem byłaś głodna - przypomniał sobie. - Mają tu też dobre kanapki.

- Nie, dziękuję - odparłam. - Dziadku, a co do pana George, to w 2011 roku zachowuje się tak, jakby mnie nigdy nie widział.

Lucas wzruszył ramionami.

- Ach, nie martw się z tym chłopcem. Zanim zobaczycie się znowu, minie pięćdziesiąt pięć lat. Pewnie cię po prostu zapomni.

- Tak, być może.

Zirytowana spojrzałam na licznych palaczy. Tuż obok nas, przy owalnym stole, na którym stała szklana popielnica wielkości ludzkiej czaszki, siedział gruby facet z cygarem. Czy oni w tym 1956 roku nie słyszeli jeszcze o raku płuc?

- Udało ci się przez ten czas dowiedzieć, kim jest zielony jeździec? - spytałam.

- Nie, ale dowiedziałem się znacznie ważniejszej rzeczy. Wiem teraz, dlaczego Lucy i Paul ukradną chronograf. - Lucas rozejrzał się szybko i przysunął bliżej swoje krzesło. - Po twojej wizycie Lucy i Paul jeszcze kilka razy pojawili się na elapsji, ale nic szczególnego się nie wydarzyło. Wypiliśmy razem herbatę, przepytaliśmy ich z francuskich czasowników i przez cztery godziny kulturalnie się nudziliśmy. Nie wolno im



było opuszczać domu, taki był przepis, i Kenneth de Villiers, stary skarżypyta, zatroszczył się o to, byśmy tego przestrzegali. Pewnego razu przesznułowałem bowiem Lucy i Paula na zewnątrz, żeby mogli zobaczyć film i trochę się rozejrzeć, ale niestety nas na tym przyłapano. Och, co ja mówię: Kenneth nas przyłapał. Była straszna awantura. Nałożyli na mnie karę dyscyplinarną i przez pół roku kiedy Lucy i Paul byli u nas, przed wejściem do Smoczej Sali stały straż. To zmieniło się nieco dopiero wtedy, kiedy uzyskałem tytuł adepta trzeciego stopnia. Och, dziękuję bardzo. - To ostatnie było skierowane do kelnerki, która wyglądała jak Doris Day w filmie Człowiek, który wiedział za dużo.

Jej ufarbowane na blond włosy były krótko ścięte. Miała na sobie powiewną sukienkę z mocno rozkloszowanym dołem. Z promiennym uśmiechem postawiła przed nami zamówienie i wcale bym się nie zdziwiła, gdyby zaczęła śpiewać *Que sera, sera*.

Lucas poczekał, aż oddali się od nas dostatecznie, by nie mogła nas słyszeć, po czym mówił dalej:

- Wypytyjąc bardzo ostrożnie, próbowałem się dowiedzieć, jaki mogli mieć powód, by uciec z chronografem. Ich jedynym problemem było to, że tak bardzo się kochali. Najwyraźniej ten związek nie był w ich czasach mile widziany, dlatego utrzymywali go w tajemnicy. Wiedziało o nim tylko kilka osób, na przykład ja i twoja matka, Grace.

- A więc może uciekli w przeszłość, ponieważ nie pozwalano im być razem? Jak Romeo i Julia.

Jakie to romantyczne.

- Nie - zaprzeczył Lucas. - Nie to było powodem. - Mieszał w swojej szklance, podczas gdy ja pożądlawie gapiałam się na koszyczek pełen ciepłych ciasteczek, które spoczywały pod płócienną serwetką i pachniały kusząco. - Tym powodem byłem ja.

- Ty?!

- To znaczy nie bezpośrednio ja. Ale to była moja wina. Pewnego dnia wpadłem bowiem na fatalny pomysł, żeby wysłać Lucy i Paula po prostu jeszcze trochę dalej w przeszłość.

- Za pomocą chronografu? Ale jak...

- Na Boga, przecież mówię, że to był fatalny pomysł. - Lucas przejechał dłonią po włosach. - Ale czasami aż przez cztery godziny dziennie byliśmy zamknięci w tej przeklętej Smoczej Sali, razem z chronografem. Co nam mogło przyjść do głowy jak nie głupie pomysły? Dokładnie przestudiowałem stare plany, tajne dokumenty i kroniki, potem załatwiłem kostiumy z rekwizytorni i wreszcie wczytaliśmy krew Lucy i Paula do chronografu, a ja na próbę wysłałem ich na dwie godziny do 1590 roku. Kiedy minęły dwie godziny, powrócili do mnie, do roku 1948, i nikt nawet nie zauważył, że ich nie było. Pół godziny potem przeskoczyli stamtąd z powrotem do 1992 roku. Było idealnie.

Wsunęłam sobie do ust jedno ciastko, obficie posmarowane *clotted cream*. Lepiej mi się myślało, kiedy coś przeżuwałam. Nasuwało mi się całe mnóstwo pytań, więc zadałam po prostu pierwsze z brzegu.

- Ale przecież w 1590 roku nie było jeszcze Strażników?

- Zgadza się - potwierdził Lucas. - Nawet tego budynku jeszcze nie było. Mieliśmy szczęście. Albo pecha, zależy jak spojrzeć. - Upił łyk herbaty. Do tej pory nic nie zjadł i zastanawiałam się, w jaki sposób zdołał się potem dorobić takiej nadwagi. - Ze starych planów dowiedziałem się, że budynek ze Smoczą Salą został wzniesiony dokładnie w miejscu, w którym od końca szesnastego do końca siedemnastego wieku znajdował się mały placzek ze studnią.

- Niezupełnie rozumiem...

- Poczekaj. To odkrycie było dla nas jak darmowy bilet wstępu. Lucy i Paul mogli ze Smoczej Sali przenosić się na ten placzek w przeszłości i musieli po prostu dotrzeć tam i z powrotem we właściwym czasie, a wtedy automatycznie przeskakiwali do Smoczej Sali. Rozumiesz na razie to, co mówię?

- A jeśli wylądowali na placu w samym środku dnia? Czy nie groziło im, że będą natychmiast aresztowani, oskarżeni o czary i spaleni na stosie?

- To był niewielki, spokojny plac, najczęściej pozostawali w ogóle niezauważeni. A jeśli już, ludzie przecierali sobie ze zdziwieniem oczy i uznawali, że coś im się przywidziało. Oczywiście i tak było to ogromnie niebezpieczne, ale nam wydawało się wprost genialne. Cieszyliśmy się, że wpadliśmy na ten pomysł i że udało się nam wszystkich wyprowadzić w pole, a Lucy i Paul wspaniale się bawili. Ja też, choć siedziałem w Smoczej Sali jak na rozżarzonych węglach, czekając na ich powrót. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby ktoś wszedł.

- Bardzo odważnie - wtrąciłam.

- Zgadza się - przyznał Lucas i wyglądał trochę tak, jakby miał poczucie winy. - Dzisiaj bym tego nie zrobił, z całą pewnością nie. Ale wtedy myślałem, że jeśli zacznie być naprawdę niebezpiecznie, do gry wkroczy moje stare, mądre ja z przyszłości, rozumiesz?

- Jakie twoje stare, mądre ja z przyszłości? - zdziwiłam się.

- No, ja sam - zawołał Lucas i od razu ściszył głos. - Przecież w 1992 roku będę jeszcze pamiętał, co knułem z Lucy i Paulem, i gdyby coś poszło nie tak, na pewno ostrzegłbym ich przed moim lekkomyślnym młodym ja... Tak myślałem.

- Rozumiem. - Wzięłam jeszcze jedno ciastko, że tak powiem, jako pokarm dla mózgu. - Ale nie zrobiłeś tego.

Lucas pokręcił głową.

- No, nie. I oni stawali się coraz bardziej lekkomyślni. Kiedy Lucy przerabiała w szkole Hamleta, wysłałem ich oboje do 1602 roku. Przez trzy dni z rzędu mogli oglądać oryginalną inscenizację trupy lorda szambelana w teatrze Globe.

- W Southwark? Lucas skinął głową.

- Tak, to było dość skomplikowane. Musieli przedostać się przez London Bridge na drugą stronę Tamizy, by tam obejrzeć kawałek spektaklu, i wrócić, zanim nastąpi powrotny przeskok w czasie. Przez dwa dni szło dobrze, ale trzeciego dnia na London Bridge zdarzył się wypadek i Lucy i Paul byli świadkami przestępstwa. Nie udało im się dotrzeć w porę na właściwy brzeg Tamizy i wylądowali w Southwark w roku 1602, w rzece, podczas gdy ja omal nie oszalałem ze zmartwienia. - Najwyraźniej poruszało go nawet samo to wspomnienie, bo zbłądł gwałtownie. - W ostatniej chwili, przemoczeni do suchej nitki, w kostiumach z siedemnastego wieku, dotarli do Tempie, nim przeskoczyli z powrotem do 1992 roku. Dowiedziałem się tego wszystkiego dopiero w czasie ich następnej wizyty.

W głowie mi się kręciło od tych wszystkich dat.

- A cóż to było za przestępstwo, którego byli świadkami? Lucas przysunął krzesło jeszcze trochę bliżej. Jego oczy za okularami pociemniały, spoglądając z ogromną powagą.

- To jest właśnie sedno sprawy! Lucy i Paul widzieli, jak hrabia de Saint Germain zabija jakiegoś człowieka.

- Hrabia?

- Lucy i Paul do tamtej pory spotkali się z hrabią tylko dwa razy. Mimo to mieli całkowitą pewność, że to był on. W trakcie swojego pierwszego przeskoku w czasie, do roku 1784, zostali mu oboje przedstawieni. Hrabia sam tak zdecydował. Dopiero pod koniec swego życia chciał poznać podróżników w czasie, którzy urodzili się po nim. Zdziwiłbym się, gdyby w twoim przypadku było inaczej. - Odchrząknął. - Będzie inaczej. Tak czy owak: Strażnicy specjalnie pojechali z Lucy i Paulem oraz z chronografem do północnych Niemiec, gdzie hrabia spędził ostatnie lata życia. Ja też byłem przy tym... Będę przy tym. Jako Wielki Mistrz Łoży, możesz w to uwierzyć?

- Czy moglibyśmy...? - Zmarszczyłam czoło.

- Och, znowu zbaczam z tematu, prawda? To przekracza granice mojej wyobraźni, że te rzeczy dopiero się zdarzą, choć zdarzyły się już dawno temu. Na czym stanęliśmy?

- Jak hrabia mógł popełnić morderstwo w 1602 roku... och, rozumiem! Uczynił to w trakcie podróży w czasie!

- Właśnie. I to jako znacznie młodszy człowiek. To był niewiarygodny przypadek, że Lucy i Paul znaleźli się dokładnie w tym samym miejscu i w tym samym czasie. Jeśli w takich okolicznościach można mówić o przypadku. Sam hrabia pisze w jednym ze swoich licznych dzieł: „Kto wierzy w przypadek, ten nie pojął mocy losu”.

- Kogo zamordował? I dlaczego? Lucas znowu rozejrzał się po kawiarni.

- Tego, droga wnuczko, na początku nie wiedzieliśmy. Minęły całe tygodnie, nim zdołaliśmy to odkryć. Jego ofiarą by nie kto inny jak Lancelot de Villiers, pierwszy podróżnik w czasie należący do Kręgu. Bursztyn.

- Zamordował własnego przodka? Ale dlaczego?

- Lancelot de Villiers był belgijskim baronem, który w roku 1602 przeniósł się z całą rodziną do Anglii. W Kronikach i tajnych pismach hrabiego de Saint Germain, które pozostawił Strażnikom, napisano, że Lancelot zmarł w 1607 roku, dlatego z początku nie braliśmy go pod uwagę. W rzeczywistości jednak, a oszczędzę ci teraz szczegółów naszych detektywistycznych dochodzeń, baronowi podcięto gardło w 1602 roku w jego własnym powozie.

- Nie rozumiem - mruknęłam.

- Sam jeszcze nie zdołałem złożyć wszystkich elementów tej układanki - powiedział Lucas, wyciągając z kieszeni paczkę papierosów i zapalając jednego. - Poza tym nie widziałem Lucy i Paula od dwudziestego czwartego września 1949 roku. Przypuszczam, że przeskoczyli z chronografem do czasów wcześniejszych ode mnie, bo inaczej na pewno by mnie już odszukali. Och... niech to szlag! Nie patrz w tamtą stronę!

- A co się stało? I od kiedy ty palisz?

- Nadchodzi Kenneth de Villiers z tą czarownicą, swoją siostrą. - Lucas próbował ukryć się za menu.

- Po prostu powiedz, że nie chcemy, żeby nam przeszkadzano - wyszeptalam.

- Nie mogę. On jest moim przełożonym: zarówno w łoży, jak i w prawdziwym życiu. Do niego należy ta przeklęta kancelaria... Jeśli będziemy mieli szczęście, nie zauważy nas.

Nie mieliśmy szczęścia. Wysoki mężczyzna po czterdziestce i dama w kapeluszu turkusowego koloru zmierzali prosto do naszego stolika i choć nikt ich nie zapraszał, usiedli na dwóch wolnych krzesłach.

- Dziś po południu obaj jesteście na wagarach, co, Lucas? - rzucił przyjaźnie Kenneth de Villiers i klepnął Lucasa w ramię. - Nie żebym miał nie przymknąć na to oka po tym, jak brawurowo doprowadziłeś wczoraj do finału sprawę Parkera. Jeszcze raz moje gratulacje. Słyszałem już, że masz gościa ze wsi. - Jego bursztynowe oczy otaksowały mnie badawczo.

Staralam się patrzeć na niego możliwie obojętnie. Ale to było dziwne, jak de Villiersowie ze swoimi wydatnymi kośćmi policzkowymi i prostymi, arystokratycznymi nosami byli do siebie podobni. Ten tutaj też imponował prezencją, choć nie był aż tak przystojny jak na przykład Falk de Villiers w moich czasach.

- Hazel Montrose, moja kuzynka - przedstawił mnie Lucas. - Hazel, to jest pani i pan de Villiers.

- Ale ja jestem jego siostrą - wtrąciła pani de Villiers i zachichotała. - Och, dobrze, że ma pan papierosy. - Muszę sobie natychmiast puścić dymka.

- Niestety zamierzaliśmy właśnie iść - rzekł Lucas, podając jej z galanterią papierosa i ogień. - Mam jeszcze trochę papierkowej roboty.

- Ale nie dzisiaj, mój przyjacielu, nie dzisiaj. - Szef mrugnął do niego przyjaźnie.

- Z Kennethem zawsze jest tak nudno - odezwała się pani de Villiers i wydmuchnęła dym z papierosa przez nos. - Nie można z nim porozmawiać o niczym innym poza polityką. Kenneth, proszę cię, zamów jeszcze herbatę dla nas wszystkich. Skąd pani dokładnie przybywa, moja droga?

- Z Gloucestershire - odrzekłam i zakaszlałam lekko. Lucas westchnął uniesienie.

- Mój wuj, czyli ojciec Hazel, ma tam spory majątek z mnóstwem zwierząt.

- Och, kocham wiejskie życie. I kocham zwierzęta - zawołała z entuzjazmem pani de Villiers.

- Ja też - powiedziałam. - Zwłaszcza koty.

*Z Kronik Strażników. Protokół posterunku Cerbera 24 lipca 1956*  
*Nam quod in iuventus non discitum, in matura aetate nescitur.*

godz. 7.00: Nowicjusz Cartrell, którego zgłoszono w czasie nocnego egzaminu Ariadny jako zaginionego, dotarł do wejścia z siedmiogodzinnym opóźnieniem. Lekko się zatacza i czuć od niego alkohol, co pozwala przypuszczać, że wprawdzie nie zdał egzaminu, ale znalazł zaginioną piwniczkę z winem. W drodze wyjątku przepuszczam go

z hasłem dnia poprzedniego. Poza tym brak szczególnych zdarzeń.

*Raport: J. Smith, nowicjusz, zmiana przedpołudniowa*

13.12: Dostrzegamy szczura. Chcę go nabić na szpadę, ale Leroy karmi go resztkami własnej kanapki i nadaje mu imię Audrey. 15.15: Do wejścia dociera panna Violet Purpleplum nieznaną nam drogą z Pałacu Sprawiedliwości. Bezbłędnie przekazuje hasło dnia, Leroy zgodnie z jej życzeniem eskortuje ją na górę do biura.

15:24 Audrey wróciła. Poza tym brak szczególnych zdarzeń.

*Raport: R Word, nowicjusz, zmiana popołudniowa*

Od 18.00 do 0.00: Brak szczególnych zdarzeń.

*Raport: N. Cartrell, nowicjusz, zmiana wieczorna*

Od 0.00 do 6.00: Brak szczególnych zdarzeń.

*Raport: K. ElberethIM. Ward, nowicjusze*

8.

Strażnik u podnóża schodów spał, oparłszy głowę o poręcz.

- Biedny Cartrell - szepnął Lucas, kiedy przemykaliśmy obok chrapiącego mężczyzny. - Obawiam się, że nie dotrze do stopnia adepta, jeśli dalej będzie tak pił. Ale tym lepiej dla nas. Chodź szybko!

Zupełnie zabrakło mi tchu, ponieważ całą drogę z kawiarni musieliśmy przebyć biegiem. Kenneth de Villiers i jego siostra przytrzymali nas całe wieki - rozmawialiśmy z nimi ogólnie o wiejskim życiu i w szczególności o życiu w Gloucestershire (miałam do wtrącenia kilka ślicznych anegdotek o mojej kuzynce Madelaine i owcy imieniem Klarysa), o sprawie Parkera (z czego zrozumiałam tylko tyle, że mój dziadek ją wygrał), o ślicznym następcy tronu Karolu (że co?) i o wszystkich filmach z Grace Kelly i jej ślubie z księciem Monako. Co jakiś czas pokasywałam i próbowałam skierować rozmowę na straszliwe skutki palenia, ale nikt nie podjął tematu. Kiedy wreszcie mogliśmy opuścić kawiarnię, było już tak późno, że nawet nie zdążyłam poszukać toalety, chociaż miałam w pęcherzu pewnie z litr herbaty.

- Jeszcze trzy minuty - wysapał Lucas, kiedy biegliśmy przez piwniczne korytarze. - A jest nieskończenie wiele spraw, o których chciałbym ci powiedzieć. Gdyby nie ta przeklęta zaraza od mojego szefa...

- Nie wiedziałam, że pracujesz u jednego z de Villiersów. Przecież jesteś przyszłym lordem Montrose, członkiem Izby Lordów.

- Tak - odrzekł ponuro Lucas. - Ale nim przejmę spadek po ojcu, muszę zarabiać na utrzymanie swojej rodziny. Ta posada po prostu się trafiła... Nieważne, posłuchaj: to, co hrabia de Saint Germain pozostawił Strażnikom, czyli tak zwane tajne pisma, listy, Kroniki, przeszło najpierw przez jego cenzurę. Strażnicy wiedzą tylko tyle, na ile pozwolił im Saint Germain, a wszystkie informacje zmierzają do tego, że pokolenia po nim uczynią, co w ich mocy, by zamknąć krąg. Ale żaden ze Strażników nie zna całej tajemnicy.

- Ale ty ją znasz? - zawołałam.

- Cśśś! Nie. Ja też jej nie znam.

Pokonaliśmy ostatni zakręt i z rozmachem otworzyłam drzwi do dawnej pracowni alchemicznej. Moje rzeczy leżały na stole, dokładnie tak, jak je pozostawiłam.

- Ale Lucy i Paul znają tajemnicę, o tym jestem przekonany. Kiedy widzieliśmy się ostatni raz, byli blisko znalezienia dokumentów. - Spojrzał na zegarek. - Cholera.

- Dalej - naciskałam, biorąc do ręki torbę i latarkę. W ostatniej sekundzie przyszło mi jeszcze do głowy, żeby oddać Lucasowi klucz. W żołądku czułam już znajome mdłości z górskiej kolejki. - I proszę cię, dziadku, zgól te wąsy!

- Hrabia ma wrogów, o których w Kronikach jest mowa tylko na marginesie - wyrzucił z siebie Lucas. - Szczególnie zawzięła się na niego stara, zbliżona do kościoła tajna organizacja o nazwie Sojusz Florencki. W 1745 roku, kiedy w Londynie powstała loża, Sojuszowi Florenckiemu udało się wejść w posiadanie dokumentów ze spuścizny hrabiego de Saint Germain... Uważasz, że te wąsy mi nie pasują? Pokój zaczął wirować wokół mnie.

- ...Dokumentów, które dowodzą między innymi, że to nie jest kwestia wczytania do chronografu krwi wszystkich dwa-naściorga podróżników w czasie. Tajemnica ujawni się dopiero wtedy, gdy... - Tyle jeszcze zdążyłam usłyszeć, nim zważyło mnie z nóg.

Ułamki sekundy później oślepiło mnie jasne światło. Spojrzałam wprost na klatkę piersiową w białej koszuli. Centymetr dalej w lewo i wylądowałabym wprost na nogach pana George'a.

Wydałam z siebie lekki okrzyk przerażenia i cofnęłam się kilka kroków.

- Następnym razem musimy pamiętać o tym, by dać ci kredę do zaznaczenia miejsca - powiedział pan George, kręcąc głową, i wyjął mi latarkę z dłoni.

Czekał na mnie nie sam. Obok niego stał Falk de Villiers, doktor White siedział na krześle przy stole, Robert, ten mały chło-piec-duch, wyglądał spomiędzy jego nóg, a o ścianę obok drzwi stał oparty Gideon, z ogromnym białym plastrem na czole.

Na jego widok wzięłam głęboki oddech.

Przyjął swoją zwykłą pozę, z rękami skrzyżowanymi na piersi, ale jego twarz nie była ciemniejsza od plastra, a cienie pod oczami sprawiały, że tęczęwki zdawały się nienaturalnie zielone. Poczułam przemożną chęć, by podbiec do niego, objąć go i podmuchać na jego ranę, jak zawsze robiłam z Nickiem, kiedy się zranił.

- Wszystko w porządku, Gwendolyn? - spytał Falk de Villiers.

- Tak - odrzekłam, nie spuszczać wzroku z Gideona.

O Boże, tęskniłam za nim, dopiero teraz uświadomiłam sobie, jak bardzo. Czy od tamtego pocałunku na zielonej sofie minął zaledwie jeden dzień? Chociaż... trudno byłoby tu mówić o jednym pocałunku.

Gideon patrzył na mnie niewzruszenie, niemal obojętnie, jakby widział mnie po raz pierwszy. Ani śladu tego, co było wczoraj.

- Zaprowadzę Gwendolyn na górę, żeby mogła wrócić do domu - powiedział spokojnie pan George. Położył mi rękę na plecach i delikatnie popchnął mnie obok Falka w stronę drzwi. Wprost na Gideona.

- Czy ty... dobrze się czujesz? - spytałam.

Gideon nie odpowiedział, tylko na mnie patrzył. Ale w sposobie, w jaki na mnie spoglądał, coś mi się nie zgadzało. Jakbym nie była osobą, lecz przedmiotem. Czymś nieznaczącym, powszednim, czymś takim jak... krzesło. Może doznał jednak wstrząsu mózgu i nie wiedział już, kim jestem? Natychmiast zrobiło mi się zimno.

- Gideon powinien leżeć w łóżku, ale musi się na kilka godzin poddać elapsji, jeśli nie chcemy ryzykować niekontrolowanego przeskoku w czasie - wyjaśnił opryskliwie doktor White. - To lekkomyślność puszczać go znowu samego...

- Dwie godziny w spokojnej piwnicy w 1953 roku, Jake - wpadł mu w słowo Falk. - Na sofie. Przeżyje to.

- Tak, oczywiście - potwierdził Gideon, a jego spojrzenie, o ile to w ogóle możliwe, stało się jeszcze bardziej mroczne.

Nagle zachciało mi się ryczeć. Pan George otworzył drzwi.

- Chodź, Gwendolyn.

- Jeszcze chwila, panie George. - Gideon przytrzymał mnie za ramię. - Jednego chciałbym się jeszcze dowiedzieć: do którego roku wysłał pan właśnie Gwendolyn?

- Teraz? 1956 rok, lipiec - odrzekł pan George. - Dlaczego?

- No bo czuć od niej papierosy - rzekł Gideon, a jego dłoń boleśnie ścisnęła moje ramię, tak że torba o mało nie wypadła mi z rąk.

Automatycznie powąchałam rękaw zakietu. To prawda - długi pobyt w zadymionej kawiarni pozostawił jednoznaczne ślady. Jak, na Boga, miałam to wyjaśnić?

Wszystkie spojrzenia w pokoju były skierowane teraz na mnie i zrozumiałam, że muszę czym prędzej wymyślić jakąś dobrą wymówkę.

- Okej. Złapaliście mnie - powiedziałam i wlepiłam wzrok w podłogę. - Zapaliłam sobie. Ale tylko trzy papierosy. Naprawdę.

Pan George potrząsnął głową.

- Ależ Gwendolyn, przecież mówiłem ci, żadnych przedmiotów...

- Przykro mi - wpadłam mu w słowo. - Ale w tej piwnicy jest tak nudno, a papieros pomaga przewyciężyć strach... - Postarałam się o zakłopotany wyraz twarzy. - Dokładnie zebrałam niedopałki i wszystko wzięłam z powrotem. Nie musi się pan martwić, że ktoś znajdzie paczkę lucky strike'ów i bardzo się zdziwi.

Falk się zaśmiał.

- No to nasza księżniczka nie jest aż taka grzeczna, jak się wydawało - powiedział doktor White, a ja odetchnęłam z ulgą. Najwyraźniej mi uwierzyli. - Nie bądź taki zszokowany, Thomas. Swojego pierwszego papierosa zapaliłem w wieku trzynastu lat.

- Ja też. Pierwszego i ostatniego. - Falk de Villiers pochylił się nad chronografem. - Palenie papierosów doprawdy nie jest godne polecenia, Gwendolyn. Jestem pewien, że twoja matka byłaby niemile zaskoczona, gdyby się o tym dowiedziała.

Nawet mały Robert kiwnął gwałtownie głową i spojrzał na mnie z wyrzutem.

- A poza tym nie służy to urodzie - uzupełnił doktor White. - Od nikotyny ma się złą cerę i brzydkie zęby.

Gideon nie powiedział nic. Nie rozluźnił także uścisku na moim ramieniu. Zmusiłam się, by możliwie swobodnie spojrzeć mu w oczy, i wysiliłam się na przeproszający uśmiech.

Patrzył na mnie lekko zwięzonymi oczami i niedostrzegalnie pokręcił głową. Potem powoli mnie puścił. Przełknęłam ślinę, bo nagle poczułam w gardle kluczę.

Dlaczego Gideon był taki? W jednej chwili miły i czuły, a w następnej zimny i nieprzystępny? To nie do wytrzymania. Przynajmniej dla mnie. To, co zaszło między nami, wydawało się naprawdę autentyczne. Prawdziwe. A teraz nie przychodzi mu nic lepszego do głowy, jak przy pierwszej lepszej okazji kompromitować mnie przed całym towarzystwem? Co chce przez to osiągnąć?

- Chodź już - powiedział do mnie pan George.

- Zobaczmy się pojutrze, Gwendolyn - rzucił Falk de Vil-liers. - To będzie twój wielki dzień.

- Niech pan nie zapomni zawiązać jej oczu - wtrącił doktor White i usłyszałam, jak Gideon się śmieje, jakby doktor White powiedział kiepski dowcip.

Potem ciężkie drzwi zamknęły się za nami i stanęliśmy w korytarzu.

- Wygląda na to, że on nie lubi palaczy - rzuciłam cicho i miałam ochotę wybuchnąć płaczem.

- Daj, zasłoń ci oczy - powiedział pan George, więc się nie ruszałam, póki nie zawiązał mi wąskiej chustki. Potem wziął ode mnie szkolną torbę i lekko popchnął mnie do przodu. - Gwendolyn... naprawdę musisz być ostrożniejsza.

- Kilka papierosów mnie przecież od razu nie zabije, panie George.

- Nie o to mi chodzi.

- Więc o co?

- Miałem na myśli twoje uczucia.

- Co proszę? Moje uczucia? Usłyszałam westchnienie pana George'a.

- Moje drogie dziecko, nawet ślepy by zauważył, że ty... powinnaś po prostu być ostrożniejsza, jeśli chodzi o twoje uczucia do Gideona.

- Ja... - zamilkłam.

Pan George najwyraźniej był bardziej spostrzegawczy, niż go o to podejrzewałam.

- Relacjom między dwojgiem podróżników w czasie jeszcze nigdy nie przyświecała dobra gwiazda - powiedział. - Podobnie jak związkom między rodzinami de Villiers i Montrose. A w takich czasach jak teraz trzeba nieustannie pamiętać o tym, że nie można ufać właściwie nikomu. - Może to sobie tylko wmówiłam, ale miałam wrażenie, że ręka pana George'a na moich plecach zdrząła. - To jest niestety niezaprzeczalna prawda, że zdrowy rozsądek cierpi tam, gdzie do gry wkracza miłość.

A zdrowy rozsądek to jest to, czego obecnie najbardziej potrzebujesz. Uwaga, stopień.

W milczeniu weszliśmy na górę. Pan George zdjął mi opaskę z oczu i popatrzył na mnie z powagą.

- Dasz sobie ze wszystkim radę, Gwendolyn. Mocno wierzę w ciebie i w twoje zdolności.

Jego okrągła twarz znów cała była usiana kropelkami potu. W jego jasnych oczach widziałam wyłącznie niepokój - tak samo jak u mojej matki, kiedy na mnie patrzyła. Zalała mnie fala sympatii.

- Proszę. Pana sygnet - powiedziałam. - Mogę spytać, ile właściwie ma pan lat, panie George?

- Siedemdziesiąt sześć - odrzekł pan George. - To żadna tajemnica.

Wlepiłam w niego wzrok. Choć właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałam, spokojnie oceniłabym go na dziesięć lat mniej.

- To znaczy, że w 1956 roku miał pan...

- Dwadzieścia jeden lat. To był rok, kiedy zacząłem tu pracę jako pomocnik adwokata i zostałem członkiem loży.

- Czy zna pan Violet Purpleplum, panie George? To przyjaciółka mojej ciotecznej babki.

Pan George podniósł do góry brew.

- Nie, nie sędzę. Chodź, zaprowadzę cię do samochodu. Jestem pewien, że twoja matka czeka już na ciebie z utęsknieniem.

- O tak, na pewno. Panie George?

Ale pan George zdążył się już odwrócić i ruszył do przodu. Nie pozostało mi nic innego, jak iść za nim.

- Jutro w południe zostaniesz odebrana z domu. Madame Rossini potrzebuje cię do przymiarki, a potem Giordano spróbuje czegoś cię jeszcze nauczyć. No i musisz się również poddać elapsji.

- Zapowiada się cudowny dzień - powiedziałam matowym głosem.

- Ale to nie jest żadna... magia - wyszeptałam zszokowana. Leslie westchnęła.

- Może nie w sensie czarodziejskich zaklęć typu hokus-pokus, ale to jest magiczna zdolność. To magia kruka.

- To raczej rodzaj fioła - powiedziałam. - Coś, z czego ludzie się naśmiewają, o ile w ogóle komuś takiemu uwierzą.

- Gwenny, to nie jest żaden fioł, jeśli ktoś postrzega coś ponadzmysłowo. To raczej dar. Widzisz duchy i rozmawiasz z nimi.

- I demony - uzupełnił Xemerius.

- W mitologii kruk jest symbolem połączenia ludzi ze światem bogów. Kruki są pośrednikami między żywymi i umarłymi.

- Leslie otworzyła segregator i pokazała mi, co znalazła w Internecie na temat kruka. - Musisz przyznać, że to nadzwyczajnie pasuje do twoich zdolności.

- I do koloru włosów - wtrącił Xemerius. - Czarne jak pióra kruka.

Zagryzłam dolną wargę.

- Ale w tych przepowiedniach to zawsze brzmi tak... ach, sama nie wiem... tak poważnie i dostojnie, i tak dalej. Jakby magia kruka była rodzajem tajnej broni.

- Przecież może być - zauważyła Leslie. - Jeśli przestaniesz myśleć, że to jest tylko taki dziwny fioł, który daje ci zdolność widzenia duchów.

- I demonów - dodał znowu Xemerius.

- Tak bym chciała mieć te teksty z przepowiedniami - westchnęła Leslie. - Bardzo jestem ciekawa, jak to dokładnie brzmi.

- Charlotta na pewno może ci je wszystkie wyklepać z pamięci - rzuciłam. - Myślę, że nauczyła się tego na swoich tajemnych lekcjach. Oni w ogóle przez cały czas gadają wierszem. Strażnicy. Nawet moja mama. I Gideon.

Szybko się odwróciłam, żeby Leslie nie zauważyła, że nagle moje oczy wypełniły się łzami, ale było już za późno.

- Och, kochanie! Nie płacz znowu! - Podała mi chusteczkę. - Naprawdę przesadzasz.

- Nie, nie przesadzam. Pamiętasz jeszcze, jak przez Maksa ryczałaś bez przerwy przez trzy dni?

- Pewnie, że pamiętam - odrzekła Leslie. - To było przecież zaledwie pół roku temu.

- Teraz wiem, jak się wtedy czułaś. I potrafię już zrozumieć, dlaczego chciałaś wtedy umrzeć.

- Byłam taka głupia! Siedziałaś u mnie przez cały czas i mówiłaś, że Max nie jest wart tego, by myśleć o nim choćby przez chwilę, bo zachował się jak ostatni dupek.

- No i w kółko leciało The winner takes it cdi.

- Mogę to puścić - zaoferowała się Leslie. - Jeśli się lepiej przy tym czujesz.

- Nie. Ale możesz mi podać ten japoński nóż do warzyw, żeby mogła popełnić harakiri. - Rzuciłam się na łóżko i zamknęłam oczy.

- Ze też dziewczyny zawsze muszą być takie dramatyczne - odezwał się Xemerius. - Chłopak raz miał zły humor i patrzył krzywo, bo niedawno oberwał, a tej się już cały świat wali.

- Bo on mnie nie kocha - powiedziałam zrozpaczona.

- Wcale tego nie wiesz - zaoferowała Leslie. - W przypadku Maksa byłam niestety zupełnie pewna, ponieważ dokładnie pół godziny po tym, jak ze mną zerwał, widziano go, jak w kinie mizia się z tamtą Anką. Ale czegoś takiego nie zarzucisz Gideonowi. On jest tylko trochę... chwiejny.

- Ale dlaczego? Gdybyś widziała, jak na mnie patrzył. Jakoś tak z obrzydzeniem. Jakbym była... stonogą piwniczną. Ja tego po prostu nie wytrzymam.

- A jednak, z łaski swojej, weź się w garść. - Leslie potrząsnęła głową. Pan George ma rację: kiedy tylko do gry wkracza miłość, zdrowy rozsądek się ulatnia. Przecież nie brakuje nam już wiele osiągnięcia zdecydowanego przełomu.

Rano bowiem, kiedy Leslie do mnie przysła i usadowiłyśmy się wygodnie na moim łóżku, do drzwi zastukał pan Bernhard - coś, czego nigdy nie robił - i postawił na moim biurku tacę z herbatą.

- Mała regeneracja dla młodych dam - powiedział. Mogłam się tylko gapić na niego w osłupieniu, bo nie pamiętam, żeby kiedykolwiek w ogóle wszedł na to piętro.

- Ponieważ ostatnio panienka o to pytała, pozwoliłem sobie nieco się rozejrzeć - ciągnął pan Bernhard, a jego sobie oczy przyglądały się nam poważnie znad krawędzi okularów. - I tak jak myślałem, znalazłem to.

- Co takiego? - spytałam.

Pan Bernhard odsunął serwetkę z tacy, a spod niej wyłoniła się książka.

- Zielony jeździec - powiedział. - Z tego, co pamiętam, to właśnie tego panienka szukała.

Leslie zerwała się z łóżka i chwyciła książkę.

- Ale ja oglądałam już ten tom w bibliotece i nie ma w nim niczego szczególnego - mruknęła.

Pan Bernhard uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Zakładam, że przyczyną było to, że książka w bibliotece nie była własnością lorda Montrose. Myślę natomiast, że ten egzemplarz mógłby was zainteresować.

Wycofał się z lekkim ukłonem, a ja i Leslie natychmiast rzuciłyśmy się na książkę. Kartka, na której ktoś małymi literkami zapisał setki liczb, sfrunęła na podłogę. Policzki Leslie zarumieniły się z podekscytowania.

- O mój Boże, to jest kod! - wykrzyknęła. - To absolutnie cudowne! O tym zawsze marzyłam! Teraz musimy się dowiedzieć, co oznacza.

- Tak - odezwał się Xemerius. Wisiał na moim karniszu. - Już to słyszałem wiele razy. Myślę, że jest to również jedno z tych słynnych ostatnich zdań...

Ale Leslie nie potrzebowała nawet pięciu minut, żeby pojąć, że liczby odnoszą się do poszczególnych liter w tekście.

- Pierwsza liczba to jest zawsze strona, druga oznacza wiersz, trzecia wyraz, czwarta literę. Widzisz? 14-22-6-3, to jest strona czternasta, wiersz dwudziesty drugi, szóste słowo i trzecia litera. - Pokręciła głową. - Cóż za tania sztuczka. W co drugiej książce dla dzieci to stosują. Tak czy owak, pierwsza litera to e.

Xemerius z uznaniem pokiwał głową.

- Słuchaj swojej przyjaciółki.

- Nie zapominaj, że tu gra idzie o śmierć i życie - upomniała mnie Leslie. - Myślisz, że chciałabym stracić moją najlepszą przyjaciółkę tylko dlatego, że się z kimś trochę poobścikiwała, a potem nie była już w stanie używać swojego mózgu?



- Moje słowa! - wtrącił Xemerius.
- Ważne jest, byś przestała ryczeć, a zamiast tego dowiedziała się, co odkryli Lucy i Paul - ciągnęła z naciskiem Leslie. - Jeśli dzisiaj wyślą cię na elapsję znowu do roku 1956... musisz tylko poprosić o to pana George'a... postaraj się pogadać ze swoim dziadkiem w cztery oczy! Co to za poroniony pomysł, żeby iść do kawiarni! I tym razem wszystko będziesz zapisywać, wszystko, co ci powie, w najmniejszych szczegółach, słyszysz? - Westchnęła. - Jesteś pewna, że to się nazywało Sojusz Florencki? Nigdzie niczego na ten temat nie znalazłam. Musimy koniecznie zajrzeć do tych tajnych pism, które hrabia de Saint Germain pozostawił Strażnikom. Gdyby jeszcze Xemerius był w stanie poruszać przedmioty, mógłby znaleźć archiwa, przeniknąć przez ścianę i po prostu wszystko przeczytać.
- No, powiedz jeszcze, jaki jestem bezużyteczny - rzekł urażony Xemerius. - Potrzebowałem zaledwie siedmiu wieków, żeby pogodzić się z tym, że nie mogę nawet przewrócić kartki w książce...
- Ktoś zastuka! do drzwi i zaraz, nie czekając na zaproszenie, do pokoju zajrzała Caroline.
- Lunch jest gotowy. Gwenny, za godzinę przyjadą po ciebie i po Charlotte.
- Westchnęłam.
- Po Charlotte też?
- Tak powiedziała ciotka Glenda. Biedna Charlotta jest wykorzystywana jako nauczycielka dla beznadziejnego beztalen-cia czy coś w tym stylu.
- Nie jestem głodna - odparłam.
- Zaraz przyjdziemy - wtrąciła Leslie i dała mi kuksańca w żebra. - Gwenny, chodź. Możesz się później popławić we współczuciu dla samej siebie. Teraz musisz coś zjeść.
- Usiadłam prosto i wytarłam nos.
- Nie mam teraz zdrowia wysłuchiwać beczelnych uwag ciotki Glendy.
- No, ale będziesz potrzebowała mocnych nerwów, jeśli chcesz przeżyć najbliższy czas. - Leslie postawiła mnie na nogi. - Charlotta i twoja ciotka to wprawka przed poważnymi zdarzeniami. Jeśli przetrwasz ten lunch, to z palcem w nosie poradzisz sobie na soiree.
- A jak nie, to zawsze będziesz mogła popełnić harakiri -dorzuci! Xemerius.

Madame Rossini na powitanie przygarnęła mnie do swego obfitego biustu.

- Moja łabędzia szyjko! Nareszcie jesteś. Stęskniłam się za tobą!
- Ja za panią też - odrzekłam szczerze.
- Już sama obecność madame Rossini z jej buzującą serdecznością i cudownym francuskim akcentem (łabęędzia! Gdybyż tylko Gideon mógł to usłyszeć!) działała na mnie ożywczo i zarazem mnie uspokajała. Była jak balsam dla mojego nadszarpniętego poczucia własnej wartości.
- Będziesz zachwycona, kiedy zobaczysz, co ci uszyłam. Giordano prawie się rozplakał, gdy pokazałam mu twoje suknie, takie są piękne.
- Wierzę pani - powiedziałam.
- Giordano na pewno płakał z tego powodu, że sam nie może włożyć tych sukien. W każdym razie był dla mnie względnie miły, chyba także dlatego, że tym razem całkiem dobrze poradziłam sobie z tańcem, a dzięki podpowiedziom Xemeriusa wiedziałam również, który lord był zwolennikiem torysów, a który wigów (Xemerius zaglądał po prostu Charlotte przez ramię do jej kartki). Moją własną legendę - Penelope Mary Gray, rocznik 1765 - również dzięki Xemeriusowi dałam radę wyklepać bezbłędnie, łącznie ze wszystkimi imionami moich zmarłych rodziców. Tylko z wachlarzem w dalszym ciągu nie mogłam sobie poradzić, ale Charlotta wysunęła konstruktywną propozycję, żebym go po prostu nie używała.
- Na koniec lekcji Giordano przekazał mi jeszcze listę słów, jakich pod żadnym pozorem nie wolno mi było użyć.
- Do jutra nauczyć się ich na pamięć - nakazał mi przez nos. - W osiemnastym wieku nie było autobusów, spikerów telewizyjnych, odkurzaczy, nic nie było super, hiper ani cool, ludzie nie wiedzieli nic o rozszczepianiu atomów, kremach pielęgnacyjnych z kolagenem ani o dziurach ozonowych.
- Ach, faktycznie? Próbując sobie wyobrazić, co na soiree w osiemnastym wieku miałoby mnie skusić, żeby zbudować zdanie, w którym mogłyby wystąpić słowa „spiker telewizyjny”, „dziura ozonowa” i „krem pielęgnacyjny z kolagenem”, powiedziałam uprzejmie: „Okej”.
- Niiieee! - zaskrzeczał natychmiast Giordano. - Właśnie, że nie okej! W osiemnastym wieku nie było żadnego „okej”!

Madame Rossini sznurowała mi na plecach gorset. Byłam zaskoczona, że okazał się tak wygodny. W czymś takim człowiek automatycznie się prostował. Na biodrach zapięto mi wyściełany stelaż (osiemnasty wiek to był cudowny czas dla wszystkich kobiet z dużą pupą i szerokimi biodrami), po czym madame Rossini włożyła mi

przez głowę ciemnoczerwoną suknię. Zapięła długi rząd pętelek i guzików na plecach, podczas gdy ja z podziwem gładziłam ciężki haftowany jedwab. Och, jakież to było piękne!

Madame Rossini obeszła mnie powoli dokoła i na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech zadowolenia.

- Cudownie. Magnifique.

- Czy to jest suknia na bal? - spytałam.

- Nie, to jest ubiór na soirée. - Zatknęła małeńkie, przepięknie wykonane jedwabne różyczki wokół głębokiego dekoltu. Ponieważ usta miała pełne szpilek, mówiła niewyraźnie przez zęby. - Tam możesz mieć nieupudrowane włosy, a ich ciemny kolor świetnie wygląda przy tej czerwieni. Właśnie tak, jak sobie to wyobrażałam.

Mrugnęła do mnie z szelmowskim uśmiechem.

- Wzbudzisz sensację, moja łabędzia szyjko... chociaż na pewno nie o to chodzi. Ale cóż mam na to poradzić? - Załamała ręce, ale przy jej niskiej sylwetce z szyją żółwia wyglądało to, przeciwnie niż u Giordana, bardzo słodko. - Jesteś po prostu taką małą pięknoscią i byłoby to widać, nawet gdyby cię ubrać w bure szaty. No, łabędzia szyjko, gotowe. Teraz kolej na suknię balową.

Suknia balowa była błękitna, z kremowymi haftami i falbankami, i pasowała tak samo idealnie jak tamta czerwona. O ile to w ogóle możliwe, miała jeszcze głębszy dekolt, a spódnica kołysała się w odległości metra ode mnie. Madame Rossini zatroskana zważyła w ręce mój warkocz.

- Zastanawiam się, jak my to zrobimy. W peruce byłoby ci niewygodnie, zwłaszcza że musiałabyś pod nią ukryć tę ogromną ilość włosów. Ale są takie ciemne, że puder pewnie nadałby im tylko paskudny szary odcień. *Quelle catastrophe!* \* - Zmarszczyła czoło. - Nieważne. Faktycznie byłabyś w ten sposób niezwykle modna, *absolument*, ale mój Boże, cóż to była za straszna moda!

Po raz pierwszy tego dnia musiałam się uśmiechnąć. Paskudny! Straszna! Oj, faktycznie! Nie tylko moda, ale także Gideon był paskudny i straszny, i obrzydliwy, w każdym razie ja od tej pory tak będę na to patrzeć (basta!).

Madame Rossini zdawała się w ogóle nie zauważać tego, jak zbawienny wpływ miała na moją duszę. Ciągle jeszcze oburzała się na tamte czasy.

- Młode dziewczęta, które pudrowały włosy, aż wyglądały jak własne prapraprababki... okropne! Wskocz, proszę, w te buciki. Pamiętaj, że musisz móc w nich tańczyć, a jeszcze jest czas, by je zmienić.

Buciki - czerwone haftowane do czerwonej sukni, jasnoniebieskie ze złotą klamrą do sukni balowej - były zdumiewająco wygodne, choć wyglądały, jakby pochodziły z muzeum.

- To są najpiękniejsze buty, jakie kiedykolwiek miałam na nogach - powiedziałam zachwycona.

- Ja myślę - odrzekła madame Rossini z promiennym uśmiechem. - No, mój aniołeczku, gotowe. Postaraj się dzisiaj wcześniej iść spać, bo jutro czeka cię ekscytujący dzień.

Podczas gdy wskakiwałam z powrotem w swoje dżinsy i ulubiony sweter, madame Rossini udrapowała suknie na bezgłowych manekinach. Potem spojrzała na zegar ścienny i zirytowana zmarszczyła czoło.

- Co za niesłowny chłopak! Powinien być tu od kwadransa! Puls od razu mi przyspieszył.

- Gideon?

Madame Rossini skinęła głową.

- Nie traktuje tego serio, myśli, że to nieważne, czy spodnie dobrze leżą. Ale tak nie jest. To wręcz jest niesłychanie ważne, jak leżą spodnie.

Paskudny. Straszny. Obrzydliwy. W myślach powtarzałam to sobie jak nową mantrę.

Rozległo się pukanie do drzwi. To był tylko szmer, ale wszystkie moje postanowienia ulotniły się jak dym.

Nie mogłam się już doczekać, kiedy znowu zobaczę Gideona. I jednocześnie strasznie się bałam tego spotkania. Po raz wtóry nie przeżyję tych ponurych spojrzeń.

- Aha! - zawołała madame Rossini. - Jest wreszcie. Wejść! Całe moje ciało usztywniło się, ale zamiast

Gideona pojawił

się rudowłosy pan Marley.

- Mam zaprowadzić rub... eee... znaczy panienkę na elap-SJC - wyjąkać jak zawsze zdenerwowany i zmieszany.

- W porządku - powiedziałam. - Już skończyliśmy.

Zza pana Marleya szczyrzył do mnie zęby Xemerius. Wygoniłam go, zanim zaczęłyśmy przymiarkę.

- Właśnie dopiero co przeleciałem przez najprawdziwszego ministra spraw wewnętrznych - oznajmił z chichotem. - Ależ to było cool!

- A gdzie jest chłopak? - zagrzmiała madame Rossini. - Miał przyjść na przymiarkę!

Pan Marley odchrząknął.

---

\* *Quelle catastrophe* (fr.) - co za katastrofa; *absolument* (fr.) - absolutnie, zdecydowanie (przyp. red.).

- Widziałem diam... pana de Villiers, jak rozmawiał z tamtym drugim rub... z panną Charlotta. Był w towarzystwie swojego brata.

- Jest mi to zupełnie obojętne - rzuciła gniewnie madame Rossini.  
Ale mnie nie jest, pomyślałam. W myślach pisałam już SMS do Leslie. Tylko jedno słowo: harakiri.

- Jeśli natychmiast się tu nie pojawi, poskarżę się na niego u Wielkiego Mistrza - powiedziała madame Rossini. - Gdzie jest mój telefon?

- Przykro mi - mruknął pan Marley. Zmieszany mietosił w rękach czarną chustkę. - Mogę...?

- Oczywiście. - Z westchnieniem pozwoliłam sobie zawiązać oczy.

- Ten lizus tutaj niestety mówi prawdę - rzekł Xemerius. - Twój błyszczący kamyczek na całego flirtuje tam na górze z twoją kuzynką. I jego przystojny brat również. Co ci chłopcy widzą w tych rudych dziewczynach? Wydaje mi się, że teraz idą razem do kina. Ale tego ci nie powiem, bo znowu zaczniesz ryczeć.

Potrząsnęłam głową. Xemerius spojrział na sufit.

- Mogę ich mieć na oku. Chcesz? Gwałtownie skinęłam głową.

W czasie długiej drogi do piwnicy pan Marley uparcie milczał, a ja pograżałam się w mrocznych rozmyślaniach. Dopiero kiedy dotarliśmy do pomieszczenia z chronografem, pan Marley zdjął mi chustkę z oczu.

- Gdzie mnie pan dzisiaj wyśle? - zapytałam.

- Ja... poczekamy na numer dziewięć, eee... pana Whitma-na - wyjąkał pan Marley i spojrział w podłogę. - Oczywiście nie jestem upoważniony do obsługi chronografu. Usiądź, proszę.

Ledwie jednak opadłam na krzesło, drzwi się otworzyły i wszedł pan Whitman. A zaraz za nim Gideon. Serce stanęło mi na moment.

- Cześć, Gwendolyn - powiedział pan Whitman ze swym najbardziej szarmanckim wiewiórczym uśmiechem.

- Miło cię widzieć. - Odsunął na bok kotarę, za którą ukryty był sejf. - No to teraz poddamy cię elapsji.

Prawie nie słuchałam, co mówił. Gideon był wciąż jeszcze bardzo blady, ale wyglądał znacznie lepiej niż wczoraj wieczorem. Szeroki plaster zniknął z jego czoła i u nasady włosów zobaczyłam ranę, długą co najmniej na dziesięć centymetrów, posklejaną kilkoma cienkimi paskami plastra. Czekałam, by się odezwał, ale on tylko mi się przyglądał.

Nagle tuż obok Gideona wyprysnął ze ściany Xemerius - tak mnie wystraszył, że aż podskoczyłam.

- Upps. On już tu jest - powiedział. - Myślałem, że zdążę ostrzec, serio, skarbie. Ale nie mogłem się zdecydować, za kim mam pobiec. Charlotta najwyraźniej podjęła się na dzisiejsze popołudnie roli niańki dla przystojnego brata Gideona. Poszli razem na lody. A potem idą do kina. Kina to nowoczesne stogi siana, tak bym to ujął.

- Wszystko z tobą w porządku, Gwendolyn? - spytał Gideon, unosząc brew. - Wyglądasz na zdenerwowaną. Może chcesz papierosa na uspokojenie? Jakie były twoje ulubione? Lucky strike?

Mogłam się tylko w milczeniu na niego gapić.

- Zostaw ją w spokoju - powiedział Xemerius. - Nie widzisz, że ona jest nieszczęśliwie zakochana, głupku jeden? I to w tobie! Co ty w ogóle tutaj robisz?

Pan Whitman wyjął z sejfu chronograf i postawił na stole.

- No to zobaczymy, gdzie by się tu dzisiaj wybrać.

- Madame Rossini czeka na pana z przymiarką - zwrócił się pan Marley do Gideona.

- A niech to szlag - zaklął Gideon i spojrział na zegarek. - Zupełnie o tym zapomniałem. Bardzo jest zła?

- Sprawiała wrażenie dość rozgniewanej - powiedział pan Marley.

W tym momencie znowu otworzyły się drzwi i wszedł pan George. Był mocno zadyszany i jak zawsze, kiedy się zmęczył, drobniutkie kropelki potu pokrywały jego łysą głowę.

- Co się tutaj dzieje?

Pan Whitman zmarszczył czoło.

- Thomas? Gideon mówił, że ciągle jeszcze rozmawiasz z Falkiem i ministrem spraw wewnętrznych.

- Bo rozmawiałem. Aż zadzwoniła do mnie madame Rossini i dowiedziałem się, że Gwendolyn została właśnie zabrana na elapsję - rzekł pan George.

Pierwszy raz widziałam go naprawdę rozgniewanego.

- Ale... Gideon twierdził, że kazałeś nam... - zaczął wyjaśniać pan Whitman, szczerze zdziwiony.

- Nie kazałem! Gideonie! Co się tutaj dzieje? - Z małych oczek pana George'a znikła wszelka dobrotliwość. Gideon skrzyżował ręce na piersi.

- Myślałem, że się pan ucieszy, kiedy zdejmę z pana ten obowiązek - powiedział gładko.

Pan George wytarł chusteczką kropelki potu.

- Dziękuję za troskę - rzucił z wyraźną nutą sarkazmu. - Ale to nie było konieczne. Idź teraz natychmiast na górę do madame Rossini.

- Chciałbym towarzyszyć Gwendolyn - rzekł Gideon. - Po wczorajszych wydarzeniach może byłoby lepiej, gdyby nie była sama.

- Bzdura - sprzeciwił się pan George. - Nie ma powodu, żeby przypuszczać, że cokolwiek jej zagraża, o ile nie przeskoczy w czasie zbyt daleko.

- Zgadza się - wtrącił pan Whitman.

- Na przykład do 1956 roku? - spytał przeciągle Gideon, patrząc panu George'owi prosto w oczy. - Dziś rano przewertowałem sobie Kroniki i muszę powiedzieć, że rok 1956 sprawia wrażenie nadzwyczaj spokojnego. I najczęściej powtarzają się słowa: „Brak szczególnych zdarzeń”. To przecież muzyka dla naszych uszu, prawda?

Serce biło mi tak, że czułam je aż w gardle. Zachowanie Gideona można by wyjaśnić jedynie tym, że odkrył, co naprawdę wczoraj robiłam. Ale jak, u diabła? W końcu tylko czuć było ode mnie papierosy, co może i było podejrzanym, ale na pewno nie mogło mu zdradzić, co się stało w 1956 roku.

Pan George bez mrugnięcia odwzajemnił jego spojrzenie, wyglądał jednak na nieco poirytowanego.

- To nie była prośba, Gideonie. Madame Rossini czeka. Marley, pan też może iść.

- Tak jest, panie George. - Pan Marley nieomal zaśalutował. Kiedy drzwi zatrzasnęły się za nim, pan George spiorunował Gideona wzrokiem, ale on nawet nie drgnął. Także pan Whitman przyglądał mu się z lekkim zdziwieniem.

- Na co czekasz? - rzucił chłodno pan George.

- Dlaczego pozwolił pan wylądować Gwendolyn w biały dzień? Czy to nie jest sprzeczne z przepisami? - spytał Gideon.

- Och, och! - zawołał Xemerius.

- Gideonie, to nie jest twoja... - zaczął pan Whitman.

- Nie ma znaczenia, o jakiej porze wylądowała - wpadł mu w słowo pan George. - Znajdowała się w zamkniętej piwnicy.

- Bałam się - wtrąciłam szybko i może odrobinę zbyt piskliwie. - Nie chciałam być sama w nocy w tej piwnicy, tuż obok katakumb...

Gideon spojrzał na mnie i znowu uniósł brew.

- Ach tak, ty przecież jesteś takim strachliwym małym stworzonkiem, zupełnie o tym zapomniałem. - Roześmiał się cicho. - 1956... to był rok, w którym został pan członkiem loży, panie George, prawda? Cóż za zabawny zbieg okoliczności.

Pan George zmarszczył czoło.

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz, Gideonie - odezwał się pan Whitman. - Ale proponowałbym, żebyś teraz poszedł do madame Rossini. Pan George i ja zatroszczymy się o Gwendolyn.

Gideon znów spojrzał na mnie.

- Mam taką propozycję: załatwię sprawę przymiarki, a potem wyśle mnie pan po prostu za Gwendolyn, nieważne dokąd. Nie będzie się musiała bać w nocy.

- Chyba że ciebie - wtrącił Xemerius.

- Wyczerpałeś już swój przydział na dzisiaj - powiedział pan Whitman. - Ale jeśli Gwendolyn się boi... - Zerknął na mnie ze współczuciem.

Nie mogłam mieć mu tego za złe. Zapewne sprawiałam wrażenie nieco wystraszonej. Serce wciąż waliło mi tak, że czułam je w gardle, i nie byłam zdolna wykrztusić słowa.

- Jeśli o mnie chodzi, możemy tak zrobić - dokończył pan Whitman, wzruszając ramionami. - Nie widzę przeciwwskazań, a ty, Thomas?

Pan George wolno pokiwał głową, choć wyglądało to tak, jakby zamierzał zrobić coś wręcz przeciwnego.

Gideon uśmiechnął się z zadowoleniem i w końcu opuścił swój posterunek przy drzwiach.

- No to zobaczymy się później - rzucił triumfująco, a dla mnie zabrzmiało to jak groźba.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, pan Whitman westchnął.

- Dziwnie się zachowuje, od kiedy został uderzony w głowę, nie sądzisz, Thomas?

- Tak, bardzo dziwnie - zgodził się pan George.

- Może powinniśmy przeprowadzić z nim jeszcze raz rozmowę co do tonu, jakiego używa wobec wyżej postawionych osób - powiedział pan Whitman. - Jak na swój wiek jest mocno... no tak. Znajduje się pod wielką presją, to także musimy wziąć pod uwagę. - Spojrzał na mnie zachęcająco. - I jak, Gwendolyn, gotowa?

- Tak - skłamałam.

*Kruk, na skrzydłach z rubinu niesiony, między światami brzmi umarłych muzyka, siły jeszcze nie poznał i nie zna też ceny. Moc głowę podnosi i krąg się zamyka.*

*Z diamentu lwa lico - ileż dumy na nim. Surowa klątwa mąci światła promienie i wszystko się zmienia w słońca umieraniu. To kruka ostatnie tchnienie.*

Z tajnych pism hrabiego de Saint Germain

Nie zapytałam o rok, do którego mnie wysyłają, bo i tak nie miało to żadnego znaczenia. Wszystko właściwie wyglądało identycznie jak podczas mojej ostatniej wizyty. Pośrodku pokoju stała zielona sofa, którą obrzuciłam gniewnym spojrzeniem, jakby to ona była wszystkiemu winna. Tak jak poprzednio, pod ścianą, w której Lucas zrobił skrytkę, stały krzesła, ustawione jedno na drugim.

Kusiło mnie. Zajrzeć do skrytki? Jeśli Gideon powziął jakieś podejrzenia - a bez wątplenia tak było - to przecież najpierw wpadnie na pomysł, aby przeszukać całą piwnicę, prawda? Mogłabym schować zawartość skrytki gdzieś w korytarzu i wrócić, zanim dotrze tu Gideon...

Zaczęłam gorączkowo odstawiać krzesła na bok, ale potem przyszło mi do głowy coś innego. Po pierwsze: nie mogę schować klucza, bo przecież będę musiała z powrotem zamknąć drzwi, a po drugie: nawet gdyby Gideon znalazł skrytkę, jak miałby mi udowodnić, że była przeznaczona dla mnie? Po prostu udalabym głupią.

Starannie odstawiłam krzesła na miejsce i zadbałam o to, by zatrzeć zdradzieckie ślady pozostawione w warstwie kurzu. Potem sprawdziłam, czy drzwi rzeczywiście są zamknięte, i usiadłam na zielonej sofie.

Czułam się trochę tak jak cztery lata temu, kiedy razem z Leslie musiałyśmy przez tę aferę z żabą czekać w gabinecie dyrektora Gillesa, aż znajdzie czas, żeby palnąć nam kazanie. Właściwie nie zrobiłyśmy nic złego. Cynthia przejechała tę żabę rowerem, a ponieważ nie wykazała potem odpowiedniej skruchy („przecież to była tylko głupia żaba”), ja i Leslie, zdjęte świętym oburzeniem, postanowiłyśmy pomścić żabę. Chciałyśmy pogrzebać ją w parku, ale ponieważ i tak już była nieżywa, pomyślałyśmy, że to może trochę wstrząśnie Cynthia i uwrażliwi ją w przyszłości na żaby, jeśli zobaczy ją raz jeszcze - w swojej zupie. Nikt nie mógł przypuszczać, że Cynthia na jej widok dostanie ataku hysterii... W każdym razie dyrektor Gilles potraktował nas jak zbrodniarki i niestety nie zapomniał o tym incydencie. Dziś, kiedy spotyka nas na korytarzu, mówi zawsze: „O, to te złe panny od żaby”, a my za każdym razem znowu czujemy się paskudnie.

Na chwilę zamknęłam oczy. Gideon nie miał powodu, by mnie tak źle traktować. Nie zrobiłam nic złego. Wszyscy bez przerwy mówili, że nie można mi ufać, ciągle zawiązywano mi oczy, nikt nie odpowiadał na moje pytania - a więc chyba naturalne było, że próbowałam na własną rękę wy badać, co tu się właściwie działo.

Gdzież on się podziewał? Żarówka pod sufitem zatrzeszczała, światło migotało przez chwilę. Było zimno. Może wysłali mnie w jedną z tych mroźnych powojennych zim, o których zawsze opowiadała ciocia Maddy. Rewelka. Rury z wodą pozamarzały, a na ulicach leżały martwe zwierzęta, zeszywniałe na mrozie. Sprawdziłam, czy przy oddechu nie tworzy się czasem obłok pary. Ale się nie tworzył.

Światło znowu zamrugało i zaczęłam się bać. A jeśli nagle zgaśnie i będę musiała tu siedzieć po ciemku? Tym razem nikt nie pomyślał o tym, żeby dać mi latarkę, w ogóle nie można było powiedzieć, że ktoś troskliwie się mną zajął. W ciemnościach szczury na pewno odważą się wyjść ze swoich kryjówek. Może są głodne... A tam, gdzie są szczury, tam muszą być też karaluchy. A może zapuści się tu również duch jednorękiego templariusza, o którym mówił Xemerius.

Trrrr!

To była żarówka.

Powoli dochodziłam do przekonania, że towarzystwo Gideona byłoby jednak lepsze od towarzystwa szczurów i duchów. Ale jego wciąż nie było. A żarówka mrugała, jakby to były jej ostatnie chwile.

Kiedy w dzieciństwie bałam się ciemności, zawsze śpiewałam, i teraz też zaczęłam śpiewać, zupełnie automatycznie. Najpierw cicho, a potem coraz głośniej. Przecież nie było tu nikogo, kto mógłby mnie usłyszeć.

Śpiew pomagał na strach. A także na chłód. Po kilku minutach nawet żarówka przestała mrugać. Jednak przy piosenkach Marii Meny znowu zamigotała i najwyraźniej nie lubiła też Emiliany Torrini. Każdy utwór ABBY natomiast kwitowała spokojnym, równomiernym świeceniem. Niestety, nie znałam ich zbyt wiele, przede wszystkim zaś nie znałam tekstów. Ale żarówka zadowalała się także „*lalalala, one chance in a life-time, lalalala*”.

Trwało to kilka godzin. Tak mi się przynajmniej zdawało. Po *The winner takes it all* (ulubionej piosenki Leslie na nieszczęśliwą miłość) znowu wróciłam do *I wonder*. Jednocześnie tańczyłam, aby się rozgrzać. Gdy po raz trzeci odśpiewałam *Mamma mia*, byłam już przekonana, że Gideon się nie pojawi.

Cholera! Mogłam więc zupełnie bezpiecznie przekraść się na górę. Spróbowałam *Head over heels* i podczas *You 're wasting my time* nagle wylądował obok sofy.

Zamilkłam i spojrzałam na niego z wyrzutem.

- Dlaczego tak późno?

- Mogę sobie wyobrazić, że ci się dłużyło. - Jego spojrzenie wciąż było takie zimne i dziwne jak przedtem. - Podszedł do drzwi i szarpnął za klamkę. - Tak czy owak, byłeś na tyle mądra, żeby nie opuszczać pokoju. Nie mogłaś przecież wiedzieć, kiedy się pojawię.

- Cha, cha, cha - zaśmiałam się. - Czy to ma być dowcip? Gideon oparł się plecami o drzwi.  
- Gwendolyn, przede mną nie musisz udawać niewiniątka. Nie mogłam znieść chłodu w jego spojrzeniu. Zielen oczu,  
którą tak lubiłam, przybrała teraz odcień galaretki. Takiej paskudnej, ze szkolnej stołówki, ma się rozumieć.

- Dlaczego jesteś wobec mnie taki... podły?  
Żarówka znowu zamrugnęła. Chyba jej brakowało mojego śpiewu.

- Nie masz może przy sobie żarówki?  
- Zapach papierosów cię zdradził. - Gideon bawił się latarką. - Potem trochę poszukałem i złożyłem to wszystko do kupy.  
Przełknęłam ślinę.

- Co w tym złego, że paliłam?  
- Nie paliłaś. I nie umiesz nawet w połowie tak dobrze kłamać, jak ci się wydaje. Gdzie jest klucz?

- Jaki klucz?  
- Klucz, który dał ci pan George, żebyś w 1956 roku mogła odszukać jego i swojego dziadka. - Zrobił krok w moim kierunku. - Jeśli jesteś mądra, ukryłaś go gdzieś tutaj, jeśli nie, masz go jeszcze przy sobie. - Podeszedł do sofy, zdjął poduszki i jedną po drugiej rzucił na podłogę. - Tu go nie ma.  
Patrzyłam na niego z przerażeniem.

- Pan George nie dał mi żadnego klucza. Naprawdę! A z tym zapachem papierosów to jest zupełnie...  
- To nie były tylko papierosy. Czuć było od ciebie także cygara - powiedział spokojnie.  
Jego wzrok przesunął się po całym pomieszczeniu i zatrzymał się na krzesłach spiętrzonych pod ścianą.  
Znowu zrobiło mi się zimno i stosownie do tego żarówka także zaczęła jakby bardziej migotać.

- Ja... - zaczęłam niepewnie.  
- Tak? - odezwał się z przesadną uprzejmością Gideon. - Paliłaś też cygara? Prócz tych trzech lucky strike'ów? To chciałaś powiedzieć?  
Milczałam.  
Gideon schylił się i poświecił latarką pod sofą.

- Pan George zapisał ci hasło dnia na kartce czy nauczyłaś się go na pamięć? I jak w drodze powrotnej przeszłaś obok posterunku wartowników, że nie napisali o tym w protokole?  
- O czym ty, u diabła, w ogóle mówisz? - zawołałam. Miało to wyglądać na oburzenie, ale niestety wyszło raczej jak przestrasz.

- Violet Purpleplum, cóż za dziwaczne nazwisko, nie sądzisz? Słyszałaś je już kiedyś? - Gideon znowu się wyprostował i spojrzał na mnie.  
Nie, galaretka to nie było właściwe skojarzenie z jego oczu« mi. Raczej miotacze jadowitych zielonych iskier. Wolno pokręciłam głową.

- To zabawne - rzekł. - A przecież to przyjaciółka waszej rodziny. Kiedy przypadkowo wspomniałem to nazwisko w rozmowie z Charlottą, powiedziała mi, że pewna poczciwa pani Purpleplum robi wam na drutach drapiące szaliki.  
Och. Przeklęta Charlotta. Czy nie mogłaby raz po prostu trzymać gęby na kłódkę?  
- Nie, to nieprawda - odparłam buńczucznie. - Drapią tylko te Charlotty. Nasze są zawsze bardzo miękkie.  
Gideon oparł się o sofę i skrzyżował ręce na piersi. Latarka oświetlała sufit, a żarówka wciąż migotała nerwowo.

- Pytam po raz ostatni. Gdzie jest klucz, Gwendolyn?  
- Przysięgam ci, że pan George nie dał mi żadnego klucza - powiedziałam, rozpaczliwie usiłując ograniczyć rozmiary katastrofy. - On z tym w ogóle nie ma nic wspólnego.  
- Ach, tak? Jak już mówiłem, nie uważam, byś szczególnie dobrze umiała kłamać. - Poświecił latarką na piramidę krzesel pod ścianą. - Gdybym był tobą, wsunąłbym klucz gdzieś pod obicie.  
Okej. Niech sobie przeszukuje obicie. Będzie miał przynajmniej co robić, zanim z powrotem przeskoczmy w czasie. Tak długo to już nie potrwa.  
- Z drugiej strony... - Gideon przechylił latarkę tak, że stożek światła padał wprost na moją twarz. - Z drugiej strony to by była raczej syzyfowa praca.  
Uchyliłam się na bok.

- Daj spokój! - powiedziałam ze złością.  
- I nie należy mierzyć ludzi własną miarą - ciągnął Gideon. W migoczącym świetle żarówki jego oczy pociemniały i nagle zaczęłam się go bać. - Może masz ten klucz po prostu w kieszeni spodni? Daj mi go. - Wyciągnął rękę.  
- Nie mam żadnego klucza, do wszystkich diabłów. Gideon powoli podeszedł do mnie.  
- Gdybym był tobą, dałbym go dobrowolnie. Ale jak mówiłem, nie należy mierzyć ludzi własną miarą.  
W tym momencie żarówka ostatecznie wyzionęła ducha. Gideon stał tuż obok mnie, promień jego latarki padał gdzieś na ścianę. Pomijając to nikłe światło, było ciemno jak w grobie.

- A więc?

- Tylko się do mnie nie zbliżaj - powiedziałam. Zrobiłam parę kroków do tyłu, aż moje plecy natrafiły na ścianę. Jeszcze przedwczoraj chciałam być jak najbliżej niego. Ale teraz zdawało mi się, że jestem tu z kimś obcym. Nagle ogarnęła mnie dzika furia.

- Co się z tobą dzieje? - prychnęłam. - Nic ci nie zrobiłam! Nie rozumiem, jak jednego dnia możesz się ze mną całować, a następnego mnie nienawidzić? Dlaczego?

Łzy napłynęły tak szybko, że nie zdołałam ich powstrzymać i pociekły mi po policzkach. Dobrze, że nie było tego widać w ciemnościach.

- Może dlatego, że nie lubię być okłamywany. - Mimo mojego ostrzeżenia Gideon podszedł do mnie i tym razem nie miałam już dokąd uciec. - A już w szczególności przez dziewczyny, które jednego dnia rzucają się człowiekowi na szyję, a następnego zostawiają pobitego na pastwę losu.

- O czym ty mówisz?

- Widziałem cię, Gwendolyn.

- Co takiego? Gdzie mnie widziałeś?

- Podczas mojej podróży w czasie, wczoraj rano. Miałem do wykonania drobne zadanie, ale zdołałem ujść zaledwie parę metrów, a stanęłaś mi na drodze, niczym zjawa. Spojrzałaś na mnie i uśmiechnęłaś się, jakbyś się cieszyła, że mnie widzisz. A potem okręciłaś się na pięcie i znikłaś za najbliższym rogiem.

- A kiedy to niby miało być? - Byłam tak zdezorientowana, że na parę sekund przestałam płakać.

Gideon zignorował moje pytanie.

- Gdy sekundę później skręciłem tam gdzie ty, dostałem cios w głowę i niestety nie byłem już w stanie przeprowadzić z tobą wyjaśniającej rozmowy.

- Ja... ciebie... To ja cię uderzyłam? - Łzy znowu zaczęły mi płynąć z oczu.

- Nie - odparł Gideon. - Nie sądzę. Nie miałaś nic w ręku, kiedy cię widziałem, no i wątpię, byś mogła uderzyć tak mocno. Ty mnie tylko zwabiłaś za róg, a tam już ktoś czekał.

Wykluczone. Całkowicie i kompletnie wykluczone.

- Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła - zdołałam w końcu wykrztusić. - Nigdy!

- Ja też byłem zaskoczony - powiedział Gideon bez namysłu. - Myślałem przecież, że jesteśmy... przyjaciółmi. Ale kiedy potem wróciłaś z elapsji i czuć było od ciebie cygara, przyszło mi do głowy, że może przez cały czas mnie okłamywałaś. A teraz oddaj mi ten klucz!

Otarłam łzy z policzków. Niestety, ciągle napływały nowe. Z trudem udało mi się zdusić chlipnięcie i za to zniechęciłam się jeszcze bardziej.

-Jeśli rzeczywiście tak było, to dlaczego nie powiedziałeś wszystkim, kto cię pobił?

- Bo tak naprawdę nie widziałem, kto to był.

- Ale nie powiedziałeś też nic o mnie. Dlaczego?

- Bo już od dawna podejrzewałem pana George'a... Czy ty może płaczesz?

Latarka zaświeciła mi w twarz i oślepiła musiałam zamknąć oczy. Pewnie wyglądałam jak przegowiec. Po co ja malowałam rzęsy?

- Gwendolyn... - Gideon zgasił latarkę.

Co to ma teraz być? Kontrola osobista w ciemnościach?

- Idź sobie - chlipnęłam. - Nie mam przy sobie żadnego klucza, przysięgam. Nigdy, przenigdy nie pozwoliłabym, żeby ktoś cię skrzywdził.

Choć nie widziałam go, czułam, że stoi tuż obok mnie. Jego ciało było jak promiennik ciepła w mroku. Kiedy jego dłoń dotknęła mojego policzka, wzdrygnęłam się. Szybko cofnął rękę.

- Przykro mi - usłyszałam jego szept. - Gwen, ja... - Nagle jego głos zabrzmiał bezradnie, ale byłam zbyt oszołomiona, aby odczuwać z tego powodu satysfakcję.

Nie wiem, ile czasu tak staliśmy. Łzy wciąż płynęły mi po twarzy. Co robił on - tego nie widziałam. W końcu zapalił latarkę, odchrząknął i poświecił sobie na zegarek.

- Jeszcze trzy minuty i przeskoczmy z powrotem - powiedział rzeczowym tonem. - Powinnaś wyjść z tego kąta, bo wylądujesz na skrzyni. - Podeszedł do sofy i podniósł poduszki, które wcześniej rzucił na ziemię. - Wiesz, że wszystkich Strażników pan George zawsze wydawał mi się jednym z najbardziej lojalnych. W każdym razie godny zaufania.

- Ale pan George naprawdę nie ma z tym nic wspólnego - odezwał się, powoli wychodząc z kąta. - Było zupełnie inaczej. - Wierzchem dłoni otarłam łzy z oczu.

Lepiej powiem mu prawdę, przynajmniej nie będzie podejrzewał biednego pana George'a o brak lojalności.

- Kiedy pierwszy raz poddałam się elapsji, spotkałam tu przypadkowo mojego dziadka. - No, może nie całą prawdę. - Szukał tutaj wina... to zresztą nieważne. To było dziwne spotkanie, zwłaszcza gdy pojeśliśmy, kim jesteśmy. Ukrył w piwnicy klucz i hasło dnia na moją następną wizytę, żebyśmy mogli porozmawiać jeszcze raz. Dlatego byłam tu wczoraj, względnie w roku 1956, jako Violet Purpleplum. Żeby się spotkać z moim dziadkiem! Nie żyje od kilku lat i strasznie za nim tęsknię. Czy nie zrobiłbyś tego samego, gdybyś mógł? Porozmawiać z nim jeszcze raz... to było takie... - Zamilkłam.

Gideon też milczał.



- A pan George? - odezwał się w końcu. - Był już wówczas asystentem twojego dziadka.

- Faktycznie widziałam go przez chwilę, dziadek przedstawił mnie jako swoją kuzynkę Hazel. Na pewno już dawno o tym zapomniał. Dla niego to było nieistotne spotkanie, które wydarzyło się bite pięćdziesiąt pięć lat temu. - Dotknęłam brzucha. - Wydaje mi się...

- Tak - potwierdził Gideon. Wyciągnął rękę, ale potem najwyraźniej się rozmyślił. - Zaraz się zacznie - dodał tylko. - Podejdź tu jeszcze parę kroków.

Pokój zaczął wokół mnie wirować, a po chwili, lekko oszołomiona, zobaczyłam jasne światło.

- No, jesteście - powiedział pan Whitman.

Gideon odłożył latarkę na stół i obrzucił mnie szybkim spojrzeniem. Może to sobie tylko wmówiłam, ale tym razem w jego wzroku było coś w rodzaju współczucia. Ukradkiem otarłam twarz, ale pan Whitman i tak zauważył, że płakałam. Xemeriusz zniknął - na pewno znudziło mu się czekanie.

- Co się stało, Gwendolyn? - spytał pan Whitman swoim empatycznym nauczycielskim tonem. - Czy coś się wydarzyło?

Gdybym nie znała go tak dobrze, pewnie kusiłoby mnie, żeby znowu wybuchnąć płaczem i otworzyć przed nim swoje serce („ten o-o-okropny Gideon mnie zde-de-denerwował”). Ale za dobrze się znał. Tego samego tonu użył w zeszłym tygodniu, pytając, które z nas namalowało na tablicy karykaturę pani Counter. „Ależ uważam, że ten artysta doprawdy ma talent” - powiedział, uśmiechając się z rozbawieniem. Natychmiast Cynthia (oczywiście!) wygadała mu, że to była Peggy, i pan Whitman przestał się uśmiechać, a Peggy dostała uwagę do dziennika. „Nawiasem mówiąc, z tym twoim talentem to prawda. Masz spory talent do pakowania się w kłopoty” - dodał jeszcze.

- He? - mruknął teraz, uśmiechając się przyjaźnie i współczująco.

Ale ja nie dałam się na to nabrać.

- Szczur - mruknęłam. - A pan mówił, że ich tam nie ma... A potem wysiadła żarówka, a pan mi nie dał latarki. Byłam zupełnie sama w ciemnościach z tym ohydny szczurem. - O mało nie dodałam jeszcze: „Poskarżę się mamusi”, ale w ostatniej chwili udało mi się powstrzymać.

Pan Whitman wyglądał na lekko poruszonego.

- Przykro mi - powiedział. - Następnym razem o tym pomyślimy. - Po czym uderzył znowu w ten swój przemądrzały nauczycielski ton. - Teraz zostaniesz odwieziona do domu. Radzę ci, byś wcześniej poszła spać, bo jutro czeka cię męczący dzień.

- Odprowadzę ją do samochodu - odezwał się Gideon, biorąc ze stołu czarną chustkę, którą zawsze zawiązywano mi oczy. - Gdzie jest pan George?

- Jest na naradzie - odrzekł pan Whitman, marszcząc czoło. - Gideonie, uważam, że powinieneś jeszcze raz przemyśleć swoje zachowanie. Pozwalamy ci na wiele, ponieważ wiemy, że nie jest ci w tej chwili łatwo, ale musisz okazywać nieco więcej szacunku członkom Kręgu Wewnętrznego.

- Ma pan rację, panie Whitman. Przepraszam - rzucił Gideon uprzejmie, choć z niewzruszoną miną. Wyciągnął do mnie rękę. - Idziesz?

O mało nie złapałam jego ręki, z czystego odruchu. Zabolało mnie, że nie mogę tego zrobić, nie tracąc kompletnie twarzy. Ledwie się powstrzymałam, by znów nie wybuchnąć płaczem.

- Och, do widzenia - powiedziałam do pana Whitmana, uporczywie wpatrując się w podłogę.

Gideon otworzył drzwi.

- Do jutra - rzekł pan Whitman. -I pamiętajcie oboje: wystarczająca ilość snu to najlepsze przygotowanie.

Drzwi zatrzasnęły się za nami.

- No , no, no, byłaś całkiem sama w piwnicy z ohydny szczurem. - Gideon wyszczerzył do mnie zęby w szerokim uśmiechu.

Nie mieściło mi się to w głowie. Przez dwa dni rzucał mi tylko zimne spojrzenia, a w ciągu ostatnich godzin jego wzrok parę razy zmroził mnie na kamień, niczym biedne zwierzaki zimą w czasie wojny. A teraz? Żarcik, jakby nigdy nic? Może był sadystą i potrafił się uśmiechać dopiero wtedy, gdy porządnie mi dowalił?

- Nie zawiążesz mi oczu? - Jeszcze nie byłam w nastroju na jego głupie dowcipy, niech łaskawie to zauważy.

Gideon wzruszył ramionami.

- Zakładam, że znasz drogę. Dlatego możemy sobie podarować zawiązywanie oczu. Chodź. -I znowu przyjazny uśmiech.

Po raz pierwszy widziałam piwniczne korytarze w naszych czasach. Były gładko otynkowane, a wpuszczone w ścianę światła, niektóre z fotokomórkami, znakomicie oświetlały całą drogę.

- Nie robi zbytnio wrażenia, co? - spytał Gideon. - Wszystkie korytarze, które prowadzą na zewnątrz, są chronione przez specjalne drzwi i systemy alarmowe, tak że jest tutaj równie bezpiecznie jak w bankowym sejfie. Ale to wszystko powstało dopiero w latach siedemdziesiątych, przedtem można było spacerować pod ziemią przez pół Londynu.

- Mam to w nosie - rzuciłam opryskliwie.

- A o czym chciałabyś porozmawiać?

- O niczym.

Jak mógł się zachowywać, jakby nic się nie stało? Jego głupawy uśmiech i niezobowiązujący ton luźnej pogawędki doprowadzały mnie do szału. Ruszyłam szybciej do przodu i choć zaciskałam usta, nie potrafiłam zapobiec temu, by słowa płynęły ze mnie jak potok.

- Nie mogę tak, Gideonie. Nie umiem sobie wytłumaczyć, dlaczego najpierw się ze mną całujesz, a potem traktujesz tak, jakbyś mnie nienawidził z całego serca.

Gideon milczał przez chwilę.

- Wolałbym się z tobą całować, niż cię nienawidzić - rzekł w końcu. - Ale ty mi tego nie ułatwiasz.

- Nic ci nie zrobiłam - powiedziałam. Zatrzymał się.

- Daj spokój, Gwendolyn! Chyba nie myślisz, że uwierzę w tę historyjkę z twoim dziadkiem? Że niby pojawił się akurat w pomieszczeniu, gdzie poddajesz się elapsji? To równie mało prawdopodobne jak to, że Lucy i Paul przypadkiem pojawili się u lady Tilney. Albo tamci ludzie w Hyde Parku.

- Tak, oczywiście, sama ich tam zamówiłam, ponieważ od zawsze chciałam kogoś przeszyć szpadą. Nie mówiąc o widoku człowieka, któremu brakowało połowy twarzy - prychnęłam.

- To, co uczynisz w przyszłości...

- Och, zamknij się - zawołałam wzburzona. - Mam już tego dosyć! Od zeszłego poniedziałku żyję jak w koszmarze, który nie chce się skończyć. Kiedy się budzę, spostrzegam, że w dalszym ciągu śnię. W mojej głowie roją się miliony pytań, na które nikt nie udziela mi odpowiedzi, a wszyscy oczekują, że dam z siebie wszystko w imię czegoś, czego kompletnie nie rozumiem!

Ruszyłam ponownie do przodu, niemal biegnąc, ale Gideon bez trudu dotrzymywał mi kroku. Przy schodach nie było nikogo, kto zapytałby nas o hasło. Ale po co, skoro wszystkie wejścia były strzeżone niczym w Fort Knox? Przeskakiwałam po dwa stopnie.

- Nikt mnie nie pytał, czy w ogóle chcę tutaj być. Muszę wysłuchiwać wrzasków jakichś rąbniętych nauczycieli tańca, moja kochana kuzynka Charlotta pokazuje mi, co potrafi, a czego ja się nigdy nie nauczę, a ty... ty...

Gideon potrząsnął głową.

- Hej, a nie mogłabyś choć raz postawić się w moim położeniu? - Teraz i on stracił panowanie nad sobą. - Ja też się tak czuję! A jak ty byś się zachowała, wiedząc, że wcześniej czy później postaram się o to, by ktoś rąbnął cię pałką w głowę? Wątpię, czy w tych okolicznościach nadal uważałabyś mnie za kochanego i niewinnego!

- I tak nigdy cię za takiego nie uważałam - rzuciłam ostro. - Wiesz co? Teraz myślę, że sama chętnie dzieliłabym cię tą pałką po głowie.

- No proszę! - Gideon znowu wyszczerzył się w uśmiechu.

Sapałam z wściekłości. Minęliśmy pracownię madame Rossini. Spod drzwi sączyło się na korytarz światło. Zapewne pracowała jeszcze nad naszymi kostiumami.

Gideon odchrząknął.

- Tak jak powiedziałem, przykro mi. Czy możemy teraz normalnie porozmawiać?

Normalnie! Koń by się uśmieł.

- A co robisz dziś wieczorem? - zapytał swoim najbardziej przyjaznym, niewinnym tonem pogawędki.

- Oczywiście będę pilnie ćwiczyć menueta, a przed zaśnięciem tworzyć jeszcze zdania bez słów „odkurzacz”, „pulso-metr”, „jogging” i „transplantacja serca” - syknęłam zjadliwie.

Gideon spojrzał na zegarek.

- Spotkam się z Charlottą i moim bratem i... no, zobaczymy. W końcu mamy sobotni wieczór.

Tak, oczywiście. A niech robią, co chcą, ja miałam dość.

- Dzięki za odprowadzenie - rzuciłam najchłodniej, jak tylko umiałam. - Sama stąd trafię do samochodu.

- I tak miałem po drodze - rzekł Gideon. - I może przestaniesz biec. Powinienem unikać nadmiernego wysiłku. Zalecenie doktora White'a.

Choć byłam na niego taka zła, przez chwilę poczułam coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Spojrzałam na niego z boku.

- Ale jeśli za najbliższym rogiem ktoś walnie cię w głowę, to nie mów, że to ja cię tam zwabiłam.

Gideon się uśmiechnął.

- Na razie jeszcze nie zrobiłabyś czegoś takiego.

„Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła”, przemknęło mi przez głowę. Nieważne, jak obrzydliwie się wobec mnie zachowywał. Nigdy nie dopuściłabym do tego, żeby ktoś go skrzywdził. I nie wiem, kogo tam zobaczył, ale to na pewno nie byłam ja.

Bramę przed nami rozświetlił błysk flesza. Choć zapadł już zmrok, w Tempie wciąż było sporo turystów. Z tyłu na parkingu stała znana mi już czarna limuzyna. Kierowca, widząc, że się

zblizamy, wysiadł i otworzył przede mną drzwi. Gideon zaczekał, aż wsiądę, a potem pochylił się do mnie.

- Gwendolyn?

- Tak?

Było zbyt ciemno, abym dokładnie widziała jego twarz.

- Chciałabym, żebyś mi bardziej ufała. - To zabrzmiało tak poważnie i szczerze, że na sekundę aż mi zaparło dech w piersiach.

- Chciałabym móc - powiedziałam po chwili.

Dopiero gdy Gideon zatrzasnął drzwi i samochód ruszył z miejsca, przyszło mi do głowy, że powinnam była raczej powiedzieć: „Tego samego życzyłabym sobie z twojej strony”.

\*

Oczy madame Rossini błyszczały z zachwytu. Wzięła mnie za rękę i poprowadziła do wielkiego lustra, żebym mogła ocenić efekt jej starań. Spojrzawszy na swoje odbicie, ledwie zdołałam się rozpoznać. Przyczyną były przede wszystkim włosy, normalnie proste i zwyczajne, a teraz zakręcone w niezliczone loczki i upięte na czubku głowy w gigantyczną, wysoką fryzurę, podobną do tej, którą miała moja kuzynka Janet na swoim weselu. Pojedyncze kosmyki opadały mi sprężynkami na gołe plecy. Ciemnoczerwony odcień sukni sprawiał, że wyglądałam na jeszcze bledszą, niż byłam, ale nie chorobliwie, lecz promiennie. Madame Rossini przypudrowała mi bowiem dyskretnie nos i czoło oraz nałożyła pędzlem odrobinę różu na policzki i choć wczoraj poszłam późno spać, dzięki jej kuferkowi z kosmetykami nie miałam już podkrążonych oczu.

- Jak królowna Śnieżka - skomentowała madame Rossini i do głębi wzruszona otarła sobie kawałkiem materiału wilgotne oczy. - Czerwona jak krew, biała jak śnieg, czarna jak heban. Zełoszczą się na mnie, bo wszyscy będą zwracali na ciebie uwagę. Pokaż mi paznokcie, tak, *tres bien*\*, czyściutkie i krótkie. A teraz potrząśnij głową. Nie, możesz mocniej, ta fryzura ma wytrzymać cały wieczór.

- Czuję się trochę tak, jakbym miała na głowie kapelusz - powiedziałam.

- Przyzwyczaj się do tego - pocieszyła mnie madame Rossini, utrwalając mi włosy jeszcze większą ilością lakieru.

Oprócz, jak oceniałam, jakichś pięciu kilogramów spinek do włosów, które utrzymywały w całości górę loków na mojej głowie, były jeszcze inne, które służyły tylko do ozdoby, zaopatrzone w takie same różyczki, jakie otaczały dekolt sukni. Milusio.

- No, gotowe, łabędzia szyjko. Mam ci znowu zrobić zdjęcia?

- Och, poproszę. - Rozejrzałam się w poszukiwaniu torby z komórką. - Leslie by mnie zabiła, gdybym nie uwieczniła tej chwili. i

- Zrobiłabym chętnie wam obojgu - powiedziała madame Rossini po sfotografowaniu mnie z każdej strony po dziesięć razy. - Tobie i temu niewychowanemu chłopcu. Żeby było widać, jak doskonale, a mimo to absolutnie dyskretnie wasze ubrania są do siebie dopasowane. Ale Gideonem zajmie się Giordano. Nie mam ochoty znowu dyskutować o konieczności zakładania pończoch w paski. Co za dużo, to niezdrowo.

- Te pończochy wcale nie są takie złe - zauważyłam.

- To dlatego, że wprawdzie wyglądają jak pantalonek, ale f dzięki dodatkowi elastanu są dużo wygodniejsze - wyjaśniła madame Rossini. - Dawniej taki ściągacz potrafił niemal odciąć dopływ krwi w udzie, ale u ciebie służy tylko do ozdoby. Oczywiście nie chciałabym, żeby ktoś ci zaglądał pod spódnicę, jeśli jednak, to raczej nie będzie się skarżył, *n'est-cepas*\* -Klasnęła w dłoń. - Bien, teraz zadzwonię na górę i powiem, że jesteś gotowa.

W czasie kiedy dzwoniła, stanęłam znowu przed lustrem. Byłam zdenerwowana. Od dzisiejszego ranka energicznie wyrzucałam Gideona ze swoich myśli i w pewnym stopniu mi się to udało, ale za cenę tego, że przez cały czas myślałam o hrabim de Saint Germain. Do lęku przed ponownym spotkaniem z hrabią dołączyła dziwna radość oczekiwania na soiree, która dla mnie samej była niezrozumiała.

Mama pozwoliła, by Leslie została u nas na noc i dzięki temu spędziłam całkiem miły wieczór, w pewnym sensie. Możliwość przeanalizowania wydarzeń z Leslie i Xemeriuszem dobrze mi zrobiła. Może mówili to tylko po to, żeby podnieść mnie na duchu, ale zarówno Leslie, jak i Xemeriusz byli zdania, że nie mam jeszcze powodu, by rzucać się z mostu przez nieszczęśliwą miłość. Oboje uznali, że z uwagi na okoliczności Gideon miał uzasadnione powody, by się tak zachować, a Leslie dodała, że w ramach równouprawnienia należy też czasem i chłopcom przyznać prawo do złego humoru, i oznajmiła, że w głębi duszy czuje, iż to naprawdę kochany facet.

- Wcale go nie znasz. - Potrząsnęłam głową. - Mówisz to tylko dlatego, że wiesz, że chciałabym to usłyszeć.

\* Tres bien (fr.) - bardzo dobrze (przyp. red.)

\* n'est-cepas(fr). Prawda? (przyp.red.)

- Tak, i dlatego, że chcę, żeby to była prawda - odrzekła Leslie. - Jeśli na koniec okaże się dupkiem, osobiście go odnajdę i strzelę w pysk. Obiecuję!

Xemerius wrócił do domu późno, ponieważ przedtem na moją prośbę śledził Charlotte, Raphaela i Gideona.

W przeciwieństwie do niego, i Leslie, i ja uważaliśmy, że słuchanie o tym, jaki właściwie jest Raphael, absolutnie nie może być nudne.

- Jeśli chcecie znać moje zdanie, to ten mały jest trochę za przystojny - parsknął Xemerius. - I sam aż za dobrze o tym wie.

- No to świetnie, że trafił na Charlotte - powiedziała Leslie z zadowoleniem. - Jak dotąd nasza Królowa Śniegu umiała każdemu zepsuć radość życia.

Siedziałyśmy na szerokim parapecie w moim pokoju. Xemerius zajął miejsce na stole, okręcił się całym ogonem i zaczął swoją opowieść.

Charlotta i Raphael najpierw poszli na lody, potem do kina, a w końcu spotkali się we włoskiej restauracji z Gideonem. Leslie i ja chciałyśmy wszystko bardzo, ale to bardzo dokładnie wiedzieć: od tytułu filmu, przez rodzaj pizzy, aż po ostatnie wypowiedziane słowo. Według Xemeriusa Charlotta i Raphael przez cały czas gadali jedno przez drugie. Podczas gdy Raphael chciał dyskutować o różnicach między francuskimi i angielskimi dziewczynami oraz o ich zachowaniach seksualnych, Charlotta bez przerwy wracała do laureatów Literackiej Nagrody Nobla z ostatnich dziesięciu lat, co doprowadziło do tego, że Raphael z każdą chwilą nudził się coraz bardziej i przede wszystkim ostentacyjnie spoglądał na inne dziewczyny. W kinie zaś (ku wielkiemu zdziwieniu Xemeriusa) nie zrobił żadnego gestu w stronę Charlotty, wręcz przeciwnie, po jakichś dziesięciu minutach spał mocno i głęboko. Leslie uznała, że to najprzyjemniejsza rzecz, jaką usłyszała od dłuższego czasu, a ja w pełni podzielałam jej zdanie. Potem oczywiście chciałyśmy koniecznie wiedzieć, czy Gideon, Charlotta i Raphael rozmawiali jeszcze w pizzerii o mnie, i Xemerius (z pewnymi oporami) przekazał nam taki oto oburzający dialog (który, można powiedzieć, symultanicznie tłumaczyłam Leslie).

Charlotta: Giordano bardzo się martwi, że Gwendolyn jutro zepsuje wszystko, co się tylko da.

Gideon: Czy możesz podać mi oliwę?

Charlotta: Polityka i historia to dla niej po prostu czarna magia, nazwisk też nie potrafi zapamiętać - jednym uchem jej wlatuje, a drugim wylatuje. To nie jej wina, jej mózg ma po prostu ograniczoną pojemność. Jest zapchany imionami chłopaków z boysbandów i nazwiskami aktorów z kiczowatych filmów o miłości.

Raphael: Gwendolyn to ta twoja kuzynka, która podróżuje w czasie, prawda? Widziałem ją wczoraj w szkole. To ta z długimi ciemnymi włosami i niebieskimi oczami, tak?

Charlotta: Tak, i ze znamieniem na skroni, które wygląda jak banan.

Gideon: Jak mały półksiężyc.

Raphael: A ta jej przyjaciółka jak się nazywa? Ta piegowata blondynka? Lilly?

Charlotta: Leslie Hay. Ma nieco większą pojemność mózgu niż Gwendolyn, ale za to jest doskonałym przykładem na to, że właściciel upodabnia się do psa. Jej pies to skołtuniony mieszaniec podobny do golden retrievera. Wabi się Bernie.

Raphael: Och, jak słodko.

Charlotta: Lubisz psy?

Raphael: Przede wszystkim piegowate mieszańce podobne do golden retrievera.

Charlotta: Rozumiem. Możesz spróbować szczęścia. Nie będzie ci szczególnie trudno. Leslie ma jeszcze większy przerób chłopaków niż Gwendolyn.

Gideon: Naprawdę? To ilu miała do tej pory... hmmm... chłopaków?

Charlotta: O Boże. Jakoś mi teraz głupio. Nie chcę o niej mówić nic złego, ale nie jest zbyt wybredna, zwłaszcza kiedy się napije. Przerobiła chyba już wszystkich chłopaków z naszej klasy i z wyższych klas... taaa, w pewnej chwili straciłam już rachubę. O przezwisku, które jej nadano, wolę nawet nie wspominać.

Raphael: Puszczalska?

Gideon: Możesz mi podać sól?

Kiedy Xemerius dotarł do tego miejsca swojej opowieści, zerwałam się na równe nogi, chcąc od razu pobiec na dół do Charlotty i ją udusić, ale Leslie mnie przytrzymała, mówiąc, że zemstą należy się rozkoszować na zimno. Nie przyjęła do wiadomości mojego argumentu, że kieruje mną nie zemsta, lecz czysta żądza mordu. Poza tym powiedziała, że jeśli Gideon i Raphael chociaż w jednej czwartej są tak mądrzy jak przystojni, to nie uwierzyli w ani jedno słowo Charlotty.

- Uważam, że Leslie faktycznie trochę wygląda jak golden retriever - odezwał się Xemerius. - Lubię psy, to takie mądre zwierzęta - dodał, gdy spojrzałam na niego z wyrzutem.

Tak, Leslie naprawdę była mądra. W tym czasie bowiem rozwikłała tajemnicę książki Zielony jeździec. Choć trzeba przyznać, że pracowicie obliczony przez nią wynik nieco rozczarowywał. Był to tylko kolejny kod liczbowy z dwiema literami i do tego jeszcze dziwnymi kreskami.

Pięćdziesiąt jeden zero trzy zero cztery jeden punkt siedem osiem n przecinek zero zero zero cztery dziewięć punkt dziewięć jeden o.

Była już prawie północ, kiedy przekradliśmy się przez cały dom do biblioteki, to znaczy tylko ja i Leslie się przekradałyśmy, Xemerius pofrunął przodem.

Potem co najmniej przez godzinę szukałyśmy na półkach nowych wskazówek. Sto pięćdziesiąta książka w trzecim rzędzie... pięćdziesiąty pierwszy rząd, trzydziesta książka, strona czwarta, siódmy wiersz, ósma litera... ale niezależnie od tego, z którego końca zaczynałyśmy liczyć - nic nie wychodziło. W końcu zaczęłyśmy wyciągać książki na chybił trafił i potrzasałyśmy nimi w nadziei, że znajdziemy kolejne kartki. Pudło. Ale Leslie mimo to nie traciła wiary. Zapisała sobie kod na kartce, którą co chwila wyciągała z kieszeni spodni i przyglądała się jej. „To coś znaczy - mamrotała pod nosem. - I ja się dowiem co”.

W końcu poszłyśmy do łóżka. Mój budzik wyrwał mnie mało delikatnie z pozbawionego marzeń sennych snu - i od tego momentu myślałam już niemal wyłącznie o soiree.

- Pan George idzie po ciebie - oznajmiła madame Rossini, przerywając moje rozmyślenia.

Podawała mi torebkę, mój rydykiul, a ja w ostatniej chwili pomyślałam, czy nie powinnam w niej przeszmuglować japońskiego noża do warzyw. Wbrew radom Leslie odmówiłam bowiem przyklejenia go sobie taśmą do uda. Przy moim szczęściu tylko sama bym sobie zrobiła krzywdę, a to, jak miałabym w razie czego odkleić taśmę od nogi, było dla mnie tak czy owak zagadką. Kiedy pan George wszedł do pokoju, madame Rossini dra-powała mi na ramionach szeroki, kunsztownie wyszywany szal.

- Powodzenia, moja łabędzia szyjko - powiedziała, całując mnie w oba policzki. - Niech pan ją tylko odwiezie z powrotem całą i zdrową, monsieur George.

Pan George uśmiechnął się z pewnym przymusem. Wydawał mi się mniej okrągły i spokojny niż zawsze.

- To nie zależy ode mnie, madame. Chodź, moja panno, jest kilka osób, które chcą cię poznać.

Gdy szliśmy piętro wyżej, do Smoczej Sali, było już wczesne popołudnie. Ubieranie i czesanie trwało dwie godziny. Pan George był wyjątkowo milczący, a ja koncentrowałam się na tym, by na schodach nie nadepnąć sobie na tren. Przypomniała mi się nasza ostatnia-wizyta w osiemnastym wieku i to, jak trudno było w tych nieporęcznych ciuchach uciekać przed ludźmi uzbrojonymi w szpady.

- Panie George, mógłby mi pan wyjaśnić, o co chodzi z Sojuszem Florenckim? - spytałam pod wpływem nagłego impulsu.

Pan George się zatrzymał.

- Sojusz Florencki? Kto ci o tym mówił?

- W zasadzie nikt - odparłam z westchnieniem. - Ale od czasu do czasu coś tam do mnie dociera. Pytam tylko dlatego, że... że się boję. Tam w Hyde Parku napadli na nas członkowie Sojuszu Florenckiego, prawda?

- Tak, być może. - Pan George spojrzał na mnie z powagą. - To nawet prawdopodobne. Ale nie musisz się bać. Nie sądzę, byście musieli się dzisiaj liczyć z napadem. Wspólnie z hrabią i Rakoczym podjęliśmy wszelkie środki bezpieczeństwa.

Otworzyłam już usta, żeby coś powiedzieć, ale pan George wszedł mi w słowo.

- No dobrze, inaczej nie dasz mi spokoju. Faktycznie musimy założyć, że w roku 1782 wśród Strażników jest zdrajca, i może to ten sam człowiek, który już w poprzednich latach ujawnił informacje, które doprowadziły do zamachów na życie hrabiego de Saint Germain w Paryżu, w Dover, w Amsterdamie i w Niemczech. - Podrapał się po łysinie. - W Kronikach człowiek ten nie został jednak wymieniony z imienia. I choć hrabiemu udało się rozbić Sojusz Florencki, zdrajca w szeregach Strażników nigdy nie został ujawniony. Wasze wizyty w roku 1782 mają to właśnie zmienić.

- Gideon jest przekonany, że Lucy i Paul mieli z tym coś wspólnego.

- Faktycznie istnieje kilka poszlak, które uzasadniałyby to przypuszczenie. - Pan George wskazał drzwi do Smoczej Sali. - Ale teraz nie mamy czasu zagłębiać się w szczegóły. Niezależnie od tego, co się będzie działo, trzymaj się Gideona. Jeśli was rozdziela, ukryj się gdzieś, gdzie będziesz mogła bezpiecznie poczekać na powrotny przeskok w czasie.

Skinęłam głową. Z jakiegoś powodu zupełnie zaschło mi w ustach.

Pan George otworzył drzwi i puścił mnie przodem. W tej szerokiej sukni ledwo się obok niego zmieściłam. Pokój był pełen ludzi, którzy gapili się na mnie, tak że natychmiast zrobiłam się czerwona. Prócz doktora White'a, Falka de Villiers, pana Whitmana, pana Marleya, Gideona i tego niemożliwego Giordana, pod ogromnym smokiem stało jeszcze pięciu innych mężczyzn, w ciemnych garniturach, z poważnymi minami. Szkoda, że nie było ze mną Xemeriusa; powiedziałby mi, który z nich jest ministrem spraw wewnętrznych, a który laureatem Nagrody Nobla, ale Xemerius otrzymał inne zadanie (nie ode mnie - od Leslie. Ale o tym później).

- Moi panowie. Czy mogę wam przedstawić Gwendolyn Shepherd? - To było oczywiście pytanie retoryczne, a Falk de Wliers wygłosił je uroczystym tonem. - Oto nasz rubin. Ostatnia podróżniczka w czasie w Kręgu Dwanaściorga.

- Dziś wieczorem występuje jako Penelope Gray, wychowawca czwartego wicehrabiego Battena - uzupełnił pan George.

- Która prawdopodobnie dzisiejszego wieczora wejdzie do historii jako dama bez wachlarza - mruknął Giordano.

Rzuciłam szybkie spojrzenie Gideonowi, którego haftowany surdut w kolorze czerwonego wina rzeczywiście cudownie pasował do mojej sukni. Ku mojej wielkiej uldze nie miał na głowie peruki, bo pewnie z tego całego napięcia wybuchłabym histerycznym śmiechem. Ale w jego widoku nie było nic śmiesznego. Wyglądał po prostu idealnie. Brązowe włosy miał splecione na karku w warkocz, jeden kosmyk, jakby przez nieuwagę, opadał na czoło i zreżnie maskował ranę. I jak to już często bywało, nie potrafiłam do końca zinterpretować wyrazu jego twarzy.

Musiałam uściskać ręce nieznanym mężczyznom, każdy wymieniał swoje nazwisko (wpadało jednym uchem i wypadało drugim, Charlotta miała więc rację, jeśli chodzi o pojemność mojego mózgu), a ja mruczałam coś w rodzaju: „Bardzo mi przyjemnie” albo: „Dobry wieczór, sir”. Ogólnie biorąc były to bardzo poważne osobistości. Tylko jeden z nich się uśmiechał, reszta patrzyła tak, jakby zaraz mieli się poddać amputacji nogi. Ten, który się uśmiechał, to był na pewno minister spraw wewnętrznych - politycy są po prostu bardziej skłonni do uśmiechu, bo tego wymaga od nich praca.

Giordano zmierzył mnie wzrokiem. Czekałam na komentarz, ale on tylko przesadnie głośno westchnął.

- Świetnie wyglądasz w tej sukni, Gwendolyn - rzekł Falk de Villiers, który też się nie uśmiechał. - Prawdziwa Penelope Gray byłaby na pewno bardzo szczęśliwa, gdyby tak wyglądała. Madame Rossini wykonała doskonałą robotę.

- To prawda. Widziałem portret prawdziwej Penelope Gray. Nic dziwnego, że przez całe życie mieszkała niezamężna w odległym zakątku Derbyshire - wyrwało się panu Marleyowi, a zaraz potem zaczerwienił się jak burak i okropnie zmieszany wlepił wzrok w podłogę.

Pan Whitman zacytował Szekspira - w każdym razie byłam niemal pewna, że to Szekspir, bo pan Whitman uwielbiał Szekspira.

- „Jakże potężna miłości jest siła, gdy dziś na piekło niebo me zmienia!” - Och, przecież to nie jest powód do tego, by się czerwienić, Gwendolyn.

Spojrzałam na niego zirytowana. Głupia Wiewiórka! Jeśli już, to zaczerwieniłam się dużo wcześniej i na pewno nie z jego powodu. Poza tym w ogóle nie zrozumiałam tego cytatu, równie dobrze mógł to być komplement, jak i obelga.

Nieoczekiwanie otrzymałam wsparcie od Gideona.

- Małość człowieka polega na jego pospolitości - rzeki przyjaźnie do pana Whitmana. - Arystoteles.

Uśmiech pana Whitmana przybladł.

- Pan Whitman chciał tylko powiedzieć, że świetnie wyglądasz - zwrócił się do mnie Gideon i krew natychmiast znowu napłynęła mi do policzków.

Gideon zachowywał się tak, jakby tego nie widział. Ale kiedy kilka sekund później spojrzałam na niego, z zadowoleniem uśmiechał się pod nosem. Pan Whitman natomiast z wyraźnym trudem powstrzymywał się od wygłoszenia kolejnego cytatu z Szekspira.

Doktor White, za którym schował się Robert patrzący na mnie szeroko otwartymi oczami, spojrzał na zegarek.

- Powinniśmy powoli się zbierać. O szesnastej ksiądz ma chrzest.

Ksiądz?

Dzisiaj zostaniecie wystani w przeszłość nie z piwnicy, lecz z kościoła na North Audley Street

- wyjaśnił mi pan George. - Abyście nie tracili za wiele czasu na dotarcie do domu lorda

Bromptona.

- W ten sposób minimalizujemy także niebezpieczeństwo napadu w drodze tam lub z powrotem - wtrącił jeden z obcych mężczyzn, za co otrzymał gniewne spojrzenie Falka de Villiers.

- Chronograf jest już gotowy - oznajmił Falk de Villiers, wskazując na skrzynię ze srebrnymi uchwytami, stojącą na stole. - Na zewnątrz czekają dwie limuzyny. Panowie...

- Powodzenia - odezwał się ten, którego uznałam za ministra spraw wewnętrznych.

Giordano znów ciężko westchnął.

Doktor White, z torbą lekarską w ręku (po co?), przytrzymał drzwi. Pan Marley i pan Whitman złapali skrzynię za uchwyty i wynieśli ją na zewnątrz, tak uroczyście, jakby chodziło o Arkę Przymierza.

Gideon zrobił parę kroków w moją stronę i podał mi ramię.

- Chodź, moja mała Penelope, pokażemy cię w eleganckim londyńskim świecie - powiedział. - Gotowa?

Nie. Nie byłam ani trochę gotowa. A Penelope to było naprawdę okropne imię. Ale chyba nie miałam wyboru. Siłą się na spokój, spojrzałam na Gideona.

- Gotowa, jeśli ty jesteś gotowy.

*...przysięgam być honorowym i uprzejmym, przyzwoitym i współczującym, sprzeciwiać się niesprawiedliwości, pomagać słabym, być wiernym prawu, dochowywać tajemnic, przestrzegać złotych zasad od teraz aż do mojej śmierci.*

(z tekstu przysięgi adeptów) Kroniki Strażników, tom I, *Stróże tajemnicy*

Najbardziej bałam się ponownego spotkania z hrabią de Saint Germain. Przy ostatniej okazji słyszałam jego głos w swojej głowie, a jego ręka chwyciła mnie za gardło i ścisnęła, choć stał w odległości ponad czterech metrów ode mnie. „Nie wiem dokładnie, jaką rolę grasz, panienko. Ale nie ścierpię, by ktoś łamał moje zasady”.

Można było przyjąć, że od tego czasu złamałam kilka jego zasad. Na moją obronę trzeba było jednak powiedzieć, że się w nich nie orientowałam. To mnie w jakimś stopniu pocieszało: ponieważ nikt nie zadał sobie trudu, by mi wytłumaczyć jakiegokolwiek reguły, nie mówiąc już o ich uzasadnianiu, nie powinni się dziwić, że ich nie przestrzegałam.

Ale bałam się też wszystkich pozostałych. W głębi duszy byłam przekonana, że Giordano i Charlotta mają rację: na pewno skompromituję się w roli Penelope Gray i wszyscy zobaczą, że coś ze mną jest nie tak. Przez chwilę nie mogłam sobie nawet przypomnieć tej miejscowości w Derbyshire, z której pochodziłam. Coś na B. Albo na P. Albo na D. Albo...

- Nauczyłaś się na pamięć listy gości?

Pan Whitman wcale nie pomagał mi się opanować. Po co, u diabła, miałabym się uczyć na pamięć listy gości? Pokręciłam głową, co skwitował cichym westchnieniem.

- Ja też jej nie znam na pamięć - powiedział Gideon. Siedział w limuzynie naprzeciw mnie. - Przecież to potrafi człowiekowi zepsuć całą zabawę, jeśli wiesz z góry, kogo spotkasz.

Chętnie bym się dowiedziała, czy on też jest taki zdenerwowany. Czy pocał mu się ręce i czy serce bije mu równie szybko jak mnie? A może już tak wiele razy podróżował do osiemnastego wieku, że nie robi to na nim specjalnego wrażenia?

- Pogryziesz sobie usta do krwi - zauważył.

- Jestem trochę... zdenerwowana.

- To widać. Pomoże, jeśli wezmę cię za rękę? Gwałtownie pokręciłam głowę.

„Nie, to by jeszcze bardziej wszystko pogorszyło, ty idioto! Pomijając fakt, że jeśli chodzi o twoje zachowanie w stosunku do mnie, kompletnie nic nie kapuję. Poza tym pan Whitman już teraz się gapi jak wszystkowiedząca wiewiórka!”.

O mało nie westchnęłam. Pomogłoby, gdybym powiedziała na głos kilka moich myśli zakończonych znakiem zapytania? Przez chwilę zastanawiałam się nad tym, ale dałam sobie spokój.

Wreszcie dotarliśmy na miejsce. Kiedy Gideon pomagał mi wysiąść z samochodu przed kościołem (w takiej sukni do tego rodzaju manewrów niezbędna była pomocna ręka, jeśli nie dwie), uderzyło mnie, że tym razem nie ma przy sobie szpady. Jakże lekkomyślnie!

Przechodnie przyglądali nam się z zaciekawieniem, a pan Whitman przytrzymał nam wrota kościoła.

- Troszkę szybciej, proszę - powiedział. - Nie chcemy zwracać na siebie uwagi.

Ależ oczywiście, przecież na pewno nie mogło zwrócić niczyjej uwagi, że w biały dzień dwie czarne limuzyny parkują na

North Audley Street, mężczyźni w garniturach wyciągają z bagażnika Arkę Przymierza i niosą ją przez chodnik do kościoła. Chociaż z daleka skrzynia mogła uchodzić także za niewielką trumnę... Dostałam gęsiej skórki.

- Mam nadzieję, że przynajmniej pomyślałeś o pistolecie - szepnęłam do Gideona.

- Masz dziwne wyobrażenie na temat tego soiree - odpowiedział normalnym tonem i zarzucił mi szal na ramiona. - Czy już ktoś skontrolował zawartość twojej torebki? Żeby w samym środku przyjęcia nie zadzwoniła czasem twoja komórka.

Ta wizja wywołała u mnie uśmiech, bo w komórce jako dzwonek miałam akurat ustawione kumkanie żaby.

- Poza tobą nie ma nikogo, kto mógłby do mnie zadzwonić.

- A ja nawet nie znam twojego numeru - odrzekł. - Czy mimo to mogę rzucić okiem do twojej torebki?

- To się nazywa rydykiul - sprostowałam i wzruszając ramionami, podsunęłam mu woreczek.

- Sole trzeźwiące, chusteczka, perfumy, puder, wzorcowo - powiedział Gideon. - Tak jak należy. Chodź.

Oddał mi rydykiul i wprowadził mnie przez wrota kościoła, które pan Whitman od razu zamknął na klucz. W środku Gideon zapomniał puścić moją rękę i dobrze się stało, bo pewnie w ostatniej chwili dostałabym ataku paniki i uciekłabym.

Na pustej przestrzeni przed ołtarzem Falk de Villiers i pan Marley pod sceptycznym spojrzeniem księdza (w pełnym ornacie mszalnym) wyjmowali chronograf z Arki... to znaczy ze skrzyni. Doktor White zmierzył kościół długimi krokami.

- Od czwartej kolumny jedenaście kroków w lewo, wtedy będziecie mieli pewność - oznajmił.

- Nie wiem, czy mogę zagwarantować, że o wpół do siódmej kościół będzie zupełnie pusty - powiedział nerwowo ksiądz. - Organista lubi zostawać dłużej, jest też kilkoro parafian, którzy wciągają mnie do rozmowy w drzwiach, a ja nie bardzo...

- Proszę się o to nie martwić - rzekł Falk de Villiers. Chronograf stał teraz na ołtarzu. Promienie popołudniowego słońca załamywały się w okiennych witrażach, sprawiając, że drogocenne kamienie



wydawały się ogromne. - Będziemy tu i pomożemy księdzu po mszy pozbyć się owieczek. - Spojrzał na nas. - Jesteście gotowi?

Gideon puścił w końcu moją rękę.

- Pójdę pierwszy - powiedział.

Ksiądz stał z szeroko otwartymi ustami, widząc, jak Gideon po prostu znika w wirze jasnego, mieniącego się światła.

- Gwendolyn! - Falk de Wliers chwycił moją dłoń i wsuwając ją do chronografu, uśmiechnął się do mnie, by dodać mi otuchy. - Zobaczymy się równo za cztery godziny.

- Mam nadzieję - mruknęłam.

Igła wbiła się w moje ciało, czerwone światło wypełniło cały kościół i zamknęłam oczy.

Kiedy znowu je otworzyłam, zachwiałam się lekko, a ktoś przytrzymał mnie za ramię.

- Wszystko w porządku - usłyszałam szept Gideona. Niewiele widziałam. Prezbiterium rozświetlała tylko jedna jedyna świeca, resztę kościoła spowijały upiorne ciemności.

- *Bienvenue*\* - dobiegł z tych ciemności chropowaty głos i choć liczyłam się z tym, wstrząsnął mną dreszcz.

Z cienia kolumny wyłoniła się postać mężczyzny i w świetle świecy rozpoznałam bladą twarz Rakoczego, przyjaciela hrabiego. Tak jak w czasie naszego pierwszego spotkania, przypominał mi wampira. W jego czarnych oczach nie było żadnego blasku, a w skąpym świetle jeszcze bardziej przypominały niesamowite czarne dziury.

- Monsieur Rakoczy - odezwał się Gideon po francusku i skłonił się uprzejmie. - Cieszę się, że pana widzę. Moją towarzyszkę już pan zna.

- Oczywiście. Mademoiselle Gray, na dziś wieczór. To dla mnie ogromna przyjemność. - Rakoczy wykonał ruch przypominający ukłon.

- Och, tres... - mruknęłam. - Cała przyjemność po mojej stronie - przeszłam na angielski.

Skąd miałam wiedzieć, co tak ni stąd, ni zowąd powiedzieć w obcym języku, tym bardziej do kogoś, z kim jest się na wojennej ścieżce?

- Moi ludzie i ja zaprowadzimy was do domu lorda Bromptona - powiedział Rakoczy.

To było przerażające, bo idąc za Rakoczym przez kościelną nawę w kierunku drzwi, w ogóle nie widziałam tych ludzi, słyszałam jedynie w ciemnościach ich oddechy i ruchy. Także na ulicy nie zauważyłam nikogo, choć ukradkiem rozejrzałam się kilka razy. Było chłodno i lekko mżyło i jeśli w tamtych czasach istniały już uliczne latarnie, to na tej ulicy wszystkie były zepsute. Było tak ciemno, że nawet nie widziałam dokładnie twarzy Gideona idącego obok mnie, a cienie wokół zdawały się ożywać, dyszeć i cicho pobrzękiwać. Mocno ścisnęłam dłoń Gideona. Niechby się teraz odważył mnie puścić!

- To wszystko moi ludzie - szepnął Rakoczy. - Dobrzy, sprawdzeni w bojach kurucowie<sup>1</sup>. Bezpiecznie przeprowadzą was także w drodze powrotnej.

Co za ulga!

Do domu lorda Bromptona nie było daleko i im bardziej się zbliżaliśmy, tym stawało się jaśniej. Sam dworek przy Wigmore Street był rzęsiście oświetlony i wyglądał naprawdę przytulnie. Ludzie Rakoczego zatrzymali się w cieniu, a on doprowadził nas aż do samego domu, gdzie w wielkim holu, z którego okazałe schody z rzeźbioną poręczą prowadziły na pierwsze piętro, czekał na nas lord Brompton we własnej osobie. Był wciąż taki gruby, jak go pamiętałam, a w świetle licznych świec jego twarz połyskiwała tłustawo.

Hol był pusty, jeśli nie liczyć lorda i czterech lokajów. Służba, ustawiona w równy szereg przy drzwiach, czekała na kolejne instrukcje. Zapowiadanego towarzystwa nie było widać, ale do moich uszu dobiegi stłumiony gwar rozmów i kilka taktów muzyki.

Gdy Rakoczy wycofał się z ukłonem, stało się dla mnie jasne, dlaczego lord Brompton przyjął nas już tutaj osobiście, zanim spotkamy się z resztą gości. Zapewnił nas, jak szalenie się cieszy i jak bardzo podobało mu się nasze pierwsze spotkanie, ale że... ekhm, ekhm... byłoby rozsądniej nie wspominać o tym spotkaniu jego żonie.

- Tylko aby zapobiec nieporozumieniom - dodał. Mrugał przy tym nieustannie, jakby mu coś wpadło do oka, i przynajmniej trzy razy pocałował mnie w rękę. - Hrabia zapewnił mnie, że wywodzicie się z najlepszych angielskich rodzin. Mam nadzieję, że wybaczycie mi moje impertynencje w czasie naszej zabawnej rozmowy o dwudziestym pierwszym wieku i mój absurdalny pomysł, że moglibyście być aktorami. - Znowu mrugnął przesadnie.

- To z pewnością jest także nasza wina - powiedział gładko Gideon. - Hrabia uczynił przecież wszystko, by sprowadzić cię, panie, na tę fałszywą drogę. Ale skoro jesteśmy we własnym gronie: to osobliwy starszy pan, nieprawdaż? Moja przyrodnia siostra i ja zdążyliśmy się już przyzwyczaić do jego żartów, ale jeśli ktoś nie zna go tak dobrze, kontakty z nim często bywają nieco dziwne. - Wziął ode mnie szal i poda! go jednemu z lokajów. - Ale dajmy temu pokój. Słyszeliśmy, że pański salon dysponuje wspinałym pianoforte i cudowną akustyką. W każdym razie bardzo nas ucieszyło zaproszenie od lady Brompton.

Lord Brompton na moment zatracił się w widoku mojego dekoltu.

\* Bienvenue (fr.) - Witajcie (przyp. red.).

- Ona też będzie zachwycona, mogąc was poznać - rzekł po chwili. Zapraszam, wszyscy pozostali goście już są. - Podał mi ramię. - Miss Gray?

- Milordzie.

Spojrzałam na Gideona, a on uśmiechnął się zachęcająco, idąc za nami do salonu, do którego wchodziło się przez łukowate skrzydłowe drzwi wprost z holu.

Salon wyobrażałam sobie jako coś w rodzaju pokoju dziennego, ale pomieszczenie, do którego teraz weszliśmy, mogło się mierzyć z salą balową w naszym domu. W wielkim kominku przy jednej z dłuższych ścian płonął ogień, a pod oknem z ciężkimi kotarami stał szpinet. Mój wzrok przesunął się po ozdobnych stolikach z rozłożystymi nogami, sofach obitych wzorzystym materiałem i krzesłach ze złożonymi oparciami. Całość rozświetlały setki świec, które wisiały i stały wszędzie, nadając pomieszczeniu tak cudownie magiczny blask, że na chwilę z zachwytu aż odebrało mi mowę. Niestety, oświetlały one także wielu obcych ludzi i do mojego zdziwienia (mając na względzie uwagi Gideona, zacisnęłam mocno usta, żeby przez niedopatrzenie nie stać z otwartą buzią) dołączył teraz znowu strach. I to miało być to małe, kameralne wieczorne spotkanie? To jak będzie wyglądał bal?

Nie zdążyłam dokładniej się rozejrzeć, a już Gideon bezlitośnie pociągnął mnie w tłum. Wiele par oczu taksowało nas z ciekawością, a chwilę później w naszą stronę pospieszyła niska pulchna kobieta - jak się okazało, lady Brompton.

Miała na sobie wyszywaną aksamitem jasnobrązową suknię, a jej włosy były ukryte pod ogromną peruką, która, biorąc pod uwagę tę masę świec, stwarzała poważne zagrożenie pożarem. Nasza gospodyni podeszła z miłym uśmiechem i przywitała się z nami serdecznie. Zupełnie odruchowo dygnęłam, podczas gdy Gideon skorzystał z okazji i zostawił mnie samą, a może to lord Brompton pociągnął go dalej. Zanim zdecydowałam, czy mam się o to na niego pogniewać, lady Brompton zdążyła mnie już wciągnąć w rozmowę. Szczęśliwym trafem w odpowiednim momencie przypomniałam sobie nazwę miejscowości, w której mieszkałam - ja, czyli Penelope Gray. Zachęcona jej entuzjastycznym potakiwaniem, zapewniłam lady Brompton, że jest tam wprawdzie spokojnie i cicho, jednak brakuje towarzyskich rozrywek, które z pewnością oszołomią mnie tu, w Londynie.

- Na pewno przestaniesz tak myśleć, pani, jeśli Genoveva Fairfax dzisiaj znowu zaprezentuje swój cały repertuar na pia-noforte - wtrąciła dama w sukni koloru prymulki, która właśnie do nas podeszła. - Jestem wręcz przekonana, że zatęsknisz za spokojem wiejskiego życia.

- Psst - syknęła lady Brompton, choć nie mogła powstrzymać chichotu. - To niegrzeczne, Georgiano!

Z tłumionym uśmiechem spiskowca wydała mi się nagle dość młoda. Jakim cudem dostała się w łapy tego starego grubego dziada?

- Może i niegrzeczne, ale prawdziwe. - Dama w żółci (nawet w świetle świec to niekorzystny kolor!) poinformowała mnie ścisłym głosem, że jej małżonek w czasie ostatniego soiree zasnął i zaczął głośno chrapać.

- Dzisiaj z pewnością nic takiego się nie zdarzy - zapewniła mnie lady Brompton. - Mamy przecież wśród gości cudownego, tajemniczego hrabiego de Saint Germain, który później uraczy nas swoją grą na skrzypcach. A Lavinia wprost nie może się już doczekać śpiewu w duecie z naszym panem Merchantem.

- Najpierw jednak musisz go porządnie uraczyć winem - powiedziała dama w żółtym i uśmiechnęła się do mnie szeroko, zupełnie otwarcie pokazując zęby.

Odruchowo odpowiedziałam jej równie szerokim uśmiechem. Ha! Wiedziałam. Giordano nie był niczym więcej jak tylko podłym przemądrzalcem!

Tak czy owak, te kobiety miały w sobie znacznie więcej luzu, niż się spodziewałam.

- To jest wyłącznie sprawa równowagi - westchnęła lady Brompton, a jej peruka zadrżała lekko. - Za mało wina, to nie zaśpiewa, za dużo wina, to będzie śpiewał nieprzyzwoite marynarskie piosenki. Zna pani hrabiego de Saint Germain, moja droga?

Natychmiast znów spoważniałam i mimo woli rozejrzałam się wokół.

- Zostałam mu przedstawiona kilka dni temu. Mój przyrodni brat... zna go dość dobrze.

Moje spojrzenie padło na Gideona, który stał w pobliżu kominka i rozmawiał właśnie z drobną młodą kobietą w oszalałająco pięknej zielonej sukni. Wyglądało, jakby znali się od dawna. Ona też śmiała się tak, że widać jej było zęby. To były piękne zęby, a nie zepsute, szczerbate kikuty, jak usiłował mi wmówić Giordano.

- Czyż hrabia nie jest po prostu niewiarygodny? Mogłabym przysłuchiwać się godzinami jego opowieściom - powiedziała dama w żółtym, wyjaśnwszy mi, że jest kuzynką lady Brompton. - Uwielbiam przede wszystkim te historie z Francji.

- Tak, te pieprzne historyjki - dodała lady Brompton. - To oczywiście zupełnie nieodpowiednie dla niewinnych uszu debiutantki.

Rozejrzałam się po sali, szukając hrabiego, i zobaczyłam go siedzącego w kącie, pogrążonego w rozmowie z dwoma mężczyznami. Z daleka wyglądał na eleganckiego pana w nieokreślonym wieku, lecz jakby czując mój wzrok, skierował na mnie swoje ciemne oczy.

Hrabia był ubrany podobnie jak wszyscy mężczyźni w tej sali - miał perukę i surdut, do tego trochę śmieszne spodnie do kolan i dziwaczne buty z klamrami. Jednak w przeciwieństwie do pozostałych nie wyglądał tak,

jakby wyrwał się właśnie na chwilę z planu filmu kostiumowego, i po raz pierwszy tak naprawdę sobie uświadomiłam, gdzie właściwie jestem.

Wykrzywił usta w uśmiechu, a ja skinęłam uprzejmie głową, podczas gdy całe moje ciało pokryło się gęsią skórką. Z trudem powstrzymałam odruch złapania się za gardło. Lepiej, żebym nie poddawała mu głupich pomysłów.

- Pani przyrodni brat jest naprawdę przystojnym mężczyzną - powiedziała lady Brompton. - Zupełnie wbrew pogłoskom, jakie nas dochodziły.

Odwrociłam wzrok od hrabiego de Saint Germain i spojrzałam na Gideona.

- To prawda. Jest rzeczywiście bardzo... przystojny.

Kobieta w zieleni najwyraźniej również tak uważała. Z kokieteryjnym uśmiechem skubała swoją apaszkę. Za takie zachowanie Giordano przypuszczalnie by mnie zabił.

- A kim jest ta dama, którą on obska... z którą rozmawia?

- Lavinia Rutland, najpiękniejsza wdowa w Londynie.

- Tylko żadnego współczucia, proszę - wtrąciła Prymul-ka. - Już od dawna pozwala się pocieszać księciu Lancashire, ku wielkiemu niezadowoleniu księżnej, a zarazem czuje dużą skłonność do ambitnych polityków. Czy pani brat interesuje się polityką?

- Myślę, że w tym momencie to nie gra żadnej roli - powiedziała lady Brompton. - Lavinia wygląda tak, jakby za chwilę miała rozpakować prezent. - Znowu otaksowała Gideona spojrzeniem. - A według pogłosek miał być słabej kondycji i rozlazłej postury. Jak miło, że to nieprawda. - Nagle na jej twarzy pojawił się przestrah. - Och, pani nie ma jeszcze nic do picia.

Kuzynka lady Brompton rozejrzała się i dała kuksańca w bok młodemu mężczyźnie, który stał w pobliżu.

- Panie Merchant? Niechże się pan na coś przyda i przyniesie nam tego specjalnego ponczu lady Brompton. I dla siebie też proszę wziąć. Chcemy dzisiaj usłyszeć pański śpiew.

- A propos, to jest czarująca panna Penelope Gray, wychowanka wicehrabiego Battena - przedstawiła mnie lady Brompton. - Zapoznałabym was bliżej, ale ona nie ma żadnego majątku, a ty, panie, jesteś łowcą posagów, a więc nie opłaca mi się tu folgować mojej pasji swatania.

Pan Merchant, który był o głowę niższy ode mnie, jak zresztą wielu w tej sali, nie wyglądał na szczególnie urażonego. Skłonił się z galanterią.

- Ale to nie znaczy, że jestem ślepy na wdzięki tak czarow-nej młodej damy - powiedział, wpatrując się w mój dekolt.

- Miło mi - odrzekłam niepewnie, a lady Brompton i jej kuzynka wybuchły na to głośnym śmiechem.

- Och, nie, lord Brompton i pani Fairfax zbliżają się do pia-noforte - zawołał pan Merchant i przewrócił oczami. - Obawiam się najgorszego.

- Szybko! Nasze szklaneczki - rozkazała lady Brompton. - Na trzeźwo nie sposób tego wytrzymać.

Poncz, którego skosztowałam z pewnym wahaniem, smakował cudownie: intensywnie owocami, troszeczkę cynamonem i jeszcze czymś. Pod jego wpływem w żołądku poczułam miłe ciepło. Na chwilę zupełnie się rozluźniłam i zaczęłam czerpać przyjemność z rozglądania się po przepysznie oświetlonej sali pełnej wytwornie ubranych ludzi, gdy nagle pan Merchant sięgnął mi od tyłu do dekoltu i o mało nie upuściłam szklanki.

- Jedna z tych zachwycających małych różyczek się przekrzywiła - szepnął, uśmiechając się dość obleśnie.

Gapiałam się na niego oszołomiona. Giordano nie przygotował mnie do takiej sytuacji i nie wiedziałam, co przewiduje etykieta w przypadku takiego oblapiacza w stylu rokoko. Szukając pomocy, spojrzałam na Gideona, ale on na mnie nie patrzył, pogrążony w rozmowie z młodą wdową. Gdybyśmy byli w moim stuleciu, powiedziałabym panu Merchantowi, żeby łaskawie trzymał przy sobie swoje brudne łapska, bo jak nie, to zaraz przekrzywi mu się coś zupełnie innego niż różyczka. Ale tutaj taka reakcja wydała mi się trochę nie na miejscu.

- Och, dziękuję panu, to bardzo miłe. - Uśmiechnęłam się do niego. - Nawet tego nie zauważyłam.

Pan Merchant skłonił się.

- Zawsze do usług, madame.

Niewiarygodne, jaki był bezczelny. Ale trudno się dziwić, że w czasach, kiedy kobiety nie miały praw wyborczych, nie szanowano ich także pod innymi względami.

Gwar rozmów i śmiechy milkły stopniowo, gdy panna Fair-fax, wąskonosa kobieta w zgniłozielonej sukni, podeszła do pia-noforte, usiadła, wygładziła suknię i uderzyła w klawisze. Nawet nie grała tak źle. Jedynym, co trochę przeszkadzało, był jej głos - niewiarygodnie... wysoki. Jeszcze ciut wyżej i można by go wziąć za gwizdanie na psy.

- Orzeźwiająca, nieprawdaż? - Pan Merchant zatroszczył się o to, by moja szklaneczka została ponownie napełniona.

Ku mojemu zdumieniu (i w pewnym sensie także uldze) bez żenady obmacywał po biuście również lady Brompton, pod pretekstem, że znalazł tam włos. Lady Brompton najwyraźniej

niezbyt to przeszkadzało, zbesztala go tylko niegroźnie i uderzyła wachlarzem po palcach (aha, rozumiem, a więc do tego naprawdę były przeznaczone wachlarze!), po czym wraz z kuzynką zabrały mnie na sofę w niebieskie kwiatki, stojącą w pobliżu okna. Posadziły mnie między sobą.

- Tu będzie pani bezpieczna od jego lepkich rąk - powiedziała lady Brompton i po matczynemu poklepała mnie po kolanie. - Tylko pani uszy są wciąż narażone na niebezpieczeństwo.

- Proszę pić - poradziła mi cicho jej kuzynka. - Będzie pani tego potrzebować. Panna Fairfax dopiero zaczęła.

Sofa była niezwykle twarda, a oparcie tak wygięte, że właściwie nie można się było o nie oprzeć, chyba że chciałabym zapaść się w jej otchłanie z tą całą moją wielką suknią. Najwyraźniej w osiemnastym wieku sofy nie były przeznaczone do tego, by wygodnie na nich siedzieć.

- Nie wiem, nie jestem przyzwyczajona do alkoholu - powiedziałam z wahaniem.

Moje jedyne doświadczenie z alkoholem miało miejsce dokładnie dwa lata temu. To było w czasie przyjęcia pizamowe-go u Cynthii. Zupełnie niewinna impreza. Bez chłopaków, za to z chipsami i High School Musical na DVD. I z salaterką pełną lodów waniliowych, soku pomarańczowego i wódki... paskudne w tej wódce było to, że przez lody w ogóle jej nie było czuć i najwyraźniej na każdą z nas podziałała w inny sposób. Cynthia po trzech szklaneczkach otworzyła szeroko okno i ryczała na całe Chelsea: „Kocham Zaca Efrona!", Leslie klęczała z głową pochyloną nad muszlą klozetową i wymiotowała, Peggy wyznawała miłość Sarze (jesteś taka śśliszna, ożeń się zmną"), a Sara dostała spazmów, nie wiadomo dlaczego. Ze mną było najgorzej. Skakałam po łóżku Cynthii i w kółko ryczałam Break-ingfree. Kiedy ojciec Cynthii wrócił do domu, podetknęłam mu szczotkę do włosów w charakterze mikrofonu. „Śpiewaj ze mną, tyśolu - zawołałam! - Kołysz biodrami!". Chociaż następnego dnia absolutnie nie potrafiłam sobie tego wytłumaczyć.

Po tej nieco przykrew historii ja i Leslie postanowiłyśmy omijać alkohol szerokim łukiem (i ojca Cynthii przez parę miesięcy też) i od tej pory konsekwentnie trzymałyśmy się tego postanowienia. Nawet jeśli czasem dziwnie było pozostawać zupełnie trzeźwą wśród ochlapusów. Na przykład tak jak teraz.

Z przeciwległej strony sali znowu poczułam na sobie spojrzenie hrabiego de Saint Germain i nieprzyjemny dreszcz przeszedł mi po plecach.

- Powiadają, że opanował sztukę czytania w myślach - wyszeptała lady Brompton.

W tym momencie postanowiłam czasowo znieść zakaz picia alkoholu. Tylko na dziś wieczór. I tylko kilka łyków. Żeby zapomnieć o strachu przed hrabią de Saint Germain. I przed wszystkim innym.

Specjalny poncz lady Brompton działał zaskakująco szybko, nie tylko na mnie. Po drugim kieliszku wszyscy uznali, że ten śpiew nie jest taki straszny, po trzecim zaczęliśmy kołysać stopami do taktu i stwierdziłam, że nigdy nie byłam na takiej fajnej imprezie. Ludzie byli tu znacznie bardziej na luzie, niż myślałam. Ścisłe biorąc, bardziej na luzie niż w dwudziestym pierwszym wieku. A światło było naprawdę rewelacyjne. Dlaczego do tej pory nie zauważyłam, że w blasku setek świec każdy miał cerę jakby powleczoną złotem? Także hrabia, który od czasu do czasu uśmiechał się do mnie z przeciwległego końca sali.

Czwarta szklaneczka ostatecznie uciszyła mój ostrzegawczy wewnętrzny głos („Bądź czujna! Nie ufaj nikomu!"). Jedyne fakte, że Gideon wciąż był wpatrzony w kobietę w zielonej sukni, psuł jeszcze moje dobre samopoczucie.

- Nasze uszy dostały już wystarczającą szkołę - uznała w końcu lady Brompton. Wstała i klaszcząc, podeszła do szpi-netu. - Moja droga, droga panno Fairfax. To było znowu zupełnie wyjątkowe - powiedziała, całując pannę Fairfax w oba policzki i popychając ją na pierwsze z brzegu krzesło. - Ale teraz proszę wszystkich państwa o gromkie brawa dla pana Mer-chanta i lady Lavinii, nie, nie, żadnych sprzeciwów, wiemy, że wy dwoje potajemnie razem ćwiczyliście.

Gdy obłąpiacz biustów zasiadł do szpinetu i zaczął grać pełne temperamentu arpeggio, kuzynka lady Brompton obok mnie zaskrzeczała jak oszalała fanka boysbandu. Piękna lady Lavinia obdarzyła Gideona promiennym uśmiechem i w swej zielonej sukni pospieszyła na środek. Zauważyłam, że nie była już taka młoda, jak mi się wydawało. Za to pięknie śpiewała. Jak Anna Netrebko, którą słyszeliśmy dwa lata temu w Royal Opera House w Covent Garden. No, może nie aż tak pięknie, ale na pewno słuchanie jej było czystą przyjemnością. Jeśli ktoś lubi pompatyczne włoskie arie operowe. Co, prawdę mówiąc, zwykle mnie nie dotyczyło, ale parę szklaneczek ponczu odmieniło moje gusty. A najwyraźniej w osiemnastym wieku włoskie arie operowe były absolutnymi przebojami. Towarzystwo w sali mocno się rozochociło. Tylko ta biedna panna Gwizdek, znaczy panna Fairfax, miała skwaszoną minę.

- Mogę cię porwać na momencik? - Gideon podszedł z tyłu do sofy i uśmiechnął się do mnie z góry. Jasne, teraz, kiedy dama w zielonym była zajęta, przypomniał sobie o mnie. - Hrabia ucieszyłby się, gdybyś dotrzymała mu towarzystwa.

Och! Faktycznie, jeszcze to. Nabrałam głęboko powietrza, wzięłam szklaneczkę i bez wahania wychyliłam ją do dna. Wstając, poczułam przyjemny zawrót głowy. Gideon odstawił moją pustą szklaneczkę na jeden z tych ozdobnych stolików.

- Czy w tym był może alkohol? - wyszeptał.

- Nie, tylko poncz - odszepnęłam. Ups, podłoga była tu jakaś nierówna. - Ja zasadniczo w ogóle nie piję alkoholu, wiesz? To jedna z moich żelaznych zasad. Bez alkoholu też można się dobrze bawić.

Gideon uniósł jedną brew i podsunął mi ramię.

- Cieszę się, że dobrze się bawisz.

- Tak, i wzajemnie - zapewniłam go. Ha, te podłogi w osiemnastym wieku naprawdę były jakieś krzywe. Wcześniej w ogóle tego nie zauważyłam. - To znaczy może ona jest trochę dla ciebie za stara, ale wcale nie musi ci to przeszkadzać. Tak samo jak to, że coś ją łączy z księciem Jakmutam. Nie, naprawdę, impreza jest super. Ludzie są tu znacznie miłsi, niż myślałam. Tacy kontaktowi i spontaniczni. - Spojrzałam na grającego na fortepianie obła-piacza i podróbkę Anny Netrebko. -1... najwyraźniej lubią śpiewać. To bardzo sympatyczne. Aż by się chciało śpiewać z nimi.

- Zachowuj się - szepnął Gideon, prowadząc mnie w stronę sofy, na której siedział hrabia.

Kiedy zobaczył, że się zbliżamy, podniósł się ze zrećnością znacznie młodszego człowieka i skrzywił usta w wyczekującym uśmiechu.

„No dobra - pomyślałam i uniosłam brodę. - Zachowujmy się tak, jakbym nie wiedziała, że według Google wcale nie jesteś prawdziwym hrabią. Zachowujmy się tak, jakbyś naprawdę miał hrabstwo i nie był hochsztaplerem nieznanego pochodzenia. Zachowujmy się tak, jakbyś mnie nie dusił ostatnim razem. I zachowujmy się tak, jakbym była zupełnie trzeźwa”.

Puściłam Gideona, chwyciłam ciężki czerwony jedwab, rozpostarłam suknię i przysiadłam w głębokim reweransie, z którego podniosłam się dopiero wtedy, gdy hrabia wyciągnął do mnie swoją upierścienioną dłoń.

- Moje drogie dziecko - odezwał się, a gdy pogłaskał moją rękę, w jego czekoladowobrązowych oczach błysnęło rozbawienie. - Podziwiam twoją elegancję. Po czterech szklaneczkach specjalnego ponczu lady Brompton niektórzy nie potrafią już wybełkotać swojego imienia.

O, liczył mi. Z poczuciem winy opuściłam wzrok. Właściwie to wypłam pięć szklaneczek. Ale naprawdę było warto! Ja w każdym razie ani trochę nie tęskniłam za obezwładniającym poczuciem niejasnego lęku. I nie czułam też braku mojego kompleksu niższości. Nie, lubiłam moje pijane ja. Mimo że odrobinę chwiałam się na nogach.

- *Merci pour le compliment* \* - mruknęłam.

- Zachwycające - powiedział hrabia.

- Przepraszam, powinienem był bardziej uważać - rzekł Gideon.

Hrabia roześmiał się cicho.

- Mój drogi chłopcze, byłeś zajęty czymś innym. A przede wszystkim chodzi nam dziś o to, by się bawić, nieprawdaż? Zwłaszcza że lord Alastair, któremu koniecznie chciałbym przedstawić tę miłą młodą damę, do tej pory się nie pojawił. Powiedziano mi jednak, że jest już w drodze.

- Sam? - spytał Gideon. Hrabia uśmiechnął się.

- To nie gra żadnej roli.

Anna Netrebko dla ubogich i obłąpiacz biustów zakończyli swoją arię ostatnim, porywającym akordem i hrabia puścił moją rękę, aby nagrodzić ich oklaskami.

- Czyż ona nie jest cudowna? Naprawdę wielki talent i do tego taka piękna.

- Tak - szepnęłam i również zaczęłam bić brawo, starając się, by nie wyglądało to jak kosi, kosi, łapci. - Trzeba coś mieć, żeby wprawić żyrandol w takie drzenie.

Klaskanie wytrąciło mnie z chwiejnej równowagi i zachybo-tałam się lekko.

Gideon mnie podtrzymał.

- W głowie mi się to nie mieści - powiedział rozeźlony, z ustami tuż przy moim uchu. - Spędziliśmy tu niecałe dwie godziny, a ty jesteś już totalnie pijana. Coś ty sobie przy tym myślała, na miłość boską?

- Powiedziałaś „totalnie”, naskarzę Giordanowi. - Zachichotałam. W tym ogólnym hałasie nikt tego nie mógł usłyszeć. - Poza tym za późno teraz na gderanie. Dziecko już zostało wylane ze specjalnym ponczem, można powiedzieć... - Przerwałam, bo nagle dostałam czkawkę. - Hopsa! P-praszam. - Rozejrzałam się. - Ale inni są o wiele bardziej pijani niż ja, a więc bez zbędnego moralizowania, proszę. Mam wszystko pod kontrolą. Możesz mnie spokojnie puścić, stoję tu niewzruszona niczym skała.

- Ostrzegam cię - wyszeptał Gideon, ale faktycznie mnlf J puścił.

Na wszelki wypadek stanęłam na nieco szerszej rozstawionych nogach. Pod szeroką spódnicą i tak nie było nic widać.

Hrabia przyglądał się nam z rozbawieniem, na jego twarzy malowała się wręcz duma dziadka. Zerknęłam na niego ukradkiem i otrzymałam w odpowiedzi uśmiech, który sprawił, że zrobiło mi się ciepło na sercu. Dlaczego tak bardzo się go bałam? Z trudem przypominałam sobie to, o czym mówił Lucas: że ten człowiek poderżnął gardło swojemu własnemu przodkowi...

\* *Merci...* (fr.) - dziękuję za komplement.

Lady Brompton znowu pospieszyła na środek i podziękowała panu Merchantowi i lady Lavinii za ich występ. Potem -nim panna Fairfax zdążyła podnieść się z miejsca - poprosiła o gromkie brawa dla dzisiejszego honorowego gościa, bywałego w świecie, tajemniczego słynnego hrabiego de Saint Germain.

- Obiecał mi, że zagra dziś coś na skrzypcach - powiedziała. Lord Brompton, niosąc pudło ze skrzypcami, podbiegł tak szybko, jak pozwalało na to jego duże brzuszysko. Rozochoczone ponczem towarzystwo szalało z zachwytem. Naprawdę, to była zarabista impreza.

Hrabia uśmiechnął się, wyjął skrzypce i zaczął je stroić.

- Nigdy nie przyszłoby mi na myśl, by panią rozczarować, lady Brompton - rzekł miękkim głosem. - Ale moje stare palce nie są już tak zręczne jak kiedyś, gdy grałem z osławionym Gia-corno Casanovą duety na francuskim dworze... I ostatnio podagra mnie nieco mężczy...

Przez całą salę przebiegły szepty i westchnienia.

- ...i dlatego dziś wieczorem chciałbym przekazać skrzypce mojemu młodemu przyjacielowi - ciągnął hrabia.

Gideon, trochę wystraszony, potrząsnął głową. Ale kiedy hrabia uniósł brew i powiedział: „Proszę!”, wziął skrzypce, kłaniając się lekko, i podszedł do szpinetu.

Hrabia złapał mnie za rękę.

- A my dwoje siądziemy sobie na sofie i będziemy rozkoszować się koncertem, dobrze? Och, nie ma powodu, by tak się trząść. Usiądź, moje dziecko. Nie wiesz tego, ale od wczorajszego popołudnia jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, ty i ja. Odbyliśmy bowiem naprawdę, ale to naprawdę serdeczną rozmowę i udało się nam usunąć wszelkie różnice.

Co proszę?

- Od wczorajszego popołudnia? - powtórzyłam.

- Z mojej perspektywy - odrzekł hrabia. - Dla ciebie to spotkanie jest dopiero w przyszłości. - Zaśmiał się. - Lubię skomplikowane sytuacje, zauważyłaś?

Patrzyłam na niego w osłupieniu. W tym momencie Gideon zaczął grać i zupełnie zapomniałam, o co go chciałam spytać. O, mój Boże. Zapewne to była wina ponczu, ale: rany! Takie skrzypce są naprawdę sexy. Wystarczyło już to, w jaki sposób Gideon je chwycił i ułożył sobie na ramieniu. Nic więcej nie musiał robić. Byłam załatwiona na amen. Jego długie rzęsy rzuciły cień na policzki, włosy opadły mu na twarz, kiedy przyłożył smyczek i przeciągnął nim po strunach. Gdy pierwsze dźwięki wypełniły salę, niemal zabrakło mi tchu, tak były czułe i zniewalające, i nagle zachciało mi się płakać. Skrzypce znajdowały się dotąd raczej na końcu listy moich ulubionych instrumentów, właściwie lubiłam je jedynie w filmie, jako tło dla momentów akcji. Ale to było po prostu niewiarygodnie piękne, w całości: słodko-gorzka melodia i chłopak, który wydobywał ją z instrumentu. Wszyscy zebrani słuchali z zapartym tchem, a Gideon grał z takim zapamiętaniem, jakby poza nim w sali nie było nikogo.

Zauważyłam, że płaczę, dopiero wtedy, gdy hrabia dotknął mojego policzka i otarł mi palcem łzę. Wzdrygnęłam się, wystraszona.

Uśmiechnął się do mnie, a w jego ciemnobrązowych oczach pojawił się ciepły blask.

- Nie musisz się tego wstydzić - powiedział cicho. - Byłbym rozczarowany, gdyby było inaczej.

Mnie samą zaskoczyło to, że uśmiechnęłam się do niego (naprawdę!). Jak mogłam? Przecież to ten człowiek, który mnie dusił?

- Co to za melodia? - spytałam. i; Hrabia wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Podejrzewam, że dopiero zostanie skomponowana.

Gdy Gideon skończył, w sali wybuchły burzliwe oklaski. Gideon skłonił się z uśmiechem i skutecznie obronił się przed bisem, natomiast mniej skutecznie przed uściskiem pięknej lady Lavinii. Uwiesiła się jego ramienia i nie pozostało mu nic innego, jak przywlec ją na naszą sofę.

- Czyż nie był wspaniały? - zawołała lady Lavinia. - Ale kiedy zobaczyłam te ręce, od razu wiedziałam, że są zdolne do rzeczy nadzwyczajnych.

- Jasne - mruknęłam.

Chętnie bym wstała z sofy, żeby lady Lavinia nie mogła tak na mnie patrzeć z góry, ale nie dałam rady. Alkohol wykluczył moje mięśnie brzucha z gry.

- Cudowny instrument, markizie - rzekł Gideon do hrabiego i podał mu skrzypce.

- Stradivarius. Zrobił je dla mnie sam mistrz - rzekł hrabia w rozmarzeniu. - Chciałbym dać je tobie, mój chłopcze. Dziś wieczorem jest chyba stosowny moment na uroczyste przekazanie.

Gideon lekko pokraśniał. Najpewniej z radości.

- Ja... ja nie mogę... - Spojrzał w ciemne oczy hrabiego i opuścił wzrok. - To dla mnie wielki honor, markizie - dodał.

- To honor dla mnie - odpowiedział poważnie hrabia.

- Mój Boże - mruknęłam.

Ci dwaj najwyraźniej naprawdę się lubili.

- Czy pani też jest taka muzykalna jak pani przyrodni brat, panno Gray? - spytała lady Lavinia.

Nie, raczej nie. Ale na pewno tak muzykalna jak ty, pomyślałam.

- Lubię tylko śpiewać - odrzekłam. Gideon popatrzył na mnie ostrzegawczo.

- Śpiewać! - zawołała lady Lavinia. - Tak jak ja i nasza droga panna Fairfax.

- Nie - odparłam zdecydowanie. - Ani nie wyciągam takich wysokich tonów jak panna Fairfax... - w końcu nie jestem nietoperzem - ..ani nie mam takiej pojemności płuc jak pani. Ale lubię śpiewać.

- Dziś wieczorem dość się już namuzykowaliśmy - wtrącił Gideon.

Lady Lavinia wyglądała na urażoną.

- Oczywiście bylibyśmy zachwyceni, gdyby pani raz jeszcze uczyniła nam ten honor - dodał szybko Gideon i obrzucił mnie mrocznym spojrzeniem.

Ponieważ byłam tak cudownie pijana, tym razem było mi to zupełnie obojętne.

- Grałeś... grałeś bajecznie. - Westchnęłam. - Aż się popłakałam. Naprawdę! I

Wyszczrzył zęby, jakbym opowiedziała jakiś dowcip, i schował stradivariusa do pudła.

Zadyszany lord Brompton przebił się do nas z dwiema szklaneczkami ponczu. Zapewnił Gideona, że jest absolutnie zachwycony jego wirtuozerią, dodał, że wielka strata dla biednego Alastaira, że przegapił ów bez wątpienia najważniejszy punkt wieczoru.

- A więc sądzi pan, że Alastair dotrze tu jeszcze dziś wieczorem? - spytał hrabia nieco gniewnie.

- Jestem o tym przekonany - odrzekł lord Brompton i podał I mi jedną ze szklaneczek. I

Łapczywie pociągnęłam łyk. O rany, jakie to było dobre. Wystarczy tylko powąchać i już jesteś na haju.

Gotowa, by złapać f szczotkę do włosów, wskoczył na łóżko i zaśpiewać Breaking free, z Żakiem Efronem czy bez niego!

- Milordzie, musi pan koniecznie przekonać pannę Gray, żeby nam coś zaprezentowała - powiedziała lady Lavinia. - Ona tak lubi śpiewać.

W jej głosie pobrzmiwał dziwny ton, który wzbudził moją czujność. W pewien sposób przypominała mi Charlotte. Co prawda wyglądała zupełnie inaczej, jednak gdzieś tam głęboko pod tą jasnozieloną suknią ukrywała się z pewnością Charlotta, o tym byłam przekonana. Czyli osoba, która uczyni wszystko, by uświadomić ci swoją przeciętność i tym bardziej podkreślić, jaka jest absolutnie wspaniała i niepowtarzalna. Fuj!

- No dobrze - powiedziałam, ponownie próbując wstać z sofy. Tym razem się udało. Nawet się nie zachwiałam. - No to zaśpiewam.

- Co takiego? - obruszył się Gideon i pokręcił głową. - W żadnym wypadku nie zaśpiewa. Obawiam się, że poncz...

- Panno Gray, sprawiłaby pani nam wszystkim ogromną radość, gdyby dla nas zaśpiewała - powiedział lord Brompton i mrugnął tak gwałtownie, że jego piętnaście podbródków zatrzęsło się w widoczny sposób. - A jeśli to za sprawą ponczu, tym lepiej. Proszę ze mną. Zapowiem panią.

Gideon przytrzymał mnie za ramię.

- To nie jest dobry pomysł - oznajmił. - Lordzie Brompton, proszę, moja przyrodnia siostra jeszcze nigdy nie występowała publicznie...

- Kiedyś musi być ten pierwszy raz - powiedział lord Brompton i pociągnął mnie dalej. - Jesteśmy przecież w swoim gronie. Niechże nam pan nie psuje zabawy!

- Właśnie. Nie psuj nam zabawy. - Strząsnęłam rękę Gideona. - Masz może przy sobie szczotkę do włosów? Lepiej mi się śpiewa, jak trzymam szczotkę.

Gideon wyglądał na zrozpaczonego.

- Nie ma mowy - rzucił i poszedł za mną i lordem Bromptonem w kierunku szpinetu.

Usłyszałam, jak hrabia śmieje się cicho za naszymi plecami.

- Gwen... - syknął Gideon. - Proszę cię, daj spokój z tymi bzdurami.

- Penelope - poprawiłam go, opróżniłam duszkiem szklaneczkę ponczu i podałam mu ją. - Jak myślisz, będzie im się podobało Over the rainbow! Albo - zachichotałam - Hallelujah!

Gideon westchnął.

- Naprawdę nie możesz tego zrobić. Wrócisz teraz ze mną.

- Nie, to za bardzo nowoczesne, prawda? Zobaczmy... -Przebiegłam w myślach całą moją playlistę, podczas gdy lord Brompton uroczyście mnie zapowiadał.

Pan Merchant, obłąpiacz, dołączył do nas.

- Czy pani potrzebuje akompaniamentu na szpinecie? - spytał.

- Nie, pani potrzebuje... czegoś zupełnie innego - odparł Gideon i opadł na taboret przy instrumencie. - Proszę, Gwen...

- Pen, jeśli już - poprawiłam go. - Wiem, co zaśpiewam. Don't ery formę, Argentina. Znam cały tekst, a musicale są jakieś takie ponadczasowe, nie sądzisz? Ale może oni nie znają Argentyny...

- Chyba nie chcesz się skompromitować przed taką masą ludzi, co?

To była słodka próba napędzenia mi strachu, ale w tych okolicznościach daremna.

- Posłuchaj - szepnęłam do niego. - Ci ludzie mi w ogóle nie przeszkadzają. Po pierwsze, oni nie żyją od dwustu lat, a po drugie wszyscy są w świetnym nastroju i są pijani... poza tobą oczywiście.

Gideon z westchnieniem oparł głowę na rękę, wybijając przy tym łokciem kilka dźwięków na szpinecie.

- Zna pan... zna pan może Memory! Z Kotów! - spytałam pana Merchanta.

- Och, nie, przykro mi - odparł.
- Nic nie szkodzi, to zaśpiewam a cappella - powiedziałam optymistycznie i odwróciłam się do publiczności.
- Piosenka nosi tytuł Memory i chodzi w niej o... nieszczęśliwie zakochanego kota. Ale w gruncie rzeczy odnosi się także do nas, ludzi. W szerokim tego słowa znaczeniu.

Gideon podniósł nagle głowę i spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- Proszę... - szepnął.
- Po prostu nikomu o tym nie powiemy - rzuciłam cicho. -Okej? To będzie nasza tajemnica.
- Doczekaliśmy się. Zaśpiewa dla nas wspaniała, niepowtarzalna, cudowna panna Gray - zawołał lord Brompton. - Po raz pierwszy przed publicznością.

Powinłam była czuć zdenerwowanie, bo ucichły wszelkie rozmowy i spojrzenia wszystkich skierowały się na mnie, ale nie czułam. Ach, ten poncz był boski. Muszę koniecznie zdobyć przepis.

Co to ja chciałam zaśpiewać?

Gideon wybił kilka dźwięków na szpinecie i rozpoznałam pierwsze takty. Memory. Ach, tak, właśnie. Z wdzięcznością uśmiechnęłam się do Gideona. Miło z jego strony, że zdecydował się wziąć w tym udział. Zaczerpnęłam głęboko powietrza. Pierwszy dźwięk był w tej piosence szczególnie ważny. Jak się go schrzaniło, równie dobrze można było przestać śpiewać. Midnight trzeba było wyartykułować w przestrzeń krystalicznie czysto, a przy tym nienachalnie.

Ucieszyłam się, bo zabrzmiało to u mnie jak u Barbry Streisand. Not a sound from the pavement, has the moon lost her memory? She is smiling alone.

Patrzcie, państwo. Gideon najwyraźniej umiał także grać na fortepianie. I to całkiem niezłe. O Boże, gdybym już nie była w nim tak strasznie zakochana, to teraz zakochałabym się na zabój. Nawet nie musiał spoglądać na klawisze, patrzył tylko na mnie. I patrzył odrobinę zdziwiony, jak ktoś, kto właśnie dokonał zdumiewającego odkrycia. Może dlatego, że księżyc po angielsku to „ona”?

AU alone in the moonlight I can dream at the old days - śpiewałam tylko dla niego. Sala miała świetną akustykę, było prawie tak, jakbym śpiewała do mikrofonu. Może dlatego, że panowała cisza jak makiem zasiał? Let the memory live again. Sprawiało mi to znacznie większą przyjemność niż SingStar. Było naprawdę, ale to naprawdę fantastycznie. I nawet jeśli miałby to być tylko piękny sen i za chwilę wpadnie do pokoju ojciec Cynthii, a nad nami rozpęta się wielka burza z piorunami - ten moment był tego wart.

Nikt by mi nie uwierzył.



*Time aint nothin' but time. It's a verse with no rhyme, and it all comes down to you.*

Bon Jovi

Szkoda tylko, że ta piosenka była taka krótka. Kusilo mnie, żeby zaimprovizować jeszcze jedną zwrotkę, ale to mogłoby popsuć ogólne dobre wrażenie, więc dałam sobie spokój. Z żalem zakończyłam występ jedną z moich ulubionych linijek: *If you touch me, you 'U understand what happiness is. Look, a new day has begun* - coraz bardziej dochodząc do wniosku, że ta piosenka nie mogła zostać napisana specjalnie dla kotów. Może to za sprawą ponczu - tak, nawet na pewno - ale gościom nasz występ zdawał się podobać tak samo jak przedtem włoskie arie operowe. W każdym razie z zachwytem bili brawo i kiedy lady Brompton pospieszyła w naszą stronę, pochyliłam się do Gideona.

- Dziękuję - powiedziałam. - To było naprawdę miłe z twojej strony. I świetnie grasz!

Znowu oparł głowę na dłoni, jakby nie mógł uwierzyć w to, co właśnie zrobił.

Lady Brompton objęła mnie, a pan Merchant ucałował wylewnie w oba policzki, nazwał „złotym gardziółkiem” i zażądał bisu.

Byłam w tak doskonałym nastroju, że natychmiast śpiewałabym dalej, ale Gideon ocknął się z odrętwienia, wstał i chwycił mnie za rękę.

- Jestem pewien, że Andrew Lloyd Weber byłby zachwycony, wiedząc, że ceniono jego muzykę już w tej epoce, ale moja siostra musi teraz odpocząć. Do zeszłego tygodnia miała poważne zapalenie gardła i zgodnie z zaleceniami lekarza musi teraz chronić głos, bo mogłaby go stracić na zawsze.

- Na miłość boską - zawołała lady Brompton. - Dlaczego nie powiedzieliście o tym wcześniej? Biedna dziewczyna.

Bardzo zadowolona z siebie, nuciłam pod nosem *I feel pretty* z *West Side Story*.

- Ja... pani poncz naprawdę coś w sobie ma - rzekł Gideon. - Myślę, że sprawia, iż człowiek może się całkiem zapomnieć.

- Och tak, to prawda - przyznała lady Brompton i twarz jej się rozpromieniła. - Właśnie odkryliście tajemnicę mojej gościnności - ciągnęła przyciszonym głosem. - Cały Londyn zazdrości nam tych spotkań, ludzie zabijają się o zaproszenia do nas. Ale potrzebowałam lat, by udoskonalić tę recepturę, i zamierzam ją wyjawiać dopiero na łożu śmierci.

- Jaka szkoda - powiedziałam. - Ale to prawda: pani wieczór jest o wiele piękniejszy, niż sobie wyobrażałam. Zapewniano mnie, że będzie tu nudno, sztywno...

- Jej guwernantka jest nieco konserwatywna - wpadł mi w słowo Gideon. - I można powiedzieć, że życie towarzyskie w Derbyshire jest nieco zacofane.

Lady Brompton zachichotała.

- O, jestem o tym przekonana. Ach, oto wreszcie lord Alastair! - Spojrzała w stronę drzwi, gdzie lord Brompton witał się z nowo przybyłym.

Był to mężczyzna zapewne w średnim wieku (trudno było powiedzieć ze względu na śnieżnobiałą perukę, którą miał na głowie), w surducie tak obficie wyszywanym błyszczącą nitką i błyskotkami, że wydawało się, jakby sam się świecił. Efekt blasku wzmacniał jeszcze ubrany na czarno człowiek, który stał obok niego. Był otulony czarną peleryną, miał kruczoczarne włosy i oliwkową cerę i nawet z tej odległości widziałam, że jego oczy, podobnie jak oczy Rakoczego, przypominają ogromne czarne dziury. W tym barwnym, obwieszonym biżuterią towarzystwie sprawiał wrażenie ciała obcego.

- Myślałam, że Alastair już nas dzisiaj nie zaszczyci - odezwała się lady Brompton. - Co nie byłoby wcale takie tragiczne, jeśli mam być szczerą. Jego obecność raczej nie sprzyja rozbawieniu i wesołości. Spróbuję namówić go na szklaneczkę ponczu i wysłać obok na grę w karty...

- A my spróbujemy poprawić jego nastrój odrobiną śpiewu - rzekł pan Merchant i usiadł przy szpince. - Czy uczyni mi pani ten honor, lady Lavinio? Cosifan tutte!

Gideon położył mi rękę na ramieniu i odprowadził na bok.

- Ileż ty, do diabła, wypiąś?

- Kilka szklaneczek - przyznałam. - Na pewno tajemnym składnikiem jest jeszcze coś oprócz wódki. Może absynt? Jak w tym smutnym filmie z Nicole Kidman. *Moulin Rouge*. - Westchnęłam. - *The greatest thing you 'll ever learn is just to love and be loved in return*. Założę się, że to też umiesz zagrać.

- Żeby wszystko było jasne: nienawidzę musicali - oznajmił Gideon. - Myślisz, że wytrzymasz jeszcze parę minut? Lord Alastair właśnie przybył i kiedy tylko się z nim przywitamy, będziemy mogli pójść.

- Już teraz? Jaka szkoda.

Gideon przyglądał mi się, kręcąc głową.

- Najwyraźniej zupełnie straciłaś poczucie czasu. Gdybym mógł, wsadziłbym ci głowę pod zimną wodę.

Hrabia de Saint Germain podszedł do nas z boku.

- To był... bardzo szczególny występ - powiedział i spojrzał na Gideona, podnosząc brew.

- Przykro mi. - Gideon westchnął i skierował wzrok na obu nowo przybyłych. - Lord Alastair wygląda na nieco grubszego niż dawniej.

Hrabia się roześmiał.

- Nie rób sobie złudnych nadziei. Mój wróg jest ciągle w znakomitej formie. Rakoczy widział go dzisiaj, jak walczy na szpady u Galliana... żaden z tych młodych wilczków nie miałby z nim szans. Chodźcie ze mną, nie mogę się doczekać, by zobaczyć wyraz jego twarzy.

- Ale on jest dzisiaj miły - szepnęłam do Gideona, kiedy szliśmy za hrabią. - Wiesz, ostatnim razem napędził mi takiego stracha, ale dziś niemal mi się wydaje, że jest moim dziadkiem albo kimś w tym rodzaju. Wręcz go lubię. To takie miłe, że podarował ci stradivariusa. Te skrzypce na pewno byłyby warte majątek, gdyby wystawić je na eBayu. Ups, ale się tu wszystko chwieje.

Gideon objął mnie w pasie.

- Przysięgam, zabiję cię, jak będziemy to już mieli za sobą - mruknął.

- Czyja bełkoczę?

- Jeszcze nie - powiedział. - Ale jestem pewien, że to nastąpi.

- Czyż nie mówiłem panu, że może przybyć w każdym momencie? - Lord Brompton położył jedną rękę na ramieniu mężczyzny lśniącego złotem, a drugą na ramieniu hrabiego. -

Mówiono mi, że panowie się znają. Lordzie Alastair, nigdy ani słowem nie zdradził się pan, że zna pan osobiście słynnego hrabiego de Saint Germain.

- To nic takiego, czym zwykłym się chwalić - odparł arogancko lord Alastair.

- Właśnie - rzucił schrypniętym głosem ubrany na czarno mężczyzna z oliwkową cerą, który stał za nim.

Jego czarne oczy dosłownie wypalały hrabiemu dziury w twarzy i nie ulegało wątpliwości, że go szczerze nienawidzi. Przemknęło mi przez myśl, że schował pod peleryną szpadę, którą w każdej chwili może wyciągnąć. Pozostawało dla mnie zagadką, dlaczego miał na sobie pelerynę. Po pierwsze, było wystarczająco ciepło, a po drugie, wśród tych odświętnie ubranych ludzi wyglądał gburowato i dziwacznie.

Lord Brompton rozejrzał się wokół z szerokim uśmiechem, jakby w ogóle nie zauważył tej wrogości.

Hrabia postąpił krok do przodu.

- Lordzie Alastair, cóż za radość. Chociaż nasza znajomość sięga już parę lat wstecz, nigdy o panu nie zapomniałem - odezwał się.

Ponieważ stałam za hrabią de Saint Germain, nie widziałam jego twarzy, ale miałam wrażenie, że się uśmiecha. Jego głos brzmiał przyjaźnie i pogodnie.

- Pamiętam wciąż nasze rozmowy o niewolnictwie i moralności. I zawsze zdumiewało mnie, jak doskonale potrafi pan rozdzielić obie te rzeczy... zupełnie tak samo jak pański ojciec.

- Hrabia nigdy nie zapomina niczego - wtrącił z uwielbieniem lord Brompton. - Jego mózg jest fenomenalny. W ciągu ostatnich dni, które spędziłem w jego towarzystwie, nauczyłem się więcej niż dotąd przez całe życie. Czy wiedział pan na przykład, że hrabia potrafi wytwarzać sztuczne kamienie szlachetne?

- Tak, wiedziałem o tym. - Spojrzenie lorda Alastaira stało się jeszcze chłodniejsze, o ile to w ogóle było możliwe, a jego towarzysz oddychał ciężko jak ktoś, kto za chwilę wpadnie w szal.

Zafascynowana gapiłam się na jego pelerynę.

- Nauka raczej nie jest konikiem lorda Alastaira, jeśli dobrze pamiętam - powiedział hrabia. - Och, jakże to nieuprzejmie z mojej strony. - Odsunął się nieco na bok, odsłaniając mnie i Gideona. - Chciałem panu przedstawić tę zachwycającą parę młodych ludzi. Szczerze mówiąc, to jedyny powód, dla którego się tu dzisiaj znalazłem. W moim wieku należy unikać towarzystwa i wcześniej kłaść się spać.

Na widok Gideona lord Alastair wytrzeszczył oczy. Lord Brompton wepchnął swoje okazałe ciało między Gideona i mnie.

- Lordzie Alastair, chcę panu przedstawić syna wicehrabiego Battena. Oraz wychowankę księcia, zachwycającą pannę Gray.

Mój ukłon wypadł nieco mniej uniżenie, niż nakazywałyby to etykieta, z dwóch powodów: po pierwsze, obawiałam się o własną równowagę, a po drugie, lord sprawia! wrażenie tak aroganckiego, że zupełnie zapomniałam, iż jedynie gram rolę ubogiej wychowanki wicehrabiego Battena. Hej, ja sama byłam wnuczką lorda z długą listą słynnych przodków, a poza tym w naszych czasach pochodzenie nie miało już żadnego znaczenia - wszyscy ludzie są równi, czyż nie?

Wzrok lorda Alastaira w innych okolicznościach zmroziłby mi krew w żyłach, ale poncz był doskonałym rozmrażaczem, dlatego odpowiedziałam możliwie jak najbardziej wyniosłym spojrzeniem. Tak czy owak, nie poświęcił mi zbyt wiele uwagi, bo nie spuszczał oczu z Gideona, podczas gdy lord Brompton wciąż paplał radośnie.

Nikt nie zadał sobie trudu, by przedstawić ubranego na czarno towarzysza lorda Alastaira, i nikt najwyraźniej nie zauważył, jak gapi się na mnie przez ramię lorda Alastaira i warczy.

- Ty! Demonie o szafirowych oczach! Wkrótce znajdziesz się w piekle!

Co proszę? Tego było doprawdy za wiele. Szukając pomocy, spojrzałam na Gideona, który prezentował właśnie nieco wymuszony uśmiech. Ale odezwał się dopiero wtedy, gdy lord Brompton chciał się oddalić, by pójść po żonę - i po kilka szklaneczek ponczu.

- Proszę się nie trudzić, lordzie - powiedział. - My i tak wkrótce będziemy musieli się pożegnać. Moja siostra jest jeszcze słaba po długiej chorobie i nie nawykła do późnego chodzenia spać. - Znowu objął mnie w tali, drugą ręką chwytając mnie za przedramię. - Jak pan widzi, nieco chwieje się na nogach.

Miał rację, nie powiem! Podłoga faktycznie nieprzyjemnie chybotwała mi się pod nogami. Z wdzięcznością wsparłam się na Gideonie.

- Och, zaraz wrócę - zawołał lord. - Mojej żonie na pewno uda się namówić was, byście jeszcze zostali.  
Hrabia de Saint Germain popatrzy! za nim z uśmiechem.

- To dusza człowiek. Przy tej jego potrzebie harmonii nie zniósłby, gdybyśmy się pokłócili.  
Lord Alastair zmierzy! Gideona nienawistnym wzrokiem.

- Wtedy występował jako markiz Welldone, o ile dobrze pamiętam. A dziś jest synem wicehrabiego. Podobnie jak pan, również pana protegowany ma skłonności do hochsztaplerstwa. Jakież to pożałowania godne.

- To się nazywa pseudonim dyplomatyczny - odrzekł hrabia, wciąż się uśmiechając. - Ale pan nie ma o tym pojęcia. Tak czy owak, słyszałem, że bardzo się panu podobała wasza mała potyczka na szpady jednaście lat temu.

- Mnie się podoba każda potyczka na szpady - powiedział lord Alastair.  
Zachowywał się tak, jakby nie słyszał swojego towarzysza szepczącego: „Roznieście wrogów Boga na mieczach aniołów i archaniołów”.

- A od tego czasu nauczyłem się paru sztuczek - ciągnął niewzruszony. - Pański protegowany natomiast w ciągu tych jedenastu lat najwyraźniej postarzał się zaledwie o kilka dni i jak mogłem się sam przekonać, nie miał czasu, by poprawić swą technikę.

- Sam przekonać? - powtórzył Gideon i zaśmiał się pogardliwie. - Do tego musiałby się pan pojawić osobiście. Ale pan tylko przysłał swoich ludzi, a dla nich moja technika była całkowicie wystarczająca. Co z kolei dowodzi, że lepiej brać takie sprawy we własne ręce.

- Czy pan...? - Oczy Alastaira zwięzły się. - Ach, pan mówi o tym zajściu w Hyde Parku w ubiegły poniedziałek. Racja, powinienem był wziąć sprawy we własne ręce. To był spontaniczny pomysł. Ale bez pomocy czarnej magii i pewnej... dziewczyny raczej by pan nie przeżył.

- Cieszę się, że wspomina pan o tym tak otwarcie - powiedział hrabia. - Bo od kiedy pańscy ludzie dokonali zamachu na życie tych dwojga moich młodych przyjaciół, stałem się nieco gwałtowny... Myślałem, że to ja jestem tym, na którym koncentruje pan swoją agresję. Na pewno pan rozumie, że nie będę tego tolerował.

- Uczyni pan to, co sądzi, że powinien, a ja uczynię to, co muszę - odparł lord Alastair.  
Jego towarzysz, stojący z tyłu, wycharczał: „Śmierć! Śmierć demonom!” - tak dziwnie, że nie wykluczałam już, że ma pod peleryną świetlny miecz. Na pewno miał nierówno pod sufitem. Uznałam, że nie mogę dalej ignorować jego niedopuszczalnego zachowania.

- Wprawdzie nie zostaliśmy sobie przedstawieni i przyznaję, że mam dzisiaj niejakie problemy z równowagą - odezwał się, patrząc mu prosto w oczy - ale to gadanie o śmierci i demonach jest moim zdaniem zupełnie nie na miejscu.

- Nie rozmawiaj ze mną, demonie - warknął lord Vader. - Jestem niewidzialny dla twych szafirowych oczu. A twoje uszy nie mogą mnie słyszeć!

- No, fajnie by było - powiedziałam i nagle zapragnęłam wrócić do domu.  
Albo przynajmniej z powrotem na sofę, nieważne, wygodną czy nie. Cała sala kołysała się wokół mnie niczym statek na pełnym morzu.

Gideon, hrabia i lord Alastair nagle zamilkli. Zupełnie zapomnieli o wzajemnych zarzutach i gapili się na mnie w osłupieniu.

- Miecze moich potomnych przebijają się przez wasze ciała, Sojusz Florencki pomści to, co uczyniono memu rodowi i zmaże z oblicza tej ziemi to, co niechciane przez Boga - rzucił lord Vader do nikogo konkretnego.

- Z kim rozmawiasz? - wyszeptał Gideon.

- Z tym tutaj. - Schwyciłam mocniej jego rękę i wskazałam na lorda Vadera. - Ktoś powinien mu powiedzieć, że jego peleryna jest gó... to znaczy, że nie jest zgodna z najnowszą modą. I że ja sobie wypraszam, że nie jestem żadnym demonem i nie chcę zostać przeszyta mieczami jego potomnych ani zmazana z oblicza ziemi. Au!

Dłoń Gideona ścisnęła moje przedramię.

- Co ma znaczyć ta komedia, hrabio? - spytał lord Alastair i poprawił sobie krzykliwą broszę pod szyją.  
Hrabia nie zwracał na niego uwagi. Jego spojrzenie spod ciężkich powiek spoczywało na mnie.

- To ciekawe - rzekł cichym głosem. - Ona najwyraźniej potrafi zajrzeć w głąb pańskiej czarnej, pokrętej duszy, drogi Alastairze.

- Wypiła tyle wina, że obawiam się, iż fantazjuje - wtrącił Gideon. - Zamknij się! - syknął mi do ucha.  
Żołądek skurczył mi się boleśnie ze strachu, bo w jednej chwili stało się dla mnie jasne, że pozostali nie widzą ani nie słyszą lorda Vadera, a to dlatego, że był cholernym duchem! Gdybym nie była taka pijana, pewnie już wcześniej bym na to wpadła.

Jak mogłam być tak głupia! Ani jego ubiór, ani fryzura nie pasowały do tego stulecia i najpóźniej wtedy, gdy rozpoczął to swoje patetyczne rżenie, powinnam była zauważyć, z kim albo raczej z czym mam do czynienia.

Lord Alastair odchylił głowę do tyłu.

- Obaj wiemy, który z nas zaprzedał duszę diabłu, hrabio - powiedział. - Z pomocą Bożą zdołam zapobiec temu, by te... kreatury w ogóle się narodziły.

- Przebite mieczami świętego Sojuszu Florenckiego - uzupełnił lord Vader z namaszczeniem.

- Dalej nie pojął pan reguł czasu, Alastairze. - Hrabia zaśmiał się. - Już sam fakt, że oboje stoją tu przed panem, dowodzi, że pańskie przedsięwzięcie się nie powiedzie. Być może więc nie powinien pan w tej sprawie aż tak bardzo zdawać się na pomoc Bożą. A także na moją pobłażliwość.

Nagle w jego spojrzeniu i głosie zagościł lodowaty chłód i zauważyłam, że lord się wzdrygnął. Na krótką chwilę z jego twarzy znikła wszelka arogancja, a jej miejsce zastąpił strach.

- Za zmianę reguł gry zapłacił pan własnym życiem - rzekł hrabia tym samym tonem, który śmiertelnie wystraszył mnie podczas naszego ostatniego spotkania.

Byłam teraz znów przekonana, że mógł komuś własnoręcznie poderżnąć gardło.

- Nie boję się gróźb - wyszeptał lord Alastair, ale wyraz jego twarzy świadczy! o czymś przeciwnym; trupio blady chwycił się za grdykę.

- Chyba jeszcze nie chcecie iść, kochani? - Lady Brompton pospieszyła w naszą stronę, szeleszcząc suknią, i wesoło rozejrzała się wokół.

Twarz hrabiego de Saint Germain złagodniała i wyrażała teraz jedynie uprzejmość.

- Ach, oto nasza urocza gospodyni. Muszę powiedzieć, że w pełni zasłużyła sobie pani na swą sławę, milady. Już dawno tak dobrze się nie bawiłem.

Lord Alastair pocierał sobie szyję. Powoli na jego policzki wracały kolory.

- Satanias! Satanias! - zawołał wzburzony lord Vader. - Rozniesiemy cię w proch, wyrwiemy ci ten twój kłamliwy język...

- Moi młodzi przyjaciele żałują równie mocno jak ja, że musimy już iść - kontynuował z uśmiechem hrabia. - Ale niebawem spotkacie się ponownie, na balu u lorda i lady Pimple-bottom.

- Towarzystwo jest zawsze tak interesujące, jak interesujący są goście - powiedziała lady Brompton. - Dlatego bardzo bym się cieszyła, mogąc wkrótce powitać pana u siebie ponownie. A także pańskich zachwycających młodych przyjaciół. To był dla nas wszystkich wielki zaszczyt.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odezwał się Gideon i puścił mnie ostrożnie, jakby nie był pewien, czy jestem w stanie ustać o własnych siłach.

Mimo że sala nadal kołysała się jak statek, a myśli w mojej głowie najwyraźniej cierpiały wskutek ciężkiej odmiany choroby morskiej (żeby pozostać w temacie), w trakcie pożegnania udało mi się wziąć się w karby i uczynić zadość naukom Giordana, a przede wszystkim Jamesa. Jedynie lorda Alastaira oraz ducha, wciąż miotającego ordynarne przekleństwa, nie zaszczyciłam już ani jednym spojrzeniem.

Dygnęłam przed lordem i lady Brompton, podziękowałam im obojgu za piękny wieczór i nawet nie drgnęła mi powieka, kiedy lord Brompton pozostawił na mojej dłoni wilgotny odcisk pocałunku.

Przed hrabią wykonałam głęboki ukłon, ale nie odważyłam się spojrzeć mu w twarz.

- Zobaczymy się wczoraj po południu - rzucił szeptem, a ja tylko skinęłam głową, czekając z przymkniętymi oczami, aż Gideon znów stanie przy moim boku.

Chwyciłam go pod rękę i z wdzięcznością pozwoliłam wyprowadzić się z salonu.

- Do wszystkich diabłów, Gwendolyn, to nie była impreza u twojej koleżanki z klasy! Jak mogłaś?! - Gideon szorstkim ruchem narzucił mi szal na ramiona, ale wyglądał, jakby miał ochotę mną potrząsnąć.

- Przepraszam - powiedziałam po raz kolejny.

- Lord Alastair jest tu jedynie w towarzystwie pazia i swego woźnicy - szepnął Rakoczy, który pojawił się za Gideonem niczym diabełek wyskakujący z pudełka. - Droga i kościół zostały zabezpieczone. Wszystkie wejścia do kościoła są strzeżone.

- No to chodź! - Gideon chwycił mnie za rękę.

- Mogę ponieść młodą damę - zaproponował Rakoczy. - Wydaje się, że niezbyt pewnie stoi na nogach.

- Kuszący pomysł, ale nie, dziękuję - odparł Gideon. - Tych parę metrów przejdzie sama, prawda?

Kiwnęłam zdecydowanie głową.

Deszcz przybrał na sile. Po oświetlonym jasno salonie Bromptonów przejście przez ciemność z powrotem do kościoła było jeszcze bardziej niesamowite niż w tamtą stronę. Cienie znowu zdawały się ożywać, znów za każdym rogiem spodziewałam się jakiejś postaci, gotowej się na nas rzucić. „... .zmazać z oblicza tej ziemi to, to niechciane przez Boga” - zdawały się szeptać cienie.

Również Gideon najwyraźniej czuł się nieswojo. Szedł tak szybko, że miałam trudności z dotrzymaniem mu kroku, i nie odzywał się ani słowem. Niestety, deszcz nie sprawił, że pojaśniało mi w głowie ani że ziemia przestała się kołysać. Dlatego poczułam niewysłowioną ulgę, kiedy dotarliśmy wreszcie do kościoła. Gideon popchnął mnie na ławkę i zamienił parę słów z Rakoczym. Zamknęłam oczy, przeklinając swój brak rozsądku. Jasne, ten poncz miał także pozytywne skutki uboczne, ale w sumie powinnam się była trzymać paktu antyalkoholowego, mojego i Leslie. No trudno, mleko już się rozlało.

Tak jak w chwili naszego przybycia na ołtarzu płonęła tylko jedna świeca i pomijając tę małą migoczącą wysepkę światła, kościół spowijał mrok. Kiedy Rakoczy się wycofał („Wszystkie drzwi i okna będą pilnowane przez moich ludzi, aż przeskoczycie z powrotem”), ogarnął mnie strach. Spojrzałam na Gideona, który podszedł do mojej ławki.

- Tu w środku jest tak samo upiornie jak na zewnątrz. Dlaczego nie został z nami? - spytałam.

- Z grzeczności. - Skrzyżował ramiona. - Nie chce słuchać, jak będę na ciebie wrzeszczał. Ale nie martw się, jesteśmy sami. Ludzie Rakoczego przeszukali każdy kąt.

- A kiedy przeskoczmy z powrotem?

- Już niedługo. Gwendolyn, wiesz chyba, że zrobiłaś coś zupełnie przeciwnego niż to, co powinnaś była zrobić, prawda? Właściwie jak zwykle.

- Nie trzeba mnie było zostawiać samej. Założę się, że to było też coś przeciwnego niż to, co powinieneś był zrobić.

- Nie zwalaj teraz winy na mnie! Najpierw się upijasz, potem śpiewasz piosenki z musicalu, a potem, akurat wobec lorda Alastaira, zachowujesz się jak wariatka. Co miało znaczyć gadanie o mieczach i demonach?

- To nie ja zaczęłam. To był ten czarny niesamowity du... -Ugryzłam się w język.

Nie mogłam mu tego tak po prostu powiedzieć, i tak uważał mnie już za dziwoląga.

Gideon zupełnie opacznie zrozumiał moje nagłe zamilknięcie.

- O nie! Proszę, nie wymiotuj teraz! A jeśli musisz, to gdzieś z daleka ode mnie. - Spojrzał na mnie z lekką odrazą. - Rany boskie, Gwendolyn. Rozumiem, że upicie się na imprezie może mieć swój urok, ale nie akurat na tej!

- Nie jest mi niedobrze. - W każdym razie jeszcze nie było. -I ja w ogóle nie piję na imprezach, niezależnie od tego, co opowiadała ci Charlotta.

- Nic mi nie opowiadała - odparł Gideon. Musiałam się roześmiać.

- Nieee, jasne, że nie. Nie mówiła też, że ja i Leslie zadawałyśmy się z każdym chłopakiem z naszej klasy, a poza tym z większością tych z wyższej klasy, co?

- A dlaczego miałyby coś takiego mówić?

Pomyślmy: może dlatego, że jest podstępna, rudą czarownicą? Próbowałam podrapać się po głowie, ale moje palce nie mogły się przebić przez spiętrzoną górę loków. Wyciągnęłam więc jedną ze szpilek do włosów i posłużyłam się nią jak dra-paczką.

- Przykro mi, naprawdę. Można wszystko powiedzieć o Char-lotcie, ale z pewnością nigdy nawet nie powąchałaby tego ponczu.

- Zgadza się. - Gideon nagle się uśmiechnął. - Z drugiej strony ci ludzie nie usłyszeli by wtedy Andrew Lloyda Webera, dwieście lat za wcześnie, i to by była wielka szkoda.

- No tak... nawet jeśli jutro będę chciała ze wstydu zapaść się pod ziemię. - Schowałam twarz w dłoniach. - Właściwie już teraz chcę, jak o tym myślę.

- To dobrze - rzekł Gideon. - To znaczy, że działanie alkoholu słabnie. Mam jeszcze jedno pytanie: po co ci była szczotka do włosów?

- Zamiast mikrofonu - wymamrotałam pomiędzy palców. - Mój Boże! Jestem straszna.

- Ale masz ładny głos. Nawet takiemu zagorzałemu przeciwnikowi musicali jak ja się podobało.

- A dlaczego tak dobrze to zagrałeś, skoro tego nienawidzisz? - Złożyłam ręce na podolku i spojrzałam na niego. - Byłeś niewiarygodny. Czy w ogóle jest coś, czego nie umiesz?

Rany, to zabrzmiało, jakbym była jego fanką.

- Nie! Możesz mnie spokojnie uznać za boga. - Wyszczrzył zęby. - To w sumie bardzo słodkie z twojej strony. Chodź, już czas. Musimy udać się na nasze pozycje.

Wstałam, próbując trzymać się możliwie prosto.

- Tutaj - dyrgował Gideon. - No chodź już, nie patrz na mnie taka skruszona. W gruncie rzeczy ten wieczór okazał się sukcesem. Może był trochę inny, niż myśleliśmy, ale wszystko poszło zgodnie z planem. Hej, stój! - Objął mnie w talii obiema rękami i przyciągnął do siebie tak, że moje plecy oparły się o jego pierś. - Możesz się spokojnie o mnie oprzeć. - Milczał przez chwilę. -I przepraszam, że byłem taki szorstki.

- Już o tym zapomniałam.

To było trochę kłamstwo. Ale po raz pierwszy Gideon przeprosił za swoje zachowanie i czy to za sprawą alkoholu, czy słabnięcia skutków jego działania, poczułam się bardzo wzruszona.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu i patrzyliśmy na min<K7i| ce światło świecy. Cienie między filarami też zdawały się poruszać, rysując na ziemi i suficie ciemne wzory.

- Dlaczego ten Alastair tak nienawidzi hrabiego? Czy to coś osobistego? - spytałam.

Gideon zaczął bawić się jednym z kosmyków opadających mi na ramiona.

- Zależy. To, co tak dumnie nazywa się Sojuszem Florenckim, jest w rzeczywistości od wieków swego rodzaju rodzinnym interesem. W trakcie swych podróży w czasie do szesnastego wieku hrabia niechcący wdał się we Florencję w konflikt z rodziną księcia di Madrone. Powiedzmy, że zupełnie opacznie zrozumieli jego zdolności. Podróże w czasie były sprzeczne z religijnymi poglądami księcia, poza tym zaszło jakieś nieporozumienie z jego córką, w każdym razie był przekonany, że ma przed sobą demona, i poczuł się powołany przez Boga do tego, by wypłenić ten piekielny pomiot.

Jego usta nagle znalazły się tuż obok mojego ucha i nim zaczął mówić dalej, dotknął wargami mojej szyi.

- Kiedy księżę di Madrone zmarł, jego syn przejął dziedzictwo, a po nim jego syn i tak dalej. Lord Alastair jest ostatnim spośród tych fanatycznych łowców urojonych demonów.

- Rozumiem - powiedziałam, co nie do końca było prawdą. Ale w jakimś sensie pasowało do tego, co przedtem widziałam i słyszałam. - Powiedz mi, czy ty mnie właśnie całujesz?

- Nie, tylko prawie - mruknął Gideon z ustami tuż przy mojej skórze. - Nie chciałbym w żadnym wypadku wykorzystywać tego, że jesteś pijana i chwilowo uważasz mnie za boga. Ale w pewnym sensie jest to dla mnie trudne...

Zamknęłam oczy, odchyliłam głowę i oparłam ją na jego ramieniu, on zaś jeszcze mocniej przyciągnął mnie do siebie.

- Jak już mówiłem, nie ułatwiasz mi sprawy. W kościołach, w twojej obecności, zawsze mam głupie myśli...

- Jest coś, czego o mnie nie wiesz - szepnęłam z zamkniętymi oczami. - Czasami widzę... ludzi, którzy już od dawna nie żyją... to znaczy widzę ich i słyszę, co mówią. Tak jak dzisiaj. Wydaje mi się, że ten człowiek, którego widziałam obok lorda Alastaira, mógł być tamtym włoskim księciem.

Gideon milczał. Prawdopodobnie zastanawiał się właśnie, jak możliwie taktownie polecić mi dobrego psychiatrę.

Westchnęłam. Powinno być zachować to dla siebie. Teraz na domiar złego uważał mnie jeszcze za wariatkę.

- Zaczyna się, Gwendolyn - powiedział, odsunął mnie lekko od siebie i okręcił tak, że go widziałam. Było zbyt ciemno, abym mogła odczytać coś z wyrazu jego twarzy, ale zauważyłam, że się nie uśmiecha. - Byłoby dobrze, gdybyś przez te parę chwil, kiedy mnie nie będzie, ustała na nogach. Gotowa?

Potrząsnęłam głową.

- Nie do końca.

- Teraz cię puszcę - rzekł i w tej samej chwili zniknął. Byłam sama w kościele, z tymi wszystkimi długimi cieniami.

Ale już kilka sekund później zarejestrowałam skurcze w żołądku i cienie zaczęły wirować.

- Oto i ona - usłyszałam głos pana George'a.

Zamrugałam, oślepiąca światłem. Kościół był jasno oświetlony, a halogenowe żarówki, w porównaniu ze złotym blaskiem świec w salonie lady Brompton, były dla oka naprawdę nieprzyjemne.

- Wszystko w porządku - powiedział Gideon, obrzucając mnie badawczym spojrzeniem. - Może pan z powrotem zamknąć swoją torbę lekarską, doktorze White.

Doktor White burknął coś niezrozumiale. Faktycznie, ołtarz był pełen rozmaitych narzędzi, których można by się było spodziewać raczej w sali operacyjnej.

- Wielkie nieba, doktorze White, czy to są może klemy naczyniowe? - zaśmiał się Gideon. - Dobrze wiedzieć, jakie pan ma zdanie na temat soiree w osiemnastym wieku.

- Chciałem być przygotowany na wszystkie ewentualności - odrzekł doktor White, chowając przybory lekarskie do torby.

- Jesteśmy bardzo ciekawi waszej opowieści - odezwał się Falk de Villiers.

- Najpierw z radością pozbędę się tych ciuchów. - Gideon

odwiązał apaszkę.

- Czy wszystko... się udało? - zapytał pan George, nerwowo zerkając na mnie z ukosa.

- Tak - potwierdził Gideon, odrzucając apaszkę na bok - Wszystko przebiegło dokładnie według planu. Lord Alastair przybył wprawdzie później, niż oczekiwano, ale jeszcze w porę, by nas zobaczyć. - Wyszczrzył do mnie zęby w uśmiechu. - A Gwendolyn doskonale odegrała swoją rolę. Prawdziwa wychowanka księcia Battena nie mogłaby się zachować lepiej.

- Będzie mi niezwykle przyjemnie powiadomić o tym Giordana - rzekł pan George z dumą w głosie i podał mi ramię. - Niczego innego zresztą się nie spodziewałem...

- Tak, oczywiście, że tak - wymamrotałam.

\*

Caroline obudziła mnie szeptem.

- Gwenny, przestań śpiewać. To żenujące. Musisz się zbierać do szkoły.

Gwałtownie usiadłam i wlepiłam w nią wzrok.

- Ja śpiewałam?

- Co?

- Powiedziałaś, że mam przestać śpiewać.

- Powiedziałam, że masz się obudzić!

- A więc nie śpiewałam?

- Spałaś. - Caroline pokręciła głową. - Pospiesz się, bo znowu się spóźnisz. I mam ci przekazać od mamy, że w żadnym razie nie wolno ci używać jej żelu pod prysznic.

Pod prysznicem spróbowałam w miarę możliwości wyprzeć wspomnienia z wczorajszego dnia. Ale nie za bardzo mi to wychodziło i przez kilka minut, opierając czoło o ścianę kabiny, mamrotałam pod nosem: „To wszystko tylko mi się śniło”. Ból głowy nie ułatwiał sprawy.

Kiedy wreszcie zeszedłam do jadalni, pora śniadania na szczęście już prawie minęła. Xemerius dyndał na żyrandolu głową w dół.

- No jak, wytrzeźwiałaś, pijaczynko?

Lady Arista zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Czy to było celowe, że pomalowałaś sobie tylko jedno oko?
- Och, nie. - Chciałam zawrócić, ale mama mnie zatrzymała.
- Najpierw śniadanie! Rzęsy możesz pomalować później.
- Śniadanie to najważniejszy posiłek w ciągu dnia - uzupełniła ciotka Glenda.
- Bzdury - wtrąciła ciocia Maddy. Siedziała w swym szlafroku na fotelu przy kominku, podkurczywszy jedną nogę jak mała dziewczynka. - Można sobie darować śniadanie, oszczędzając w ten sposób całą masę kalorii, które można zainwestować wieczorem w lampkę wina. Albo w dwie lub trzy.
- Skłonność do napojów alkoholowych wydaje się rodzinna - zauważył Xemerius.
- Tak, i to świetnie widać po jej figurze - szepnęła ciotka Glenda.
- Może i jestem trochę gruba, ale na pewno nie przyglucha, Glendo - rzuciła ciocia Maddy.
- Lepiej by było, gdybyś została w łóżku - zwróciła się do niej lady Arista. - Śniadanie przebiega dużo spokojniej, kiedy się wysypiasz.
- Niestety to nie był mój wybór - odparła ciocia Maddy.
- Dziś w nocy znowu miała wizję - wyjaśniła mi Caroline.
- No właśnie - potwierdziła ciocia Maddy. - To było straszne. Takie smutne. Okropnie mnie to poruszyło. Było tam to prześliczne serce z oszlifowanego rubinu, które mieniło się w słońcu... Leżało bardzo wysoko na skalnym występie.

Nie byłam pewna, czy chcę wysłuchać dalszego ciągu tej historii.

Mama uśmiechnęła się do mnie.

- Zjedz coś, kochanie. Chociaż trochę owoców. I po prostu nie słuchaj.
- I wtedy przyszedł ten lew. - Ciocia Maddy westchnęła.

- O cudownym złotym futrze...

- Uch! - sapnął Xemerius. - I założę się, że miał iskrzące się zielone oczy.
- Masz buzię poplamioną flamastrem - powiedziałam do Nicka.
- Pst! - uciszył mnie. - Teraz będzie najciekawsze.
- I kiedy lew zobaczył leżące tam serce, walnął je łapą i serce zleciało w przepaść, wiele, wiele metrów w dół.
- Ciocia Maddy chwyciła się dramatycznie za pierś. - Kiedy uderzyło w ziemię, rozpadło się na tysiące drobnych kawałków, a gdy przyjrzałam się bliżej, zobaczyłam, że to krople krwi...

Przełknęłam ślinę. Nagle zrobiło mi się niedobrze.

- Ups - wtrącił Xemerius.
- A dalej? - spytała Charlotta.
- Nie ma dalej - odparła ciocia Maddy. - To wszystko... i jest wystarczająco straszne.
- Och - westchnął rozczarowany Nick. - A tak się dobrze zapowiadało.

Ciocia Maddy spiorunowała go wzrokiem.

- Nie piszę scenariuszy, mój chłopcze!
- Dzięki Bogu - mruknęła ciotka Glenda.

Potem odwróciła się w moją stronę, otworzyła usta i zaraz znów je zamknęła.

Zamiast niej głos zabrała Charlotta.

- Gideon mówił, że nieźle poradziłaś sobie na soiree. Muszę przyznać, że odetchnęłam z ulgą. Myślę, że wszyscy odetchnęli.

Zignorowałam ją i spojrzałam z wyrzutem w stronę żyrandola.

- Chciałem ci już wczoraj opowiedzieć, że ta lizuska była wieczorem u Gideona na kolacji. Ale... jak miałem to zrobić? Byłaś w pewnym sensie trochę... niedysponowana - rzekł Xemerius.

Parsknęłam.

- Ten twój drogocenny kamyczek sam jej zaproponował, żeby została na kolacji. - Xemerius odbił się i z łopotem przefrunął nad stołem na wolne miejsce cioci Maddy, gdzie usiadł wyprostowany i starannie owinął sobie jaszczurczy ogon wokół stóp. - Pewnie na jego miejscu też bym tak zrobił. Przez cały dzień bawiła się w niańkę jego młodszego brata, a poza tym wysprzątała jego mieszkanie na błysk i poprasowała mu koszule.
- Co?!
- Mówiłem ci już, co ja mogę? W każdym razie był jej tak wdzięczny, że od razu musiał jej pokazać, jak szybko potrafi wyczarować spaghetti dla trzech osób... O rany, ależ był w świetnym humorze. Można by pomyśleć, że się czegoś nałykał. A teraz zamknij usta, bo wszyscy się na ciebie gapią.

Faktycznie tak było.

- Pójdę umalować sobie drugie oko - powiedziałam.
- I może nałóż też trochę różu - rzuciła Charlotta. - To tylko taka rada.

- Nienawidzę jej! - wykrzyknęłam. - Nienawidzę jej! Nienawidzę!

- Jak rany! Tylko dlatego, że wyprasowała mu koszule? -Leslie przyglądała mi się, kręcąc głową. - To jest doprawdy... śmieszne.
- Gotował dla niej - lamentowałam. - Przez cały dzień była w jego domu.



- Tak, za to on dobierał się do ciebie i całował cię w kościele. - Leslie westchnęła.
- Nieprawda.
- Ale chciał.
- Charlotte też pocałował.

- Ale tylko na pożegnanie, w policzek - ryknął mi prosto do ucha Xemerius. - Jeśli będę to musiał jeszcze raz powtórzyć, chyba pękne. A teraz spadam stąd. Te dziewczynskie sprawy ponownie wpędzą mnie do grobu. - Kilkomina ruchami skrzydeł wzniósł się na dach i rozłożył się tam wygodnie.

- Nie chcę już słyszeć o tym ani słowa - oznajmiła Leslie. - Znacznie ważniejsze jest teraz, żebyś przypomniała sobie wszystko, co było wczoraj mówione. I mam na myśli rzeczy, które są naprawdę ważne, no wiesz, takie, gdzie gra idzie o śmierć i życie!

- Powiedziała ci wszystko, co pamiętam - zapewniłam ją i potarłam czoło.

Dzięki potrójnej dawce aspiryny głowa przestała mnie tak boleć, ale tępe łupanie w skroniach pozostało.

- Hmm. - Leslie pochyliła się nad swymi zapiskami. - Dlaczego nie spytałaś Gideona, przy jakiej okazji spotkał się jedenaście lat wcześniej z tym lordem Alastaiem i o jakiej walce na szpady była mowa?

- Jest jeszcze wiele rzeczy, o które go nie spytałam, wierz mi!

- Zrobię ci listę. Zawsze będziesz mogła wpleść jakieś pytanie, kiedy nadarzy się strategicznie sprzyjająca sytuacja i gdy pozwolą na to twoje hormony. - Wetknęła notatnik do teczki i spojrzała w stronę szkolnej bramy.

- Musimy iść na górę, bo się spóźnimy. Chciałabym koniecznie być przy tym, jak Raphael Bertelin po raz pierwszy przekroczy próg naszej klasy. Biedny chłopak. Pewnie szkolny mundurek wydaje mu się więziennym drelichem.

Nadłożyłyśmy trochę drogi, by przejść obok niszy Jamesa. W porannym gwarze moje rozmowy z nim nie rzucały się za bardzo w oczy, zwłaszcza gdy Leslie tak się ustawiła, że można było pomyśleć, że to z nią rozmawiam.

James przyłożył do nosa perfumowaną chusteczkę i rozglądał się, szukając czegoś.

- Jak widzę, tym razem nie wzięłaś ze sobą tego niewychowanego kota.

- Wyobraź sobie, James, byłam na soiree u lady Brompton. - powiedziałam. - Dygałam dokładnie tak, jak mnie tego nauczyłeś.

- Lady Brompton, no, no - odrzekł James. - Nie cieszy się w towarzystwie nadzwyczajną opinią. Podobno jej przyjęcia bywają mocno burzliwe.

- Tak, to prawda. Miałam nadzieję, że to być może norma.

- Dzięki Bogu nie. - James z urazą ściągnął usta.

- No, nieważne, w każdym razie w następną sobotę albo jakoś tak jestem zaproszona na bal do twoich rodziców. Lorda i lady Pimplebottomów.

- Nie wydaje mi się to możliwe - odparł James. - Moja matka przykładą wielką wagę do nienaganego towarzyskiego obycia.

- Och, serdeczne dzięki - powiedziałam, ruszając z miejsca. - Ty naprawdę jesteś strasznym snobem.

- To nie miała być obelga - zawołał za mną James. - A kto to jest snob?

Kiedy dotarliśmy do klasy, Raphael stał przed drzwiami, opierając się o ścianę. Wyglądał na tak nieszczęśliwego, że zatrzymałyśmy się przy nim.

- Cześć, jestem Leslie Hay, a to moja przyjaciółka Gwendolyn Shepherd - odezwała się Leslie. - Poznaliśmy się w piątek przed gabinetem dyrektora.

Słaby uśmiech rozjaśnił jego twarz.

- Cieszę się, że chociaż wy mnie poznajecie. Sam przed chwilą miałem z tym problemy przed lustrem.

-No - przyznała Leslie. - Wyglądasz jak steward na statku wycieczkowym. Ale do tego można się przyzwyczać.

Uśmiech Raphaela poszerzył się.

- Musisz tylko uważać, żeby krawat nie wpadł ci do zupy - dodałam. - Mnie się to ciągle zdarza.

Leslie skinęła głową.

- Nawiasem mówiąc, jedzenie przeważnie bywa okropne. Poza tym nie jest tutaj tak źle. Na pewno wkrótce poczujesz się tu jak w domu.

- Nie byłaś nigdy na południu Francji, co? - spytał Raphael z odrobiną goryczy.

- Nie - odparła Leslie.

- To widać. Nigdy nie czuję się jak w domu w kraju, w którym pada dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- My, Anglicy, nie przepadamy za tym, że ktoś przez cały czas mówi źle o naszej pogodzie - poinformowała go Leslie. -O, idzie już pani Counter. Na twoje szczęście jest lekko zakręcona na punkcie Francji. Pokocha cię, jeśli od czasu do czasu, niby od niechcienia, wtrącisz do zdania parę francuskich słówek.

- *Tu es mignonne*\* - rzekł Raphael.

---

\* Tu es mignonne (fr.) - jesteś milutka (przyp. red.).

- Wiem - powiedziała Leslie, ciągnąc mnie za sobą. - Ale ja nie jestem zakręcona na punkcie Francji.
- Podobasz mu się - zauważyłam, rzucając teczkę na stół.
  
- Nie obchodzi mnie to - odparła Leslie. - Niestety, nie jest w moim typie.
- Tak, jasne! - Musiałam się roześmiać.
- Daj spokój, Gwen, wystarczy, że jedna z nas straciła rozum. Znam takich typów. Są z nimi same problemy. A zresztą jest zainteresowany tylko dlatego, że Charlotta mu powiedziała, że jestem łatwa.
- I dlatego, że wyglądasz jak twój pies Bertie - dodałam.
- No właśnie, dlatego też. - Leslie się roześmiała. - A poza tym szybko o mnie zapomni, kiedy Cynthia się na niego rzuci. Spójrz, była u fryzjera i specjalnie zrobiła sobie świeże pasemka.
- Ale Leslie myliła się. Raphael najwyraźniej niezbyt był zainteresowany rozmową z Cynthia. Kiedy w czasie przerwy siedzieliśmy na ławce pod kasztanem i Leslie po raz kolejny studiowała kartkę z kodem z Zielonego jeźdźca, przywłókł się do nas i bez pytania usiadł obok.
- O, super, geocaching - powiedział.
- Co? - Leslie spojrzała na niego gniewnie. Raphael wskazał kartkę.
- Nie wiecie, co to jest geocaching? To taki rodzaj nowoczesnych podchodów z GPS. Te liczby wyglądają zupełnie jak współrzędne geograficzne.
- Och, nie, to są tylko... naprawdę?
- Pokaż no. - Raphael wyjął jej kartkę z ręki. - Tak. Zakładając, że to zero przed literami ma być w indeksie górnym i oznaczać stopień, a kreski to minuty i sekundy.
- Dobiegł nas piskliwy dźwięk. Na schodach Cynthia tłumaczyła coś Charlocie, gestykulując jak szalona, na co Charlotta rzuciła nam gniewne spojrzenie.
- O Boże! - Leslie była mocno podekscytowana. - A więc to I znaczy 51 stopni, 30 minut, 41,78 sekund szerokości geograficznej północnej i 0 stopni, 08 minut, 49,91 sekund długości geograficznej wschodniej, tak?
- Raphael skinął głową.
- Czyli to oznacza miejsce? - spytałam.
- No, no - potwierdził Raphael. - Dość małe miejsce o powierzchni około czterech metrów kwadratowych.
- Co tam jest? Tajemny skarbiec?
- Żebyśmy to wiedziały! - odrzekła Leslie. - Nawet nie wiemy, gdzie to jest.
- Raphael wzruszył ramionami.
- Można się tego łatwo dowiedzieć.
- Ale jak? Trzeba mieć do tego GPS? A jak to działa? Ja nie mam o tym pojęcia. - Leslie była ogromnie przejęta.
- Ale ja mam. Mogę ci pomóc - zaproponował Raphael.
- Mignonne.
- Spojrzałam ponownie na schody. Do Cynthii i Charlotty dołączyła teraz Sara i wszystkie trzy patrzyły na nas gniewnie. Leslie tego nie zauważyła.
- Okej. Ale to musi być jeszcze dziś po południu - powiedziała. - Bo my nie mamy czasu do stracenia.
- Ja też nie - odparł Raphael. - Spotkajmy się o czwartej w parku. Do tej pory powinienem się jakoś pozbyć Charlotty.
- Nie wyobrażaj sobie, że to będzie takie łatwe. - Rzuciłam mu współczujące spojrzenie.
- Raphael uśmiechnął się szeroko.
- Myślę, że mnie nie doceniasz, mała podróżniczko w czasie.

*Możemy zobaczyć, jak filiżanka spada ze stołu i pęka na kawałki, ale nigdy nie zobaczymy, jak kawałki filiżanki zbierają się w całość i wskakują z powrotem na stół. Ten wzrost nieuporządkowania, czyli entropii, różni przeszłość od przyszłości i w ten sposób nadaje kierunek czasowi.*

(Stephen Hawking)

Mogłabym przecież po prostu włożyć tamtą suknię z zeszłego tygodnia - zaproponowałam, kiedy madame Rossini włożyła mi bladuróżową suknię z dziewczęcych marzeń, od góry do dołu wyszywaną w kremowe i bordowe kwiatki. - Tę w niebieskie kwiaty. Wisi jeszcze w szafie u mnie w domu, mogę ją przynieść.

- Óóóó, łabędzia szyjko - powiedziała madame Rossini. - Jak myślisz, za co mi tu płacą? Żebyś musiała dwa razy wkładać tę samą suknię? - Zajęła się małymi guziczkami na plecach. - Jestem tylko nieco przerażona, że zniszczyłaś fryzurę. W epoce rokoka takie dzieło sztuki musiało się trzymać przez kilka dni. Damy spały wtedy na siedząco.

- No tak, ale nie bardzo mogłam w niej pójść do szkoły - odparłam. Z tą górą włosów pewnie utknęłabym już w drzwiach autobusu. - Czy Gideona ubiera Giordano?

Madame Rossini mlasnęła językiem.

- Ech, ten chłopiec nie potrzebuje żadnej pomocy, tak powiedział. To znaczy, że znowu ubierze się w smutne kolory i fatalnie zawiąże apaszkę. Ale ja już dałam sobie z nim spokój. No więc co zrobimy z twoimi włosami? Zaraz przyniosę lokówkę, a potem po prostu wpleciemy wstążkę, et bien.

Podczas gdy madame Rossini zakręcała mi włosy, nadszedł SMS od Leslie: „Poczekam jeszcze dokładnie dwie minuty, i jeśli do tej pory *le petite francais*\* się nie zjawi, może zapomnieć o mignonne.

Odpisałam jej: „Hej, jesteście umówieni dopiero za kwadrans, daj mu chociaż z dziesięć minut”.

Odpowiedzi Leslie już nie przeczytałam, bo madame Rossini wyjęła mi komórkę z ręki, żeby zrobić obowiązkowe już pamiątkowe zdjęcia. W różowym prezentowałam się nawet lepiej, niż myślałam (w prawdziwym życiu to raczej nie jest mój ulubiony kolor), lecz moja fryzura wyglądała tak, jakbym spędziła noc z palcami wetkniętymi do kontaktu. Wpleciona w nie różowa wstążka była jak daremna próba ujarznienia eksplodujących włosów. Kiedy Gideon przyszedł po mnie, nie potrafił powstrzymać chichotu.

- Daj spokój! Jeśli już, to możemy się pośmiać z ciebie - napadła na niego madame Rossini. - Ha! Jakże ty znowu wyglądasz!

O Boże, jak! Jakże on znowu wyglądał! To naprawdę powinno być zakazane, żeby wyglądać tak dobrze - w śmiesznych ciemnych spodniach do kolan i haftowanym surducie w kolorze butelkowej zieleni, która nadawała jego oczom blask.

- Nie masz pojęcia o modzie, chłopcze. W przeciwnym razie przypiąłbyś szmaragdową broszkę, która jest częścią tego stroju. I po co ta szpada? Masz być dżentelmenem, a nie żołnierzem!

- Z pewnością ma pani rację - odrzekł Gideon, ciągle chichocząc. - Ale przynajmniej moje włosy nie wyglądają jak drapak, którym czyszczę garnki.

Przybrałam wyniosłą minę.

- Którym ty czyścisz garnki? Nie pomyliłeś siebie z Charlotta?

- Co takiego?

- Przecież ostatnio to ona ci sprząta! Gideon wyglądał na nieco zmieszanego.

- To... nie do końca... tak - mruknął.

- Ha, na twoim miejscu też byłoby mi teraz głupio - powiedziałam. - Proszę dać mi kapelusz, madame Rossini.

Kapelusz - ogromne monstrum z różowych piór - był tak czy owak nieco lepszy od tych włosów. Tak mi się w każdym razie wydawało. Rzut oka w lustro dowiódł, że była to z mojej strony żalosna pomyłka.

Gideon znowu zaczął chichotać.

- Możemy iść? - prychnęłam.

- Uważaj dobrze na moją łabędzią szyjkę, słyszysz?

- Przecież zawsze uważam, madame Rossini.

- Akurat - mruknęłam na zewnątrz, na korytarzu. Wskazałam na czarną chustkę w jego dłoni. - Bez opaski na oczy?

- Nie, oszczędzimy sobie tego. Ze znanych powodów... I ze względu na kapelusz.

- Czy ciągle sądzisz, że zaraz zwabię cię gdzieś za róg i rąbnę deską w głowę? - Poprawiłam kapelusz. - Nawiasem mówiąc, jeszcze raz to przemyślałam. I w tej chwili uważam, że to wszystko da się łatwo wytłumaczyć.

- Jak mianowicie? - Gideon uniósł brwi.

- Wmówiłeś to sobie po fackie. Kiedy leżałeś nieprzytomny, przyśniłam ci się i potem całą tę sprawę połączyłeś ze mną.

- Tak, taka możliwość mnie również przyszła do głowy - rzeki ku mojemu zaskoczeniu, chwycił mnie za rękę i pociągnął do przodu. - Ale nie! Wiem, co widziałem.

- A dlaczego nikomu nie powiedziałaś, że to niby ja zwabiłam cię w pułapkę?

- Nie chciałem, żeby mieli o tobie jeszcze gorsze zdanie, niż mają. - Uśmiechnął się szeroko. - I co? Boli cię głowa?

- Aż tyle nie wypilałam - odparłam. Gideon zaśmiał się.

- No jasne. W gruncie rzeczy byłaś trzeźwiuteńka. Strząsnęłam jego rękę.

- Czy możemy porozmawiać o czymś innym?

\* *Le petite francais* (fr.) - mały Francuz (przyp. red.).

- Och, daj spokój. Chyba mogę się z ciebie jeszcze troszkę ponabijać? Byłaś taka słodka wczoraj wieczorem. Pan George naprawdę myślał, że jesteś kompletnie wyczerpana, gdy zasnęłaś w limuzynie.

- To były najwyżej dwie minuty - parsknęłam, niemile dotknięta.

Pewnie się śliniłam albo robiłam coś równie strasznego.

- Mam nadzieję, że od razu poszłaś spać.

- Hm - mruknęłam.

Jak przez mgłę przypomniałam sobie, że mama wyciągnęła mi z włosów całe czterysta tysięcy szpilek i że zasnęłam, jeszcze zanim przyłożyłam głowę do poduszki. Ale nie chciałam mu tego mówić, w końcu on dobrze się bawił z Charlotta, Rapha-elem i spaghetti.

Gideon zatrzymał się nagle, aż się z nim zderzyłam i natychmiast zapało mi dech w piersiach.

Odwrócił się w moją stronę.

- Posłuchaj... - zaczął. - Nie chciałem tego wczoraj mówić, bo myślałem, że jesteś zbyt pijana, ale teraz, skoro jesteś znowu trzeźwa i przekorna jak zawsze...

Jego palce przesunęły się ostrożnie po moim czole i oddech gwałtownie mi przyspieszył. Zamiast dalej mówić, pocałował mnie. Zamknęłam oczy, jeszcze nim jego wargi dotknęły moich ust. Ten pocałunek oszołomił mnie bardziej, niż uczynił to poncz poprzedniego wieczoru, kolana mi zmiękły, a w brzuchu rozszalało się tysiąc motyli.

Kiedy Gideon mnie puścił, najwyraźniej nie pamiętał już, co chciał powiedzieć. Oparł rękę o ścianę przy mojej głowie i patrzył na mnie z powagą.

- Tak się chyba dalej nie da. Spróbowałam zapanować nad swoim oddechem.

- Gwen...

W korytarzu za nami rozległy się kroki. Gideon błyskawicznie cofnął rękę i odwrócił się. Ułamek sekundy później stanął przed nami pan George.

- A więc tu jesteście. Czekają już na was. Dlaczego Gwendolyn nie ma zawiązanych oczu?

- Zupełnie o tym zapomniałem. Proszę, niech pan to zrobi. - Gideon podał panu George'owi czarną chustkę. - Ja... eee... ja już pójdę.

Pan George spojrział za nim, wzdychając. Potem spojrział na mnie i znowu westchnął.

- Myślałem, że cię ostrzegłem, Gwendolyn - rzekł, zawiązując mi oczy. - Powinnaś być ostrożna w kwestii swoich uczuć.

- Taaa - powiedziałałam, łapiąc się za płonące zdradziecko policzki. - Więc nie powinniście mi kazać spędzać z nim tyle czasu...

I to była chyba znowu klasyczna logika Strażników. Jeśli chcieli zapobiec temu, bym zakochała się w Gideonie, powinni się byli zatroszczyć także o to, by był on nieatrakcyjnym głupkiem. Z kretyńską fryzurą na pazia, brudnymi paznokciami i wadą wymowy. Te skrzypce też powinni byli sobie odpuścić. Pan George prowadził mnie przez ciemność.

-Może zbyt mało czasu upłynęło od chwili, kiedy miałem szesnaście lat. Pamiętam jeszcze, jak łatwo można było w tym wieku dać się komuś zauroczyć.

-Panie George, czy właściwie mówił pan komuś, że widzę duchy?

-Nie - odparł pan George. - To znaczy próbowałem, ale nikt nie chciał mnie słuchać. Wiesz, Strażnicy to naukowcy i mistycy, ale parapsychologii nie poważają. Uwaga, stopień.

- Leslie, czyli moja przyjaciółka, ale o tym pewnie wie pan już od dawna... a więc Leslie uważa, że ta... zdolność to jest magia kruka.

Pan George milczał przez chwilę.

- Tak. Też tak sędzę - przyznał.

- A w czym dokładnie ma mi pomóc magia kruka?

- Moje drogie dziecko, gdybym tylko umiał ci to wszystko wyjaśnić. Chciałbym, żebyś bardziej zdała się na swój zdrowy rozsądek, ale...

- ...ale mój rozsądek kompletnie się gdzieś zatracił, chciał pan powiedzieć? - Roześmiałam się. - Chyba ma pan rację.

Gideon czekał na nas w pokoju z chronografem, razem z Falkiem de Villiers, który z pewnym roztargnieniem skomplemen-tował moją suknię, wprawiając w ruch zębatki chronografu.

- A więc, Gwendolyn, dzisiaj odbędzie się twoja rozmowa z hrabią de Saint Germain. Jest popołudnie, dzień przed soiree.

- Wiem. - Zerknęłam z ukosa na Gideona.

- To nie jest szczególnie trudne zadanie - powiedział Falk de Villiers. - Gideon zaprowadzi cię na górę do jego pokojów, a potem po ciebie przyjdzie.

To chyba miało znaczyć, że zostanę z hrabią sam na sam. Natychmiast sparaliżował mnie strach.

- Nie bój się. Wczoraj tak dobrze się rozumieście. Nie pamiętasz już? - Gideon włożył palec do chronografu i uśmiechnął się do mnie. - Gotowa?

- Gotowa, jeśli i ty jesteś gotów - szepnęłam, a pokój wypełnił się białym światłem i Gideon zniknął mi z oczu.

Zrobiłam krok do przodu i podałam Falkowi de Villiers rękę.

- Hasło dnia brzmi: *Qui nescit dissimulare nescit regnare*\* - powiedział, wbijając mi igłę w palec. Rubin rozjaśnił się i wszystko zaczęło mi wirować przed oczami, tworząc czerwony strumień barw.

Nim wylądowałam, zdążyłam już zapomnieć hasło.

- Wszystko w porządku - usłyszałam głos Gideona tuż obok.

- Dlaczego tu jest tak ciemno? Przecież hrabia nas oczekuje. Byłoby miło, gdyby zapalił nam świecę.

- Tak, ale on nie wie dokładnie, gdzie wylądujemy - powiedział Gideon.

- Dlaczego nie?

Nie widziałam go, ale zdawało mi się, że wzruszył ramionami.

- Nigdy jeszcze o to nie zapytał i mam niejasne wrażenie, że nie byłoby mu zbyt przyjemnie, iż nadużywamy jego ukochanej pracowni alchemicznej jako pasa startowego i lądowiska. Bądź ostrożna, tu wszędzie jest pełno kruchych przedmiotów.

Po omacku dotarliśmy do drzwi. Na korytarzu Gideon zapalił latarnię i wyjął ją z uchwytu. Rzuciła na ścianę niesamowite, drżące cienie i mimo woli podeszłam do Gideona krok bliżej.

- Jak brzmiało to przeklęte hasło? Tylko na wypadek, gdyby ktoś walnął cię czymś w głowę...

- *Qui nescit dissimulare nescit regnare*.

- Kto się na gorącym sparzył, ten na zimne dmucha? Roześmiał się i wetknął pochodnię z powrotem w uchwyt.

- Co robisz?

- Chciałem tylko szybko... To znaczy wtedy... Pan George nam przerwał, kiedy chciałem ci powiedzieć coś ważnego.

- Czy to ma związek z tym, co mówiłam ci wczoraj w kościele? No więc jestem w stanie zrozumieć, że z tego powodu uważasz mnie za wariatkę, ale psychiatra mnie nie wyleczy.

Gideon zmarszczył czoło.

- Proszę cię, zamknij na chwilę buzię, dobrze? Muszę zebrać całą swoją odwagę, żeby ci wyznać miłość. W tych sprawach kompletnie nie mam doświadczenia.

- Co takiego?

- Zakochałem się w tobie, Gwendolyn - rzekł bardzo poważnie.

Nagle żołądek mi się skurczył, jakby ze strachu. Ale w rzeczywistości to była radość.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę! - W świetle latarni widziałam, że Gideon się uśmiecha. - Wiem, że znamy się niecały tydzień, i na początku wydawałaś mi się mocno... dziecinna i zapewne zachowałem się wobec ciebie jak ostatni obrzydliwiec. Ale jesteś taka nieprzewidywalna, nigdy nie wiadomo, co zaraz zrobisz, a w niektórych sprawach jesteś wprost przerażająco... eee... naiwna. Czasami mam ochotę tobą potrząsnąć.

- Okej, faktycznie widać, że nie masz doświadczenia w wyznawaniu miłości - powiedziałam.

- Ale potem jesteś znowu taka zabawna i mądra, i niesamowicie słodka - ciągnął Gideon, jakby mnie wcale nie słuchał. - A najgorsze, że kiedy tylko jesteś w pobliżu, od razu mam ochotę dotykać cię i całować.

- Tak, to naprawdę bardzo źle - wyszeptalam, a serce mi podskoczyło, kiedy Gideon wyciągnął szpilkę z mojego kapelusza, szerokim łukiem odrzucił to pierzaste monstrum na bok, przyciągnął mnie do siebie i pocałował.

Mniej więcej trzy minuty później, nie mogąc kompletnie złapać tchu, stałam oparta plecami o mur i starałam się utrzymać prosto na nogach.

- Gwendolyn, oddychaj normalnie, wdech i wydech - powiedział rozbawiony Gideon.

Dałam mu kuksańca w pierś.

- Przestań. To nie do zniesienia, jaki jesteś zarozumiały.

- Przepraszam. Ale to takie... oszałamiające uczucie, wiedzieć, że z mojego powodu zapominasz o oddychaniu. - Znowu wyjął pochodnię z uchwytu. - Chodź. Hrabia na pewno już czeka.

Dopiero kiedy skręciliśmy w kolejny korytarz, przypomniałam sobie o kapeluszu, ale nie miałam ochoty po niego wracać.

- To zabawne, ale właśnie pomyślałem, że znowu naprawdę będę się cieszył na te nudne wieczory elapsji do roku 1953 - powiedział Gideon. - Tylko ty i ja, i kuzynka sofa.

Nasze kroki dudniły w długich korytarzach, a ja powoli wydobywałam się ze stanu odrętwienia w kolorze różowym i uświadamiałam sobie, gdzie jesteśmy. I w jakim czasie się znaleźliśmy.

- Gdybym wzięła pochodnię, mógłbyś na wszelki wypadek wyjąć szpadę - zaproponowałam. - Nigdy nie wiadomo. W któ- I rym roku właściwie dostałeś po głowie?

To było jedno z pytań, które Leslie zapisała mi na kartce i które miałam zadać, gdy pozwolą mi na to moje hormony.

- Właśnie zdałem sobie sprawę, że ja ci wyznałem ci miłość, a ty mi nie - powiedział Gideon.

---

\* *Qui nescit dissimulare nescit regnare* (łac.) - kto nie potrafi udawać, nie potrafi rządzić (przyp. red.).

- Nie?
- No, w każdym razie nie słowami. Sio!

Pisnęłam, bo tuż przed nami przeszedł tłusty ciemnobrązowy szczur, całkiem powoli, jakby się nas w ogóle nie bał. W świetle pochodni jego oczy połyskiwały czerwono.

- Czy my właściwie jesteśmy zaszczepieni przeciw dżumie? - zapytałam i jeszcze mocniej wczepiłam się w rękę Gideona.

Pokój na pierwszym piętrze, który hrabia de Saint Germain wybrał sobie na swoje biuro w Tempie, był mały i sprawiał wrażenie nadzwyczaj skromnego - jak na Wielkiego Mistrza Łoży Strażników, nawet jeśli rzadko przebywał w Londynie. Jedną ścianę w całości zakrywał sięgający sufitu regał pełen oprawionych w skórę książek, obok stało biurko i dwa fotele, obite tym samym materiałem, z którego uszyto zasłony. Poza tym nie było żadnych mebli. Na zewnątrz świeciło wrześnie słońce, w kominku nie palił się ogień, a i tak było dość ciepło. Okno wychodziło na mały dziedziniec z fontanną, która istniała także w naszych czasach. Zarówno gzyms pod oknem, jak i biurko były pokryte papierami, piórami, woskiem do pieczęci i książkami, spiętrzonymi często w tak ryzykowny sposób, że w razie upadku wywróciłyby kałamarze, stojące ufnie w całym tym bałaganie. To był przytulny niewielki pokój, a mimo to kiedy tu weszłam, włoski na karku stanęły mi dęba.

Mrukliwy sekretarz w białej peruce a la Mozart wprowadził mnie tutaj i ze słowami „Hrabia z pewnością nie każe na siebie długo czekać” zatrzasnął za mną drzwi. Bardzo niechętnie rozstałam się z Gideonem, ale on, po przekazaniu mnie mrukliwemu Strażnikowi, w dobrym humorze i jak ktoś, kto zna tu wszystko jak własną kieszeń, zniknął za najbliższymi drzwiami.

Podeszłam do okna i wyjrzałam na opustoszały dziedziniec. Wszędzie panował całkowity spokój, ale nieprzyjemne uczucie, że nie jestem tu sama, nie ustępowało. Może, pomyślałam, ktoś obserwuje mnie przez ścianę, zza książek. Albo lustro wiszące nad gzymsem kominka jest z drugiej strony oknem, jak w pokojach przesłuchań policyjnych.

Czując się nieswojo, przez chwilę stałam bez ruchu, ale potem przyszło mi do głowy, że jeśli będę zachowywała się tak sztywno i nienaturalnie, zdradzę się, że wiem, iż jestem obserwowana. Wzięłam więc ze stosu na parapecie pierwszą lepszą książkę i otworzyłam ją. Marcellim. De medicamentis. Aha. Marcellus, kimkolwiek był, najwyraźniej odkrył kilka niezwykłych metod leczenia, które zostały zebrane w tej książeczce. Znalazłam fajny fragment z opisem leczenia chorób wątroby. Trzeba tylko było złapać zieloną jaszczurkę, wyciąć jej wątrobę, zawinąć ją w czerwoną chustkę albo w naturalnie czarny materiał (naturalnie czarny? Hmm...) i tę chustkę czy ten materiał przyczepić choremu do boku. A jak potem wypuściło się

tę jaszczurkę i powiedziało: Ecce dimitto te vivam... i coś tam jeszcze, też po łacinie, problem z wątrobą zniknął. Zastanawiałam się tylko, czy jaszczurka mogła jeszcze uciekać po wycięciu wątroby. Zamknęłam książkę. Ten Marcellus ewidentnie miał nierówno pod sufitem. Księga, która leżała obok, na samym wierzchu, oprawna w ciemnobrązową skórę, była gruba i ciężka, dlatego zaczęłam ją kartkować, nie podnosząc ze stosu. Złotymi literami napisano na niej: O wszelakich demonach i jak mogą być one pomocne czarnoksiężnikowi i człękowi pospolitemu i choć nie byłam ani czarnoksiężnikiem, ani „człękiem pospolitym”, zaciekawiona otworzyłam ją gdzieś pośrodku. Spoglądał na mnie wizerunek wstrętnego psa, a napis pod nim głosił, że to Jethan, demon z Hindukuszu, przynoszący choroby, śmierć i wojnę. Jethan od razu wydał mi się niesympatyczny, więc przewróciłam stronę. Spozierał z niej dziwny pysk z przypominającymi rogi wyrostkami na czaszce (takimi jak u klingonów ze Star Trek) i gdy się na niego gapiłam z obrzydzeniem, klingon mrugnął oczami, po czym uniósł się ze strony niczym dym z komina i zagęścił się szybko, aż powstała pełna, ubrana na czerwono postać, która stanęła przede mną, spoglądając na mnie rozżarzonymi oczami.

- Któż się waży przywoływać wielkiego i potężnego Berita? Oczywiście zrobiło mi się trochę słabo, ale doświadczenie nauczyło mnie, że duchy wprawdzie wyglądają na niebezpieczne i mogą wygłaszać złowrogie groźby, ale z reguły nie są w stanie poruszyć nawet powietrza. I miałam ogromną nadzieję, że ten Berit nie jest niczym innym jak tylko duchem, wygnanym między strony tej książki wizerunkiem prawdziwego demona, który, miejmy nadzieję, już dawno pożegnał się z tym światem.

- Nikt cię nie wzywał - wyjaśniłam więc uprzejmie, ale dość nonszalancko.

- Berit, demon kłamstwa, wielki książę piekieł - przedstawił się Berit, a zabrzmiało to z wyraźnym pogłosem. - Nazywany także Bolfri.

- Tak, jest to tutaj napisane - powiedziałam i zajrzałam do książki. - Poza tym poprawiasz głosy śpiewakom. Uroczą umiejętność. Jednak po jego wezwaniu (które i tak wyglądało na mocno skomplikowane, ponieważ zostało spisane chyba w języku babilońskim) trzeba mu było złożyć rozmaite ofiary - najlepiej zdeformowane noworodki, jeszcze żywe. Ale to było nic w porównaniu z tym, co należało zrobić, żeby zamienił metale w złoto. To bowiem także potrafił. Dlatego modlili się do niego Sychemici - kimkolwiek byli. Aż przybył Jakub i jego synowie i swymi mieczami „zabili wszystkich mężczyzn w Sychemie wśród straszliwych mąk”. No dobra, dosyć tego.

- Berit dowodzi dwudziestoma sześcioma legionami - zagrzmiął.

Ponieważ do tej pory nic mi nie zrobił, stałam się znacznie odważniejsza.

- Uważam za dziwaków tych, którzy o sobie mówią w trzeciej osobie - powiedziałam i przewróciłam stronę.

Tak jak miałam nadzieję, Berit zniknął w księdze jak dym rozwiany przez wiatr. Odetchnęłam z ulgą.  
- Interesująca lektura - rozległ się za mną cichy głos. Odwróciłam się błyskawicznie. Hrabia de Saint Germain wysliznął się niepostrzeżenie do pokoju. Wspierał się na łasce z kunsztownie wyrzeźbioną gałką, jego wysoka, szczupła sylwetka jak zawsze budziła respekt, a ciemne oczy patrzyły z wielką czujnością.

- Tak, rzeczywiście, bardzo interesująca - wymamrotałam trochę niepewnie.

Ale po chwili zamknęłam księgę i dygnęłam w głębokim re-weransie. Hrabia się uśmiechnął.

- Cieszę się, że przyszedł - rzekł, po czym ujął moją dłoń i złożył na niej pocałunek. - Wydaje mi się niezbędne, byśmy pogłębili naszą znajomość, bo przecież nasze pierwsze spotkanie przebiegło dość... niefortunnie, prawda?

Nic nie odpowiedziałam. Podczas naszego pierwszego spotkania byłam zajęta głównie śpiewaniem w myślach hymnu narodowego, hrabia poczynił kilka obraźliwych uwag na temat braku inteligencji u kobiet w ogóle, a u mnie szczególnie, a na koniec w zupełnie niekonwencjonalny sposób dusił mnie i mi groził. Miał rację - to spotkanie przebiegło dość niefortunnie.

- Ależ masz zimną dłoń - powiedział. - Chodź, usiądź. Jestem starym człowiekiem i nie mogę tak długo stać.

- Zaśmiał się, puścił moją rękę i usiadł w fotelu za biurkiem.

Na tle tych wszystkich ksiązek wyglądał teraz raczej jak swój własny portret, mężczyzna w nieokreślonym wieku o szlachetnych rysach twarzy, otoczony aurą tajemnicy i niebezpieczeństw, przed którą nie da się uciec. Chcąc nie chcąc, zajęłam miejsce w drugim fotelu naprzeciwko.

- Interesujesz się magią? - zapytał, wskazując stos ksiązek. Potrząsnęłam głową.

- Do zeszłego poniedziałku w ogóle się nie interesowałam, jeśli mam być szczerą.

- To trochę zwariowane, nieprawdaż? Twoja matka przez te wszystkie lata pozwoliła ci wierzyć, że jesteś całkiem normalną dziewczynką. I z dnia na dzień dowiedziałas się, że stanowisz ważną część jednej z największych tajemnic ludzkości. Czy domyślasz się, dlaczego to zrobiła?

- Ponieważ mnie kocha. - Chciałam, by zabrzmiało to jak pytanie, ale wyszło bardzo stanowczo.

Hrabia roześmiał się.

- Tak, tak myślą kobiety! Miłość! Wasza płeć doprawdy nadużywa tego słowa. Odpowiedzią na wszystko jest miłość. Porusza mnie to za każdym razem, kiedy to słyszę. Albo mnie bawi, zależy. Kobiety nigdy nie rozumieją, że mężczyźni mają zupełnie inną wizję miłości niż one.

Milczałam.

Hrabia odrobinę przechylił głowę.

- Gdyby kobiety nie pojmowały miłości jako całkowitego oddania, byłoby im znacznie trudniej podporządkować się mężczyźnie w każdej relacji.

Staralam się przybrać neutralny wyraz twarzy.

- W naszych czasach to się zmieniło... dzięki Bogu! U nas panuje równouprawnienie kobiet i mężczyzn. Nikt nie musi się nikomu podporządkowywać.

Hrabia znowu się zaśmiał, tym razem nieco dłużej, jakbym naprawdę opowiedziała jakiś dobry dowcip.

- Tak - odezwał się w końcu. - Mówiono mi o tym. Ale wierz mi, niezależnie od tego, jakie prawa przyznano by kobietom, w żadnym stopniu nie zmieni to ludzkiej natury.

No i co ja miałam na to powiedzieć? Najlepiej nic. Tak jak właśnie zauważył hrabia - trudno jest zmienić cokolwiek w ludzkiej naturze, co zapewne odnosiło się także do jego własnej natury.

Przez chwilę hrabia przyglądał mi się rozbawiony, z uniesionymi kącikami ust.

- Magia w każdym razie... - odezwał się nagle - ..zgodnie z przepowiednią powinnaś się na tym znać. „Rubin czerwony magią kruka obdarzony, G-dur zamyka krąg, przez dwunastu utworzony”.

- Już to słyszałam wiele razy - mruknęłam. - Ale nikt nie potrafił mi wyjaśnić, czym właściwie jest magia kruka. „Kruk, na skrzydłach z rubinu niesiony, między światami brzmi umarłych muzyka, siły jeszcze nie poznał i nie zna też ceny, moc głowę podnosi i krąg się zamyka”.

Wzruszyłam ramionami. Czegóż się można było dowiedzieć z tej słabej rymowanki?

- To tylko przepowiednia wątpliwego pochodzenia - rzucił hrabia. - Wcale nie musi być prawdziwa. - Oparł się wygodnie w fotelu, wpatrując się we mnie. - Opowiedz mi coś o swoich rodzicach i o swoim domu.

- O rodzicach? - Byłam trochę zaskoczona. - Właściwie nie ma zbyt wiele do opowiadania. Mój ojciec zmarł na białaczkę, kiedy miałam siedem lat. Nim zachorował, wykładał na uniwersytecie w Durham. Tam mieszkaliśmy, do jego śmierci. Potem mama z moim młodszym rodzeństwem i ze mną przeprowadziła się do Londynu, do domu moich dziadków. Mieszkamy tam razem z moją ciotką i kuzynką, i cioteczną babką Maddy. Mama pracuje w administracji szpitala.

- I ma rude włosy, jak wszystkie dziewczyny z rodu Montrose, prawda? Tak samo jak twoje rodzeństwo, czyż nie?

- Tak, poza mną wszyscy są rudzi. - Dlaczego to było dla niego takie interesujące? - Mój ojciec miał ciemne włosy.

- Wszystkie pozostałe kobiety w Kręgu Dwanaściorga miały rude włosy, wiedziałas o tym? Jeszcze nie tak dawno ten kolor włosów w niektórych krajach wystarczył, by trafić na stos jako czarownica. We wszystkich epokach i we wszystkich kulturach magia była dla ludzi równie fascynująca jak złowroga. I to także jest powód, dla którego tak dogłębnie się nią zająłem. Co człowiek zna, tego nie musi się obawiać. - Pochylił się i rozcapierzył palce. - Mnie osobiście najbardziej interesowało podejście dalekowschodnich kultur. W czasie



mych podróży do Indii i Chin miałem szczęście spotkać wielu nauczycieli, którzy byli gotowi podzielić się swą wiedzą. Zostałem wtajemniczony w sekrety Kroniki Akaszy i zdobyłem wiedzę, która wykracza poza granice wyobraźni większości zachodnich kultur. I która dziś jeszcze skłoniłaby panów inkwizytorów do nieprzemyślanych działań. Niczego Kościół nie boi się bardziej niż tego, że człowiek dowie się, iż Bóg nie siedzi wysoko w niebie, poza naszym zasięgiem, i nie decyduje stamtąd o naszym losie, lecz jest w nas samych. -Spojrzał na mnie badawczo, a potem uśmiechnął się. - Ciekawie jest rozprawiać z wami, dziećmi dwudziestego pierwszego stulecia, o kwestiach bluźnierstwa. Gdy mowa o herezji, nawet nie drgnie wam powieka.

Wiadomo. Pewnie nie drgnęłyby nawet, gdybyśmy wiedzieli, co to jest herezja.

- Azjatyccy mistrzowie znacznie nas wyprzedzają na drodze duchowego rozwoju - mówi! dalej hrabia. - Wiele drobnych... umiejętności, jakie mogłem ci zaprezentować w czasie naszego ostatniego spotkania, posiadałem właśnie dzięki nim. Moim mistrzem był mnich tajnego zakonu, daleko w Himalajach. On i jego współbracia potrafili się porozumiewać bez użycia strun głosowych i umieli pokonywać swoich wrogów, nie ruszywszy i nawet jednym palcem, tak wielka była siła ich ducha i ich wyobraźni.

- Tak, z pewnością się to przydaje - powiedziałam ostrożnie. Żeby tylko nie wpadł na pomysł zademonstrowania mi tego wszystkiego po raz wtóry. - Zdaje mi się, że wczoraj wieczorem na soiree wypróbował pan te umiejętności na lordzie Alastairze.

- Ach, soiree. - Znowu się uśmiechnął. - Z mojej perspektywy odbędzie się dopiero jutro wieczorem. Jakże się cieszę, że uda nam się tam spotkać z lordem Alastairem. Ale czy będzie potrafił docenić moją małą prezentację?

- Najwyraźniej wywarło to na nim duże wrażenie - odrzekłam. - Ale z pewnością nie był wystraszony. Mówił, że zadba o to, byśmy się nigdy nie urodzili. I coś o piekielnym pomocie.

- Tak, on ma tę godną pożałowania skłonność do nieuprzejmych sformułowań - zauważył hrabia. - Ale to i tak nic w porównaniu z jego praprzodkiem, księciem di Madrone. Trzeba mi go było zabić wtedy, kiedy miałem jeszcze po temu okazję. Ale byłem młody i żałośnie naiwny... Drugi raz nie popełnię tego błędu. Nawet jeśli nie zdołam uczynić tego własnymi rękami... Dni lorda są policzone, nieważne, ilu ludzi zgromadził wokół siebie dla swej ochrony i jak wprawnie posługuje się szpadą. Gdybym był młody, sam bym go wyzwał. Ale teraz może to przejąć mój potomek. Gideon staje się mistrzem fechtunku.

Na wzmiankę o Gideonie zrobiło mi się, jak to już często bywało, bardzo ciepło. Pomyślałam o tym, co mi powiedział, i zrobiło mi się wręcz gorąco.

Mimowolnie spojrzałam na drzwi.

- A dokąd od właściwie poszedł?

- Na krótką wycieczkę - odrzekł bez namysłu hrabia. - Czasu wystarczy akurat na to, by złożyć popołudniową wizytę pewnej miłej młodej przyjaciółce. Mieszka całkiem niedaleko, jeśli weźmie powóz, za kilka minut będzie u niej.

Co takiego?

- Często tak robi?

Hrabia znowu się uśmiechnął - ciepły, przyjazny uśmiech, za którym jednak coś się czaiło, coś, czego nie potrafiłam zinterpretować.

- Nie zna jej jeszcze na tyle długo. Dopiero niedawno przedstawiłem ich sobie. Jest mądrą, młodą i bardzo atrakcyjną wdową, a ja wychodzę z założenia, że młodemu mężczyźnie nie zaszkodzi, jeśli... hmm... spędzi trochę czasu w towarzystwie doświadczonej kobiety.

Byłam niezdolna do tego, by cokolwiek odpowiedzieć, ale najwyraźniej wcale tego ode mnie nie oczekiwano.

- Lavinia Rutland należy do tych błogosławionych niewiast, którym dzielenie się własnymi doświadczeniami sprawia przyjemność - dodał hrabia.

Tak, faktycznie. Też ją tak oceniałam. Wzburzona wlepiłam wzrok we własne ręce, które same zwinęły się w pięści. Lavinia Rutland, dama w zielonej sukni. A więc stąd ta zażyłość wczoraj wieczorem...

- Mam wrażenie, że ta wizja nie bardzo przypadła ci do gustu - odezwał się hrabia miłym głosem.

Miał rację. W ogóle i kompletnie nie przypadła mi do gustu. Musiałam się przemóc, by ponownie spojrzeć hrabiemu w oczy.

Nadal uśmiechał się tym ciepłym, przyjaznym uśmiechem.

- Moja mała, to ważne, by wcześniej zrozumieć, że kobieta nigdy nie może sobie rościć żadnych praw własności do mężczyzny. Kobiety, które tego nie pojmują, kończą samotne i niekochane. Im mądrzejsza jest kobieta, tym szybciej ułoży się z męską naturą.

Cóż to za idiotyczna gadanina!

- Ale oczywiście ty jesteś jeszcze bardzo młoda, nieprawdaż? I prawdopodobnie jesteś zakochana po raz pierwszy w życiu.

- Nie - mruknęłam.

Ależ tak. Tak! W każdym razie tak czułam się po raz pierwszy. Tak oszalamiająco. Tak nieziemsko. Tak niepowtarzalnie. Tak boleśnie. Tak słodko.

Hrabia zaśmiał się cicho.

- Nie musisz się tego wstydzić. Byłbym rozczarowany, gdyby było inaczej.

To samo powiedział na soiree, kiedy rozplakałam się pod wpływem gry Gideona na skrzypcach.

- W gruncie rzeczy to bardzo proste: kobieta, która kocha, bez wahania umarłaby za swego ukochanego - powiedział hrabia. - Czy oddałabyś życie za Gideona?

Najlepiej nie.

- Nie zastanawiałam się nad tym - odparłam zmieszana. Hrabia westchnął.

- Niestety, i to dzięki wątpliwej zapobiegliwości twojej matki, ty i Gideon nie spędziliście dotąd ze sobą zbyt wiele czasu, ale już jestem zachwycony, jak dobrze się spisał. Miłość wprost tryska ci z oczu. Miłość... i zazdrość!

- Jak to: się spisał?

- Nie ma nic bardziej przewidywalnego od reakcji zakochanej kobiety. Nikogo nie da się łatwiej kontrolować niż kobiety, którą kieruje uczucie do mężczyzny - kontynuował hrabia. - Wyjaśniłem to Gideonowi już podczas naszego pierwszego spotkania. Oczywiście trochę mi przykro, że zmarnował tyle czasu i energii na twoją kuzynkę... jakże ona miała na imię? Charlotta?

Wlepiłam w niego wzrok. Z jakiegoś powodu pomyślałam o wizji cioci Maddy i o sercu z rubinu, leżącym na występie skalnym na skraju przepaści. Najchętniej zatkałabym sobie uszy, żeby tylko nie słuchać już tego łagodnie brzmiącego głosu.

- Pod tym względem jest znacznie bardziej wyrafinowany, niż ja byłem w jego wieku - ciągnął hrabia. - I trzeba mu przyznać, że matka natura wyposażyla go w liczne zalety. Cóż to za ciało Adonisa! Cóż za piękna twarz, jaki wdzięk, jaki talent! Zapewne nie musi robić niemal nic, a i tak dziewczyny za nim szaleją. „Lew rycy w Fis-dur, grzywa z czystego diamentu, multiplicatio, w słońce zakłeta...”.

Prawda zabolala jak cios w żołądek. Wszystko, co Gideon robił, jego dotyk, jego gesty, pocałunki, słowa, wszystko to służyło wyłącznie temu, by mną manipulować. Żebym się w nim zakochała, tak jak przedtem Charlotta. Żeby łatwiej nas było kontrolować. A hrabia miał rację: Gideon wcale nie musiał robić nic szczególnego. Moje małe głupiutkie dziewczynskie serce samo do niego poleciało i złożyło mu się u stóp.

Oczami wyobraźni ujrzałam lwa, podchodzącego do rubinu nad przepaścią i strącającego go ze skały jednym ruchem łapy. Spadał jak w zwolnionym tempie, uderzył w ziemię na dnie wąwozu i rozpadł się na tysiące drobniutkich kropli krwi.

- Słyszałaś już kiedyś, jak gra na skrzypcach? Jeśli nie, po- T staram się o to... nic lepiej nie potrafi podbić kobiecego serca niż muzyka. - Hrabia w rozmarzeniu wznosił oczy. - To była też i sztuczka Casanovy. Muzyka i poezja.

Myślałam, że umrę. Czułam to dokładnie. Tam, gdzie przedtem było moje serce, teraz rozpościerało się lodowate zimno. Przenikało do mojego żołądka, nóg, stóp, ramion, rąk i na koniec dotarło do głowy. Jak w zwiastunie filmu wydarzenia ostatnich dni przewinęły mi się przed oczami, w tle brzmiały dźwięki *The winner takes it all*: od pierwszego pocałunku w konfesjonale do wyznania miłości wtedy, w piwnicy. Wszystko jedna wielka manipulacja - prócz kilku drobnych przerw, kiedy zapewne był sobą. Świetna robota. A te przekłete skrzypce załatwiły resztę.

Choć próbowałam później to sobie przypomnieć, nie pamiętałam już, o czym rozmawiałam z hrabią, bo od chwili kiedy opanował mnie ten chłód, było mi wszystko jedno. Na szczęście hrabia wziął na siebie cały ciężar rozmowy. Miękkim, przyjemnym głosem opowiadał mi o swoim dzieciństwie w Toskanii, o udrękach nieślubnego pochodzenia, o trudnościach z odnalezieniem własnego ojca i o tym, że już jako młody chłopiec zajmował się sekretami chronografu i przepowiedniami. Naprawdę usiłowałam go słuchać, choćby dlatego, że wiedziałam, że będę musiała powtórzyć Leslie każde słowo, ale nic to nie pomagało, myśli krążyły mi nieustannie wyłącznie wokół mojej własnej głupoty. I nie mogłam się doczekać, kiedy zostanę sama, aby wreszcie się wypłakać.

- Markizie? - Mrukliwy sekretarz zapukał do drzwi i uchylił je lekko. - Przybyła delegacja arcybiskupa.

- Och, to dobrze. - Hrabia podniósł się z fotela i mrugnął do mnie. - Polityka! W tych czasach wciąż jeszcze decyduje o niej Kościół.

Ja też wstałam i skłoniłam się.

- Rozmowa z tobą była dla mnie przyjemnością - rzekł hrabia. - I już teraz ciekaw jestem ogromnie naszego następnego spotkania.

Wymruczałam coś w rodzaju, że ja też.

- Proszę, przekaz Gideonowi wyrazy szacunku i mój żal z powodu tego, że nie mogliśmy się dzisiaj zobaczyć. - Hrabia ujął laskę i podszedł do drzwi. - I jeśli chcesz usłyszeć moją radę: mądra kobieta potrafi ukryć zazdrość. Inaczej my, mężczyźni, nie czujemy się zbyt pewnie...

Po raz ostatni usłyszałam ten cichy, miękki śmiech, a potem zostałam sama. Opadłam z powrotem na fotel i czekałam z zamkniętymi oczami na łzy, ale one nie chciały płynąć. Może i lepiej. Po kilku minutach mrukliwy sekretarz powrócił.

- Proszę za mną - odezwał się.

W milczeniu podążyłam za nim z powrotem na dół, gdzie staliśmy przez chwilę (cały czas myślałam, że zaraz się przewrócę i umrę), aż sekretarz rzucił zatroskane spojrzenie na zegar ścienny.

- Spóźnia się - powiedział.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do korytarza wkroczył Gideon. Moje serce na parę sekund zapomniało, że właściwie leży rozniesione w pył na dnie przepaści, i wykonało w piersi kilka szybkich uderzeń. Chłód w moim ciele ustąpił miejsca trosce. Opłakany stan odzieży Gideona, potargane włosy, spocone czoło, zaczerwienione policzki i błyszczące niemal jak w gorączce zielone oczy mogłabym przypisać lady Lavinii, ale miał jeszcze głębokie cięcie w rękawie, a koronkowe wykończenia na piersi i na mankietach były unurzane w krwi.

- Jesteś ranny, panie! - zawołał z przestachem mrukliwy sekretarz, wyjmując mi te słowa z ust (no dobra, może bez tego „panie”). - Poślę po lekarza!

- Nie - odparł Gideon i wydawał się przy tym tak pewny siebie, że miałabym ochotę go spoliczkować. - To nie moja krew. W każdym razie nie tylko. Chodź, Gwen, musimy się pospieszyć. Zatrzymano mnie nieco.

Chwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą, a sekretarz pobiegł za nami aż do schodów.

- Ależ panie! Co się stało? - dukał. - Czy nie powinniśmy zawiadomić markiza...?

Ale Gideon odpowiedział, że nie ma teraz na to czasu i że jak najprędzej odwiedzi ponownie hrabiego, aby zdać mu relację.

- Stąd pójdziemy dalej sami - oznajmił, kiedy dotarliśmy do podnóża schodów, gdzie stali dwa strażnicy z obnażonymi szpadami. - Proszę przekazać hrabiemu ode mnie wyrazy uszanowania. Qui nescit dissimulare nescit regnare.

Strażnicy przepuścili nas, a sekretarz skłonił się na pożegnanie. Gideon wyjął z uchwytu pochodnię i pociągnął mnie do przodu.

- Chodź, mamy jeszcze najwyżej dwie minuty. - W dalszym ciągu sprawiał wrażenie wzburzonego. - Dowiedziałaś się tymczasem, co znaczy hasło?

- Nie - odparłam, sama się dziwiąc, że moje serce, które właśnie błyskawicznie odżyło, wzbrania się przed ponownym upadkiem w przepaść. Zachowywał się tak, jakby wszystko było w porządku, i nadzieja, że na koniec może się okazać, że ma rację, nieomal mnie zabiła. - Ale dowiedziałam się czegoś innego. Czyja to krew na twoim ubraniu?

- Ten, kto nie potrafi udawać, nie potrafi rządzić. - Gideon oświetlił pochodnią ostatni zakręt. - Ludwik XI.

- Jakże trafne - zauważyłam.

- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, jak nazywał się ten facet, którego krew splamiła mi ciuchy. Madame Rossini na pewno znowu będzie na mnie zła.

Gideon pchnął drzwi do pracowni i wetknął pochodnię w uchwyt na ścianie. Migoczący płomień oświetlił duży stół pełen dziwacznych urządzeń, szklanych butelek, buteleczek i słoików, wypełnionych cieczami i proszkami w różnych barwach. Ściany spowijał cień, ale dostrzegłam, że niemal na całej powierzchni były pomalowane i zapisane, a tuż nad pochodnią szczyrzyła zęby nakreślona grubą kreską trupia czaszka z pentagramami w miejscu oczu.

- Podejź tu - powiedział Gideon i pociągnął mnie na drugą stronę stołu. Wreszcie puścił moją rękę. Ale tylko po to, by objąć mnie w talii i przyciągnąć do siebie. - Jak tam twoja rozmowa z hrabią?

- Była bardzo... pouczająca - odrzekłam. Proteza serca w mojej piersi trzepotała jak mały ptaszek i przełknęłam kluchę tkwiącą mi w gardle. - Hrabia wyjaśnił mi, że ty... że ty i on prezentujecie to samo osobliwe podejście, jakoby zakochaną kobietę było łatwiej kontrolować niż inne. To musiało być dla ciebie strasznie wkurzające, że wykonałeś tę całą mozolną wstępną robotę z Charlotta, a potem musiałeś ze mną jeszcze raz zaczynać wszystko od początku.

-Co ty opowiadasz? Gideon wpatrywał się we mnie ze zmarszczonym czołem.

- Świetnie sobie z tym poradziłeś - mówiłam dalej. - Zresztą hrabia też jest tego zdania. Oczywiście, nie byłam jakimś szczególnie trudnym przypadkiem. O Boże, tak mi wstyd, gdy sobie pomyślę, jak bardzo ci to ułatwiłam. - Nie miałam odwagi na niego spojrzeć.

- Gwendolyn... - Urwał. - Zaraz się zacznie. Może powinniśmy kontynuować tę rozmowę później. Na spokojnie. Nie mam wprawdzie pojęcia, do czego zmierzasz...

- Chcę tylko wiedzieć, czy to prawda. - Oczywiście to była prawda, ale jak wiadomo, nadzieja umiera ostatnia. W żołądku czułam zapowiedź zbliżającego się przeskoku w czasie. - Czy naprawdę planowałeś rozkochać mnie w sobie, tak samo jak uczyniłeś to wcześniej z Charlotta?

Gideon puścił mnie.

- To idiotyczny moment - powiedział. - Gwendolyn, zaraz o tym porozmawiamy. Obiecuję ci to.

- Nie! Teraz! - Supeł w moim gardle pękł i łzy zaczęły mi płynąć po twarzy. - Wystarczy, jeśli powiesz „tak” albo „nie”. Czy ty to wszystko zaplanowałeś?

Gideon potarł czoło.

- Gwen...

- Tak czy nie? - chlipnęłam.

- Tak - powiedział Gideon. - Ale proszę, przestań płakać.

I po raz drugi moje serce - tym razem w drugiej wersji, proteza serca, która odżyła pod wpływem czystej nadziei - stoczyło się z krawędzi i roztrzaskało na dnie wąwozu na tysiące maleńkich odłamków.

- Okej, to właściwie wszystko, co chciałam wiedzieć - wyszeptalam. - Dzięki za szczerość.

- Gwen. Chciałbym ci wyjaśnić...

Na moich oczach Gideon rozpląnął się w powietrzu. Przez kilka sekund, gdy chłód rozpełzał się po moim ciele, wpatrywałam się w migoczący płomień pochodni i czaszkę nad nią, próbując powstrzymać łzy, a potem wszystko rozmyło mi się przed oczami.

Potrzebowałam paru chwil, by przyzwycząć się do światła w pokoju z chronografem w moich czasach, ale usłyszałam zdenerwowany głos doktora White'a i dźwięk rozdieranej tkaniny.

- To nic takiego - powiedział Gideon z lekką irytacją. - Tylko małe skaleczenie, niemal wcale nie krwawiło. Nawet plastra nie potrzebuję. Doktorze White, niechże pan odłoży te klemy! Nic się nie stało.

- Witaj, dziewczynko ze stogu siana - przywitał mnie Xeme-rius. - Nie zgadniesz, czego się dowiedzieliśmy. O, nie! Znowu płakałaś.

Doktor White złapał mnie oburącz i okręcił, oglądając ze wszystkich stron.

- Jest cała - powiedział z ulgą w głosie. Tak. Pomijając moje serce.

- Zmywajmy się stąd - odezwał się Xemerius. - Brat tego głupka i twoja przyjaciółka Leslie mają ci do przekazania bardzo ciekawą informację. Wyobraź sobie, że dowiedzieli się, jakie miejsce oznaczają współrzędne z kodu z Zielonego jeźdźca. Nie uwierzysz!

- Gwendolyn? - Gideon spojrzał na mnie, jakby się bał, że z jego powodu mogłabym się rzucić pod koła najbliższego autobusu.

- Wszystko w porządku - odrzekłam, nie patrząc mu w oczy.

- Panie George, czy mógłby mnie pan zaprowadzić na górę? Muszę naprawdę jak najszybciej pojechać do domu.

- Naturalnie. - Pan George kiwnął głową. Gideon poruszył się, ale doktor White go przytrzymał.

- A ty stój nieruchomo!

Oderwał rękaw surduta i znajdującej się pod nim koszuli. Cała ręka była pokryta zaschlą krwią, a powyżej, już prawie na ramieniu, widniało niewielkie cięcie. Mały duch Robert patrzył na tę masę krwi z przerażeniem.

- Kto to był? Trzeba to zdezynfekować i zeszyć - powiedział i ponuro doktor White.

- Nie teraz. - Gideon zbladł, a po jego irytacji nie zostało nawet śladu. - Możemy to zrobić później. Najpierw muszę porozmawiać z Gwendolyn.

- To naprawdę nie jest konieczne - odparłam. - Wiem wszystko, co powinnam wiedzieć. A teraz muszę wracać do domu.

- Właśnie - wtrącił Xemerius.

- Jutro też jest dzień - rzekł pan George do Gideona, sięgając po czarną chustkę. - A Gwendolyn wygląda na zmęczoną. Rano musi iść do szkoły.

- Otóż to. A dziś w nocy uda się jeszcze na poszukiwanie skarbów - dodał Xemerius. - Czy co tam znajdzie na tych współrzędnych.

Pan George zawiązał mi chustkę. Zdażyłam jeszcze zobaczyć oczy Gideona, błyszczące nienaturalną zielenią na jego pobladłej twarzy.

- Dobranoc wszystkim - rzuciłam, a potem pan George wyprowadził mnie z pokoju.

Poza małym Robertem nikt mi nie odpowiedział.

- No dobra, nie będę cię trzymał w niepewności - odezwał się Xemerius. - Leslie i Raphael dobrze się bawili dziś po południu; sądząc po twoim wyglądzie, lepiej od ciebie. W każdym razie udało im się dokładnie określić współrzędne. A teraz zgaduj do trzech razy, gdzie znajduje się to miejsce.

- Tu w Londynie? - spytałam.

- Bingo! - zawołał Xemerius.

- Co takiego? - zapytał pan George.

- Nic - odparłam - Przepraszam, panie George. Pan George westchnął.

- Mam nadzieję, że twoja rozmowa z hrabią de Saint Germain przebiegła dobrze?

- O tak - potwierdziłam z goryczą. - Była pod każdym względem wielce interesująca.

- Halo! Ja tu ciągle jestem! - zawołał Xemerius i poczułam jego wilgotną aurę, kiedy zwiesił mi się z szyi jak małpka. - I mam naprawdę, ale to naprawdę ciekawe wieści. A więc: kryjówka, której szukamy, jest tu, w Londynie. A teraz będzie jeszcze lepsze: znajduje się mianowicie w Mayfair. A dokładniej: przy Bourdon Place. A jeszcze dokładniej: Bourdon Place numer 81. No, i co powiesz?

U mnie w domu? Współrzędne określają miejsce w naszym własnym domu? Cóż, na Boga, mógł tam ukryć mój dziadek? Może kolejną książkę? Ze wskazówkami, które zaprowadziłyby nas dalej?

- Jak dotąd dziewczyna od psa i ten Francuz wykonali niezłą robotę - powiedział Xemerius. - Muszę przyznać, że o tych całych współrzędnych nie miałem pojęcia. Ale teraz... teraz wkraczam do akcji. Bo tylko niepowtarzalny, cudowny i arcy-mądry Xemerius może wetknąć głowę w każdą ścianę i zobaczyć, co się za nią albo w niej kryje. Dlatego dziś w nocy my oboje udamy się na poszukiwanie skarbów.

- Chciałabyś o tym porozmawiać? - spytał pan George. Potrząsnęłam głową.

- Nie, to może poczekać do jutra - powiedziałam i było to skierowane zarówno do pana George'a, jak i do Xemeriusa.

Dziś w nocy będę tylko leżeć bezsennie i płakać nad moim złamanym sercem. Chciałam się zanurzyć we współczuciu dla samej siebie i w górnolotnych metaforach. I może posłucham sobie do tego Hallelujah Bon Jovi. Przecież w takich przypadkach każdy potrzebuje własnej ścieżki dźwiękowej.

## Epilog

Londyn, 29 września 1782

Wylądował tyłem do ściany, położył dłoń na rękojeści szpady i rozejrzał się. Podwórze gospodarstwa było puste, tak jak obiecał mu lord Alastair. Między ścianami rozpięto sznury do suszenia bielizny, rozwieszane na nich białe prześcieradła poruszały się delikatnie na wietrze.

Paul spojrzął w górę ku oknom, w których odbijało się popołudniowe słońce. Na jednym z parapetów leżał kot i przyglądał mu się kpiąco, leniwie machając łapą znad krawędzi. Przypomniał mu o Lucy.

Puścił rękojeść szpady i wygładził koronkowe wykończenia mankietów. Te ubrania w stylu rokoko wyglądały, jego zdaniem, wszystkie tak samo: śmieszne spodnie do kolan, zabawne surduty z długim, niepraktycznym ogonem, do tego wszędzie hafty i koronki - okropieństwo. Chciał włożyć kostium i perukę, które przygotowano mu na wizyty w 1745 roku, ale Lucy i lady Tilney uparły się, by uszyć mu zupełnie nowy strój. Uznały, że każdy gapiłby się na niego, gdyby w 1782 roku biegał w ciuchach z roku 1745, i nie chciały słuchać jego argumentów, że ależ skąd, że przecież spotka się z lordem Alastairem tylko na chwilę w jakimś ustronnym miejscu, aby wymienić się papierami. Sięgnął ręką między surdut a koszulę, gdzie w brązowej kopercie spoczywały złożone kopie.

- Bardzo pięknie! Jesteś, panie, punktualny.

Odwrócił się szybko na dźwięk chłodnego głosu. Lord Alastair wyszedł z cienia bramy, jak zawsze ubrany elegancko, choć strasznie kolorowo, cały obwieszony biżuterią, która mieniła się w słońcu. Pośród prześcieradeł był jak z innej bajki. Nawet rękojeść szpady zdawała się zrobiona z czystego złota i była wysadzana kamieniami szlachetnymi, co sprawiało, że broń wyglądała niegroźnie i niemal śmiesznie.

Paul rzucił szybkie spojrzenie przez bramę, gdzie przy ulicy rozciągał się zielony trawnik sięgający aż do Tamizy. Usłyszał parskanie koni, przyjął więc, że lord Alastair przybył powozem.

- Jesteś sam, panie? - spytał lord Alastair. Mówił niesłychanie aroganckim tonem i tak, jakby miał chronicznie zatkaany nos. Podszedł bliżej. - Jaka szkoda! Chętnie spotkałbym się z twoją piękną rudowłosą towarzyszką. Miała... hm... niezwykle sposób wyrażania opinii.

- Była jedynie rozczarowana, że nie skorzystałeś, panie, z przewagi, jaką dały ci nasze ostatnie informacje. I nie ufa temu, co zamierzasz z nimi począć w swoich czasach.

- Wasze informacje nie były kompletne!

- Były wystarczająco kompletne. Plany Sojuszu Florenckiego nie zostały należycie dopracowane. W ciągu czterdziestu lat nie powiodło się pięć prób zamachów na hrabiego, a za dwie z nich odpowiadasz, panie, osobiście. Ostatnim razem, jedenaście lat temu, zdawałeś się taki pewny siebie!

- Nie martw się! Następną próbą się powiedzie - rzekł lord Alastair. - Moi przodkowie i ja również popełnialiśmy przez cały czas błąd, chcąc walczyć z hrabią jak z człowiekiem. Próbowaliśmy go zdemaskować, zniesławić i zniszczyć jego dobrą opinię. Usiłowaliśmy nawrócić na dobrą drogę zbłąkane dusze, takie jak twoja, nie pojmując, że wy wszyscy jesteście już dawno straceni z winy krwi demona.

Zirytowany Paul zmarszczył czoło. Nigdy nic nie rozumiał z patetycznych przemów lorda i innych członków Sojuszu Florenckiego.

- Próbowaliśmy się dobrać do niego jak do zwykłego człowieka: trucizną, ostrzem szpady czy kulą z pistoletu - ciągnął lord Alastair. - Jakież to żalosne! - Wybuchnął ochryplym śmiechem. - Cokolwiek czyniliśmy, on zawsze wyprzedzał nas o krok. Gdziekolwiek się udaliśmy, on zawsze już tam był. Wydawał się nie do pokonania. Wszędzie ma wpływowych przyjaciół i protektorów, którzy podobnie jak on znają się na czarnej magii. Członkowie jego łoży należą do najpotężniejszych ludzi naszej epoki. Minęły dziesiątki lat, nim pojąłem, że demona nie da się pokonać ludzkimi metodami. Ale teraz jestem mądrzejszy.

- Miło mi to słyszeć - rzekł Paul, rzucając szybkie spojrzenie w bok. W bramie pojawiło się dwóch mężczyzn, ubranych na czarno, ze szpadami u boku. Niech to diabli! Lucy miała rację. Alastair nie zamierzał dotrzymać słowa. - Masz listy, panie?

- Oczywiście - powiedział lord Alastair i wyciągnął z surduta gruby plik papierów przewiązany czerwonym sznurkiem. - Tymczasem, i to w dużej mierze dzięki twojej pomocy i twoim informacjom, udało mi się wprowadzić bliskiego przyjaciela do grona Strażników. Już teraz dostarcza mi codziennie najnowszych informacji. Czy wiedziałeś, panie, że obecnie hrabia znów przebywa w mieście? Ależ oczywiście, że wiedziałeś! - Zważył pakiet w dłoni, a potem rzucił go Paulowi. Paul chwycił go zręcznie jedną ręką.

- Dziękuję. Na pewno kazałeś sporządzić z tego odpisy.

- To nie było konieczne - burknął lord Alastair. - A ty, panie? Czy przyniosłeś mi to, czego żądałem?

Paul wsunął plik listów do surduta i wyjął brązową kopertę. - Pięć stron świadectw pochodzenia rodziny de Villiers, poczynając od szesnastego wieku, od pierwszego podróżnika w czasie, Lancelota de Villiers, kończąc na Gideonie de Villiers, urodzonym w dwudziestym wieku.

- A linia żeńska? - spytał lord Alastair i teraz zabrzmiało to tak, jakby był odrobinę zdenerwowany.

- Wszystko jest w środku. Od Elaine Burghley aż do Gwendolyn Shepherd.

Wymawiając to nazwisko, Paul poczuł ukłucie. Spojrzał na tamtych dwóch mężczyzn. Zatrzymali się w bramie, z dłońmi na szpadach, jakby na coś czekali. Zgrzytając zębami, musiał przyznać, że już się domyśla na co.

- Bardzo dobrze. Więc daj mi to. Paul jednak się ościagał.

- Nie dotrzymałeś naszej umowy, panie - rzekł, chcąc zyskać na czasie. Wskazał na obu mężczyzn. - Miałeś przyjść sam.

Lord Alastair obojętnym wzrokiem podążył za jego spojrzeniem.

- Dżentelmen o mojej pozycji społecznej nigdy nie jest sam. Moi służący towarzyszą mi wszędzie. - Postąpił jeszcze krok do przodu. - A teraz daj mi te papiery. O wszystko inne zadbam sam.

- A gdybym się rozmyślił?

- Mnie osobiście jest właściwie wszystko jedno, czy te papiery dostanę z twoich żywych, czy martwych rąk - odrzekł lord, a jego dłoń spoczęła na zdobnej rękojeści szpady. - Mówiąc innymi słowami: to, czy zabiję cię, zanim mi je przekazasz, czy też później, nie gra żadnej roli.

Paul sięgnął do swojej szpady.

- Złożyłeś przysięgę, panie.

- Phi - zawołał lord Alastair i dobył szpady. - Szatana nie da się pokonać moralnym postępowaniem. Dawaj papiery!

Paul cofnął się dwa kroki i także wyciągnął broń.

- Czyż nie powiedziałeś, że zwykłą bronią nie można nam dać rady? - rzucił kpiąco.

- To się zaraz okaże - warknął lord. - En garde, demonie!

Paul chciał przeciągnąć rozmowę, ale lord Alastair najwyraźniej tylko czekał na okazję. Jednym susem dopadł Paula, rozwścieczony i zdecydowany go zabić. W połączeniu z jego doskonałą umiejętnością fechtunku nie była to korzystna dla Paula kombinacja.

Uświadomił to sobie, kiedy niecałe dwie minuty później stał już plecami do ściany. Odparowywał ciosy najlepiej, jak potrafił, nurkował pod prześcieradłami i ze swej strony próbował osaczyć lorda. Na próżno.

Kot, prychnąwszy, zeskoczył z parapetu okna i uciekł przez bramę. Za oknami panowała cisza. Niech to diabli! Dlaczego nie posłuchał Lucy? Tak go prosiła, by ustawił krótszy czas przeskoku. Wtedy może byłby w stanie jakoś wytrzymać do momentu, kiedy rozpląnąłby się na oczach lorda.

Broń Alastaira błysnęła w słońcu. Jego kolejny cios był tak mocny, że szpada niemal wypadła Paulowi z ręki.

- Poczekaj - zawołał, dysząc bardziej, niż to było konieczne. - Wygrałeś! Dam ci te papiery.

Lord Alastair opuścił szpadę.

- Bardzo rozsądnie.

Udając, że ciężko oddycha, Paul oparł się o mur i rzucił lordowi brązową kopertę. W tej samej chwili skoczył na niego, ale lord Alastair najwyraźniej był na to przygotowany. Upuścił kopertę na ziemię i z łatwością odparł atak Paula.

- Przejrzę każdy podstęp demona! - Zaśmiał się złowieszczo. - Ale teraz chciałbym zobaczyć, jakiego koloru jest twoja krew.

Zrobił przemyślny wypad i Paul poczuł, jak klinga lorda Alastaira przecina rękaw jego surduta i skórę pod nim. Ciepła krew spłynęła mu po ręce. Nie bolało za bardzo, przypuszczał więc, że skończyło się na niewielkim zadraśnięciu, ale bezczelny uśmiech przeciwnika i fakt, że lord Alastair prawie w ogóle się nie zadyszał, podczas gdy on sam z trudem łapał powietrze, nastrojały go niezbyt optymistycznie.

- Na co czekacie? - zawołał przez ramię lord Alastair do obu swoich lokajów. - Nie możemy już dać mu więcej czasu! Czy może chcecie, żeby na naszych oczach rozpląnął się w powietrzu, jak wasi ostatni przeciwnicy?

Ubrani na czarno mężczyźni zareagowali niezwłocznie. Gdy podeszli do niego, Paul wiedział, że jest zgubiony. Przynajmniej Lucy jest bezpieczna, przemknęło mu przez głowę. Gdyby przybyła razem z nim, teraz też by zginęła.

- Powiedz swe ostatnie słowo - rzekł lord Alastair.

Paul zastanawiał się przez chwilę, czy nie opuścić szpady, nie opaść na kolana i nie zacząć błagać. Może pobożny lord poczeka nieco z zamordowaniem go. Ale może byłby już martwy, nim zdążyłby opaść na kolana.

W tym momencie zarejestrował jakiś ruch za prześcieradłami i jeden z ludzi lorda Alastaira padł bezgłośnie na ziemię, nie zdążywszy się nawet odwrócić. Po sekundzie przerażenia drugi rzucił się z wyciągniętą szpadą na nowego przeciwnika, młodego mężczyznę w zielonym surducie, który wyszedł teraz zza prześcieradła i swobodnie odpierał atak szpadą.

- Gideon de Villiers - wyrwało się Paulowi i z nową odwagą zaczął się bronić przed ciosami lorda Alastaira. - Nigdy nie myślałem, że tak mnie kiedyś ucieszy twój widok, mój mały.

- Właściwie byłem tylko ciekaw - powiedział Gideon. - Zobaczyłem powóz z herbem lorda Alastaira stojący na ulicy i chciałem sprawdzić, co też robi na tym opuszczonym dziedzińcu.

- Milordzie, to jest ten demon, który zabił Jenkinsa w Hyde Parku - zawołał człowiek lorda.

- Rób, za co ci płacę - prychnął na niego lord Alastair, a jego siły zdawały się wzrosnąć w dwójnasób.

Paul poczuł, że został trafiony po raz drugi, w to samo ramię, trochę wyżej. Tym razem całe jego ciało przeszył ból.

- Milordzie... - Służący najwyraźniej znalazł się w tarapatach.

- Bierz tego - wrzasnął ze złością lord Alastair. - A ja się zajmę tamtym.

Paul odetchnął z ulgą, gdy lord oderwał się od niego. Obrzucił szybkim spojrzeniem swoje ramię - krwawił, lecz był jeszcze w stanie utrzymać szpadę.

- Ależ my się znamy! - Lord Alastair stał teraz naprzeciw Gideona, klinga jego szpady połyskiwała ciemno, splamiona krwią Paula.

- To prawda - potwierdzi! Gideon i Paul odnotował z podziwem, ale i pewną niechęcią, jego opanowanie. Czy ten mały w ogóle się nie boi? - Przed jedenastu laty, tuż przed twoją nieudaną próbą zabicia hrabiego de Saint Germain spotkaliśmy się na lekcji fechtunku u Galliana.

- Markiz Welldone - rzucił lekceważąco lord. - Pamiętam. Przekazałeś mi wiadomość od samego diabła.

- Przekazałem ci ostrzeżenie, którego niestety nie wzięłeś sobie do serca. - Zielone oczy lśniły groźnie.

- Pomiot demona! Wiedziałem od razu, gdy tylko cię zobaczyłem. Twoje parady były wprawdzie całkiem przyzwoite, ale czy pamiętasz, kto wygrał naszą małą treningową walkę?

- Doskonale pamiętam - odrzekł Gideon i strząsnął koronkowe mankiety na przegubach rąk, jakby mu ciążyły. - Tak jakby to było tydzień temu. Bo było, z mojej perspektywy. En garde.

Metal dźwięczał o metal, ale Paul nie mógł zobaczyć, kto zyskuje przewagę, bo służący lorda zdążył się już pozbierać i napał na Paula z wyciągniętą szpadą.

Nie walczył tak elegancko jak jego pan, lecz energicznie, i Paul czuł, jak szybko - mimo krótkiej przerwy - traci siły w zranionej ręce.

Kiedy wreszcie przeskoczy z powrotem? To nie może już długo potrwać. Zacisnął zęby i zrobił kolejny wypad. Przez kilka minut nikt nic nie mówił, słychać było tylko szcęk broni i ciężkie oddechy, a potem Paul kątem oka zobaczył, jak kosztowna szpada lorda Alastaira leci w powietrzu i z głuchym odgłosem spada na bruk.

Dzięki Bogu!

Służący odskoczył kilka kroków do tyłu.

- Milordzie?

- To był podły trik, demonie - warknął lord z wściekłością. - Wbrew wszelkim regułom. Miałem trafienie.

- Nie umiesz przegrywać, jak mi się zdaje - odparł Gideon, który został zraniony w ramię.

Oczy lorda Alastaira płonęły gniewem.

- Zabij mnie, jeśli masz odwagę!

- Nie dziś - odrzekł Gideon i zatknął z powrotem szpadę za pas.

Paul dostrzegł ruch głowy lorda i zobaczył, jak służący napina mięśnie. Błyskawicznie rzucił się między nich i odparował cios, zanim ostrze szpady służącego zdołało się wbić między żebra Gideona. W tej samej sekundzie Gideon ponownie dobył szpady i zatopił ją w piersi służącego. Krew buchnęła z rany i Paul aż musiał się odwrócić.

Lord Alastair wykorzystał ten czas, by podnieść swą szpadę i nadzieć na nią leżącą na ziemi brązową kopertę. A potem błyskawicznie wybiegł przez bramę.

- Tchórz! - z wściekłością zawołał za nim Paul, po czym spojrzał na Gideona. - Jesteś ranny, mały?

- Nie, to tylko draśnięcie - odparł Gideon. - Ale ty źle wyglądasz. Twoja ręka! Tyle krwi... - Zacisnął usta i podniósł swoją szpadę. - Co to były za papiery, które dałeś lordowi Ala-stairowi?

- Drzewa genealogiczne - powiedział przybity Paul. - Listy przodków męskiej i żeńskiej linii podróżników w czasie.

Gideon skinął głową.

- Wiedziałem, że to wy oboje jesteście zdrajcami. Ale nie sądziłem, że będziecie aż tak głupi! Będzie próbował zgładzić wszystkich potomków hrabiego. A teraz zna także imiona linii żeńskiej. Jeśli zależałoby to od niego, nigdy byśmy się nie narodzili.

- Powinieneś był go zabić, gdy miałeś po temu okazję - rzekł z goryczą Paul. - Oszukał nas. Posłuchaj, nie mam już zbyt wiele czasu, w każdej chwili mogę przeskoczyć z powrotem. Ale ważne jest, byś mnie wysłuchał.

- Nie mam na to ochoty! - Zielone oczy patrzyły gniewnie. - Gdybym wiedział, że cię tu dzisiaj spotkam, wziąłbym ze sobą próbówkę.

- Sprzymierzenie się z sojuszem było naszym błędem - rzekł pospiesznie Paul. - Lucy od samego początku się temu sprzeciwiała. Ale ja myślałem, że jeśli pomożemy im w unieszkodliwieniu hrabiego...

- Złapał się za brzuch. Jego palce natrafiły przy tym na plik listów, który wetknął do surduta. - Niech to diabli! Masz, mały! Weź to.

Gideon z wahaniem wziął pakiet.

- Przestań mówić do mnie „mały”. Jestem o pół głowy wyższy od ciebie.



- Chodzi o część przepowiedni, które hrabia do tej pory ukrywał przed Strażnikami. Ważne jest, byś je przeczytał, nim wpadniesz na pomysł, żeby pójść do twojego ukochanego hrabiego i nas wydać. Cholera, Lucy mnie zabije, kiedy się dowie.

- A kto zagwarantuje, że to nie są fałszywki?

- Przeczytaj je po prostu! Dowiesz się wtedy, dlaczego ukradliśmy chronograf. I dlaczego chcemy przeszkodzić hrabiemu w zamknięciu kręgu. - Zaczepnął powietrza. - Gideon, musisz uważać na Gwendolyn - rzucił pospiesznie. - I musisz ją chronić przed hrabią.

- Obronę Gwendolyn przed każdym. - W oczach Gideona pojawił się chępliwy błysk. - Ale nie mam pojęcia, co tobie do tego.

- Bardzo wiele, mój chłopcze!

Paul musiał się mocno opanować, by nie przejść do rękoczynów. Boże, gdyby ten mały miał choć blade pojęcie! Gideon skrzyżował ręce.

- Przez waszą zdradę ludzie Alastaira niedawno omal nas nie zabili w Hyde Parku, Gwendolyn i mnie! Więc chyba nie chcesz mi wmówić, że chodzi ci o jej dobro.

- Nie masz pojęcia... - Paul przerwał. Po prostu nie miał już czasu. - Nieważne. Posłuchaj. - Myślał o tym, co powiedziała Lucy, i starał się mówić z całą stanowczością. - Proste pytanie, prosta odpowiedź. Kochasz Gwendolyn?

Gideon ani na chwilę nie spuszczał z niego oczu. Ale coś drgnęło w jego spojrzeniu, Paul dobrze to widział. Czy była to może niepewność? No świetnie, szpada ten chłopak umiał się posługiwać. Ale w sprawach uczuć był raczej zielony.

- Gideonie! Muszę znać odpowiedź! - Jego głos brzmiał ostro.

Wyraz twarzy chłopca stracił nieco na twardości.

- Tak - odrzekł po prostu.

Paul czuł, jak cała jego wściekłość się ulatnia. Lucy wiedziała. Jak mógł w nią kiedykolwiek zwątpić!

- A więc przeczytaj te papiery! Tylko wtedy będziesz mógł pojąć, jaką rolę naprawdę odgrywa Gwendolyn i jak wielkie jest to dla niej ryzyko.

Gideon wlepił w niego wzrok.

- Co masz na myśli?

Paul pochylił się.

- Gwendolyn umrze, jeśli temu nie przeszkodzisz. Jesteś jedynym, który może to uczynić. I jedynym, któremu ufa, jak się zdaje.

Ścisną! Gideona mocniej za ramię, kiedy poczuł, że opanowują go mdłości. Ileż by dał za jedną lub dwie dodatkowe minuty!

- Obiecuj mi to, Gideonie!

Ale odpowiedzi Gideona nie zdołał już usłyszeć. Świat wokół niego rozmył się, zawirował - i poniosło go przez czas i przestrzeń.

Jeśli ktoś chce się dowiedzieć, co znajduje się w tajemnej skrytce w domu rodziny Montrose przy Bourdon Place 81, może rozszyfrować następujący kod liczbowy:

151 13 3 1 62 13 5 1 23 29 1 2 313 6 8 1 117 25 5 3 113 7 8 4 326 3 1 3 123 12 4 3 329 3 2 4 359 15 4  
4

Błękit szafiru to druga część trylogii.

Trzeci tom Zieleń szmaragdu ukaże się wiosną 2012 roku.

## Podziękowania

Gdy się zmieniasz, zmienia się wszystko wokół ciebie. To jest magia.

W czasie gdy powstawała ta książka, zdarzyła się cała masa cudownych rzeczy i spotkałam tak wielu wspaniałych ludzi, że nie potrafię ich tu wszystkich wymienić.

Tylko tyle: jestem nieskończenie wdzięczna za te wszystkie magiczne wydarzenia, które doprowadziły do zawarcia tych znajomości. I nie, nie wierzę w przypadek.

Dziękuję czytelnikom, które zadały sobie trud i napisały do mnie e-mail czy list lub poznały mnie na spotkaniu autorskim - wasze pochwały niewiarygodnie mnie zmotywowały.

Talyn aka Dorit, dziękuję ci za sokole oko w trakcie korekty. Bardzo wiele inspiracji i pomysłów zaczerpnęłam z twórczych odczytów u Czytających Sów - dziękuję, kochani, że tak wiele o tym myśleliście. Kamelin, znalazłaś właściwie imię dla młodszego brata Gideona.

Nawiasem mówiąc, nazwisko Purpleplum też skradłam Czytającym Sowom (sama chciałabym się tak nazywać!).

Bardzo serdecznie pozdrawiam dziewczęta z forum Czerwień Rubinu, Laure, Nathii, jelu, jojo, JOLly, mia, sunrise, AyAy, coco, AnA, leo<3 i inne - jesteście fantastyczne!

Daniele Kern, kiom opiekuje się stroną internetową i forum także!

Tego, że to właśnie moja ulubiona ilustratorka, Eva Schöffmann-Davidoff, projektuje okładki tej serii, wciąż jeszcze nie mogę pojąć. Jest dla mnie jasne, że wiele osób kupi tę książkę wyłącznie ze względu na okładkę - ale w tym przypadku to jest okej. Potrafię to zrozumieć i zrobiłabym dokładnie tak samo.

Serdeczne podziękowania także dla Thomasa Frotza, który nadał Xemeriusowi z moich wizji jego prawdziwą postać, trójwymiarową i absolutnie zachwycającą.

Mam nadzieję, że wkrótce pojawi się wiele Xemeriusów, które będzie sobie można postawić na biurku - wciąż jeszcze pracuję nad zaklęciem, które pozwoliłoby je ożywić.

Dziękuję wszystkim, którzy przez ten rok mieli dla mnie tyle cierpliwości - to takie szczęście, że was mam.

Ze względu na brak czasu (cóż, ostatni rozdział nie jest jeszcze gotowy) z imienia chciałabym podziękować jeszcze tylko czterem szczególnym osobom: mojej cudownej agentce Petrze Hermanns, mojej wspaniałej redaktorce Christiane Diiring, mojej drogiej przyjaciółce Evie i mojej niezmordowanej małej Mamie.

Dziękuję za wszystko, Mamo, także za to, że czytasz te książki z zachwytem czternastolatki. Evo, bez twojego moralnego wsparcia w niektóre dni nie napisałabym ani jednego słowa. Pe-tro, naprawdę zesłały mi cię niebiosa! Christiane - nie wiem, jak to robisz, ale na koniec wydaje mi się, że to wszystko były moje pomysły. A przy tym twoje są najlepsze! Dziękuję wam obu za cudowne dni w Londynie.

## Spis najważniejszych osób

### **Terażniejszość**

#### **Rodzina Montrose**

*Gwendolyn Shepherd*, chodzi do dziesiątej klasy i pewnego dnia stwierdza, że potrafi przenosić się w czasie

*Grace Sheperd*, matka Gwendolyn

*Nick i Caroline Shepherd*, młodsze rodzeństwo Gwendolyn

*Charlotte Montrose*, kuzynka Gwendolyn

*Glenda Montrose*, matka Charlotty, starsza siostra Grace

*Lady Arista Montrose*, babka Gwendolyn i Charlotty, matka Grace i Glendy

*Madeleine (Maddy) Montrose*, cioteczna babka Gwendolyn, siostra zmarłego lorda Montrose

*Pan Bernhard*, zatrudniony w domu rodziny Montrose

*Xemerius*, duch demona w postaci kamiennego gargulca

#### **Liceum Saint Lennox**

*Leslie Hay*, najlepsza przyjaciółka Gwendolyn

*James August Peregrin Pimplebottom*, szkolny duch

*Cynthia Dale i Gordon Gelderman*, koleżanka i kolega z klasy

*Pan Whitman*, nauczyciel angielskiego i historii, członek Kręgu Wewnętrznych Strażników

*Raphael Bertelin*, nowy uczeń w Saint Lennox, młodszy brat Gideona

#### **Kwatera główna Strażników w Tempie**

*Gideon de Yilliers*, podobnie jak Gwendolyn potrafi przenosić się w czasie

*Falk de Villiers*, jego daleki wuj, Wielki Mistrz łoży hrabiego de Saint Germain, tak zwanych Strażników

*Thomas George*, członek łoży w Kręgu Wewnętrznym

*Pan Whitman*, jak wyżej

*Doktor Jack White*, lekarz i członek łoży w Kręgu Wewnętrznym

*Pani Jenkins*, sekretarka Strażników

*Madame Rossini*, krawcowa Strażników

*Pan Marley*, adept II stopnia

*Giordano*, adept III stopnia, odpowiedzialny za naukę Gwendolyn w zakresie XVIII wieku.

### **Przeszłość**

*Hrabia de Saint Germain*, podróżnik w czasie i założyciel Strażników

*Miro Rakoczy*, jego duchowy brat i przyjaciel, znany także jako Czarny Lampart

*Lord Brompton*, znajomy i protektor hrabiego

*Lady Brompton*, jego radosna małżonka

*Margret Tilney*, podróżniczka w czasie, praprababka Gwendolyn,

babka lady Aristy Paul de Villiers, podróżnik w czasie, młodszy brat Falka de Yilliers

*Lucy Montrose*, podróżniczka w czasie, bratanica Grace, córka starszego brata Grace i

Glendy, Harry'ego

*Lucas Montrose*, późniejszy lord Lucas Montrose, dziadek Lucy, ojciec Grace, Wielki Mistrz łoży aż do swojej śmierci

*Pan Merchant, lady Lavinia Rutland*, goście na soiree u lady Brompton

*Lord Alastair*, angielski szlachcic włoskiego pochodzenia, głowa Sojuszu Florenckiego w XVIII wieku